



AUTORKA KSIĄŻKI  
DZIEWCZYNY,  
KTÓRE ZABIŁY  
CHLOE

Miał być rajem.  
Zamienił się w piekło.

# ZATRUTY OGRÓD

ALEX MARWOOD

ALBATROS

ALEX MARWOOD

ZATRUTY  
OGRÓD

Z angielskiego przełożyła  
ANNA DOBRZAŃSKA

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

**Jeśli istnieje lepszy thriller napisany w XXI wieku, żaden nie  
przychodzi mi do głowy.**

**STEPHEN KING**

Jeśli przez całe życie powtarzają ci, że tam, na zewnątrz, ludzie  
nie mają pojęcia, co ich czeka, cieszysz się, że ty jesteś  
przygotowana na apokalipsę.

Kiedy mówią ci, że tam, na zewnątrz, na każdym kroku czyhają  
zagrożenia, jesteś szczęśliwa, że możesz żyć w zamkniętym  
małym świecie, w którym czujesz się bezpiecznie.

Nawet jeśli czasami znikają ludzie i potem nikt nie wspomina  
o nich choćby słowem.

Na odosobnionej farmie w Walii zostaje znalezionych sto  
pięćdziesiąt ciał osób, które umarły w wyniku zatrucia. Masowe  
samobójstwo członków sekty – stwierdza policja. Nie pierwsze  
w historii.

Jest kilku ocalałych, a wśród nich dwudziestodwuletnia Romy.  
Aby ochronić siebie i swoje nienarodzone dziecko, musi nauczyć  
się żyć we wrogim otoczeniu. I odpowiedzieć sobie na kilka  
pytań:

**Komu może zaufać, a przed kim powinna się strzec? Kim byli  
jej krewni i dlaczego jej matka przed laty ich opuściła?**

**I najważniejsze: Czy uda jej się uciec przed przeszłością?**



## ALEX MARWOOD

To pseudonim literacki uznanej brytyjskiej dziennikarki. Jej pierwsza powieść, **Dziewczyny, które zabiły Chloe**, została w 2013 roku nominowana w Wielkiej Brytanii do nagrody przyznawanej przez International Thriller Writers, a w Stanach Zjednoczonych zdobyła Edgar Allan Poe Award w kategorii Najlepsza Powieść roku 2014. Przetłumaczona dotychczas na 17 języków, odniosła sukces porównywalny do **Dziewczyny z pociągu**.

Druga książka Marwood, **Zabójca z sąsiedztwa**, zdobyła nagrodę Macavity for Best Mystery 2015, a prawa do sfilmowania jej kupiła Rabbit Bandini Productions, firma producencka należąca do Jamesa Franco.

Kolejne książki Marwood – **Najmroczniejszy sekret** i najnowsza, **Zatruty ogród** – znalazły uznanie czytelników i krytyków na całym świecie.

Alex Marwood mieszka w Londynie i pracuje nad kolejnymi książkami.

[alexmarwood.com](http://alexmarwood.com)

*Tej autorki*

DZIEWCZYNY, KTÓRE ZABIŁY CHLOE  
ZABÓJCA Z SĄSIEDZTWA  
NAJMROCZNIEJSZY SEKRET  
ZATRUTY OGRÓD

Tytuł oryginału:

THE POISON GARDEN

Copyright © Alex Marwood 2019

All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2020

Polish translation copyright © Anna Dobrzańska 2020

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Zdjęcie na okładce: © Roy Bishop/Arcangel Images

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka

ISBN 978-83-7985-452-3

*Wydawca*

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://Facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://Instagram.com/wydawnictwoalbatros)



*Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.*

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, [hachi.media](http://hachi.media)

# SPIS TREŚCI

## Prolog

### WŚRÓD MARTWYCH. Wrzesień 2016

1 | Romy

2 | Sarah

3 | Sarah

4 | Sarah

5 | Romy

6 | Sarah

### PRZED KOŃCEM. 2001–2002

7 | Romy | Czerwiec 2001

8 | Romy | Wrzesień 2001

9 | Romy | Wrzesień 2001

10 | Somer | Grudzień 2002

### WŚRÓD MARTWYCH. Październik 2016

11 | Romy

### PRZED KOŃCEM. 2002–2003

12 | Romy | Grudzień 2002 – marzec 2003

13 | Romy | Wrzesień–listopad 2003

### WŚRÓD MARTWYCH. Październik 2016

14 | Romy

15 | Romy

16 | Sarah



[17 | Sarah](#)

[PRZED KOŃCEM. 2008–2009](#)

[18 | Romy | 2009](#)

[19 | Romy | 2009](#)

[WŚRÓD MARTWYCH. \*Listopad 2016\*](#)

[20 | Sarah](#)

[21 | Romy](#)

[22 | Sarah](#)

[23 | Romy](#)

[PRZED KOŃCEM. 2010–2011](#)

[24 | Romy | 2010](#)

[25 | Romy | 2010](#)

[WŚRÓD MARTWYCH. \*Listopad 2016\*](#)

[26 | Romy](#)

[PRZED KOŃCEM. 2012](#)

[27 | Romy](#)

[WŚRÓD MARTWYCH. \*Listopad 2016\*](#)

[28 | Romy](#)

[29 | Sarah](#)

[30 | Romy](#)

[31 | Romy](#)

[PRZED KOŃCEM. 2012–2014](#)

[32 | Romy | \*Czerwiec 2012\*](#)

[33 | Romy | \*Grudzień 2013\*](#)

[34 | Somer | \*Luty 2014\*](#)

[WŚRÓD MARTWYCH. \*Listopad 2016\*](#)

[35 | Sarah](#)

[36 | Sarah](#)

[37 | Romy](#)

[38 | Romy](#)

[39 | Romy](#)

[PRZED KOŃCEM. 2014](#)

[40 | Romy](#)

[41 | Romy](#)

[WŚRÓD MARTWYCH. Listopad 2016](#)

[42 | Romy](#)

[43 | Sarah](#)

[PRZED KOŃCEM. 2015–2016](#)

[44 | Somer | 2015](#)

[45 | Romy | 2016](#)

[WŚRÓD MARTWYCH. Grudzień 2016](#)

[46 | Romy](#)

[47 | Romy](#)

[PRZED KOŃCEM. Czerwiec 2016](#)

[48 | Somer](#)

[49 | Somer](#)

[50 | Romy](#)

[51 | Romy](#)

[WŚRÓD MARTWYCH. Grudzień 2016](#)

[52 | Romy](#)

[53 | Sarah](#)

[54 | Sarah](#)

[PRZED KOŃCEM. Czerwiec 2016](#)

[55 | Somer](#)

[WŚRÓD MARTWYCH. Grudzień 2016](#)

[56 | Sarah](#)

[Epilog](#)

[Przypisy](#)

*Niesamowitej Erin Mitchell*

*Tak już głęboko we krwi ludzkiej brodzę,  
Że równie ciężko w tył kroki odwodzić.*

William Szekspir, *Makbet*; przełożył Leon Ulrich

*Dajcie mi dziecię, nim skończy siedem lat,  
a pokażę wam mężczyznę.*

Święty Ignacy Loyola

# PROLOG

Zabijcie mnie.

Posterunkowa Nita Bevan uświadomiła sobie, że jej partner, Martin Coles, jest gadułą. Jeżdżą razem od trzech tygodni, a facetowi gęba się nie zamyka. Owszem, przydaje się, kiedy trzeba podnieść głos, ale przez resztę czasu gada i gada, i gada. A jak już wejdzie na jakiś temat, to nie ma zmiłuj. Nieważne, jak chłodne i zdawkowe są jej odpowiedzi ani jak błahy jest temat rozmowy – można mieć pewność, że kiedy Martin wróci do radiowozu i rzuci: „Na czym to ja skończyłem? A, tak”, podejmie przerwany wątek dokładnie w tym miejscu, w którym skończył, gdy nadeszło zgłoszenie. Jakby miał w głowie cholerną zakładkę.

Nie inaczej jest teraz, kiedy jadą Dolgellau Road. Temat dnia: tosty z serem i kto robi najlepsze. Ma nadzieję, że uporają się ze zgłoszeniem na tyle szybko, że zdążą do taniej knajpki w Fairbourne, która jego zdaniem jest lepsza od Old Station Café w Bala i Sea View w Barmouth.

– Rewelacyjny ser caerphilly i chutney z cebuli – mówi. – Mają tam też pyszne walijskie ciasteczka. Chyba lubisz walijskie ciasteczka, co?

Zabijcie mnie.

– Nie jestem pewna, czy miałam okazję je jeść – odpowiada Nita. W końcu jest w Walii dopiero od miesiąca. W Essex nie są one zbyt popularne.

– Nigdy nie jadłaś walijskich ciasteczek?! – woła zdumiony. – To tak, jakbyś nie żyła! – Skręcają za róg i ku jej uldze, widzą land rovera, którego szukali. Jego właściciel stoi obok ubrany jak farmer ze wzgórz, w kraciatą koszulę i kalosze.

– No to jesteśmy – rzuca Nita i parkuje na poboczu.

Mieszkańcy wzgórz dzielą się na dwie kategorie: gadatliwych, jak jej partner, i małomównych. Na szczęście Gavinowi Reesowi bliżej jest do tych drugich. I z całą pewnością nie zawraca sobie głowy lokalnymi przysmakami. W przeciwnym razie ślęczeliby tu cały dzień, zanim wzięliby się do roboty.

– Dzięki, że przyjechaliście – mówi. – Wolałbym nie wchodzić tam sam. Wtargnięcie i takie tam. Sami rozumiecie.

– Ale jest pan sąsiadem, tak? – pyta Nita.

– Tak. Jestem właścicielem farmy po drugiej stronie wzgórza. Ale ci tutaj nie są zbyt życzliwi. Nie lubią gości. Byłem tu ledwie kilka razy i zawsze wcześniej musiałem się umówić.

Są osiem kilometrów w głębi łądu, w pobliżu bujnych lasów liściastych na wzgórzach Parku Narodowego Snowdonia, lecz powietrze wypełniają wrzaski mew. Mew i kruków. Gdyby się nie znała, po zapachu, który unosi się w powietrzu, podejrzewałaby, że ktoś urządził sobie wśród drzew wysypisko śmieci. Spogląda na małą chatkę, wysoką metalową bramę i mur otaczający las. Wszystko jest zamknięte, a chatka wydaje się opuszczona.

– I myśli pan, że coś się stało, bo...?

Martin zamknął się i słucha z uwagą. Dziwny z niego człowiek. Można by pomyśleć, że nie zwraca na nic uwagi, ale w kontaktach z ludźmi ma niezawodne wyczucie.

– Chodzi o ten zapach – mówi rolnik.

– Aha – rzuca Nita. – Czyli nie jest on normalny?

– A pani wydaje się, że jest? – pyta Rees.

Nita krzywi się tylko. Nie, myśli, ale zapachy mają różne źródła. Była w wystarczająco wielu gospodarstwach, by wiedzieć, że nie należy wyciągać pochopnych wniosków.

Ale ta woń jest jakaś inna. Wszechobecna, przyprawiająca o mdłości. Cuchnie ściekami, dojrzałym serem i rozkładem. Sprawia, że powietrze jest gęste, tak gęste, że zdaje się przywierać do ubrań. Cokolwiek jest za tą bramą, kiedy to zobaczą, Martinowi odechce się tostów.

– No i krowy – ciągnie Rees. – Od kilku dni muczą na pastwiskach. Jakby się czegoś bały. Chyba dawno ich nie dojono.

– Rozumiem – mówi Nita. – A właściciele?

– To... – farmer zastanawia się nad doborem słów – dziwacy. Jacyś hippisi surwiwaliści. Siedzą tu od trzydziestu lat, szykując się na apokalipsę.

– Apokalipsę?

Rees kiwa głową.

– Zrobili zapasy na lata.

– Ilu ich jest?

Rolnik zdejmuje czapkę z daszkiem i drapie się w tył głowy.

– Trudno powiedzieć, jak człowiek tam nie wchodzi, a oni nie wychodzą... Ale trochę ich będzie.

– Dobrze – ucina rozmowę Nita. – Zgłosimy się do centrali i otworzymy bramę.

\* \* \*

Pierwsze ciało znajdują w połowie drogi na wzgórzu. To mężczyzna, chudy i ogolony na лыso, leżący na ścieżce, twarzą do ziemi. Zatrzymują się za land roverem Reesa, wysiadają z radiowozu i w milczeniu patrzą na zwłoki. Nie ma sensu sprawdzać, czy żyje. Jest siny, a do jego otwartych ust wlatują i wylatują z nich muchy plujki.

– Zna go pan? – pyta Nita, lecz Rees kręci głową. Teraz już całkiem odebrało mu mowę. Nic tylko mruga.

Nita łączy się z centralą i wzywa posiłki. Trupy wykraczają poza jej kompetencje. Mężczyźni stoją przy zwłokach i rozbieranym wzrokiem patrzą na drogę przed nimi. Nita uświadamia sobie, że z ich trójki to ona jest najspokojniejsza. Ale przecież po to tu jestem, myśli. Po tym, jak wypaliła się w Londynie, gdzie bez przerwy miała się na baczności przed terrorystami i nastoletnimi nożownikami, perspektywa życia na wsi z kradzieżami na farmach i sporadycznymi bójkami w pubie wydawała się jej niebywale atrakcyjna.

A teraz poci się pod kurtką odblaskową, bo znalezione na drodze ciało nie zwiastuje niczego dobrego.



– Lepiej chodźmy pieszo – odzywa się w końcu. – Do przyjazdu techników musimy go zostawić tak, jak jest.

\* \* \*

Ptaki są pierwszym i najbardziej oczywistym znakiem. Mewy, które zauważyła wcześniej, i duże czarnowrony o lśniących piórach. Całymi stadami – chmarami – kołują na niebie i opadają na otoczoną wysokim murem ziemię, gdzie w drugim końcu sadu kominy starej posiadłości strzelają w niebo. Powietrze wibruje od ich krzyków. Nie miałam o niczym pojęcia, myśli Nita. Z drogi niczego nie widać. Pranie – bielizna pościelowa – wisi rozpięte na sznurach między jabłoniami, chociaż od dwóch dni nie przestaje mżyć. Nie podoba mi się to. Wcale mi się to nie podoba. Powinni tu być jacyś ludzie. Całe to miejsce powinno tętnić życiem.

– Czy mewy jedzą padlinę? – pyta.

– Chyba tak – odpowiada Martin, który w końcu odzyskał głos.  
– Chyba jedzą wszystko.

Za tym murem jest coś, co być może odmieni nas na zawsze, przychodzi Nicie do głowy. Zerka na swoich towarzyszy i ma wrażenie, że myślą dokładnie tak jak ona.

\* \* \*

Brama jest elegancka, zwieńczona kwiatonami, tyle że w kształcie ananasów. Nad nimi wznosi się łukowaty napis ułożony z wyciętych z blachy liter. Nita mruży oczy, by przeczytać sentencję niemal niewidoczną na tle szarego nieba. *Wszyscy są nikim*, głosi zewnętrzny łuk. Pod nim mniejszymi literami widnieje drugi napis: *Każdy jest kimś*. To nie jest dobre miejsce, myśli. Może kiedyś było, ale teraz już nie.

Wtedy zauważa stopę. Dokładnie tam, w bramie – bosą, z palcami skierowanymi ku niebu i poczerniałą piętą. Reszta ciała jest ukryta za murem. Stopa ma nie więcej niż dwanaście centymetrów.

– Chryste – jęczy Nita. – Są tu dzieci?

Jutro nikt z nas nie będzie tym samym człowiekiem, myśli w duchu.

\* \* \*

To chłopiec. Dziewięcio-, może dziesięcioletni. Palce ma ukryte w gąszczu splątanych długich włosów, a jego twarz mimo zdrowej opalenizny wydaje się kredowobiała. Usta ma otwarte, podobnie jak mętne oczy. Znad luźnej piżamy, którą ma na sobie, ulatują roje much. Jedna stopa – ta, której nie widzieli, podchodząc do bramy – wciąż jest w płóciennym buciku z gumową podeszwą i gumką na podbiciu. Drugi bucik leży metr dalej w kałuży, odwrócony podeszwą do góry.

Za chłopcem pośród bujnych grządek z letnimi warzywami jest prawdziwe piekło.

\* \* \*

Wyglądają jak rzeka. Wylewają się zza drzwi i spływają po schodach niczym liczne dopływy, które łączą się z sobą na ścieżkach. Im bliżej bramy, tym jest ich więcej. Piętrzą się jedne na drugich, zastygłe bez ruchu tam, gdzie upadli. Kiedy Nita, Martin i Rees wchodzą na podwórze, uderza ich w nozdrza wszechobecny smród ekskrementów, a stado mew, krzycząc, wzbija się w powietrze.

Twarze są niebieskie, zielone i czarne. Usta rozdziawione, jak gdyby pragnęły pochwycić krople deszczu. Zakrzywione palce zdają się chwytać otaczającą je pustkę. Wielu ma otwarte oczy i jak zauważa Nita, wielu nie ma ich w ogóle. Ptaki padlinożerne uwielbiają oczy, które są takie delikatne.

Czołgali się, myśli Nita. Oni się czołgali. Wpełzali jedni na drugich, próbując dotrzeć do bramy. Próbując się wydostać.

Sięga po przypiętą do kurtki krótkofalówkę, podczas gdy Martin, szarpany torsjami, zgina się wpół.

Wyglądają jak rozsypane po ziemi ludzkie bierki.

**WŚRÓD MARTWYCH**  
*Wrzesień 2016*

## 1 | Romy

Tam gdzie dorastałam, gdy ktoś umierał, nigdy więcej o nim nie mówiliśmy.

Tutaj, wśród Martwych, nie jest to takie proste. Spośród dorosłych tylko ja jedna żyję, a wszyscy dookoła chcą rozmawiać wyłącznie o ciałach.

Jeszcze jeden dzień, mówią, i byłabym jedną z nich. Kolejna statystyka. Moja noga już nigdy nie będzie taka jak dawniej. Dwa tygodnie trzymali mnie w szpitalu. Potem przez cztery dni siedziałam na posterunku policji. Nie mieli mnie o co oskarżyć, ale nie chcieli wypuścić. Wygląda na to, że Jedyny Ocalały Dorosły jest niezastąpiony: nigdy w życiu nie miałam takiego statusu. Następnie pozbawili mnie prawa decydowania o sobie, czyli uznali za wariatkę i zamknęli w „zakładzie”, w którym codziennie mnie przesłuchiwali i z którego nie mogłam uciec. Jeśli mam być szczerą, kiedy w końcu mnie wypuścili, rzeczywiście byłam szalona. W ciągu dwóch dni ciszy, po tym, jak ustały wrzaski, zaczęłam myśleć, że kiedy leżałam w szpitalnym łóżku, świat się skończył.

Mieszkałam w celi sama, jak mnich. Nie byłam jednak pozbawiona luksusów. Miałam swoją własną toaletę w kącie, trzy posiłki dziennie i mogłam brać prysznic – gorący prysznic – kiedy tylko poprosiłam.

Właściwie byli dla mnie mili. Dali mi dodatkową pościel i telewizor, a w przerwach między przesłuchaniami miły, młody policjant zabierał mnie na spacer, żebym chodząc powoli o kulach, stopniowo wracała do zdrowia. Widziałam ulice i sklepy, błękitne niebo i mały park z drzewami, po którym piszcząc, biegały dzieci. Był tam też kanał, sztuczna rzeka łącząca miasta, zanim połączyła je sieć torów kolejowych. Na jej brzegach cumowały małe, malowane łódki ze stojącymi na nich cynowymi doniczkami, w których kwitły pelargonie, i z rowerami przykutymi łańcuchami do burt. Mieszkają na nich ludzie.

Podoba mi się to. Gdybym mogła, chciałabym mieszkać na łodzi. Odwiązałabym cumy i wypłynęła na środek rzeki. Czułabym się, jakby otaczała mnie fosa.

Codziennie ktoś mnie odwiedzał i pytał, czy coś sobie przypomniałam, a ja za każdym razem odpowiadałam to samo: byłam naszprycowana morfiną. Byłam nią otumaniona do czasu, aż wszyscy umarli. Potem nie było już nic, tylko wszechogarniający ból. Przynosili zdjęcia ludzi, którzy – jak sądzili – mogli być wśród tych bladych ciał. Każdy, kto wstępował do Arki, zmieniał imię, co jeszcze bardziej utrudniało identyfikację. Widziałam na tych zdjęciach wielu młodych ludzi. Ludzi z włosami, z rodzinami, nastolatki z krzykliwym niebieskim cieniem na powiekach, uśmiechniętych absolwentów w czarnych togach i czarnych biretach, z dyplomami w dłoniach. Widziałam siedzącą na koniu Luz w tweedowym żakiecie i dżokejce i Siraja z postawionymi na żel gęstymi, zielonymi włosami, ubranego w obcisłą koszulkę bez rękawów z napisem *Chrzanić bzdury!* Byli też inni, których nie rozpoznawałam; ci młodzi ludzie zaginęli w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku i rodziny nie miały pojęcia o ich losie. Tak wielu, tak wielu, którzy zniknęli dawno, dawno temu. Kiwałam głową, kiedy twarz wydała mi się znajoma, i kręciłam z żalem, który wydawał mi się stosowny, gdy nie rozpoznawałam osoby na zdjęciu.

Czasami ci, co mnie przesłuchiwali, mówili, kim jest człowiek na fotografii. Dzięki temu dowiedziałam się, że Ojciec naprawdę nazywał się Damian Blatchford, a Ursola miała na imię Michelle. Moja matka nazywała się Alison Maxwell i ostatni raz widziano ją w Finbrough, w Berkshire, gdy miała osiemnaście lat i mieszkała w przyczepie kempingowej z dzieckiem, czyli ze mną, ale o tym wiedziałam już wcześniej. Miała trzydzieści osiem lat, gdy umarła w Plas Golau, a to oznacza, że ja mam prawie dwadzieścia jeden lat. Okazuje się, że istnieje mój akt urodzenia, co ich zdaniem stanowi uśmiech losu, bo dzięki temu moje życie wśród Martwych będzie mniej skomplikowane.

Powiedzieli mi, że Lucien-kiedyś-Damian wykładał filozofię i politologię na uniwersytecie na południowym wybrzeżu Anglii. Na początku lat osiemdziesiątych zgromadził wokół siebie niewielką grupę ludzi – większość odeszła sama dawno temu albo

została wygnana, a parę osób pochowano na przykaplicznym cmentarzu – i tak powstała Arka. Z Vitą – piękną Vitą – sprawa robi się mroczna. Była Amerykanką, co jeszcze bardziej utrudnia sytuację. Wiedzą, że do 1986 roku była w Wielkiej Brytanii, bo apostaci z tamtych czasów już wtedy wskazywali ją jako siłę napędową. Wiecie, ilu Amerykanów przewinęło się przez nasz kraj w dekadzie poprzedzającej rok 1986? Mówią mi, że miliony – dosłownie – i tak naprawdę nikt nie wie, ilu z nich wyjechało. Gdzieś na rozległych pustkowiach Ohio, Oregonu albo Teksasu jakaś rodzina od dziesiątków lat uważała ją za zmarłą.

Zastanawiam się, czy ktokolwiek opłakiwał mnie.

\* \* \*

Po miesiącu przenoszą mnie tutaj, do miejsca zwanego Domem Przejściowym. To duży budynek w nadmorskim miasteczku Weston. Są tu głównie ćpuni-filozofowie i alkoholicy-zartownisie, ale jest też kilku „wrażliwych dorosłych”, takich jak ja. Większość moich rówieśników z tej właśnie kategorii płacze po kątach albo pali w skupieniu na schodach przed wejściem, więc w porównaniu z nimi nie czuję się szczególnie wrażliwa. Ja przynajmniej jestem gotowa na rozmaite katastrofy i mam szansę je przetrwać.

Raz dziennie mamy terapię grupową, a dwa razy w tygodniu spotykam się z psychologiem. Uznano mnie za „upośledzoną”, bo chyba nie wiedzą, jak inaczej mnie określić. I tak co dwa tygodnie podchodzę do maszyny w ścianie, wsuwam do niej plastikową kartę, a ona wydziela mi sto dziesięć funtów z konta, które założono na moje nazwisko. Nie bardzo wiem, na co je wydawać – dostajemy tutaj dwa posiłki dziennie, a na posterunku policji dali mi przydział spodni, koszulek i bielizny. Ubrania, w których mnie znaleźli, zostały spakowane i zabrane jako „dowód w sprawie”. Kupiłam więc parę solidnych butów i kurtkę przeciwdeszczową w sklepie w Weston, i tytoń dla mojego nowego przyjaciela, Spencera, bo lubi go i mówi, że teraz, kiedy odstawił heroinę, pozostało mu już niewiele przyjemności.

Moja terapeutka ma na imię Melanie. Nie bardzo wiem, dlaczego muszę się z nią spotykać. Na początku myślałam, że chodzi o jakiś nadzór, ale wszyscy zapewniają mnie w kółko, że nie jestem o nic podejrzana. Melanie twierdzi, że jest coś takiego

jak poczucie winy ocalałego i coś jeszcze, co nazywa PTSD, czyli zespół stresu pourazowego, i że najprawdopodobniej cierpię na jedno i drugie. W związku z tym mogę mieć myśli samobójcze, depresję i być „społecznie nieprzystosowana”. Melanie wierzy w te rzeczy, bo studiowała je latami, tak jak ja latami uczyłam się zarzynać zwierzęta i budować szałas z gałęzi. Cóż, każdy powinien zajmować się tym, co lubi. „Nie wiem, czy masz rację, mówiąc o tym poczuciu winy ocalałego – powiedziałam jej kiedyś. – Całe życie uczono mnie, jak przetrwać. Myśleliśmy wyłącznie o tym, jak przetrwać Apokalipsę. To był nasz cel, nasza tożsamość. Bycie ocalałym to coś, co należy celebrować, a nie coś, co wpędza nas w poczucie winy. Robiłam dokładnie to, co powinnam”.

„Tak – odparła – ale to jest prawdziwy świat”. Po tych słowach zarumieniała się i zamilkła, bo była to jedna z tych rzeczy, których nie powinna mówić.

Melanie nie specjalizuje się w sektach. Podejrzewam, że w Weston niewielu jest takich specjalistów. Ale nie przeszkadza mi to, bo ona stara się jak może. Cieszę się, że mogę z kimś porozmawiać. Wszyscy, których znałam, nie żyją, a ja jestem niewidzialna.

\* \* \*

Podoba mi się w Domu Przejściowym. W końcu dorastałam w komunie i jestem przyzwyczajona, że mam wokół siebie ludzi. Przeraza mnie pustka. Cisza, która zapadała na posterunku, kiedy awanturujący się pijacy w końcu zasypiali. Dźwięk odsuwanej wizjera podczas codziennej kontroli był dla mnie prawdziwym błogosławieństwem, bo przez krótką chwilę miałam pewność, że świat się nie skończył. Tutaj jednak, w tych klitkach z karton-gipsu, słyszę jęk sprężyn łóżek, pokasywanie i płacz moich kolegów, czuję dym papierosowy zmieszany ze słonym morskim powietrzem i pocieszam się myślą, że oni wszyscy wciąż żyją.

Melanie mówi, że codziennie muszę wychodzić. Na początek na godzinę, potem na coraz dłużej, aż w końcu będę mogła spędzić cały dzień poza domem.

– Musisz budować siebie – powiedziała. – To jak z mięśniem. Za każdym razem, gdy go używasz, robi się silniejszy. Potraktuj to

jak fizjoterapię dla mózgu.

Kiwam głową i marszczę brwi. Odkryłam, że to dobry sposób, żeby przestali tłumaczyć mi różne rzeczy. Jeśli się uśmiechasz, wiedzą, że nie słuchasz. Mam nadzieję, że wyglądam, jakbym słuchała. Jeśli przekonam ich, że się poprawiłam, wypuszczą mnie. Uznają, że mogę odejść, zanim odkryją, że mój rosnący brzuch to nie tylko efekt tutejszej diety węglowodanowej. Świat Zewnętrzny mnie przeraża, ale muszę tam zamieszkać.

Tak więc robię, co Melanie mi każe, i codziennie wychodzę na ulice. Wlokę się na nabrzeże, gdzie rozkoszuję się szumem fal, pokrzykiwaniem mew, patrzę na śmieci i porzucone różki z lodów. Gdyby tylko nie ten lęk, który muszę pokonać, żeby to zrobić! W Plas Golau codziennie słuchaliśmy opowieści o kolejnych rzeziach wśród Martwych: o nożach, broni, ołowiu w wodzie, ciężarówkach wjeżdżających w tłumy, kobietach sprzedawanych do burdeli, lśniących, srebrzystych wieżach Mammona zrównanych z ziemią. Takich historii się nie zapomina, zwłaszcza jeśli wysłuchiwało się ich dzień w dzień przez niemal dwadzieścia lat.

Melanie głównie siedzi w miękkim fotelu, robi notatki i pyta:

– Jak się wtedy poczułaś?

Mówię, że byłam *smutna, samotna, wyobcowana, przestraszona, zła, rozżalona*; od czasu do czasu dorzucę też *pełną nadziei*, żeby dodać jej otuchy, a ona kiwa głową i spisuje kolejną notatkę. Kiedy zauważyli, że wymiotuję, sprawiała wrażenie zadowolonej. Nazwała to „symptodem niepokoju emocjonalnego”. Mówiła, że to podobno normalne, gdy ludzie doświadczają potężnych, negatywnych emocji.

– To stało się dziś rano, jak nie mogłam zdecydować się, co wypić: kawę czy herbatę – powiedziałam. – I później, kiedy czytałam gazetę. Artykuł o tym, jak szkoli się małpy, żeby opiekowały się niewidomymi.

– Cóż, może porozmawiamy o tym przy innej okazji – odparła i znowu coś zapisała.

Zauważyłam, że nie potrzeba wiele, by odwrócić uwagę ludzi. Kiedy już coś założą, większość rzeczy, które widzą i słyszą, zdaje



się to potwierdzać. Nie należy tylko wskazywać czegoś oczywistego, choć w większości przypadków nawet to niewiele zmienia. Nie przeszkadza mi, że Melanie myśli, że wymiotuję, bo nie mogę znieść widoku kilku martwych ciał. Bywam naiwna, maluszkule, ale nie jestem taka głupia, by nie wiedzieć, że twoje istnienie komplikuje sprawę. Lepiej, żeby Melanie myślała, że pomogła mi uporać się z nerwicą, wywołując u mnie wymioty.

– Porozmawiajmy o twojej rodzinie – mówi. – Co czujesz, gdy o nich myślisz? O twoim bracie i siostrze. Tęsknisz za nimi?

– Ja... – Jak wytłumaczyć to komuś, kto tego nie przeżył? – Nieszczególnie.

Znowu robi notatkę.

– Nie, posłuchaj – dodaję. – Nie byliśmy... no wiesz, taką prawdziwą rodziną, tak jak ty to rozumiesz. Wszyscy tworzyliśmy rodzinę, niezależnie od tego, czy łączyły nas więzy krwi, czy nie. Byliśmy...

Szukam właściwych słów. Wiem, że czeka, aż powiem „sektą”, ale niech mnie szlag, jeśli to zrobię. Nienawidzę tego bardziej niż czegokolwiek w swoim nowym życiu. Tego, że nasze słownictwo tak bardzo różniło się od tego, którym posługują się oni; że muszę szukać ich słów, zamiast używać tych, którymi operowałam przez całe życie. Nikt tego nie docenia. Zakładają, że skoro mówiliśmy po angielsku, problem polega na tym, że mam ograniczony zasób słownictwa. Gdybym pochodziła z Syrii, zatrudniliby tłumacza. A kto będzie tłumaczył dla mnie? Wszyscy nie żyją albo zniknęli. Równie dobrze mogłabym mówić językiem Majów.

– Myślę, że można by to nazwać komuną. Tak, komuna to dobre słowo – powtarzam po raz kolejny. – Bo wszyscy wychowywaliśmy się razem, a dorośli opiekowali się nami na zmianę.

Chlewik. Tak nazywaliśmy pomieszczenie, w którym uczyliśmy się, podczas gdy dorośli pracowali na polu. Unikam tego słowa przy Melanie.

– Coś jak kibuc? – dopytuje.

– Skoro tak mówisz. Poza tym Eden ma tylko piętnaście, a Ilo trzynaście lat. Kiedy oni byli dziećmi, ja większość czasu

spędzałam na dworze, trenując.

– Trenując?

– *Każdy pełni jakąś funkcję – recytuję. – Wszyscy są nikim, a każdy jest kimś.*

Patrzy na mnie z podziwem.

– Sama to wymyśliłaś?

Posyłam jej spojrzenie, które mówi „Żartujesz?”. Jestem z niego zadowolona. Nauczyłam się go na terapii grupowej. Chwilę później znowu robi mi się niedobrze, przeproszam więc i biegnę do toalety. Kiedy wracam kilka minut później, Melanie raczy mnie swoim własnym markowym spojrzeniem w stylu „A nie mówiłam?”.

– I jak tam lęk? – pyta znacząco.

Wyciągam swój notatnik i odczytuję pracę domową. W ciągu ostatnich siedmiu dni moje stany lękowe wahały się. W skali od jednego do dziesięciu zaliczyłam dwie ósemki, szóstkę, dziesiątkę, dziewiątkę, znowu dziewiątkę i kolejną ósemkę. Pierwsza dziewiątka była w dniu, kiedy omal nie przejechał mnie autobus. Są umiejętności, nad którymi muszę jeszcze popracować, i wygląda na to, że przechodzenie przez ulicę jest jedną z nich. Nawet teraz rzadko schodzę poniżej ósemki, mimo ćwiczeń oddechowych i rozwagi. Za to uwielbiam beta-blokery. Cudownie powolne, wręcz leniwe bicie serca po tym, jak wezmę tabletkę.

Widzę po twarzy Melanie, że nie jest zachwycona. Nagle się rozpromienia, bo optymizm to jej specjalność, tak jak moją specjalnością jest wieczne wypatrywanie bomb, które lada chwila zaczną spadać nam na głowy.

– Cóż! – szczebiocze. – Wygląda na to, że w piątek nastąpiła poprawa! Co robiłaś w piątek?

Zaglądam do dziennika.

– Zostałam w domu i sprzątałam pokój. Myślę, że ocena byłaby jeszcze lepsza, ale zaczęłam się zastanawiać nad całą tą chemią w środkach czyszczących. Nie zaszkodzą mi, prawda?

Następny dzień oceniłam na „dziesięć”, bo wydawało mi się, że zobaczyłam na nabrzeżu Uriego, jak kupował lody z vana

oklejonego kartonami, na których ktoś namalował tańczące ciastka. Serce waliło mi jak szalone, aż w końcu odwrócił się w moją stronę i zobaczyłam, że to zupełnie obcy człowiek z ogoloną głową i grubą szyją.

– Och – rzuca Melanie.

Chyba jestem frustrującą pacjentką. Muszę zacząć kłamać w dzienniku albo nigdy stąd nie wyjdę. A muszę wyjść już niedługo. Jeśli odnotuję kilka „trójek” i „piątek”, będzie szczęśliwa. W ubiegłym tygodniu miałam atak paniki. Przeraziłam się, że chemikalia z proszku do prania wnikną mi w skórę i na koniec wypłukałam wszystko, co mam, w wannie. To wstyd, że nadal zdumiewa mnie to, jak łatwe jest sprzątanie, kiedy ma się te wszystkie środki. I jak dobrze smakuje jedzenie. Ale ostrożności nigdy za wiele.

Ojciec powtarzał, że chemikalia to jedna z rzeczy, które wykończą ludzkość. Chemikalia, zaraza, wojna, głód, zima nuklearna, niekończące się lato, krach gospodarczy, degeneracja. „Żyjemy w zgodzie z naturą – grzmiał ze swojego podium na schodach Wielkiego Domu, podczas gdy Praczki szorowały i wyżymały nasze ubrania w miedzianych baliach z wodą i mydlnicą lekarską. – Natura to nasza przyszłość. To samo życie”. Nasze ubrania były szare, ponieważ wybielacze to chemia, ale nie przeszkadzało nam to, bo mydlnica, podobnie jak złocień maruna, wcale nie jest skuteczna i jasne stroje trudno by było doprać.

– Prawda? – powtarzam.

– Nie sądzę – odpowiada Melanie. – Jest wiele przepisów dotyczących środków chemicznych. Muszą poddać je licznym testom, zanim zaczną je sprzedawać.

Tak ci się tylko wydaje, myślę.

Naprawdę chodzi mi o to, czy nie zrobią krzywdy tobie, ale nie mogę jej tego powiedzieć, bo przecież nie wie o twoim istnieniu. Nie mogę zabić swojego dziecka. Nie teraz. Jesteś przyszłością.

Nie wiem, czemu tak bardzo przejmuję się środkami chemicznymi. W końcu wszyscy w Plas Golau umarli śmiercią naturalną.

## 2 | Sarah

Najbliższa rodzina.

Sarah Byrne po raz ostatni widziała siostrę dwadzieścia jeden lat temu. Odeszła, gdy Sarah miała dziesięć lat, i rodzice nigdy więcej o niej nie mówili. A ponieważ Sarah nie przepadała za Alison, żyła tak, jak gdyby nic się nie stało. Pamięta ją bardziej jako niewyraźną postać, utkaną z gniewu trąbę powietrzną gotową w każdej chwili zniszczyć świat, niż własną siostrę. Siedem lat to duża różnica, kiedy jest się dziećmi, i zanim Sarah dorosła na tyle, by stworzyć trwałe wspomnienia, burza hormonów pochłonęła Alison na dobre. Na swój sposób jej odejście było błogosławieństwem. Sarah wymazała ją ze swych wspomnień, tak jak rodzice wymazali ją ze swojego życia. Bardziej przeżyła dwa lata później śmierć dwukolorowej kotki, Mimi, niż utratę siostry. Minęło dwadzieścia jeden lat i nie pamięta, żeby w ciągu ostatniej dekady choć raz pomyślała o Alison. A teraz...

\* \* \*

Helen patrzy na rozkładówkę „Mail on Sunday”, gdzie Sarah pierwszy raz zobaczyła siostrę. To jeden z wielostronicowych dodatków, którymi gazety w sezonie ogórkowym zapełniają luki między reklamami, chcąc pokazać, że im zależy. W tym roku były już takie trzy. W noworocznym wydaniu zamieścili historie kobiet zamordowanych przez swoich partnerów w Wielkiej Brytanii w 2015 roku. W numerze wielkanocnym pisali o londyńskich nożownikach. A teraz, na początku wakacji, piszą o wszystkich ciałach, które udało się zidentyfikować po tym, co wydarzyło się w Plas Golau.

IMIENNI BEZIMIENNI, głosi nagłówek. Dalej na szesnastu stronach przypominających szkolną księgę pamiątkową widnieją fotografie zmarłych i artykuł wstępny o tym, jak zapominamy, że za nagłówkami i liczbami ofiar śmiertelnych kryją się prawdziwi ludzie. Ludzie, których życia pasowały do zdjęć policyjnych

zamieszczonych po osiem na stronach brukowca. Wśród nich była Alison. Wówczas świat Sarah implodował.

Helen podnosi wzrok. Siedzi na kanapie z wysokim oparciem, należącej niegdyś do jej pradziadka, i udaje, że jest jej wygodnie. Prawda jest taka, że w domu nie ma wygodnego miejsca do siedzenia. Są tylko eleganckie meble dla ludzi, którzy szczytą się niewygodą. Odkąd przeprowadziła się tu z powrotem, Sarah była zbyt smutna i zbyt zniechęcona życiem, żeby cokolwiek z tym zrobić.

– Co teraz czujesz? – pyta Helen. Jest psychologiem w szkole, w której Sarah jest administratorką, i rozmowy z nią często sprowadzają się do takich właśnie pytań. To zboczenie zawodowe, takie jak to, że zawsze ma przy sobie paczkę chusteczek.

– Czuję się... strasznie. Mam poczucie winy.

– Poczucie winy? Dlaczego? Mówiłaś, że kiedy odeszła, miałaś zaledwie dziesięć lat.

– Tak, ale teraz nie mam już dziesięciu lat. Tylko trzydzieści jeden. Od ponad dziesięciu lat jestem dorosła.

– No i?

Sarah macha wściekle rękami.

– Powinnam była... Mogłam coś zrobić. Mogłam spróbować ją odnaleźć.

– Poważnie? – Helen sięga po kieliszek wina i upija łyk.

Jest taka miła. Zamiast siedzieć w domu z dwójką dzieci i cichym mężem, przyszła zaopiekować się Sarah. Pewnie sądziła, że będę zrozpaczona, myśli Sarah. No bo kto by nie był, gdyby dowiedział się, że jego siostra nie żyje? Mimo to Sarah jest wdzięczna. Przez ostatnie trzy lata po rozwodzie czuła się bardzo samotna, a przez ostatnie dwa pałętała się po domu, z którego jej nieżyjący już rodzice uczynili coś w rodzaju muzeum. Miło jest wiedzieć, że ma choć jedną przyjaciółkę, która jest w stanie rzucić wszystko, żeby ją pocieszyć.

– Mówiłaś, że nie wiesz, gdzie jest – odzywa się Helen. – To bardziej jej wina niż twoja. Zważywszy na to, że zawsze mogła się

z kimś skontaktować, możesz śmiało założyć, że Alison nie chciała być odnaleziona.

Sarah czuje, że zaraz się rozpłacze. Nie wie dlaczego. Nie chodzi o to, że tęskniła za siostrą, kiedy Alison żyła. Sięga po „Mail” i przebiega wzrokiem jej żalostną biografię.

Alison wygląda dokładnie tak, jak ją zapamiętała. Zdjęcie zrobiono w szkole; ma na sobie rozpinany granatowy sweter – część szkolnego mundurka. Miała wtedy czternaście, piętnaście lat i naturalne jasne włosy. Odkąd zdała do szóstej klasy, obcinała je do ramion kuchennymi nożyczkami mamy i farbowała na wszystkie kolory tęczy. Wściekłym wzrokiem wpatruje się w obiektyw, jakby chciała wysadzić w powietrze cały świat.

Sarah odstawia kieliszek. Znowu robi się jej niedobrze, choć czytała artykuł już tyle razy, że powinna się na niego uodpornić. Patrzy na pozostałe twarze na stronie. Młode, pociągłe, smutne twarze, które posłusznie uśmiechają się do obiektywu – fotografie sprzed dziesiątków lat, podarowane przez porzucone dawno rodziny. Nadal nie wie, skąd ci z gazety wytrzasnęli to zdjęcie. Na pewno nie kontaktowali się ze szkołą; gdyby tak było, to ona odebrałaby telefon. Pewnie dostali je od którejś z przyjaciółek jej siostry.

Znowu czyta, chociaż zna na pamięć każde słowo.

*Alison Maxwell, lat 38. Urodzona w Finbrough, w Berks, członkini Kościoła ewangelickiego w Finbrough. W rodzinnym miasteczku miała reputację „niepokornej”; w wieku 17 lat zaszła w ciążę i opuściła dom. Ostatni raz widziano ją w Finbrough zimą 1995 roku. Wiosną i wczesnym latem 1996 roku kilkakrotnie widziano ją z dzieckiem, jak pracowała na straganach podczas festiwalu muzycznego. Później zapadła się pod ziemię. Miała jeszcze dwoje dzieci, które urodziła w latach 2001 i 2003 we wspólnocie. „Była śliczna – wspomina dawna koleżanka ze szkoły. – Buntowała się, ale w jej sytuacji każdy by się buntował: dusiła się tam. Nie mogę uwierzyć w to, co ją spotkało. Ale rozumiem, że łatwo omamić samotną dziewczynę z dzieckiem, która szuka czegoś lepszego”. Wspólnota w Finbrough została rozwiązana jakiś czas temu i nie ma jak skontaktować się z rodziną Alison Maxwell.*

Sarah wzdycha. Upija łyk i odstawia kieliszek. To tyle, jeśli chodzi o to, jak bardzo dziennikarze starają się dotrzeć do prawdy. Choć szczerze mówiąc, mieli wystarczająco dużo łatwych tropów, żeby nie musieć marnować czasu na kluczenie w ślepych zaułkach.

– I co myślisz? – pyta Helen. – O dzieciach?

– Nie wiem – odpowiada Sarah. – Naprawdę nie wiem. Opieka społeczna suszy mi głowę, żebym je wzięła, ale ja nie mam pojęcia o wychowywaniu dzieci.

Helen parska.

– Masz z nimi do czynienia dosłownie każdego dnia.

– Tak, ale... głównie upominam je, żeby nie biegały po korytarzach. To nie... to dzieci innych ludzi. Nie moje.

Helen marszczy nos.

– Nikt nie wie nic o dzieciach, dopóki nie ma własnych. A kiedy ostatnio sprawdzałam, globalna populacja wciąż rosła.

Zapada cisza. Sarah wie, że Helen czeka – jak przystało na terapeutkę – aż ona coś powie, ale nie wie, co mogłaby powiedzieć w tej sytuacji. Rozgląda się po ponurym prowincjonalnym domu pełnym ciemnego drewna i portretów przodków i przysłuchuje się zegarowi szafkowemu, który tyka głośno, szykując się do wybicia godziny. Pamięta wszystkie te noce, kiedy nie mogąc zasnąć, leżała w ciemności, czując wrogość tego zegara, gdy czekał tylko, by odliczyć kolejną godzinę jej życia, w którym nic przecież nie osiągnęła.

Jak mam stworzyć tu szczęśliwy dom dla kolejnego pokolenia? – myśli. W miejscu, które tak bardzo chciałam opuścić, że wyszłam za mąż za pierwszego lepszego faceta? Byłam głupia, że wróciłam tu, gdy po rozwodzie cały świat stanął przede mną otworem. Powinnam była sprzedać dom. Dom, którego nienawidzisz, nadaje się tylko do tego, żeby dostać za niego pieniądze na taki, który pokochasz.

Nienawidzi zwłaszcza zegara. Jego dźwięku, tego przekłętą terkotania – tik-tak, tik-tak. Nienawidzi zegarów wybijających godzinę. Z góry zapowiedziała, że w swoim domu w Reading nie chce żadnych zegarów, i Liam się na to zgodził. Sprawdzali

godzinę w komórkach. A teraz w każdą sobotę wieczorem sumiennie nakręca tę przeklętą rzecz, jak przed nią ojciec i dziadek.

– Spotkam się z nimi w sobotę – mówi w końcu. – Tak trzeba. W końcu dopasuję twarze do imion.

– Dobrze – rzuca Helen. – Ale pamiętaj, że to cię do niczego nie zobowiązuje... Jak mają na imię?

– Eden. I Ilo. Piętnaście i trzynaście lat. Jest jeszcze dziewczyna... a właściwie kobieta, bo teraz ma pewnie ze dwadzieścia lat. Romy. To ją znaleźli w szpitalu. Z dorosłych tylko ona ocalała.

– Boże, pamiętam to zdjęcie – mówi Helen. Sarah też je pamięta. Przypięte pasami do noszy chude jak szkielet ciało z maską tlenową na twarzy. I skierowane w jego stronę tysiące obiektywów, gdy mijając stosy trupów, niesiono ją do karetki. – Nie miałam pojęcia, że... to ktoś z twojej rodziny...

– Tak. To przez nią Ali wyprowadziła się z domu... To znaczy „wyprowadziła” jest chyba złym słowem, bo w tej kwestii nie miała wyboru. – W moim głosie słychać gorycz, myśli. Bo przecież jestem rozgoryczona. Wyrzucili ją, a teraz moja siostra nie żyje, a ja muszę podjąć decyzję i nie wiem...

Na dźwięk zegara wybijającego godzinę wzdryga się odruchowo. Sprzedam to cholerstwo, myśli. Ściągnę tu handlarza starociami i opchnę mu go. A potem sprzedam dom. Nie muszę odkładać wszystkiego na później z powodu ludzi, o których istnieniu jeszcze do wczoraj nie miałam bladego pojęcia.

– Zamierzałam podróżować – odzywa się tęsknie.

– Wiem – odpowiada Helen. – Trochę kiepsko. Ale życie czasem zaskakuje.

– Nie mogę po prostu... sama nie wiem... przelać pieniędzy na jakiś fundusz powierniczy, żeby skorzystali z nich, kiedy będą dorośli? No wiesz... przekazać im połowę pieniędzy, które dostanę za dom? Część, która normalnie należałaby się Ali. Tak byłoby najlepiej.

– Jeśli zdecydujesz się oddać je do domu dziecka...



– Nie mogę tego zrobić, Helen. Zresztą... Chryste, nie mam pojęcia, jak miałabym się nimi zająć. Będą w kiepskim stanie. Na litość boską, widziały, jak umierają wszyscy, których znały... I ta sekta! Moja styczność z sektami ograniczała się do organizowania szkoleń dla nauczycieli.

– Nie będziesz sama – zapewnia ją Helen. – Jeśli pójdą do szkoły, będą miały mnie.

– Ale one... potrzebują kogoś, kto je zna. Kogoś, kto wie, jak je pocieszyć. Spójrz na mnie. Nie one jedne będą w rozsypce. Sama nie mogę się pozbierać.

– Nie powiedziałabym – rzuca Helen. – Nie bardziej niż połowa rodziców, z którymi mam styczność.

– Właśnie że tak! Daj spokój, kto normalny mieszkałby w takim miejscu? Muszę ogarnąć własne życie, zanim zabiorę się za pomaganie innym. A jeśli wszystko spieprzę?

– Przemawia przez ciebie strach – tłumaczy Helen. – To zrozumiałe. Nie musisz tego robić, Sarah.

Ale to nie ich wina, myśli Sarah i znowu ogarniają ją wyrzuty sumienia. To sieroty – ofiary burzy wywołanej strasznymi decyzjami innych ludzi.

### 3 | Sarah

Wchodzą do pokoju lekkim krokiem. Uśmiechają się. Wyższe idzie przodem, a niższe – choć niewiele, ledwie kilka centymetrów – trzyma się nieco z tyłu.

Są niezwykle. Wyglądają jak kosmici. Jakby były nie z tego świata. Wysokie i chude, o delikatnych nadgarstkach, długich palcach i dużych, niebieskich oczach z ciemnymi, łukowatymi brwiami. Mają małe noski o rozdętych nozdrzach. I włosy tak jasne, że gdy dzieci wchodzą do skąpanego w słońcu pokoju, tworzą wokół ich głów świetliste aureole. Przynajmniej to odziedziczyły po matce – to i osobliwy kolor brwi. Poza tym nie są do niej podobne.

Kiedy je znaleziono, były niemal całkowicie łyse. Sarah wie, bo czytała o tym w gazetach. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety raz w miesiącu golili głowy; dzieci również, kiedy zaczynały dojrzewać. Miał to być symbol równości czy jakoś tak; chodziło o to, by wszyscy wyglądali podobnie i nie mieli się z czym obnosić. Nieważne. Wkrótce zgłosił się producent ekskluzywnych peruk, który przyznał, że regularnie skupował od nich ścięte włosy, oferując godziwe ceny. A zatem nic nie poszło na marne.

– Cześć – mówi Sarah.

Trudno powiedzieć, które jest które, i odróżnić chłopca od dziewczynki. Oboje mają na sobie luźne dżinsy i przyduże koszulki w paski. Widać, że kupiono je, żeby szybko z nich nie wyrosły. Dzieci są chude, a Eden, dziewczynka, ma małe piersi, nawet jak na swój wiek. Dopiero gdy się odzywają, Sarah jest w stanie je rozróżnić, bo głos przechodzącego mutację Ilo jest dziwnie piskliwy. Chłopiec jest niższy.

– Dzień dobry – mówią oboje w tym samym momencie. Mają taki sam akcent i taką samą intonację. Brzmiały dziwnie wytwornie, choć sama nie wie, czego się spodziewała. Pewnie

mocnego walijskiego akcentu, zważywszy na to, gdzie się urodzili.

– Jesteś naszą ciocią? – pyta Eden.

– Tak – odpowiada Sarah. Czuje się niezręcznie, bo chociaż jest ciotką od dwudziestu jeden lat, nigdy nie myślała o sobie w tych kategoriach. – Jestem waszą ciotką. Mam na imię Sarah. Sarah Byrne.

– Sarah Byrne – powtarza Ilo. Zastanawia się przez chwilę, po czym dodaje: – Brzmi ładnie. Sama je sobie wybrałaś?

Dziwne pytanie. Ale Sarah jest przygotowana na dziwne pytania. Ta dwójka dziwnych dzieci wychowywała się z dala od świata. Ostatnie trzy miesiące spędziły w domu opieki w Barmouth, ale nie należy się spodziewać, że świry, z którymi przebywają, nauczą je czegoś o świecie zewnętrznym.

– Nie – odpowiada. – Byrne to nazwisko mojego męża. – Odkąd okazało się, że Liam ją zdradza, zastanawiała się, czy nie wrócić do nazwiska panińskiego, ale ma wrażenie, że byłby to krok w tył. Jeśli jest coś, co dostała do Liama, to to, że nie musi chodzić po Finbrough przytłoczona brzemieniem tego nazwiska i że nikt nie zastanawia się, czy miała coś wspólnego z tym dziwnym kościołem przy High Street. Jako Sarah Byrne, chociaż mieszka w domu należącym do wspólnoty religijnej, chociaż siedzi na meblach zakupionych z pieniędzy wiernych, a ze ścian patrzą na nią kolejne pokolenia pastorów, przynajmniej gdy wychodzi na ulicę, czuje się anonimowa. No i dzięki temu pismacy nie kontaktują się z nią, kiedy szukają krewnych ofiar sekty.

– Ciekawe – mówi Eden. – My wszyscy nazywamy się Blake. Urodziliśmy się jako Blake'owie, chociaż wielu dorosłych miało na początku inne nazwiska. Zupełnie tak jak ty. Przyjeliśmy nazwisko po naszym Ojcu.

Sarah nie wie, co na to odpowiedzieć. Cóż za dziwne małe stworzenia.

– Myślałam, że mieliście różnych ojców – odzywa się w końcu zdeorientowana.

– Tak – potwierdza Ilo. – Mieliśmy. – A zaraz potem dodaje: – A! Rozumiem! Tak. Poczeli nas różni ojcowie. Ale Lucien Blake

był Ojcem nas wszystkich.

– I moim prawdziwym tatą – dodaje z dumą Eden.

– Tak – zgadza się Ilo. – Przyjechałaś zabrać nas do domu?

Sarah nie wie, co powiedzieć. To kolejne pytanie, którego się nie spodziewała.

– Ja... – bąka. – Obawiam się, że to nie takie proste.

Uśmiech nie schodzi im z twarzy, odkąd weszli do pokoju. Sarah spogląda błagalnie na pracowników opieki społecznej, szukając u nich wsparcia, ale go nie dostaje. Do diabła, myśli, powinnam była zwracać większą uwagę na rozmaite aluzje dotyczące opieki społecznej. Te dzieci nie są dla nich ludźmi, tylko dodatkowym obowiązkiem w systemie, który przypomina kolosa na glinianych nogach. Chryste, zachęcaliby mnie, żebym je wzięła, nawet gdybym była Kubą Rozpruwaczem.

– Posłuchajcie – zaczyna Sarah. – Przyszłam się z wami spotkać i upewnić się, że nic wam nie jest. Dopiero kilka dni temu dowiedziałam się o waszym istnieniu.

– Rozumiem – mówi Ilo. Jest coś upiornego w jego uśmiechu, choć Sarah nie potrafi tego określić. Może chodzi o to, że nigdy nie znika albo że jest to kolejna rzecz, za sprawą której jeszcze trudniej odróżnić go od siostry. – Mama opowiadała nam o swoich rodzicach.

Cisza. Pewnie, że tak, myśli Sarah. O Brusie i Barbarze Maxwellach, i Dzieciątku Jebus<sup>1</sup>. Nabijałam się z nich na uniwerku i razem z nauczycielami do tej pory żartujemy z kościoła przy High Street, choć od lat żadne z tamtejszych dzieci nie chodziło do naszej szkoły. Żartowanie z nich pomagało mi uporać się z tym wszystkim. Mogłam się domyślać, że Alison zrobi z nich potwory. Sarah próbuje zmienić temat i pyta:

– I jak się czujecie?

– Dobrze – odpowiada Ilo.

– Wszyscy są bardzo mili – dodaje Eden.

Sarah w to wątpi. Ale przecież nie ma pojęcia o ich dotychczasowym życiu. Może w porównaniu z nim życie w domu opieki to pestka.

– Przykro mi z powodu tego, co was spotkało – mówi i urywa czym prędzej, bo, o dziwo, czuje, że łzy napływają jej do oczu. Dlaczego? Z powodu siostry? Myśli o tym, co straciły, co widziały i jak to odbije się na ich życiu. Mruga, starając się powstrzymać łzy.

– Dziękujemy – odpowiada Ilo. Jest zdumiewająco spokojny. Może to z powodu szoku, myśli Sarah.

Eden przerywa niezręczną ciszę.

– Miło było cię poznać. – Uśmiecha się promiennie. – Mama mówiła, że żałuje tylko tego, że nie mogła cię poznać. Mam nadzieję, że nam się uda.

## 4 | Sarah

Cisza przed dzwonkiem jest niczym spokój przed końcem świata. Każdego dnia o 12.25 i 15.40 szkoła pogrąża się w niemal namacalnej ciszy, kiedy uczniowie wyczekują upragnionego dźwięku, a głosy nauczycieli nagle stają się bardziej donośne.

Sarah siedząca przy biurku w swoim gabinecie tak bardzo się do tego przyzwyczaiła, że nie musi nawet spoglądać na zegar. Kiedy wszystko milknie, bierze pęk kluczy, zamyka gabinet i idzie korytarzem obok stołówki, żeby stanąć przy drzwiach. Kiedy kończyła Akademię Wellesley – która wówczas nosiła nazwę Szkoły Kościoła Anglikańskiego w Finbrough – nie spodziewała się, że pewnego dnia wróci tu do pracy. Ale niewiele jest rzeczy, które mogła przewidzieć trzy lata temu.

Helen Brown czeka tam gdzie zawsze. Każdego dnia dzielą się obowiązkami, jako że kwestie nadzoru często powierzane są ludziom, którzy podczas lekcji nie siedzą zamknięci w klasach. Właśnie tak się zaczęła ich przyjaźń – od dwuminutowych pogawędek poprzedzających pęknięcie tamy, wystarczająco krótkich, by Sarah się nie denerwowała i nie musiała się martwić, że zanudza Helen tak, jak podobno zanudziła Liama.

Widząc nadchodzącą Sarah, Helen się uśmiecha.

- Cześć – rzuca. – I jak było?
- Hm... Było... ciekawie.
- Czyżbym słyszała jakiś entuzjazm?
- Może potrzebuję czasu, żeby się z tym oswoić.
- Pewnie tak.
- Wygląda na to, że opieka społeczna już zdecydowała, że ich wezmę, czy mi się to podoba, czy nie.

Helen unosi brwi.

- Może porozmawiamy o tym w moim gabinecie?

Teraz jestem jej pacjentką? – zastanawia się Sarah. Myślałam, że jesteśmy przyjaciółkami.

– Nie, w porządku – mówi. – Chyba wolę usłyszeć opinię przyjaciółki, nie terapeutki.

Helen kiwa głową.

– Dobrze. A więc rada przyjaciółki brzmi tak: nie musisz niczego robić. Wiem, że wydaje ci się, że nie masz wyboru, ale masz. Myślę, że powinnaś dobrze się zastanowić, czy jesteś w stanie temu podołać.

– Chyba nie ma niczego gorszego od opieki społecznej.

Brwi przyjaciółki drgają.

– Myślisz, że takowa w ogóle istnieje?

– Słuszna uwaga.

– Posłuchaj, adwokacie diabła – ciągnie Helen. – Sama mówiłaś, że będą w rozsypce. Już tylko to, co widziały... Będą miały traumę i zespół stresu pourazowego, i Bóg jeden wie, jakie inne dysonanse poznawcze. Przeszły pranie mózgu, będą się zmagać z poczuciem winy, a poza tym... nic o nich nie wiesz. To nie to samo, co przygarnąć „prawdziwe” dzieci siostry. Nie będzie tak jak w przypadku małej sierotki Annie<sup>2</sup>.

– Ale to są prawdziwe dzieci mojej siostry – tłumaczy Sarah. – Moja jedyna rodzina.

Helen zerka na zegar. Do przerwy pozostały niespełna dwie minuty. Rozgląda się, na wypadek gdyby któryś z uczniów podsłuchiwał ich rozmowę, po czym nachyla się w stronę Sarah i zniżając głos, mówi:

– Poznałaś je wczoraj. One były w sekcie, Sarah. W sekcie. I nie opuściły jej dobrowolnie. Nie będą szukały sposobów, żeby uwolnić się od swoich przekonań.

– Nie wiem... Nie sądzisz, że zbiorowe samobójstwo może odrobinę poukładać ci w głowie?

– Nie mam pojęcia. Poważnie, to wykracza poza moje kompetencje. Jeśli przyjdą do Akademii Wellesley, prawdopodobnie pojawią się w moim gabinecie, ale nie wiem,

czy będę w stanie im pomóc. Na ogół zajmuję się tatuškami, co to nie potrafią trzymać łap przy sobie, i mamuškami, które lubią sobie golnąć.

– Ale opieka społeczna...

– Nie liczyłabym na nich. Są zawalieni sprawami maltretowanych dzieci. U nich zawsze będziesz na liście oczekujących. Wybacz. Wiem, że nie brzmi to optymistycznie, ale musisz wiedzieć, w co się pakujesz. Jacy ci się wydali?

– Mili – odpowiada Sarah.

– Mili?

Wzrusza ramionami.

– Powiedzieli, że Alison opowiadała im o mnie – dodaje zaskoczona nagłym przyływem smutku.

Jak mogę opłakiwać kogoś, o kim nie myślałam od lat? – zastanawia się. Może chodzi o coś innego? Na przykład o to, że mam tak puste życie, że odkąd tu wróciłam, moją jedyną powierniczką jest Helen, a wszyscy znajomi odeszli razem z moim mężem. W naszej rodzinie tylko Alison wiedziała, jak to jest. Gdyby sprawy potoczyły się inaczej, może nawet zostałybyśmy przyjaciółkami. Byłybyśmy dla siebie jak zbroja, która chroni tę drugą przed światem.

– Tak? – rzuca Helen. – Wiesz, co mówiła?

– Mnie jednej żałowała – odpowiada Sarah. – Tego, że mnie zostawiła.

– I uważasz, że to powód, żebyś zajęła się jej dziećmi?

– Przynajmniej mam dom – tłumaczy bez przekonania Sarah.

– Który zamierzałaś sprzedać – przypomina jej Helen.

– Wiem. – Sarah po raz kolejny czuje się tak, jakby zaciskały się wokół niej więzienne kraty. – Ale właściwie połowa domu powinna być jej...

– Nawet ich nie znasz – upiera się Helen. – Jeszcze tydzień temu nie miałaś pojęcia o ich istnieniu.

– Wiedziałam o najstarszej.



– Ale to nie ją masz przygarnąć. Dali ci w ogóle jakiś czas do namysłu?

– Jeszcze się nie zgodziłam.

– Aha – mruczy Helen. – Posłuchaj, wiesz coś więcej na temat ich siostry? Co z nią? Oni ją znają.

– Niezupełnie – odpowiada Sarah. – Przebywa teraz w ośrodku.

Ośrodek. Ileż trudu zadajemy sobie, żeby uniknąć terminu „szpital psychiatryczny”.

– Sarah – odzywa się Helen – mówisz tak, jakbyś sama próbowała się do tego przekonać. – Rozlega się dzwonek. – Do diabła, zaczyna się – mruczy Helen i wraca na swoje stanowisko. – Przygotuj się!

Słysząc gwar, salwę trzaskających drzwi i chwilę później dzieci wylewają się z sal niczym woda spływająca po skałach, ignorując podniesione głosy, które upominają je, że „nie ma biegania”. Większe odpychają mniejsze, jakby te były kawałkami drewna wyrzuconymi na brzeg; z setek gardeł dobywają się tysiące słów, jak gdyby ci, którzy je wypowiadają, ostatnie dni spędzili w więziennej izolatce, gdy tymczasem od porannej przerwy upłynęło zaledwie półtorej godziny. Sarah stawia opór zbliżającej się fali. Najpierw nadciągają buntownicy w ciężkich buciorach, z tłustymi długimi włosami – nadąsane dziewczyny i chłopcy z poluzowanymi krawatami. We wtorek w stołówce serwują frytki – to jedyna rzecz, która może zmusić buntowników do biegu. Za nimi nadciągają normalne dzieci, takie, co mają przyjaciół, z którymi mogą spacerować na przerwie, i nie muszą się niczego bać ani niczego udowadniać. Na końcu, mrużąc oczy w świetle, jak orzesznice budzące się z zimowego snu, idą ci, którzy chcą uniknąć uwagi tych z przodu: niewyrośnięci, niosący nieporęczne instrumenty – geeki, nielubiane dzieciaki, które źle czują się w towarzystwie. A nad nimi wszystkimi unosi się zapach potu.

Na szarym końcu wlecze się Marie Spence. Zawsze ostatnia i zawsze pierwsza w kolejce do stołówki. Każda szkoła ma swoją Marie Spence, a gdy jedna znika, na jej miejsce pojawia się następna. Tuż za nią niczym tajni agenci idą Lindsay, Mika i Ben

McArdle, tegoroczni wybrańcy. Sarah nie może opanować kpiarskiego uśmiechu, który ciśnie się jej na usta, kiedy widzi białe sportowe słuchawki wetknięte w jedno ucho. Następne będą okulary Ray-Ban i szare garnitury. Nawet z tej odległości czuje zapach mgiełki do ciała Victoria's Secret.

Marie dumnym krokiem mija pokój nauczycielski, a młodsze dzieci – te mniej uprzywilejowane, które nie chcą mieć kłopotów – rozstępują się przed nią jak wody Morza Czerwonego przed Mojżeszem.

Dziewczyna dociera do kolejki i jak gdyby nigdy nic idzie na początek.

– Jest kolejka, Marie – upomina ją Sarah.

– Ktoś zajął mi miejsce, proszę pani – odpowiada Marie i zarzuca włosy na ramię jak w reklamie szamponu. – Ma moją torebkę. – Po tych słowach rusza dalej, a za nią jej świta.

Sarah podnosi wzrok i napotyka spojrzenie Helen, która puszcza do niej oko.

– Boże, nienawidzę tej dziewczuchy – mruczy Sarah, kiedy liczą karnety na lunch. Helen nie musi pytać, o kogo chodzi. Całe grono pedagogiczne nienawidzi Marie Spence i jej jeżdżących jaguarem rodziców.

– Przekleństwo uprzywilejowanych – mówi Helen.

– Przekleństwo dla kogo?

Helen się śmieje.

– Dla wszystkich. To jak wieczne szukanie ofiar. Gra, w której zawsze wygrywa jedna strona.

– Byle do końca roku. – Sarah się śmieje. Szkoła ma tylko pięć klas, więc ukończywszy ją, jeśli uczniowie chcą zdawać maturę, idą do college'u w Newbury albo do jednej z dużych placówek w Reading.

\* \* \*

– Siostra... – mówi Helen minutę później, wracając do przerwanej rozmowy. – Możesz przynajmniej dowiedzieć się, gdzie jest, i skontaktować się z nią?

- Nie bardzo wiem jak.
- Zapytaj kogoś.
- Chyba masz rację.
- Dam ci kilka wskazówek. Zobaczysz, jaka ona jest. Może być zupełnie zdrowa.
- Jest w wariatkowie.
- Teraz nie mówimy już „wariatkowo” – strofuje ją Helen.
- Okej, przepraszam. To znaczy... tak, dobrze by było czegoś się dowiedzieć. Ale nie sądzę, żeby to było możliwe.
- W takim razie przemyśl to jeszcze. I proszę, nie podejmuj tej decyzji pochopnie. Jeśli naprawdę jesteś ostatnią deską ratunku, a wygląda na to, że jesteś, zaczekają.

## 5 | Romy

Obwód Ziemi wynosi jakieś czterdzieści tysięcy kilometrów. Jej powierzchnia to mniej więcej pięćset dziesięć milionów kilometrów kwadratowych, z czego tylko sto czterdzieści dziewięć milionów kilometrów kwadratowych to lądy. Posiadłość Plas Golau zajmowała dwa kilometry kwadratowe. Znałam wielkość jej powierzchni, ponieważ wiedza – jak wielokrotnie powtarzał nam Lucien – jest kluczem do naszego przetrwania. Jednak przepaść między wiedzą a zrozumieniem jest ogromna. Patrzyłam na szczyt Cader Idris wznoszący się nad naszą ziemią i wierzyłam, że to kolos. Teraz, kiedy wiem, że ma osiemset dziewięćdziesiąt trzy metry, wydaje mi się niczym więcej jak pryszczem na obliczu Ziemi.

Byłam tak przerażona, kiedy przywieźli mnie z Walii do Domu Przejściowego – przez rzekę tak szeroką, że odległy brzeg tonął we mgle, i przez most, na którym wielkie ciężarówki ryczały niczym smoki na sześciopasmowej drodze – że ukryłam twarz w kapturze bluzy i nie podnosiłam wzroku, dopóki wiozący mnie policjant nie oznajmił, że jesteśmy na miejscu.

Weston-super-Mare na Kanale Bristolskim dzieli od Hounslow na przedmieściach Londynu dwieście osiem kilometrów. Przynajmniej tym razem jestem gotowa. Ale kiedy zmierzając w stronę horyzontu, wjeżdżamy na kolejne wzgórza, mam wrażenie, że mały samochodzik mojej opiekunki społecznej to królik wyprzedzany przez galopujące konie. Mijamy rozległe połacie zieleni, majestatyczne drzewa i zagubione pośród nich domy. W oddali majaczy morze. Widzę rzekę, żurawie, statki i budynki tak wielkie, że nawet z tej odległości wiem, że ich przestronne wnętrza pomieściłyby całe Plas Golau. Na drogowskazach widnieją dziwne nazwy. Wiem, że są stare, ale wyglądają inaczej niż zbitki spółgłosek w miejscu, gdzie dorastałam. Portishead. Avonmouth. Bristol. Płatanina dróg tak szybkich i krętych, że ze strachu robi mi się niedobrze. Janet jednak z łatwością porusza się po tym labiryncie uliczek. Kolejne

znaki: *Londyn 177, Newbury 105, Finbrough 114, Reading 126*. Przechodzą mnie ciarki, kiedy widzę drogowskaz na Finbrough. Zerkam na prędkościomierz. Janet trzyma się przepisowych stu piętnastu kilometrów na godzinę, do których zaczynam się przyzwyczajać, chyba że coś na poboczu zwróci moją uwagę. Za godzinę miniemy miejsce, w którym się urodziłam. Gdybym teraz zatrzymała samochód i resztę drogi pokonała pieszo, dotarłabym tam w ciągu trzech dni. A może pojechałabym autobusem. W Weston na zajęciach, które miały przystosować mnie do życia, uczyli mnie, jak dojechać dokądś autobusem, jak robić zakupy, jak zarejestrować się do lekarza, korzystać z karty płatniczej i wyszukiwać rzeczy w internecie. Lubię autobusy. Janet, opiekunka społeczna, mówi, że tam, dokąd jadę, jest kolej podziemna, którą można dotrzeć aż do centrum Londynu. Na samą myśl o tym robi mi się zimno.

– To dopiero początek – mówi Janet. – O to właśnie chodzi. Nikt nie mówi, że musisz spędzić w Hounslow resztę życia. Ale to dobre miejsce, żeby stanąć na nogi. Niezbyt tłoczne czy niebezpieczne, ale całkiem blisko Londynu, gdybyś chciała się tam wybrać. Spośród wszystkich tych miejsc, do których mogli cię wysłać, to jest chyba najlepsze. Niektóre mieszkania socjalne to prawdziwa tragedia.

Nie wyobrażam sobie, po co miałabym jechać do Londynu. To takie niebezpieczne miejsce. Zresztą, jeśli zrzucą bombę atomową na Westminster, Hounslow zniknie z powierzchni ziemi. Raczej zginę pod gruzami niż w gigantycznym pożarze, a jeśli przeżyję, to i tak nie ucieknę przed opadem radioaktywnym.

Zjeżdżamy z autostrady, skręcamy w lewo na pierwszym rondzie i na następnym też. Krążymy ulicami, przy których pobudowano pudełkowate, przysadziste domy z żółtej cegły, parkingi samochodowe i kilka posępnych wież. Janet mówi, że mieszkają w nich ludzie. Wieże są z betonu i wyglądają szkaradnie. Tak budowano w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku. Ale w środku nie są złe, nowy tynk zrobił sporą różnicę, no i widoki są świetne. Zaciskam powieki, żeby lepiej się skupić, i widzę, że tam, wysoko w górze, są sznury, na których smętnie na tle szarego nieba wiszą koszule, spodnie i pościel. Zastanawiam się, jak by to było być w którymś z tych domów, gdyby zaczął się palić.

Dziesięć minut po zjeździe z autostrady docieramy do celu.

– Zapisz, Romy – mówi Janet. – Masz, wyrwij kartkę z mojego notatnika i noś ją w staniku, dopóki nie zapamiętasz adresu.

Powstrzymuję uśmiech, bo zamiast stanika wolę elastyczny bandaż, dzięki któremu piersi nie rzucają się w oczy. Jest owinięty tak mocno, że nic się tam nie zmieści.

– Sto trzydzieści sześć B – ciągnie – Bath Road, Hounslow. To twój dom. Niedaleko dworca. Jeśli się zgubisz, możesz zapytać ludzi. Nie musisz podawać im dokładnego adresu. Lepiej tego nie rób.

Patrzę i patrzę, próbując zapamiętać charakterystyczne punkty, ale wszystko tu wygląda tak samo. Drogi, domy, żółte cegły, czerwone cegły, ślepe uliczki, znaki drogowe. Smuga jednakowości. Nagle nad naszymi głowami przelatuje ogromny samolot, tak nisko, że zakrywam uszy dłońmi w obawie, że zaraz umrzemy.

– A, tak – rzuca Janet. – Dom jest na torze lotu do Heathrow. To jeden z powodów, dla których nadal można kupić tu mieszkanie. Nie przejmuj się. Przywykniesz.

Łatwo ci mówić.

Spoglądając na szeroką ulicę, czuję się, jakby Apokalipsa już się wydarzyła. Pełno tu sklepów, ale połowa z nich ma okna zabite deskami. I to nie nowymi, jakby właściciele spodziewali się zamieszek, ale starymi deskami, gnijącymi na krawędziach, deskami, do których przyklejano kolejne warstwy plakatów, zrywano je i przyklejano na nowo. Z półmroku wyłania się stacja metra Hounslow West Underground.

– Wiem. – Głos Janet wrywa mnie z zamyślenia. – Wygląda trochę obskurnie, ale będziesz zaskoczona. Jest tu większość rzeczy, których będzie ci trzeba... przynajmniej na razie.

W zasadzie widzę tylko gigantyczny parking.

Zatrzymuje się jakieś sto metrów od stacji metra przed pralnią samoobsługową i brzydkim, małym sklepem, który reklamuje się jako Sklep Spożywczy i Monopolowy.

– No to jesteśmy – ogłasza.

Na lewo od pralni znajdują się drzwi z przykręconym do nich metalowym numerem 136 B. Wygląda na to, że dotarłyśmy na miejsce.

\* \* \*

W środku jest ciepło i pachnie mydłem. Po kwaśnym fetorze Domu Przejściowego ten zapach wydaje się przyjemny, ale już chwilę później czuję przebijającą spod niego woń wilgoci i po świetle sączącym się przez okna widzę, że szyby są zaparowane. Pod podłogą słychać szcęk maszyn, które ubijają ziemię i wypluwają z siebie parę. Jest tak ciepło, że marzę o tym, by zdjąć kurtkę, ale zadałam sobie wiele trudu, żeby nikt się o tobie nie dowiedział, a wystarczy, że Janet spojrzy na mnie pod niewłaściwym kątem, i stracę wolność.

Janet zapala światło. Sporo tu miejsca w porównaniu z tym, do czego jestem przyzwyczajona. Sześć metrów na cztery, z kuchennymi szafkami po jednej stronie i kanapą oraz niskim stolikiem pod oknem. Ściany zdobi kwiecista tapeta – drobne, różowe róże na zielonym treliażu, przeplatane liśćmi bluszczu – a kanapa jest przykryta błyszczącym materiałem niemal w tym samym kolorze. Jaśniejsze miejsca na tapecie wskazują, gdzie kiedyś stały meble i wisiały obrazy. Niski sufit jest wyłożony plastikowymi kasetonami, które podczas pożaru stopią się i zaczną kapać mi na głowę.

W Plas Golau mieliśmy puste pobielone ściany. Nic nie mogło odwracać naszej uwagi od końca świata.

– O mój Boże! – woła Janet. – Zostawili telewizor! Masz szczęście. Dziwne, że pracownicy firmy sprzątajacej go nie wzięli. Chociaż to starość. Pewnie nie jest nic wart. Dotrzyma ci towarzystwa.

Przynajmniej zbierając się na odwagę, będę miała czym zająć umysł. Lubię kanały, na których ludzie sprzedają różne rzeczy. Zdumienie i entuzjazm związane z gadżetami, które pozwalają rozwiązywać problemy, o których istnieniu nie miało się pojęcia, i ubrania, przy których nawet ja widzę, że człowiek się w nich spoci.

– Chodź – mówi. – Wnieśmy pudła, żebyś mogła się urządzić.

Mam trzy kartony i walizkę, ale nawet nie wiem, co w nich jest. Walizkę spakowałam sama, lecz pudełka przyjechały z Janet na tylnym siedzeniu jej samochodu. Powiedziała, że to „różne drobiazgi, które zebraliśmy”, i wiem, że powinnam być wdzięczna. Nie jestem wdzięczna. Okazano mi wyjątkową życzliwość, życzliwość, która kłóci się z tym, co opowiadano mi o Martwych. Wszyscy, których poznałam, nawet ćpuni i alkoholicy, wciskali mi w ręce różne rzeczy, które ich zdaniem mogły mi się przydać. Opuściłam posterunek z trzema sukienkami, dwiema spódnicami, dwoma parami dżinsów i pięcioma koszulkami, i część tych rzeczy była zupełnie nowa. Na pożegnalnej sesji Melanie dała mi dwa prześcieradła i dwa komplety bielizny pościelowej, a także zapakowany w pudełko komplet talerzy i kubków. „To znak, że za bardzo zżyłam się z pacjentką – powiedziała. – Ale proszę. Komplet na cztery osoby. Do nowego domu”.

Zanim wniosliśmy wszystko na górę, dostałam zadyszki; jestem czerwona na twarzy, a blizna na nodze pulsuje tęnym bólem. W ciągu zaledwie trzech miesięcy kompletnie wyszłam z formy.

Fizjoterapia była bolesna, ale to nic w porównaniu z ćwiczeniami, do jakich jestem przyzwyczajona. Muszę zacząć znów trenować. Ojciec wstydziłby się za mnie. „Nigdy nie wiesz, kiedy będziesz musiała uciekać”, powtarzał. Właśnie dlatego robiliśmy to wszystko. Biegaliśmy, walczyliśmy, ukrywaliśmy się i uprawialiśmy ziemię. Ale wtedy mieszkaliśmy w Plas Golau, więc mieliśmy dokąd uciekać. Teraz nie wiem, co miałabym robić ani dokąd pójść. Muszę przyjrzeć się tylnemu wyjściu z tego budynku. Bo przecież musi tu być jakieś tylne wyjście. No i muszę zobaczyć, jak najprędzej dostać się na otwartą przestrzeń.

Janet wlecze się za mną z trudem. W jednej ręce niesie płócienną torbę, a pod pachą drugiej – opakowane w plastik nowiuteńkie białe prześcieradło.

– Proszę – mówi. – To twoja pościel. Pomóc ci ją oblec?

– Dziękuję – rzucam. – Poradzę sobie.

– Jak chcesz. Czas na pierwszą filiżankę herbaty w nowym domu, co? W tamtym pudełku jest czajnik. Najzwyczajniejszy,



kupiony w markecie. Ale musisz mieć czajnik.

– O – bąkam. – Herbata. – Nie rozumiem herbaty ani dlaczego jest taka ważna dla Martwych.

– W pudełku – powtarza Janet. – I jest karton mleka.

Całe pół litra mleka, tylko dla mnie. Nadal nie przyzwyczałam się do luksusów, które dla nich są czymś oczywistym. Myślę, że przydadzą się nam kubki od Melanie.

– Są też czekoladowe ciasteczka – dodaje z dumą Janet. – Zapakowałam ci trochę jedzenia, żebyś przez pierwsze dni nie umarła z głodu. Makaron. Chleb. Margaryna. Trochę jabłek. Kilka pomidorów. Kawalek sera. I takie tam.

– Dziękuję – bąkam. Martwi lubią te wszystkie „proszę” i „dziękuję”.

– A tu – Janet otwiera płócienną torbę – mam coś, co chyba cię ucieszy. Pogadałam z przyjaciółką z wydziału kryminalnego. Takie znajomości się przydają. Zwykle tego nie robią, ale wiedziała, o co mi chodzi. Oni oczywiście już to przejrzeni. Nie jesteś o nic podejrzana, a poza tym mają cały magazyn dowodów. Proszę.

W torbie, na samym jej dnie, jest skrzyneczka. Moja skrzyneczka. Którą sama zrobiłam w ramach szkolenia. Wszyscy takie robiliśmy na zajęciach ze stolarstwa. Ja zrobiłam swoją z kawałka drewna bukowego, z drzewa, które ścieliśmy ubiegłej zimy. Był to maleńki skrawek prywatności w świecie, gdzie wszystko, ale to wszystko, było jawne.

– Och. – Przez moment mam ochotę się rozplakać. Oto cała moja przeszłość. – Dziękuję. – Naprawdę jestem jej wdzięczna.

Kiedy Janet dotyka mojego ramienia, staram się nie wzdrygnąć.

– Pomyślałam, że chciałabyś ją mieć – mówi uprzejmie.

– Tak. Doceniam to, co zrobiłaś. Dziękuję.

\* \* \*

Zostaje do czasu, aż ma pewność, że się nie poparzę. Pokazuje mi, jak używać kuchenki gazowej, jak włączyć i wyłączyć

telewizor i gdzie są liczniki. Doradza, żebym wymyśla lodówkę, zanim cokolwiek do niej włożę.

– Nie chodziła od miesięcy – tłumaczy. – Kiedy stoją nieużywane, są jak wylęgarnie bakterii.

Pewnie myśli, że nigdy wcześniej nie widziałam lodówki. Kiedy tu jechałyśmy, tłumaczyła mi, do czego służą wycieraczki na przednich szybach, sygnalizatory świetlne i wiatrak, który góruje nad drogą do Reading. Jak większość ludzi nie do końca rozumie, co znaczy „żyć poza cywilizacją”. Sama nie rozumiałam tego wyrażenia, dopóki nie zobaczyłam go w „Daily Mail” w poświęconym nam długim artykule, w którym głównie pisano nieprawdę. Przede wszystkim nie byliśmy komuną, w której panowała wolna miłość. Wręcz przeciwnie. Patrząc na wskaźnik urodzeń, każdy głupi by to wiedział. A to, że spodziewaliśmy się Apokalipsy, nie miało nic wspólnego z Bogiem. I nie było tak, że nie mieliśmy prądu. Mieliśmy panele słoneczne i małą, dobrze ukrytą, elektrownię na biogaz. Po prostu nie trwoniliśmy energii. Wstawaliśmy razem ze słońcem i – przynajmniej w lecie – o zmierzchu kładliśmy się spać. Nie żyliśmy jak w średniowieczu i nie byliśmy ciemni, ale moje słownictwo zatrzymało się gdzieś w okolicach roku 1984, kiedy kupiliśmy Plas Golau i zaopatrzyliśmy bibliotekę. W długie zimowe wieczory czytaliśmy wspólnie klasyków – poetów wojennych, Szekspira, Asimova, Dickensa – ale nie mieliśmy niczego współczesnego, niczego, co obecnie czytają Martwi.

– Poradzisz sobie? – pyta Janet. Głupie pytanie, no bo co ona zrobi, jeśli odpowiem, że nie? Zabierze mnie z powrotem?

– Pewnie.

– Dobrze. W takim razie będę się zbierać.

– Przecież się nie rozsypałaś – mówię i uśmiecham się do niej. Mam wrażenie, że każdy, kto ma ze mną styczność i zna moją historię, spodziewa się zobaczyć poważną, posępną istotę kołyszącą się w kącie pokoju. Fajnie byłoby zrobić komuś kawał, chociaż nie wiem, komu mogłabym go zrobić. Eilidh była moją kumpelką od psikusów; czasem też Ilo, kiedy udawało nam się go namówić. Boże, ale mi ich brakuje. Nawet po tylu latach wciąż nie mogę uwierzyć, że nigdy więcej nie zobaczę Eilidh.

W końcu Janet się śmieje.

– Powodzenia – rzuca.

– Dziękuję – mówię i odprowadzam ją do drzwi. – Będzie mi potrzebne.

– Na pewno dasz sobie radę – zapewnia mnie.

Chwilę później już jej nie ma i zostaję sama w swoim małym królestwie. Zaciągam zasłony i zdejmuję ubrania. Rozwiązuję bandaż i uwalniam swoje biedne ściśnięte piersi. Kładę rękę na brzuchu, gładzę go kciukiem i rozkoszuję się myślą, że już nie muszę cię ukrywać. Jak dotąd wszystko jest w porządku, maluszk. Minęły trzy miesiące, odkąd opuściliśmy Plas Golau, i nadal żyjemy.

## 6 | Sarah

Nie wstaje od stołu, chociaż zjadła już gotową lasagne, dopija kieliszek, napełnia go ponownie i pierwszy raz w życiu rozgląda się po swojej jadalni oczami pracownicy opieki społecznej, która za kilka dni złoży jej wizytę.

– Chryste – mruczy.

Wszędzie walają się rupiecie, których do tej pory nie zauważała. Nie miała powodu, żeby jadać przy stole, więc odkąd się wprowadziła, używała go w charakterze szafy na dokumenty. Pełno na nim papierów. Zresztą podłoga wygląda nie lepiej. Obrazy obrosły pajęczynami, a meble stojące pod ścianą pokrywa siwa warstwa kurzu. Tak to jest, jeśli człowiek praktycznie nie ma gości.

Chodzi po domu, patrząc na wszystko tym samym okiem. Na ścianie w przedpokoju wisi obraz olejny przedstawiający pokrytą brodawkami starą kobietę w czarnej sukni i koronkowym czepku. To Hester Lacey, założycielka wspólnoty religijnej w Finbrough. Ujrzała nad rzeką Jezusa i poświęciła życie, by wybudować dom, do którego chciałby wrócić. Po tym, jak sprzedano budynki z posiadłości Carpenterów, sklepy z antykami przy zjeździe z M4 wypełniły się jej portretami. Są teraz tak pospolite, że nawet sklepy z używanymi rzeczami nie chcą ich przyjmować. Na tym obrazie udaje dobrotliwą, ale wystarczy na nią spojrzeć, by wiedzieć, że miała serce ze stali.

Jest tyle rzeczy, których Sarah nie otwierała i do których nie zaglądała, odkąd dwa lata temu odziedziczyła ten dom. Przechodzi przez kuchnię i oczami wyobraźni widzi na stole salaterki pełne sałatki z szynką, którą jedli po nabożeństwie. Na wyłączonym palniku zawsze stał garnek zupy gulaszowej z wołowiny i baraniny, która miała nas „rozgrzać”, a tuż obok czekały brązowe ceramiczne miseczki. Ogon wołowy. Prawie zawsze ogon wołowy w puszcze, cuchnący ubojnią i brudną bielizną. Sarah pragnie uwolnić się od tego wszystkiego. Marzy

o miejscu z dala od Finbrough, o przestrzeni, otwartych oknach, zza których nie słycać szumu przejeżdżających samochodów, i o nowym początku. Cel, myśli, oto czego mi trzeba. Czegoś więcej niż dryfowanie przez życie i praca, dzięki której mam pieniądze na zapłacenie rachunku za ogrzewanie.

Wezmę kontener na gruz i wyrzucę zawartość każdej szuflady, której nie otwierałam, odkąd się tu wprowadziłam. Czy nie tak brzmi jedna z głównych wskazówek, jak pozbyć się z mieszkania rupieci? Jeśli nie potrzebowałaś czegoś przez ostatni rok, to znaczy, że w ogóle tego nie potrzebujesz? Przez cały czas byłam sparaliżowana, ale nie mogę dłużej tak żyć. Nawet gdybym chciała, nie mogę przyprowadzić dzieci – ani swoich, ani niczyich innych – do czegoś takiego.

Zgarnia stosy dokumentów i idzie do gabinetu ojca na poddaszu. Co z oczu, to z serca, myśli. Musi znaleźć akty urodzenia – swój i Alison – żeby pokazać je kobiecie z opieki społecznej, kiedy ta przyjdzie tu z dziećmi. Zbyt późno przyszło komuś do głowy, aby kazać jej udowodnić, że jest tym, za kogo się podaje.

Jeszcze więcej kurzu. Wstyd jej. W pokoju znajduje szafki na dokumenty, a na dużym drewnianym biurku stoi staromodny komputer z masywnym monitorem. Poza tym nie ma tu niczego. Żadnych rodzinnych zdjęć, spinaczy ani papierów. Wszystko jest pochowane, jakby ojciec przewidział, że już tu nie wróci. Bruce Maxwell lubił swoje sekrety. Trzymał wszystko oddzielnie – nagrania tutaj, a gotówkę w sejfie w kościele – tak że tylko on wiedział, gdzie co jest.

Zagłada do szuflad, szukając teczek, w której znalazła wszystko dwa lata temu. Na pierwszy ogień idą szuflady biurka – jedna wypełniona mieszaniną biurowych drobiazgów, druga pełna czystych kartek papieru. W następnej znajduje kartki zadrukowane na jednej stronie i przekreślone długopisem. Jej rodzice nie uznawali recyklingu. Uważali to za socjalistyczny wymysł. Ale byli oszczędni.

Ulotki. Te same, które rozdawała w każdą sobotę na High Street, od piątego roku życia, kiedy została ochrzczona, aż do czasu, gdy wyjechała na uniwersytet. CIĘŻAR GRZECHU... KIM BYŁA HESTER LACEY?... ŚWIĘTA WODA I JAK JEJ UŻYWAĆ...

W ostatniej szufladzie natrafia na specjalne kartki powitania i potępienia.

Przynajmniej wszystko było dobrze oznaczone. Ojciec mógł nie chcieć, żeby członkowie wspólnoty wiedzieli, do czego zmierza, ale lubił mieć wszystko pod ręką. *Kościelne konta. Historia kościoła. Korespondencja.* To ostatnie okazuje się plikiem pożółkłych listów – odpowiedzi na reklamy Świętej Wody, i teczką zawierającą rachunki z gazet i działów sprzedaży. Zawartość szuflady opisanej jako *Członkostwo* jest niezwykle skąpa. Sarah przegląda kilka teczek. Kopie testamentów, adresy i numery telefonów. Niektóre te czki opatrzone pieczętą NIE ŻYJE. W pewnym momencie nie mógł sobie pozwolić na to, by wyrzucać kolejne osoby, bo liczba wiernych zbliżała się do zera. W dniu, kiedy upadł i umarł przy mównicy w kaplicy Domu Pana, przemawiał do trzynastu osób. I tylko dwie z nich nie osiągnęły jeszcze wieku emerytalnego.

Zniosę je na dół i zostawię w gabinecie, myśli Sarah. Oczywiście nadal ma klucz, nawet kilka. Ale nie była tam od pogrzebu ojca i nie ma pojęcia, czy ktoś nadal tam jest. Kiedy mija kaplicę w dni targowe, okiennice są pozamykane, całe miejsce wygląda na opuszczone. Może dotarło do nich, że to koniec. Sprzedali wszystko, wyczyścili sejf i wynieśli się, a Dom Pana będzie popadał w ruinę, aż do zmartwychwstania. Dla ich dobra, ma taką nadzieję.

*Majątek.* Cała szuflada. Zbiór teczek zawierających umowy najmu na wszystkie dawno sprzedane domy, które niegdyś należały do Kościoła. Wszystkie zaczynają się od słów: *Dzierżawca zgadza się na wypowiedzenie umowy z miesięcznym wyprzedzeniem, po czym nieruchomość na powrót stanie się własnością Naszego Zbawiciela Jezusa Chrystusa.* Może powinnam oprawić jedną z nich w ramki i powiesić w toalecie na dole, zastanawia się. To osobliwości, pamiątki po grupie ludzi, którzy naprawdę wierzyli, że przygotowują dom na powrót Pana. Nic więcej.

I wtedy na samym dole w kącie zauważa szufladę z napisem *Osobiste.*

Są. Jej rodzina, na papierze, schowana w dwunastu teczkach. *Dom* (w końcu odkłada na bok akta własności). *Ubezpieczenia.*

*Zdrowie* (wygląda na to, że mieli prywatne ubezpieczenie zdrowotne, mimo opieki boskiej i publicznej służby zdrowia). *Samochód* – zapasowe kluczyki, dokumenty własności i książka serwisowa. Ich stare volvo nadal stoi w garażu, nieużywane, z nieopłaconym podatkiem i niekochane. Sarah wątpi, by zapaliło bez pomocy; ma swój samochód, więc tego nigdy nie musiała używać.

Na widok teczki z planami pogrzebów czerwieni się ze wstydu. Było zrozumiałe, że je zostawią, a ona nigdy nawet tu nie zajrzała. Są krótkie i rzeczowe. Ojciec zorganizował pogrzeb mamy, na którym mówił o śmierci i nieustającym ogniu piekielnym. Najwyraźniej zajrzał do jej teczki, bo Sarah dobrze pamięta moment, gdy członkowie wspólnoty zaczęli maszerować w miejscu, śpiewając *Naprzód, żołnierze Chrystusa*. Zagląda do teczki ojca. Chciał, żeby zaśpiewano mu *Cudowną Bożą łaskę*, chciał też, by kazanie wygłosił człowiek, który – jak Sarah wie – nie żyje od czterech lat. Cóż...

Na dnie szuflady znajduje teczki z imionami. *Barbara. Bruce. Sarah. Alison*.

Najpierw sprawdza swoją. Pełno w niej staroci. Są wśród nich świadectwa, zdjęcie z bierzmowania i akt urodzenia. Oceny pracy ucznia... na litość boską! I fotografia z jej ślubu z Liamem, na której panna młoda wydaje się zakochana i przerażona, a Liam – Boże, czemu wtedy tego nie dostrzegła? – przebiegły. To wszystko. Po tym, jak wyszła za poganina, w życiu Sarah nie wydarzyło się nic więcej, co warto by było udokumentować. Przynajmniej zdaniem Maxwellów. Nie została wykluczona i zapomniana jak jej siostra, ale najwyraźniej rodzice uznali, że to już koniec ważnych wydarzeń. Nawet nie trzymali na widoku jej zdjęcia, jak robią normalni ludzie. Sarah bierze świadectwo urodzenia i odkłada na szafkę.

Otwiera teczkę Alison. Jest cienka. Tak cienka, że przez moment wydaje się jej, że jest pusta. Ale nie: w środku znajduje trzy rzeczy. Świadectwo urodzenia. Świadectwo ukończenia szkoły średniej. I pierwszy paszport wyrobiony na wycieczkę szkolną do Flandrii, kiedy miała piętnaście lat. Opowieści o ekscesach w akademiku, które dotarły do rodziców, były tak

skandaliczne, że kiedy przyszła jej kolej, Sarah nigdy nie pojechała na żadną wycieczkę.

Wodzi kciukiem po twarzy Alison; pamięta fryzury „jak od garnka” i krzywe zęby, bo Maxwellowie nie uznawali aparatów ortodontycznych ani innych „zabaw w Boga”. Co jest gorsze, bycie starszą i przecieranie szlaków czy bycie młodszą i zbieranie cięgow za błędy twojej poprzedniczki? – zastanawia się Sarah.

Cóż, tylko jedna z nas nie żyje.

I nagle znowu dopada ją poczucie winy, bo nikt nie zasługuje na śmierć tylko dlatego, że jest niemądry.

A te dzieciaki nie zasługują na to, żebyś się na nie wypięła tylko dlatego, że przyszły na świat w takim, a nie innym miejscu.

Przestań, Sarah!

Pochyla się, żeby schować teczkę z powrotem do szuflady, kiedy coś przyciąga jej wzrok. To róg fotografii leżącej luźno na dnie. Małego zdjęcia, jakie można zrobić w fotobudkach w urzędach pocztowych. Zwykle są ich cztery, ale to zostało odcięte. Jest na nim Alison z dzieckiem. To Romy. Sarah poznaje pomarszczoną skórę, kępkę czarnych włosów i migdałowe oczy. Jest odrobinę większa niż wtedy, gdy widziała ją jeden jedyny raz, w dniu, kiedy Alison pojawiła się w domu z wizytą, która trwała pół minuty, i przyniosła córkę. Ale to bez wątplenia ona.

Zdjęcie jest straszne. Obie wyglądają na zaniedbane, niedomyte, zziębnięte i przemoczone.

Sarah odsuwa na bok teczki, żeby zobaczyć, czy znajdzie coś jeszcze. Są koperty. Tuzin, dwa tuziny, napisane ręką jej siostry. Są otwarte, z widocznymi w środku listami.

Sarah sięga po jedną z kopert, wyjmuje wydartą z kołnотatnika kartkę; list napisano piórem, które pozostawiło kleksy. Pismo pełne jest zawijasów, maleńkich kółek w miejscu kropek nad literami „i” i wykrzykników.

7 maja 1996

*Droga Mamo*

*Piszę ten list, żeby życzyć Ci wszystkiego najlepszego w dniu urodzin!!! Wiem, że prawdopodobnie i tak go nie*



*przeczytasz, mimo to go wysyłam. Naprawdę życzę Ci wszystkiego, wszystkiego najlepszego i przesyłam pozdrowienia dla Taty i Sarah. Przepraszam za okno. To było bardzo głupie! Obiecuję, że zwrócę pieniądze, i mam nadzieję, że kiedyś mi wybaczycie.*

*Załączam zdjęcie moje i Romy, Waszej wnuczki. Urodziła się 11 listopada i ma już prawie pół roku. Zrobiliśmy je w fotobudce w Reading, kiedy pojechałyśmy do urzędu zgłosić jej narodziny, więc jest nieaktualne. Szkoda, że nie możecie jej zobaczyć. Jest taka słodka! Sama przewraca się już na brzusek, i dźwiga główkę i jest taka pogodna. Uśmiecha się do wszystkich. Je już papki i uwielbia marchewkę, ziemniaki, kurczaka, a zwłaszcza ryż! Przesyła pozdrowienia dla babci, dziadka i cioci Sarah i żałuje, że nie może Was zobaczyć!*

*Mieszkamy w przyczepie kempingowej na polu karawaningowym niedaleko London Road. Ale latem, kiedy zacznie się sezon, będziemy musiały się wyprowadzić, bo wtedy podnoszą czynsz. W opiece społecznej mówią, że szukają czegoś dla nas, choć pewnie wylądujemy w przytułku, bo lista oczekujących jest naprawdę długa. Moja sąsiadka, Magda, mówi, że latem na festynach mogę pracować na jej stoisku Chai Tea. To nie byłoby złe, bo mogłabym brać ze sobą Romy. Podobno wiele osób tak robi. Tak czy inaczej, będziemy tu do końca maja i bardzo chciałabym usłyszeć, co u Was. Mieszkamy w przyczepie numer 23. Nie mam telefonu, ale możecie zadzwonić na recepcję i zostawić wiadomość.*

*Pozdrawiam Was bardzo, bardzo serdecznie*

*Wasza córka*

*Alison*

Sarah chowa list z powrotem do koperty i patrzy na pozostałe. Niektóre są pożółkłe i spłowiałe, a inne... właściwie nowe. Pismo na nich jest nieco dojrzałe, ale nadal wygląda znajomo. Pisała do nich. Przez wszystkie te lata pisała do nich, a oni chowali listy w szufladzie. Dlaczego ich nie wyrzucili? Chcieli, żebym je kiedyś znalazła? Teraz, kiedy jest już za późno? Przynajmniej

podświadomie? A może po prostu mieli to gdzieś? Przechowywali je dla siebie jako dowód na to, że mieli rację, albo na znak pogardy.

Sięga do szuflady, wyjmuje listy i liczy je. W sumie jest ich siedemnaście. Jeśli więc przychodziły co roku na urodziny Barbary, Alison musiała przestać je wysyłać niedługo przed śmiercią matki. Kiedy Sarah wstaje, wewnątrz pokoju i ogród widziany w dole przez okno mansardowe wirują tak, że aby nie upaść, musi się przytrzymać szafki. Adrenalina. Kortyzol. Nagły skok ciśnienia, bo gdy wstawiała, smutek, który czuła do tej pory, zmienił się we wściekłość i przez to zakręciło jej się w głowie.

Umarła. Moja siostra umarła powolną, straszną śmiercią w letni dzień, w Walii. Będę ich winiła do końca życia. Podli, nikczemni i starcy. Jak można zrobić coś takiego własnemu dziecku? Jakiemukolwiek dziecku? Mieli serca z kamienia i zasługiwali na to, żeby spłonąć.

Zabiera listy na dół, bo czytając je, będzie musiała napić się wina. Już wie, co robi, niezależnie od tego, jak bardzo się tego obawia.

**PRZED KOŃCEM**  
*2001–2002*

## 7 | Romy | Czerwiec 2001

– Cyjanek.

– Cyjanek?

Somer śmieje się.

– Nie dość, żeby cię zabić. Tylko trawę wewnątrz kręgu. Naprawdę nie warto próbować otruć ludzi twardzioszkiem przydrożnym. Musieliby zjeść z pół tony, żeby dawka była wystarczająca.

– Oooookeej – mówi Romy.

– Jest dużo więcej skutecznych sposobów – ciągnie Somer.

– Jagody cisu – rzuca pospiesznie Romy. Codziennie studiuje farmakopeę, a przynajmniej to, co jest w stanie zrozumieć. Ma przecież dopiero pięć lat i choć dzieci w Plas Golau wcześniej zaczynają czytać, są pewne granice. Ale ona chce być Uzdrowicielką, jak jej mama.

Niektóre trucizny są przydatne w niewielkich dawkach, zupełnie jak lekarstwa. Na przykład naparstnica z rodziny babkowatych pomaga na problemy z sercem. Ale może też zaszkodzić. Cóż, nigdy nie wiadomo, kiedy człowiek będzie potrzebował trucizny. Kiedy na wzgórzu pojawią się hordy, trucizna może być jedyną drogą ratunku.

– Wilcza jagoda.

– Pokrzyk wilcza jagoda.

– Tak. Nigdy nie jedz jagód, jeśli nie jesteś pewna, jaki to gatunek – upomina ją Somer.

– Wiem – mruczy Romy i przewraca oczami. Dorośli lubią się powtarzać.

– Największym organizmem świata jest grzyb – mówi Somer. – W Oregonie. Jego średnica wynosi ponad cztery kilometry.

– Nie!

– Tak!

To więcej niż całe Plas Golau razem z lasami, polami, małym jeziorkiem, domem, ogródkami warzywnymi, pastwiskiem na wzniesieniu, gdzie warstwa gleby jest cieńsza, i wrzosowiskami. Dużo więcej niż cały świat Romy.

– Opieńka – ciągnie Somer. – Musimy wyrwać je z korzeniami, gdy tylko je zobaczymy. One zabijają drzewa.

Romy patrzy na czarcie koło i zastanawia się, co rośnie pod powierzchnią. Co takiego pełnie ku jego brzegom, korzeń za korzeniem, przejmując świat i zabijając wszystko na swojej drodze.

– Chodź – rzuca Somer. – Nie traćmy czasu.

\* \* \*

Uwielbia popołudnia z matką. Wie, że nie będą trwały wiecznie – tu, w Plas Golau, dorosłość przychodzi szybko. Dla Romy nadzieje jeszcze szybciej, bo Somer została pobłogosławiona drugim dzieckiem. I to nie byle jakim: dzieckiem Ojca. Ze wszystkich kobiet w Plas Golau to właśnie ją wybrał na matkę swojego ostatniego potomka. Romy jest dumna. Tak bardzo dumna. Posiadanie brata albo siostry to rzadkość, a rodzeństwo, które może okazać się tym Jedynym, jest tak wyjątkowe, że czasami w nocy, leżąc w łóżku, Romy mocno obejmuje się ramionami, żeby nie okazywać, jak bardzo jest podekscytowana.

Dobrze jest uciec od letniego skwaru, ale Romy cieszy się, że nie muszą wchodzić głębiej w las. Słyszała tyle historii o duchach, gdy skuleni pod kocami nasłuchiwali wiatru hulającego między krokwiami, że boi się zewnętrznych granic posiadłości, pasa splątanej dzikiej roślinności, która pnie się po murach. Daleko w dole płynie potok, który spływa ze wzgórza, przetaczając się po głazach z epoki lodowcowej. Kamienie na jego dnie są śliskie i zdradliwe. Lasy pełne są paproci, a wszyscy przecież wiedzą, że paprocie oznaczają zmije.

– Opowiedz mi jeszcze raz, kim jest Jezus? – pyta Romy, kiedy gramolą się na szczyt. Lubi rozpytywać matkę o świat, w którym

się urodziła. Poznawać szczegóły z życia, jakie wiodą Martwi. Kulić się ze strachu albo zaśmiewać do łez. Lubi czuć się szczęśliwa.

– Jest synem Boga.

Romy ściąga brwi.

– Ale myślałam, że Boga nie ma.

– Bo to prawda.

– Więc jak...?

– To wymyślona historia – ucina Somer. Zostawiwszy za sobą religię, porzuciła ją na dobre. Dla nich liczy się tylko przetrwanie. Kiedy nadejdzie koniec, to w ich rękach spocznie przyszłość rasy ludzkiej. Nie ma nic ważniejszego.

– Aha. – Romy myśli o swoim nowym rodzeństwie, nie tylko pobłogosławionym przez ich Przywódcę, lecz także poczętym z jego nasienia, i ze zdumieniem kręci głową. Sama nie wie, kim jest jej ojciec, ale to naprawdę bez znaczenia. To, kim ludzie byli na zewnątrz, nie ma wpływu na to, kim są teraz, a ponieważ ojciec nie przyszedł z nimi, jego los będzie przesądzony, gdy nadejdzie Koniec.

– Czyli myśleli, że Jezus był tym Jedynym? – dopytuje.

Somer zatrzymuje się, kładzie dłoń na obrzmiałym brzuchu i uśmiecha się do przyszłości – współczesna Madonna w lnianej tunice.

– Chyba tak – mówi. – Oczywiście różnica polega na tym, że to Ten jest prawdziwy.

– I nasze dziecko może być Jedynym? – pyta z dumą Romy, chociaż, oczywiście, zna odpowiedź. To dziecko Luciena, a tylko jedno z jego dzieci może być tym Jedynym. Wszyscy to wiedzą; tak brzmią słowa Przepowiedni. Ale już sama myśl o tym, że mogłaby być spokrewniona z Jedynym, jest szalenie ekscytująca.

– Tak – odpowiada Somer z fałszywą skromnością. – Ale nie spieszmy się zbyt.

Romy dostrzega skupisko kurek rosnących wokół korzeni szlachetnego buka i piszcząc radośnie, wskazuje je palcem.

– Dobra robota – chwali ją Somer.

– Czyli twoi rodzice wierzą, że Jezus wróci? – ciągnie Romy. – Jak zombie?

– Ha, ha. Tak, chyba tak.

– To głupie – orzeka dziewczynka.

– Prawda? – rzuca Somer. – Do tego myślą, że kiedy wróci, będzie chciał zamieszkać w Finbrough. Zbudowali dla niego dom w centrum miasteczka i stworzyli wioskę dla najbardziej oddanych wyznawców. Wszyscy mieszkają w małych domkach, a największy czeka na niego. Jest w nim nawet kościół, żeby było wygodniej. Ale potem powstała tam autostrada... wielka, długa droga... i oddzieliła go od innych domów, co było dość zabawne.

– Jakie jest Finbrough? – pyta Romy. Wie, że tam się urodziła. Chce je sobie wyobrazić, bo większość dzieciaków w Chlewiku może dokładnie wskazać miejsce, w którym przyszły na świat.

– Właściwie... nijakie. To mała miejscina przy drodze z Londynu do Walii. Jej mieszkańcy przesypiają większość czasu, bo nie ma tam nic do roboty. Myślę, że mieszkają w Finbrough głównie dlatego, że stamtąd wszędzie jest blisko.

\* \* \*

Kończą zbierać kurki – jak zawsze zostawiają co dziesiątą, żeby wyrosły nowe – i idą pośród cętkowanych cieni. Somer porusza się niezdarnie, jej ruchy są ociężałe, a brzuch zdaje się ciągnąć do ziemi jej kościstą sylwetkę. Ciężarne kobiety dostają codziennie dodatkowe pół litra mleka, lecz inne przejawy obżarstwa są niemile widziane. Ojciec mówi, że trzeba być zwinnym i stać na własnych nogach, żeby móc uciekać, kiedy wydarzy się najgorsze. Ale bez ciężaru na plecach dla przeciwwagi Somer często wygląda, jakby miała przewrócić się na twarz. Ma rumianą buzię, a grube, gęste, lśniące jasne włosy zebrała w spleciony naprędce warkocz, żeby nie było jej gorąco. Latem włosy to prawdziwa udręka; tu wszyscy noszą je długie i obcinają raz na trzy lata. Martwi kupują włosy. Coś takiego! A jasne są najdroższe. Romy trzyma matkę za rękę i po raz pierwszy uświadamia sobie, że to ona chroni Somer, a nie na

odwrót, i znowu czuje się dumna. Wie jednak, że za trzy miesiące wszystko się zmieni.

– Czekasz na to? – pyta. – Żeby go poznać?

– Albo ją – poprawia ją Somer. – Tak. Nawet nie wiesz jak. Tym razem wszystko wygląda inaczej. To niesamowite, jak bardzo wszyscy się cieszą.

– Nie tak, jak to było ze mną – mówi ze smutkiem Romy.

Somer patrzy na nią i ściska jej dłoń.

– Byłyśmy w niewłaściwym świecie, skarbie. Chciałam cię. Chciałam cię od chwili, gdy dowiedziałam się o twoim istnieniu. Wiesz przecież, prawda?

Romy czuje się udobruchana.

– Po prostu... chciałabym tu pasować – mówi.

Matka patrzy na nią zszokowana. Osuwa się na kolana przed córką i ściska ją za ramiona.

– Ależ, Romy, pasujesz. Pasujesz. Nie wiesz o tym? Vita wybrała nas obie, nie tylko mnie. Byłaś tak bardzo upragniona, że zostałaś wybrana. Jesteśmy najważniejszymi ludźmi na świecie, Romy. Wiesz o tym. Dzięki Arce ludzkość przetrwa. Będziemy ojcami i matkami przyszłości. Po prostu oprócz nas nikt o tym nie wie.

– Wszyscy są nikim – recytuje Romy. – Każdy jest kimś.

– Właśnie.

– Ale to... – Kładzie dłoń na napęczniałym brzuchu matki. – To może być Jedyny. Ja nigdy nim nie będę.

Somer niezgrabnie dźwiga się z kolan.

– Nie. Ale to nie znaczy, że rzeczy, które robisz, nie będą miały znaczenia. Będiesz musiała się opiekować braciszkiem albo siostrzyczką. Kiedy się urodzi. Będiesz musiała dbać o maleństwo i strzec go, bo być może właśnie ono ocali cały świat.

– Skąd będziemy wiedzieć? – pyta Romy. – Czy to ono?

Jej matka kręci głową. Lucien ma trzynaścioro dzieci, ale tylko jedno będzie tym Jedynym.



– Właściwie nie wiem. Lucien mówi, że kiedy nadejdzie czas, Jedyne powstanie i powiedzie nas gdzieś, gdzie będziemy bezpieczni. Nie wiem, czy będziemy wiedzieć wcześniej. Musimy zaufać jego słowom.

– Lucien jest bardzo mądry – mówi Romy.

– Tak – zgadza się Somer głosem pełnym miłości i tęsknoty. – Jest najmądrzejszy. – Dziwnie rozmarzona, dotyka dłonią brzucha. – Do roboty – rzuca po chwili i podejmuje przerwana wędrowkę.

\* \* \*

– A więc to prawda, że chrześcijanie zjedli Jezusa? – pyta Romy, prowadząc matkę ścieżką biegnącą wzdłuż strumyka.

– Co?

– Tak powiedział Kiran. W Chlewiku. Mówił, że co niedzielę mają ceremonię, na której jedzą jego ciało i piją jego krew.

– Tak powiedział?

– Tak.

– To... – Somer się zatrzymuje. – Tak. Tak właśnie jest. Masz rację. Cokolwiek robisz, Romy, trzymaj się z dala od chrześcijan. To kult kanibali i jeśli nie będziesz ostrożna, zjedzą cię żywcem.

– Czyli nikt nie mieszka w domu Chrystusa? – dopytuje się Romy. Trudno jej to sobie wyobrazić. To takie... marnotrawstwo. W Plas Golau wykorzystują każdy skrawek przestrzeni. Mieszkańcy Arki śpią po sześciu, a czasami nawet po ośmiu w jednym pomieszczeniu, a wszystkie inne miejsca – stara kaplica, strychy i piwnice, przestrzeń między rzeczami i nad nimi – pełne są przedmiotów potrzebnych do przetrwania. Stodoły i magazyny, poddasza i haki wzdłuż belek... wszystko czemuś służy. Tu nic się nie marnuje.

– Nie – przyznaje Somer. – Ale dom musi wyglądać idealnie, na wypadek gdyby pewnego dnia w nim zamieszkał. Kobiety codziennie go sprzątają i przygotowują lekki posiłek, żeby zawsze miał coś do jedzenia.

Romy dostrzega przy skale duży zdrowy grzyb i podbiega, żeby go zerwać.

– Nie, Romy! – krzyczy matka. – Chcesz zabić nas wszystkich?

Dziewczynka zamiera.

– Nie patrzysz? – strofuje ją Somer. – Niczego cię nie nauczyłam?

Romy spuszcza wzrok. Dopiero teraz widzi, że grzyb wcale nie jest podobny do tych, które zbierały. Owszem, ma mocnej budowy nóżkę i duży kapelusz. Ale jest zielonkawy, a blaszki są białe.

– To muchomor zielonawy, głuptasie.

Dziewczynka wypuszcza go z ręki, jakby nagle zaczął ją parzyć. Dzieci w Arce uczą się o muchomorze zielonawym, muchomorze trującym i czubajeczce brązowoczerwonej na długo przed tym, zanim pierwszy raz pójda na grzybobranie. Podobnie jak cisy, naparstnice i pokrzyk wilcza jagoda, jak żmije, szchwół plamisty i nieprzemyte rany, muchomory obrosły szkolną legendą, którą wbija się dzieciom do głów, kiedy tylko nauczą się mówić. Ziemia jest piękna i to ona ich ocali, ale niektóre z rosnących na niej rzeczy mogą cię zabić.

– Nie, nie wyrzucaj go. – Somer wyciąga czarny worek i zgarnia do niego grzyba. – Gdzie go znalazłaś? Musimy oznaczyć miejsce, żebyśmy mogły tu wracać i zbierać je, aż całkiem znikną.

Romy wskazuje palcem. Teraz, kiedy się lepiej przyjrzała, widzi sześć niemal fosforyzujących kapeluszy odcinających się na tle poszycia.

– Nie wkładaj palców do ust – upomina ją matka. – Wystarczy dosłownie jeden, żeby zabić tuzin ludzi. Masz nie dotykać niczego, dopóki nie umyjesz rąk. Rozumiesz? – Owinąwszy palce workiem, pospiesznie zrywa pozostałe grzyby. – Chodź. Musimy już wracać. Zanieś je Vicie, żeby się ich pozbyła. Naprawdę, Romy... A wszystko szło tak dobrze.

– Przepraszam – mruczy dziewczynka. Palce ją swędzą i ma ochotę wytrzeć je o coś. Czuje się, jakby trucizna przesączała się przez wszystkie pory na jej skórze i lada chwila miała uszkodzić wątrobę. To długa, powolna śmierć. Człowiek ma zwidy i krwawi ze wszystkich otworów. Słyszała opowieści.

– Już dobrze – uspokaja ją Somer. – Po prostu... bądź bardziej ostrożna, zgoda? Gdyby trafił do koszyka z innymi grzybami, musiałybyśmy je wyrzucić i tłumaczyć się. Nic się nie stanie. Dobrze, że je znalazłyśmy. Wyszorujesz się porządnie szczotką i nic ci nie będzie. Robi się późno, a przecież nie chcemy spóźnić się na musztrę. Co dziś mamy?

– Gazy toksyczne – mówi Romy.

– No tak. Dawno ich nie było. Lepiej nie wyjść z wprawy.

## 8 | Romy | Wrzesień 2001

*Wszyscy są nikim. Każdy jest kimś.*

Kowale wykuli litery w kuźni i przymocowali je do łuku nad bramą. Czy wchodzisz, czy wychodzisz, przypominają ci o tym. Powtarzają to sobie nawzajem – jako komplement, jako zaprzeczenie – bo owo motto może służyć za obie te rzeczy. Dopiero jako nastolatka Romy dostrzeże bezbarwność i płytkość tych słów, a także innych porzekadeł, którymi kierują się w życiu. Lecz ich cel jest tak istotny, że nawet wtedy nie będzie to miało znaczenia. Codzienne życie polega na powtarzaniu przysłów i frazesów i na automatycznych odpowiedziach, które nie pozwalają im zejść z prostej drogi. A cel Arki jest szczytny.

\* \* \*

Romy klęczy w ogródku ziołowym za starą kaplicą i wrywa chwasty pleniące się wokół pluskwicy groniastej. „Ogród jest jak społeczeństwo – mawia Ojciec. – Niewyrywane chwasty zduszą pożyteczne rośliny i ukradną im substancje potrzebne do życia. Musimy być czujni. Złe myśli, złe pomysły i źli ludzie, wszystko to zagraża naszemu przetrwaniu”.

Pochłonięta swoim zajęciem, recytując łacińskie i angielskie nazwy rosnących wokół roślin, z początku nie zauważa wysokiej, postawnej postaci, która idzie ku niej od bramy cmentarza. Chwilę później, kiedy Vita woła ją po imieniu, Romy zrywa się na równe nogi. To oczywiste, że Vita zna imiona ich wszystkich, ale rzadko się do nich zwraca, więc kiedy już to robi, człowiek czuje się wyróżniony. A dzisiejszy dzień jest wyjątkowy. Matka późną nocą zaczęła rodzić i dziś Romy zostanie siostrą.

Albo sierotą, bo poród to poważna sprawa.

– Tak? – pyta. – Już po wszystkim?

Vita uśmiecha się promiennie.

– Tak – odpowiada. – Masz siostrzyczkę. Jesteś gotowa ją poznać?

Romy z trudem przełyka ślinę i kiwa głową. Siostrzyczka! Ale nawet w radosnym podnieceniu pamięta, żeby wymyć narzędzia w wiadrze przy pompie, wytrzeć je szmatką i odwiesić na miejsce.

\* \* \*

Przykapliczny cmentarz, na którym rodzina Llewellynów śpi pod zmurszałymi nagrobkami i w nieoznakowanych grobach spoczywają w zapomnieniu czcigodni zmarli z Plas Golau, jest pusty, za to na podwórzu pełno jest ludzi. Trwają zbiory i Kucharze wylegli z kuchni, żeby w wielkich kadziach gotować marmoladę – małe zastrzyki witamin na łyżeczkach. Na widok Vity i Romy przecinających podwórze przerywają pracę, żeby pogratulować dziewczynce. Narodziny to rzadkie wydarzenie, a dziś Romy została siostrą jednego z dzieci Luciena, co praktycznie czyni ją jego rodziną. Oczywiście Lucien jest Ojcem ich wszystkich, ale to coś innego.

Romy musi truchtać, żeby nadażyć za Vitą. Mijając ludzi, macha do nich i woła z delikatnym amerykańskim akcentem: „Tak! To dziewczynka! Obie czują się dobrze! Myślę, że za kilka dni Somer wróci do pracy. Ja na pewno. Nie, może jutro. Później odbędzie się Ceremonia Nadania Imienia, no i pewnie obie będą musiały odpocząć”.

Wszyscy się uśmiechają, kiedy widzą Vitę. Vitę i Luciena. Gdziekolwiek tych dwoje się pojawia, ludzie się uśmiechają. Dziś jednak uśmiechy wydają się inne, spontaniczne. Jakby naprawdę cieszą się szczęściem matki Romy.

Kiedy tak idą, drugi z dwóch samolotów pasażerskich wbija się w lśniącą wieżę budynku na Manhattanie, a cały zewnętrzny świat wstrzymuje oddech. To dzień, kiedy świat naprawdę się zmienia. Przed wieczorem w Plas Golau zawrze, kiedy jego mieszkańcy rozpoczną przygotowania. „Stało się”. „Stało się”. „Zaczęło się”. Nic tak nie rozgrzewa serc i nie mobilizuje jak spektakularne masowe morderstwo. Od lat czekali na taki właśnie jedenasty września.

\* \* \*

Infirmeria mieści się na pierwszym piętrze Wielkiego Domu. To jedyna część sypialna w budynku, poza pokojami Vity i Luciena. Dziś wieczorem w Wielkiej Sali zostanie wzniesiony toast. Wszyscy dorośli wypiją po kieliszku cydru, by uczcić narodziny dziecka, a alkohol sprawi, że staną się gadatliwi i niepoważni. Piją go tak rzadko, że od razu uderza im do głów.

Na schodach Wielkiego Domu stoi mężczyzna, którego Romy pierwszy raz widzi na oczy. Jej zdaniem wygląda staro – choć nie tak staro jak Vita – ale wśród wychudzonych ciał, do których widoku jest przyzwyczajona, i tak prezentuje się okazale. Jest wysoki i umięśniony, ma duży nos i opaloną twarz, a jego włosy wydają się wyjątkowo krótkie. Trzyma się prosto niczym bóg: głowa do góry, ramiona wyprostowane. Jest czujny, przez co przypomina jastrzębia gotowego w każdej chwili runąć na swoją ofiarę. W jego zaciśniętych ustach jest jakaś stanowczość.

– Kto to? – pyta nieco zdyszana po szybkim marszu. Jest zaciekawiona. Nie boi się, bo wie, że nikt tu nigdy nie wchodzi bez pozwolenia Luciena albo Vity.

– Kto? – pyta Vita i podąża za wzrokiem Romy. – A, on? Nie wiesz, kto to? No tak, skąd niby miałabyś wiedzieć. Nawet cię tu nie było, kiedy opuścił Plas Golau. To Uri.

Uri... Romy szuka w pamięci. I nagle sobie przypomina.

– Pierwszy syn Ojca? – pyta. – Ten Uri? – To oczywiście, nie ma przecież drugiego Uriego. Chociaż wszyscy noszą nazwisko ojca, Blake, każdy tu ma swoje wyjątkowe imię.

– Tak – odpowiada Vita. – Wyjechał dawno temu, ale ma teraz dwadzieścia trzy lata i wrócił. Przyjechał wczoraj.

Podchodzą bliżej. Mężczyzna usłyszał ich rozmowę; jego niebieskie oczy zwracają się w ich stronę, a usta zaciskają się nieco mocniej.

– Byłem w wojsku, dziewczynko – odzywa się. – Uczyłem się, jak zadbać o twoje bezpieczeństwo.

Vita uśmiecha się nerwowo.

– Tak. Uri będzie szkolił oddział Strażników, którzy będą nas strzec – tłumaczy. – Ojciec posłał go do armii, żeby nauczył się

walczyć. Przez jakiś czas szkolił się w górach Cairngorm. Teraz wrócił i będzie uczył walczyć nas.

– Bo koniec końców dojdzie do walki, Vito – oznajmia Uri i uśmiecha się do nich uśmiechem swojego Ojca. – Robię tylko to, co pozwoli nam przetrwać. Bo gdy nadejdzie Koniec, świat nie będzie już taki miły.

– Z czasem będziemy mieli do obrony więcej niż tylko własne pięści – mówi Vita i jej twarz wykrzywia się w grymasie, który Romy nie bardzo rozumie.

Uri nagle robi się poważny.

– Nie będziemy nikim, jeśli nie przeżyjemy – mówi. – Przetrwanie jest wszystkim. Chciałbym, żebyś to zrozumiała, Vito. Jeśli nie przetrwamy, nie będzie żadnej cywilizacji. Właśnie dlatego tu jestem. Żeby nas obronić.

Vita również poważnieje.

– Rozumiem, Uri. Rozumiem. Ojciec ci ufa, więc ja również muszę ci zaufać. Tymczasem idziemy odwiedzić twoją nową siostrę.

– Przyrodnią siostrę – poprawia ją Uri i Romy ma wrażenie, że robi to odruchowo. – A ona? Po co tam idzie? – Wbija wzrok w Romy, w jej ciemne włosy, oliwkową cerę i zielone oczy, jakby nigdy wcześniej nie widział takiej kombinacji.

Romy wcale by się nie zdziwiła, gdyby rzeczywiście tak było. Sama nie widziała nikogo, kto wyglądałby tak jak ona. Tak jak nie spotkała nikogo, kto wciąż nosił imię nadane mu przez Martwych. Lucien nie nadał jej nowego imienia; powiedział, że to, które ma, jest „wystarczająco dobre”. Romy nie potrafi zdecydować, czy dzięki temu czuje się bardziej, czy mniej wyjątkowa. Z pewnością czuje się inna. Obca.

– Romy jest przyrodnią siostrą twojej przyrodniej siostry – tłumaczy ze spokojem Vita.

– Pewnie urodziła się na Zewnątrz – domyśla się Uri.

– Wśród Martwych? Tak. Ale przecież nie mamy im tego za złe, prawda? – mówi z naciskiem Vita.

Romy zna swoją historię. Uri przyszedł na świat, zanim powstała Arka. Musiał. Bo założono ją dopiero dwadzieścia lat temu.

Dziewczynka przygląda mu się badawczo. To człowiek, który wierzy, że to on jest Jedynym, i który wrócił, żeby zająć należne mu miejsce.

Uri wzrusza ramionami.

– Pewnie nic się nie stanie, jeśli pula genów zostanie trochę zmieniona. – Po tych słowach odwraca się i idzie na dół po schodach.

\* \* \*

W Infirmierii Ursola, główna pielęgniarka, sterylizuje fotel porodowy, podczas gdy Somer leży w miękkiej, białej pościeli. To jedyna biała pościel, jaką Romy widziała w życiu. Dotyka jej ukradkiem, próbując przyzwyczaić się do tej nowej matki – słabej, uśmiechniętej kobiety z dzieckiem w ramionach. Pościel jest tak gładka i świeżo wyprasowana, jak się wydaje.

– Chodź i przywitaj się, Romy – mówi Somer.

– Twoja nowa siostrzyczka! – woła z kąta Ursola. – Urodziła się tak szybko, jakby nie mogła się doczekać wyjścia na świat.

Romy robi krok do przodu i wyciąga szyję, żeby zobaczyć twarz noworodka. Jest drobna, czerwona jak burak i cała pomarszczona. Dziecko ma zamknięte oczy. Nie tego się spodziewała. Nie widzi w nim niczego szczególnego, żadnego znaku, że to właśnie ono – a nie Uri czy ktokolwiek z pozostałej jedenastki – pewnego dnia będzie im przewodzić. A do tego jest takie maleńkie. Jeszcze wczoraj brzuch Somer był taki wielki, że wyglądała, jakby miała urodzić jałówkę, a nie dziecko. No i Romy nie czuje... nic. Tylko ukłucie zazdrości na widok matki trzymającej w ramionach inne dziecko.

– Fuj – rzuca.

Somer śmieje się głośno.

– Wyładnieje – zapewnia ją. – Ty wyglądałaś jak żaba!

Romy też się śmieje.



– Żaba? Wcale nie!

– Właśnie że tak. Miałaś wyłupiaste oczy i usta, które zajmowały połowę twarzy.

Dziewczynka nie wie, o co zapytać. Ta mama wygląda jak zupełnie obca osoba. Romy oczywiście wie wszystko o rozmnażaniu. Uczą się o wszystkim, co dzieje się w przyrodzie, i o życiu na farmie. W odpowiednim czasie locha idzie do knura, krowa do byka, a owce parzą się z baranami. W każde przesilenie Lucien wskazuje dwie kobiety, które urodzą dzieci, i wybiera im partnerów. Dla dobra sprawy muszą ograniczyć liczbę dzieci. Zbyt wiele niemowlaków mogłoby utrudnić sytuację, kiedy nadejdzie Koniec.

Minęło kilka lat, odkąd Lucien wskazał jako ojca samego siebie. Jego ostatnie dziecko, Heulwen, ma już prawie pięć lat. Somer dostała prawdziwego zaszczytu.

– Patrz, Romy! – mówi. Macha lewą ręką i wyciąga ją w stronę córki. Na trzecim palcu lśni gruba złota obrączka.

Romy przygląda się jej. Jest dużo piękniejsza niż zawinięty w kocyk oskórowany królik. Kobiety w Arce rzadko noszą ozdoby, ale są dwa wyjątki: obrączki, które Ojciec daje wszystkim matkom swoich dzieci, i medaliony z wygrawerowanymi imionami i datami urodzin, które te dzieci będą nosiły do końca swoich dni. Eilidh, jej najlepsza przyjaciółka, nosi taki medalion i dotyka go, gdy nie jest czegoś pewna. Dzięki temu pamięta, kim jest, i znajduje w nim pocieszenie.

– Jest piękna – zachwyca się Romy. – Teraz już wszyscy będą wiedzieli, że cię wybrał.

– Tak – przyznaje Somer. – To jak medal za męstwo.

Dziewczynka nie ma pojęcia, o co matce chodzi, i chcąc to ukryć, jeszcze raz patrzy na siostrę. Jest łysa. Ma na głowie meszek, ale nic poza tym. Mam nadzieję, że pewnego dnia urosną jej brwi, myśli Romy. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę chciała na nią spojrzeć, jeśli nie będzie miała brwi.

– Jak jej na imię? – pyta.

– Jeszcze nie wiemy – odpowiada Somer. – Dowiemy się podczas ceremonii. Wiesz, że Lucien nie podejmie decyzji, dopóki

nie zobaczy dziecka.

Tak, myśli Romy, to musi być odpowiednie imię. Odpowiednie imię dla Tej, która poprowadzi ich do nowego świata.

\* \* \*

I wtedy świat się zmienia. W jednej chwili są tylko we trzy, a zaraz potem na korytarzu słychać kroki i wrzawę, drzwi otwierają się i pokój wypełniają złoci ludzie. Potomstwo Luciena, Rodzina. Są wyżsi od niej, o włosach jasnych jak żadne inne i tak pewni siebie, że aż trudno to sobie wyobrazić. Uri, Zaria, Rohan, Jaivyn, Fai, Leana, Inara, Lesedi, Roshin, Farial, Eilidh, Heulwen. Teraz, kiedy Uri wrócił, jest ich dwanaścioro – Romy zna ich imiona, tak jak zna katechizm – a noworodek jest trzynasty. Przyszli nazwać swoją siostrę. Lada chwila dołączy do nich Lucien. Somer wita ich pełnym samozadowolenia uśmiechem; jest teraz członkinią tej dużej rodziny. Odchyła kocyk, żeby mogli zobaczyć dziewczynkę. Romy też się uśmiecha.

– Dobra, możesz już spadać – rzuca Zaria i wskazuje kciukiem drzwi.

Romy czuje, że coś w niej pęka.

– Nie – odpowiada.

– Tak – upiera się Rohan, krępy trzynastolatek.

– Chodź, Romy – mówi Ursola pełniąca wartę w kącie pokoju. – To czas dla Rodziny. Później przyjdiesz.

Romy spogląda na ich władcze twarze i zatrzymuje wzrok na Eilidh, z którą przyjaźni się w Chlewiku. Zna ją, odkąd skończyła osiem miesięcy. Eilidh ma otwarte usta, tak że widać drobne, białe zęby. Patrzy na Uriego, jak gdyby zobaczyła ducha. W Romy kiełkuje wściekłość, gdy uświadamia sobie, że nigdy nie będzie jedną z nich.

– Tylko prawdziwe rodzeństwo może tu zostać – ciągnie Zaria. Ma piętnaście lat i wyjątkowo rude włosy. Wyróżnia się wśród mieszkańców Plas Golau niczym płonąca pochodnia.

– Jestem prawdziwym rodzeństwem! – krzyczy Romy. – Moja mama...

Eilidh spogląda na nią i mówi bezgłośnie: „Przepraszam”. Wówczas Romy wybucha gniewem.

– Nigdzie nie pójde – warczy. – To także moja siostra.

Słyszając to, Jaivyn, arogancki dwunastolatek i łobuz, który zawsze dostaje najlepsze kąski, chwyta ją za rękę i ciągnie w stronę drzwi.

Romy się broni. Nauczyciele wielokrotnie rozmawiali z nią na temat jej zachowania, wybuchów wściekłości, które przetaczają się przez nią jak fale oceanu.

– NIE! Nie! Nigdzie nie idę! – Wierzga i chwyta za kostkę Uriego, który ma na nogach buty górskie. Ten spogląda w dół, jakby ugryzła go pchła. Wydyma wargi; oczy mu się śmieją. Dla ciebie to tylko cholerny żart, myśli Romy i pluje Jaivynowi w twarz.

Oślupiały chłopak patrzy na nią z odrazą i robi się purpurowy. Podnosi wielką, mięsistą dłoń i chwyta Romy za włosy. Jej długie do pasa piękne, czarne włosy są dla niego jak kotwica. Romy nie może nic zrobić. Jaivyn jest dwukrotnie od niej starszy i dwa razy większy. Ból jest okropny, skóra na głowie piecze ją tak, jakby lada chwila miała oderwać się od czaszki. Romy płacze. Po jej policzkach spływają gorące łzy bezsilnej wściekłości. Patrzy błagalnie na matkę, ale Somer siedzi na łóżku z dzieckiem w ramionach. Na jej twarzy maluje się smutek. Milczy.

Zabrała mi mamę, myśli Romy. Moja mama należy teraz do niej.

## 9 | Romy | Wrzesień 2001

Nikt nie przychodzi jej na ratunek. Płaczące dzieci zostawia się do czasu, aż się uspokoją, chyba że któreś z nich jest ranne. Ojciec mówi, że zachowania manipulacyjne powodują, że tracimy czas, i nadszarpują naszą reputację. Po pięciu minutach, podczas których Kucharze w Wielkiej Sali nakrywają do stołów i zamiatają podłogę, omijając Romy, jakby była posągiem, ociera oczy i wstaje. Wraca do ogródka ziołowego i z dziką zajadłością zaczyna wrywać chwasty.

Napełniwszy płytki koszyk, idzie wyrzucić je na przyzębę kompostową, kiedy pod wiodącą na cmentarz łukowatą bramą pojawia się Eilidh. Romy unosi głowę i mija przyjaciółkę stojącą wśród liści balsamki.

– Romy – zagaduje Eilidh, ale ona się nie zatrzymuje.

Eilidh idzie za nią. Romy wie, że w końcu z nią porozmawia, ale nie jest jeszcze na to gotowa. Kiedyś różnica między nimi nie miała znaczenia, myśli. Ale teraz ma, i to boli.

– Przepraszam, Romy – mówi Eilidh i Romy czuje, że znowu ogarnia ją złość. Odwraca się, żeby spiorunować przyjaciółkę wzrokiem, i widzi, że jej niebieskie oczy są wilgotne od łez.

– Płacz to manipulacja – mówi. – A może dzieci Ojca mogą płakać?

Ona nigdy nie będzie Jedynym, myśli złośliwie Romy, patrząc, jak Eilidh próbuje przełknąć łzy. Jest za miękka. Ktokolwiek nim będzie, musi być bezwzględny. Nie tak brutalnie bezwzględny jak Jaivyn, ale i nie tak ckliwy jak Eilidh.

Ale właśnie dlatego ją lubię. Nie potrafię być wobec niej złośliwa. Ona też nigdy nikogo nie potraktowała podle, aż do dziś, chociaż można jej zarzucić jedynie to, że nie stanęła w mojej obronie.

– Przepraszam – powtarza przyjaciółka. – Co miałam zrobić? Jestem najmłodsza z nich, nie licząc Heulwen.

– I mojej siostry – prostuje Romy.

– Tak – zgadza się Eilidh. – Ale takie są zasady. Wiesz o tym. Nie mogę ich ignorować. Nikt z nas nie może ich ignorować. Ale to nie znaczy, że nie jesteśmy przyjaciółkami, Romy. Bo jesteśmy. Zawsze będziemy przyjaciółkami. Razem przetrwamy Koniec. Są jednak zasady.

– Nawet jeśli to ty jesteś Jedynym?

– Oczywiście.

– Nawet jeśli jest nim moja siostra?

– Nie martw się, Romy. Już zawsze będziemy przyjaciółkami. Obiecuję.

– Nie musiałaś tak stać i pozwalać mu... – Romy czuje, że jej także łzy napływają do oczu. Odwraca się, żeby ukryć twarz. – Nie musiał mi tego robić.

– Nie – zgadza się Eilidh. – Nie musiał. Jest okropny. Chłopcy są okropni. Myślę, że popisywał się przed Urim.

– Bardzo to dojrzałe – rzuca Romy i opróżnia zawartość koszyka na pryzmę kompostową. Odwraca się i rusza w stronę grządki.

– On nie jest dojrzały – stwierdza Eilidh. – Tylko głupi.

Romy boi się tego, co wydarzy się, kiedy nadejdzie Koniec. Wszyscy się tego boją – strach ogarnia wszystkich za każdym razem, gdy pojawiają się wieści z Zewnątrz – ale świadomość tego, jak łatwo pokonał ją Jaivyn, uświadamia Romy ogrom niebezpieczeństwa. Kiedy upadnie cywilizacja, a miasta opustoszeją, będą musieli stawić czoło tysiącom Jaivynów, niezależnie od tego, jak dobrze są ukryci.

Muszę być gotowa, myśli. Nie mogę być jak Eilidh, która wierzy, że wszyscy są mili. Uri ma rację, potrzebujemy Strażników. Lecz musimy też wiedzieć, jak się obronić. Przed najeźdźcami i przed Jaivynami, którzy żyją wśród nas. Potrzebuję broni. Za kilka lat pójdę na praktyki do Kowali. Nóż. Oto czego chcę. Noża, żebym mogła się obronić, kiedy przyjdzie po mnie

Jaivyn. Każdy musi zrobić coś użytecznego. Nie jest nigdzie powiedziane, że nie może to być nóż. Rękojeść wystrugam, terminując u Stolarzy, jeszcze zanim zrobię skrzyneczkę. Zanim skończę dziesięć lat, nóż będzie gotowy.

To dużo czasu. Ale jeśli chcesz przetrwać, musisz planować.

Eilidh idzie za nią, klęka obok i również zaczyna wyrywać chwasty. Jeden po drugim wrzuca je do koszyka.

– To nie ja wymyśliłam zasady – mówi.

– Ale to i tak niesprawiedliwe – stwierdza Romy.

– Życie pełne jest niesprawiedliwości – cytuje odruchowo Eilidh. – Wszechświat jest okrutny i niesprawiedliwy.

Romy siada na piętach i patrzy na przyjaciółkę.

– Czy ty w ogóle chcesz być Jedynym?

Eilidh kręci głową.

– Oczywiście, że nie. Ale jeśli nim jestem, jeśli zostałam powołana, nie będę miała wyboru.

– Myślisz, że nim będziesz?

– Nie. Ani Jaivyn.

Romy zastanawia się przez chwilę.

– Myślę, że to Uri – odzywa się w końcu.

– Naprawdę?

– Przeraża mnie – wyznaje Romy. – Jest taki...

– Tak – bąka Eilidh. – Wiem.

– Czy oni wszyscy tacy są? No wiesz, Martwi?

– Nie mam pojęcia. Ale jeśli tak, cieszę się, że nie mieszkam na Zewnątrz.

\* \* \*

– Pewnie, że to może być Eden – mówi Eilidh, kiedy myją narzędzia. – Jedyny może być dziewczyną.

Tak, myśli Romy. I jeśli jest nim moja siostra, będą musieli mnie zaakceptować.

– Eden? – pyta. – Więc tak ma na imię?

Eilidh uśmiecha się promiennie. Poczula zmianę nastroju przyjaciółki i wie, że ta jej wybaczyła.

– Tak – odpowiada. – Ładnie, prawda? To dobre imię dla Przywódcy. Czyste i silne.

## 10 | Somer | *Grudzień 2002*

Siniaki zaczynają się goić, ale strach pozostaje, podobnie jak oskarżycielskie słowa wobec samej siebie, które bez końca rozbrzmiewają jej w uszach. Przesilenie. Wiem o przesileniu. Tak się kończy głupota!

Przepraszam, zwraca się do wszechświata. Przepraszam. Wiedziałam, żeby trzymać się w świetle, a jednak tego nie zrobiłam. Proszę, nie karz mnie bardziej. Proszę, niech to będzie tylko straszna chwila, coś, o czym będę mogła zapomnieć. Niech nigdy więcej się nie powtórzy. Proszę, niech nigdy więcej się nie powtórzy.

Somer jest na dyżurze w Infirmierii razem z Ursolą, kiedy z Chlewika przynoszą córkę Luciena, Farial Blake. Farial bywa tu regularnie. Jest dziwnym, niezdarnym dzieckiem, które często wpada na ściany i przewraca się na twarz. Dwa tygodnie temu trafiła do Infirmierii po tym, jak paskudnie rozcięła sobie stopę, więc Somer nie jest zaskoczona, że znów tu jest.

Kiedy jednak widzi jej twarz, zapomina o własnych lękach.

\* \* \*

Dzieci nie mogą zbliżyć się do ostrych narzędzi, ale nikomu nie przyszło do głowy, że może wydarzyć się nieszczęście, gdy Farial poszła zanieść koniom obierki z jabłek. Zaalarmował ich dopiero wrzask dziewczynki, gdy jedno ze zwierząt, spiesząc po przysmaki, nastąpiło na jej stopę w płóciennym buciku. Wszyscy dorośli natychmiast rzucili się na pomoc. Okazało się, że źle wbity hufnal w końskiej podkowie przebił materiał i skórę. Na szczęście ziemia nieopodal bramy jest błotnista, więc wszyscy odetchnęli z ulgą, widząc, że obyło się bez złamań. Vita opatrzyła ranę i przykazała mieszkańcom Arki, żeby natychmiast powiadomili ją, gdyby zauważyli u Farial objawy posocznicy; dziewczynka tymczasem pokuśtykała z dumą do Chlewika, by pokazać się przyjaciołom. W piątek Nauczycielka Farial przyznała, że



zachowała się nieodpowiedzialnie, a Kowal zgodził się, że spartaczył robotę. Oboje przyjęli karę i zapomniano o całej sprawie. Lucien jest wielkodusznym Przywódcą i kary są takie same bez względu na to, czy winny jest członkiem Rodziny, czy zwykłym mieszkańcem Plas Golau.

Dwa tygodnie później Farial zaczęła się szczyrzyć. Nie były to normalne uśmiechy, z jakimi zwykle witają dzień; miały w sobie coś dziwnego i złośliwego, co sprawiało, że inne dzieci płakały i chowały się po kątach. Farial twierdziła, że nie może nic na to poradzić. Już wtedy miała problemy z mówieniem, a gdy Nauczycielka dotknęła jej czoła, poczuła, że jest rozpalone i mokre od potu.

Somer jest nieco poirytowana, że musi dźwignąć się z krzesła, na którym zwija bandażę, i na widok Nauczycielki czuje niepokój. Kiedy jednak widzi dziewczynkę, którą ta trzyma w ramionach, mimo bólu w krzyżu zrywa się na równe nogi.

– Co się stało?

– Nie wiem – odpowiada Nauczycielka. – Może to jakiś żart, ale wygląda, jakby nie mogła przestać. Nawet kiedy ją połaskotałam, wyraz jej twarzy się nie zmienił. Pomyślałam, że lepiej będzie ją zbadać.

– Tak, oczywiście. – Somer przykładła dłoń do czoła dziewczynki, choć i bez tego widzi, że grzywka małej jest mokra od potu. – Z pewnością ma gorączkę – orzeka. – Jak się czujesz, Farial?

– Boli mnie głowa. – Nagle oczy Farial rozszerzają się i robią się okrągłe jak kółka zębate. Wargi rozciągają się do tego stopnia, że Somer boi się, że zaraz pękną, a upiorny uśmiech staje się coraz szerszy.

Jej zęby są zaciśnięte, zauważa Somer.

Ursola odchodzi od łóżka jedyne go pacjenta w Infirmierii. Jedną z korzyści płynących z życia na całkowitym odludziu jest to, że w Plas Golau rzadko dochodzi do epidemii. Dwa lata temu w okolicach przesilenia zimowego ktoś przywłókł ze sobą grype i pracowały dwadzieścia cztery godziny na dobę przez trzy tygodnie, żeby opanować sytuację. Na szczęście populację Plas

Golau stanowią głównie młodzi, silni ludzie – astmatycy nigdy nie przeszliby przez bramy – tak więc nikt nie umarł. Zwykle więc obowiązki Uzdrowicieli ograniczają się do opatrywania skaleczeń i siniaków, a znacznie rzadziej oparzeń czy złamań. No i sadzenia i pielęgnowania roślin leczniczych z myślą o dniach, kiedy nic już nie będzie rosło.

– Co się stało? – pyta Ursola.

Farial nie przestaje się szczerzyć i przewraca oczami, tak że widzą jej białka.

– Och – rzuca Ursola, po czym odwraca się i biegnie po Vitę.

\* \* \*

Po Apokalipsie nie będzie szczepionek, tak więc w Plas Golau również ich nie ma. „Szczepionki – mówi Lucien – osłabiają linię rodu i doprowadzają do tego, że słabe organizmy przeżywają w warunkach, w których normalnie by sobie nie poradziły. Trzeba nauczyć się żyć bez nich, bardziej uważać. I chociaż się o tym nie mówi, prośby o szczepionki dla niezarejestrowanych dzieci prowadzą do niewygodnych pytań w całej dolinie. Dorośli wychowani w bezmyślnej pobłażliwości Martwych zostali zaszczepieni zgodnie z wymaganiami autorytarne go rządu. Ale nie dzieci. Ich nie zaszczepiono przeciwko odrze, śwince czy różyczce. Przeciwko krztuścowi lub szkarlatynie. Nawet przeciwko tężcowi.

\* \* \*

Vita wpada na salę i wyciera dłonie ręcznikiem. Rzuca okiem na dziecko, po czym każe położyć je do łóżka.

Farial nagle wiotczeje. Jest jak drobna dziewięćdziesięcioletnia babulinka w ciele siedmiolatki. Klimt, myśli Somer. Jak na obrazach Klimta. Jest blada i dyszy. Z kącika jej ust spływa strużka śliny i skapuje na ubranie. Podczas Apokalipsy nie będzie szpitali. Poza tym w trakcie Apokalipsy szpital to ostatnie miejsce, w którym chciałoby się być. Żaden z mieszkańców Arki od dwudziestu lat nie był w szpitalu. Wie to każdy, kto przychodzi do Plas Golau albo się tu rodzi. Przetrwanie to kwestia silnej woli, walki i radzenia sobie z problemami. A jeśli śmierć powali ciebie albo twoich bliskich?

Cóż, to część umowy. Czy na świecie będzie miejsce dla słabych, kiedy z nieba zamiast deszczu zaczną padać ogień?

\* \* \*

Somer kładzie Farial do łóżka i próbuje wlać jej do ust odrobinę wody. Lecz gardło jest twarde jak marmur i dziewczynka prawie nie może przełykać. Woda ścieka jej z brody i spływa na poduszkę. Większość lekarstw Vity ma płynną formę. To nalewki, herbaty ziołowe, wyciągi i sproszkowane zioła. Wszystkie bezużyteczne.

– Musimy użyć rurki, żeby podać jej lekarstwa – mówi Ursola.  
– I drugiej, żeby mogła oddychać.

– Chcesz zrobić tracheotomię? – Somer jest przerażona. Czytała o tym w książkach, ale nigdy nie musiała stosować tego w praktyce.

– Weź się w garść – warczy Ursola.

Trzyletnie doświadczenie w zawodzie pielęgniarki dyplomowanej uczyniło z niej nieocenioną członkinię wspólnoty. Chociaż przebywa w Plas Golau krócej od Somer – zjawiała się tu jako sto osiemdziesiąta ósma, a Somer jako sto czterdziesta druga – jest jej przełożoną.

– Nie mamy wyjścia – stwierdza Ursola. – Nadal ma szansę przeżyć. Ludzie wychodzą z tego cało.

– Ilu?

Ursola odwraca głowę. Farial milczy, ale wciąż jest przytomna.

– Wybacz – bąka zawstydzona Somer. Każda praca ma nieprzyjemne aspekty. Nie można całe życie parzyć wywarów z kory wierzby i wdychać zapachu olejku lawendowego. Ociera czoło dziewczynki wilgotną ściereczką, podczas gdy Ursola gotuje wodę potrzebną do sterylizacji skalpeli.

Pod prześcieradłem brzuch Farial zaczyna się unosić, jakby ktoś ciągnął go za niewidzialne sznurki. Somer widzi, że dziewczynka chce krzyknąć, ale z jej ściśniętego gardła ulatuje jedynie syk.

– Ktoś musi powiedzieć Lucienowi – mówi Ursola.

Somer i Vita patrzą na nią.

– Ja mu powiem – odzywa się w końcu ta druga.

\* \* \*

Rankiem Lucien przyprowadza do szpitala Luz, matkę Farial. Luz ma czerwone oczy i nikt się jej nie dziwi, bo nawet w tym spartańskim świecie utrata jedyne dziecko, jakie kiedykolwiek będziesz miała, jest potworną stratą. Oczy Luciena również są czerwone, bo choć ma wiele dzieci, każde życie w Plas Golau jest dla niego równie cenne.

Dzięki wprowadzonej do krtani rurce Farial przynajmniej oddycha, a Vita wykorzystwała część niewielkich zapasów opium, które uzyskuje z rosnących w Plas Golau maków. Z początku obawiały się, że sonda do karmienia nie wytrzyma szczękościsku, ale mleczone zęby pękały jeden po drugim i wyplute nie stanowią już zagrożenia. Farial leży senna i milcząca na poduszkach, a jej drobnym ciałem co rusz wstrząsają spazmy.

Luz stoi przy łóżku i oddycha z trudem. Somer czuje, że sytuacja ją przerasta. Gdyby to było moje dziecko, myśli. Gdyby to była Romy albo Eden, ja też chciałabym umrzeć. I nagle myśli: O Boże, nie chcę mieć więcej dzieci. Proszę, proszę, nie pozwól mi mieć więcej dzieci. Zrobię wszystko, jeśli ustrzeżesz mnie przed ciążą. Nagle przypomina sobie, że przecież nie ma Boga, i coś chwyta ją za gardło.

Lucien kładzie rękę na ramieniu Luz. Jest taki dobry. Dla niego ta strata musi być wyjątkowo bolesna, lecz zawsze, naprawdę zawsze, służy przede wszystkim swoim ludziom.

– Czasami – zwraca się do niej – wypadki się zdarzają. Bez względu na to, jak bardzo jesteśmy ostrożni i jak dobre są nasze intencje, wypadki się zdarzają.

Pacjentka w łóżku na końcu sali straciła skórę na ręce i udzie po tym, jak kadełko smażących się owoców spadła z trójnogu, kiedy akurat przechodziła obok. Dżem wrze w temperaturze stu pięciu stopni, a do tego jest lepki. Przywiera do skóry niczym klej. Oparzenie na udzie było głębokie na półtora centymetra i Vita z Ursolą musiały uszczuplić zapasy cennego opium, żeby usunąć

martwą tkankę, zanim będzie za późno. Lucien odwiedził kobietę tydzień temu. Drugiej wizyty nie będzie.

– Gdybym tam była... – mówi Luz.

– Nie mogło cię tam być – tłumaczy jej Lucien. – To nie twoja wina.

Ciałem Farial znowu targa spazm, a jej żebra strzelają jak petardy. Ona krzyczy w środku, myśli Somer i zaciska zęby, kiedy drobna rączka zamyka się na jej palcach z taką siłą, że Somer boi się, że je połamie. To straszne. Straszne. Czy dobrze robimy, że ją tu trzymamy? Czy nie powinniśmy zabrać jej do zimnego, oświetlonego jarzeniówkami szpitala z prawdziwego zdarzenia, w którym nikt jej nie kocha?

– Młodzi tak bardzo walczą o życie – odzywa się Lucien. Podnosi wzrok i po raz pierwszy, odkąd wszedł, napotyka spojrzenie Somer. Patrzy na nią obojętnie, jakby jej nie poznawał. Jestem dla niego nikim, myśli Somer. Teraz, kiedy urodziłam jego dziecko, zachowuje się, jakbym nigdy nie istniała. Zapłacił mi obrączką. Pospiesznie odgania od siebie tę myśl.

Vita kładzie rękę na drugim ramieniu Luz. Patrząc na nich, Somer czuje ich ból. Po policzkach Luciena toczą się łzy. To musi pomagać Luz, myśli. Świadomość, że tak bardzo im zależy. Wszyscy jesteśmy ich dziećmi. Somer odsuwa od siebie przelotne wspomnienie twarzy Luciena widzianej w blasku ognia w jego sypialni i dodaje do sondy odrobinę opium.

– Musisz z nią zostać – zwraca się Vita do matki dziewczynki. – Bądź przy niej cały czas. Przyniesiemy ci krzesło, żeby było ci wygodnie.

– Dziękuję – szepcze Luz. Słowa więzną jej w gardle. A więc Farial nie pojedzie do szpitala. Sami dbamy o naszych chorych. Tu, w Plas Golau.

Lucien zostaje przez całą godzinę. W milczeniu siedzi przy łóżku córki i trzyma jej matkę za rękę. W końcu wychodzi i więcej się nie pojawia.

Cztery dni później Farial umiera, a jej ciało zostaje pogrzebane na przykaplicznym cmentarzu. Po pogrzebie nikt nigdy więcej o niej nie mówi.

**WŚRÓD MARTWYCH**  
*Październik 2016*

## 11 | Romy

Jest bardzo cicho.

Chociaż nie. To po prostu zupełnie inny rodzaj hałasu niż wiejskie odgłosy Plas Golau. Dźwięki ulicznego ruchu, dobiegający z dołu warkot maszyn. Mam otwarte okna, bo słoneczny październikowy dzień jest niezwykle duszny. Co minutę albo dwie słyszę ryk silników samolotów, które wzbijają się w niebo tuż nad moim dachem, przez co mam wrażenie, że gdybym stanęła przy kominie na szczycie tego dwupiętrowego budynku i wyciągnęła ręce, mogłabym się ucześcić potężnych, czarnych kół, które zwisają maszynom z podwozi.

W dole na chodnikach słyszę nigdy niemilkące głosy ludzi, którzy wchodzą i wychodzą ze stacji metra; rozbrzmiewają dzień i noc i są dużo bardziej niepokojące niż mechaniczne dudnienie. Mieszanina akcentów, wśród których jeden jest szczególnie mocny i dominujący, zakładam więc, że tak mówią miejscowi. Wielu mówi językami, których nie rozumiem. Lecz Londyn jest jednym z tych miejsc, do których ludzie z całego świata przybywają szukać szczęścia i bogactwa i w którym każdego dnia można usłyszeć dwieście pięćdziesiąt języków. Nie mogę się doczekać, żeby stąd uciec. Odnaleźć swoich i wynieść się stąd.

Eden. W zeszłym miesiącu były jej urodziny, a to znaczy, że były również urodziny Ilo, choć ich nie zanotowaliśmy. Eden będzie miała piętnaście lat. Teraz opiekuje się nią państwo. Mój czas odpoczynku dobiegł końca. Muszę opuścić to małe, głośnie schronienie i zacząć ich szukać. Ilo jest jeszcze taki młody. Jest silny i odważny, ale muszę znaleźć Eden i zadbać o jej bezpieczeństwo. Wiem, że on mnie zrozumie. Teraz, kiedy mam ciebie, kiedy rośniesz w moim brzuchu. Muszę ochronić ją, żeby ochronić ciebie. Ale nie dziś. Podróż do tego miejsca – prędkość, odległość przyprawiająca o zawroty głowy, miliony nowych widoków – wykończyła mnie i nawet patrzenie przez okno na

tych wszystkich obcych ludzi przytłacza. Napełnia lękiem i smutkiem. Oni nie mają pojęcia, co się wydarzy.

Mleko, które zostawiła Janet, jest dobre, pomidory są bez smaku, a chleb jest gliniasty. Tęsknię za prawdziwymi pomidorami nagrzanymi od słońca wlewającego się do szklarni, słodszy i bardziej pachnący od śliwek. Przez chwilę grzebię przy telewizorze i w końcu znajduję swojego ulubieńca, mężczyznę o imieniu Jeremy, który krzyczy na grubych ludzi na kanale dwudziestym siódmym. To program, który zawsze leciał w świetlicy w Domu Przejściowym. Spencer mówił, że to ich uspokaja, świadomość, że ludzie tacy jak my są pokazywani w telewizji. To miejsce dobre jak każde inne, żeby poznać dystopijny świat, w którym wciąż uczę się żyć.

Mam jedzenia na trzy dni, jeśli będę oszczędnie nim gospodarować. Potem będę musiała wyjść i stawić czoło światu. Nigdy dotąd nie byłam strachliwa, ale po wyjściu ze szpitala odkryłam, że różne rzeczy stanowią dla mnie wyzwanie. Melanie twierdziła, że to normalne, że zespół stresu pourazowego to poważna sprawa i że muszę przestać być dla siebie taka surowa. Łatwo jej mówić! Mam dziecko do wykarmienia i rodzeństwo, które muszę odnaleźć. Do tego potrzeba odwagi.

Łapię się na tym, że celowo przedłużam każdą czynność i robię wszystko, żeby się uspokoić. Myję każdy talerz i kubek zaraz po tym, jak ich użyję, co jakiś czas przygotowuję drobne przekąski – krojonego pomidora, jajko na twardo, tost z piekarnika – zamiast zjeść jeden większy posiłek. Rozpakowuję pudełko Janet i ustawiam znaleziony w nim płyn do mycia włosów i ciała na półce przy umywalce. Wkładam do szafek naczynia, które dała mi Melanie, i wieszam prześcieradło w oknie sypialni, żeby ludzie z naprzeciwka mnie nie widzieli.

Dopiero potem otwieram swoją skrzyneczkę. Zerkałam na nią od kilku godzin, zostawiając ją na sam koniec i ciesząc się na myśl o tym, co w niej znajdę. Mam dziwne przeczucie, że gdy uniosę wieczko, cała jej zawartość zniknie albo rozpadnie się w pył, jak egipska mumia.

Oczywiście pamiętam wszystko, co w niej jest. Jeśli cały twój dobytek ogranicza się do tego, co zmieścisz w drewnianej skrzynce o wymiarach pięćdziesiąt na trzydzieści i na



dwadzieścia pięć centymetrów, pamiętasz każdy szczegół. Och, ale znów poczuć je i zobaczyć. Te małe pamiątki z domu. Wyciągam je, jedną po drugiej, i ważę w dłoniach. Małe rzeczy, wielkie wspomnienia.

Mydło pachnące lawendą.

Zdjęcia. Jedno mamy, kiedy była nastolatką, może w wieku Eden, z twarzą przykrytą grubą warstwą makijażu, ustami pomalowanymi czarną szminką i oczami podkreślonymi czarną kredką jak u egipskiej bogini. Upozowana fotografia mamy i jej rodziny. Wszyscy stoją na ganku – rodzice z tyłu, a dzieci z przodu. Mama wygląda na jakieś dwanaście lat, przypuszczam więc, że jej siostra, Sarah, moja ciotka, ma jakieś pięć.

Wąski pasek trzech zdjęć, na których jestem z mamą. Powiedziała, że były cztery i że zrobiła je w fotobudce. Odcięła jedno i wysłała moim dziadkom. Ma na nim siedemnaście albo osiemnaście lat. Jest chuda i wygląda na wystraszoną; trzyma mnie tak, jakby bała się, że mnie połamie, i zboliałym wzrokiem patrzy w obiektyw. Nie ma makijażu ani zaczesanych do tyłu włosów, które widziałam na poprzednim zdjęciu. Teraz wygląda jak mała mysz albinos.

To jedno z dwóch zdjęć, na których jestem ja. Somer dała mi je, mówiąc, że ona ma wspomnienia, a ja nie, i że powinnam mieć jakąś pamiątkę z dzieciństwa. My nie robiliśmy zdjęć. Nie używaliśmy też luster, chyba że do celów medycznych albo do rozpalania ognia. Ojciec twierdził, że przeglądanie się w lustrach to przejaw narcyzmu.

Na kolejnej fotografii jesteście ja i moi przyjaciele, Kiran i Eilidh, gotowi na nasze pierwsze przesilenie. Jedynym wyjątkiem od reguły o nierobieniu zdjęć było osiągnięcie przez nas dorosłości. Przypominało to znakowanie. Stawaliśmy się Prawdziwymi Ludźmi, ludźmi, którzy przynajmniej mieli swoje miejsce w historii i których warto było uwiecznić dla potomności. Były to nasze pamiątki z rytuału przejścia, jak zasuszone wianki, które przekazemy tym, co nadejdą po nas. Ursola miała hałaśliwe urządzenie wypluwające białe kartoniki, na których – jeśli pomachało się nimi w powietrzu – stopniowo pojawiały się kolory i kształty, a w końcu całe zdjęcie. Zrobiła trzy – po jednym dla każdego z nas. Wyglądamy na nich tak młodo. Eilidh i ja

mamy na głowach wianki. Ja jestem jak zwykle czujna, za to Eilidh uśmiecha się od ucha do ucha. Stojący między nami Kiran wpatruje się w obiektyw i rozciąga usta w półuśmiechu. Trzech młodych ludzi gotowych na imprezę. Tęsknię za nimi. Tak bardzo, że czuję niemal fizyczny ból.

Przez dłuższą chwilę przyglądam się zdjęciom i opuszką palca dotykam znajomych twarzy. Chce mi się wyć, bo nigdy więcej ich nie zobaczę. Nie wiem, co zrobili z ciałem mojej matki. Nikt nie pytał, czy chciałabym je odzyskać – zresztą co miałabym z nim zrobić? – i nie sądzę, żeby pragnęła je odzyskać rodzina, która nie chciała jej nawet wtedy, kiedy żyła. Nie wiem, co w tej sytuacji robi się z ciałami. Pewnie pali i nigdy więcej o nich nie wspomina.

Odkładam zdjęcia na bok i zaglądam do skrzynki.

Wianek z kwiatów, wysuszony i zgnieciony między dwoma kawałkami tektury, żeby się nie rozpadł. Pamiątka z dnia, kiedy stałam się kobietą. Miałam go na głowie, gdy szłam obciąć włosy.

Mały drewniany konik wystrugany z mozołem przez Kirana podczas długiej, ciemnej zimy, kiedy miał dwanaście lat. Jest niezdarne i dynamiczne; jego grzywa i ogon zdają się unosić na wietrze. Kiran dał mi go, bo... sama nie wiem. Nigdy go o to nie pytałam.

Płaczę, ponieważ uświadamiam sobie, że nie ma już Kirana, Ursoli, Somer czy Vity. Żadnego z nich. A przecież nigdy nie płaczę. Ale tak wiele straciłam. Tak bardzo wiele.

Kiedy przestaję płakać, stawiam konika na kominku i wieszam wianek na haczyku, na którym kiedyś wisiał jakiś obraz. I nagle to posępne mieszkanie wydaje się bardziej przytulne, bardziej domowe.

Następnie znajduję w skrzynce coś, na widok czego łzy napływają mi do oczu. Zawinięta w skrawek materiału, leży obrączka mojej mamy. Wyrzucili tę obrączkę, kiedy mama była w ciąży z Ilo, jak gdyby ten przedmiot został skażony. Zakradłam się i wyciągnęłam ją z naszego małego wysypiska śmieci w dawnym kamieniołomie, skąd wcześniej brano kamienie na budowę domu – nie było to trudne, bo praktycznie nie produkowaliśmy żadnych odpadów – i schowałam do skrzynki.

Właściwie nie wiem, dlaczego to zrobiłam. Po prostu miałam przecucie, że obrączka kiedyś może się przydać. I chyba tak właśnie jest. Wsuwam ją na środkowy palec lewej ręki i przyglądam się jej. Pasuje, jakby zrobiono ją specjalnie dla mnie. Łzy płyną mi po policzkach.

\* \* \*

Kiedy się uspokajam, zmieniam kanał w telewizji i oglądam program o osobach, które nie mogą przestać gromadzić rupieci – ubrań, kawałków drewna, starych gazet; domy tych ludzi są tak zagracone, że poruszają się w tunelach między stertami śmieci. Jedna z kobiet przygarnia koty, więc wszędzie walają się kocie kupy. Kiedy prowadzący program odsuwa stos książek, znajduje zmumifikowane ciała kociąt i podłogę gnijącą od moczu.

Patrzę na to kątem oka, myślę o nas i o milionach Martwych, którzy żyją w ten sposób, i szukam po omacku na dnie pustej skrzynki pętelki splecionej ze źdźbeł piaskownicy. W końcu zahaczam o nią palcem i ciągnę. Podwójne dno podnosi się i oto są – moje ostatnie skarby, lśniące w swoich przegródkach. Policja i pracownicy opieki społecznej nigdy nie oddaliby mi tej skrzynki, gdyby o nich wiedzieli, ja jednak od razu czuję się bezpieczniejsza. Na dnie, owinięte w bibułę, leżą dwa przedmioty ze świata współczesnego: karta bankowa i maleńki kawałek plastiku i metalu wielkości małego paznokcia. Karta SIM do telefonu.

A jeszcze głębiej pod nimi moje pocieszenie. Moja ochrona. Mój nóż.

**PRZED KOŃCEM**  
*2002–2003*

## 12 | Romy | *Grudzień 2002 – marzec 2003*

Miesiąc przed każdym przesileniem wśród kobiet rośnie napięcie. Obserwują się, oceniają szanse swoje i innych. Romy nie rozumie tej palącej potrzeby rozmnażania się i noszenia pod sercem dziecka, ale w miarę jak przybywa nocy, a ubywa dnia, jest ona coraz bardziej wyczuwalna, niczym woń potu.

Sześć miesięcy starań. Wtedy wszystko jest możliwe. W Arce jest więcej kobiet niż mężczyzn, więc jeśli zawiedziesz za pierwszym razem, może być tak, że już nigdy nie dostaniesz drugiej szansy. Lucien stoi na schodach Wielkiego Domu, patrzy i bawi się w Boga. Nie lubi, kiedy matki są po trzydziestce, a ojcowie nie. A wszystkie kobiety, nawet te starsze, których łona zaczęły już obumierać, modlą się, kiedy je mija: Ja, ja, niech tym razem to będę ja. Niech jego wzrok spocznie na mnie, niech zobaczy, jaka jestem silna, młoda i zdrowa. Jeśli nie wybierze mnie dla siebie, niech zrobi to dla któregoś z mężczyzn.

Lucien wie najlepiej. Która jest najzdrowsza, najbardziej płodna, która urodzi najlepsze dzieci. Ich przyszłość zależy od jego wyborów, bo dzieci nie mogą być cherlawe. Arka potrzebuje siły, inteligencji i odporności, dzięki którym przetrwa Wielką Katastrofę. Lucienowi wystarczy jedno spojrzenie.

Czasami, kiedy dokonywano wyborów i ogłaszał imiona szczęśliwców na ceremonii dobierania, Romy widziała, jak niewybrane kobiety odwracały się i odchodziły, kryjąc twarze w dłoniach.

\* \* \*

Zauważyła, że w jej matce dokonała się jakaś zmiana. Stała się cicha, zamknięta w sobie. Czasami wzdryga się pod czyimś niespodziewanym dotykiem i przecina podwórze za każdym razem, gdy w pobliżu pojawia się któryś z przemądrzałych strażników Uriego. Chodzi ze wzrokiem wbitym w ziemię i czasami dziwnie wylamuje ręce. Pewnego ranka po przesileniu,

kiedy wraz z innymi kobietami przyszła do Chlewika, żeby wypuścić dzieci po tym, jak spędziły w nim całą noc, miała zaczerwienione oczy. Później w umywalni, gdy inne kobiety stały odwrócone, Romy zauważyła siniaki na jej ramionach i udach. „Upadłam – powiedziała Somer. – To nic takiego. Niezdara ze mnie. Potknęłam się o kamień i poobijałam się. Dostałam nauczkę. Koniec z cydrem”. Romy miała wtedy siedem lat, roześmiała się więc na myśl, że jej matka jest taką niezgułą. Potem umarła Farial i wszyscy w Chlewiku byli smutni, bo to, że o kimś nie rozmawiamy, nie znaczy, że o nim nie myślimy, tak więc Romy zakładała, że Somer, która przy tym była, smuci się z tego powodu. Później wcale już o tym nie myślała.

\* \* \*

Przed wiosennym przesileniem wiadomo już, że jedna z kobiet jest w ciąży. Promienieje dumą, chodzi jak kaczką i trzyma się za krzyż, choć do rozwiązania zostało jeszcze parę miesięcy. Oczy drugiej są podkrążone od nieprzespanych nocy, a jej partner chodzi, jakby nosił dobre wieści z Gandawy do Akwizgranu<sup>3</sup>.

Trzy dni po równonocy dzwon na wieży kaplicy zaczyna bić i wszyscy mieszkańcy spieszą na dziedziniec. Wiedzą, że nic im nie grozi – o tym informuje podwójny dźwięk dzwonu powtarzany mniej więcej w dwusekundowych odstępach – i że to nie początek Końca, bo wówczas usłyszą gwałtowne bicie, które nie ustanie, dopóki wszyscy nie będą bezpieczni; teraz wydarzyło się coś doniosłego. Zdrada lub triumf, a może woda zalała któryś z magazynów. Patrzą na siebie w milczeniu. Czy ktoś okryje się dziś hańbą? Ty? A może ty?

Romy, zajęta sadzeniem fasoli przy kratownicy otaczającej Chlewik, zrywa się na nogi i biegnie do środka po Eden. Dziewczynka ledwie przestała gaworzyć, ale wszyscy muszą brać udział w zebraniu. Eden jest ciężka i wierci się, co spowalnia Romy. Kiedy ta uświadamia sobie, że w sadzie oprócz nich nie ma już nikogo, nie zważając na wrzaski i protesty, resztę drogi pokonuje biegiem. Lawiruje na krętej ścieżce między klombami, żeby stanąć w miejscu, skąd będzie miała dobry widok.

Odliczają kolejno, żeby wszyscy wiedzieli, kto jest obecny. Po numerze Sto Czterdzieści Jeden następuje cisza i Romy dopiero

po chwili wywołuje swój numer; niepokój, który towarzyszy jej, podobnie jak innym w trakcie tych spotkań, nasila się. Ona i matka przybyły do Arki tego samego dnia, więc to oczywiste, że mają kolejne numery. Wykrzykuje numer Eden, ale gardło ma tak wyschnięte, że sama ledwie słyszy swój głos.

Nagle drzwi do Wielkiego Domu otwierają się i wszyscy widzą, że grzesznicą jest Somer. W tłumie rozlega się pomruk.

Somer. To Somer. Matka Eden Blake, na litość boską. Ach, jakże nisko upadają wielcy!

Ze spuszczonego wzrokiem, cieniami pod oczami i twarzą czerwoną od płaczu wylania się z mroku za plecami Luciena i Uriego. Po jej lewej ręce stoi Ursola, po prawej Vita, a z tyłu czterech posepnych Strażników, jakby obawiali się, że będzie próbowała uciec. Romy nie zna połowy dzisiejszych Strażników. Pierwszy oddział składał się z ludzi, których pamięta z Chlewika, lecz Uri przyprowadził kilku z Zewnątrz. Niektórzy to jego dawni koledzy z armii Martwych, a innych zwerbował podczas szkolenia w górach Cairngorm. „Lojalność – mówi. – Od swoich Strażników oczekuję przede wszystkim lojalności”.

Głowa Somer jest łysa jak jajko. Ktoś ściał jej włosy i ogolił ją do skóry. Pewnie Vita, bo zwykle ona wykonuje najsurowsze kary.

Mijają minuty. Lucien rozgląda się po twarzach zgromadzonych, wypatrując w nich lubieżności. Jego ostatnia służąca, kobieta, której przypadła zaszczytna rola matki jego dziecka, upadła tak nisko, że nawet nie może na nią spojrzeć. Ale Arka patrzy. O tak, patrzy i widzi. Somer jest taka chuda – wszyscy są chudzi – że trudno jej ukryć oznaki ciąży: obrzmiałe piersi, zaokrąglony brzuch. Wygląda, jakby jej ubrania się skurczyły i jakby zmalała.

Romy jest zgorziona. Płonie ze wstydu. Ludzie stojący obok niej i Eden odsuwają się, jakby hańba, którą okryła się ich matka, mogła być zaraźliwa. Jak mogłaś? – myśli Romy i przypomina sobie parzące się świnię i wrzaski na wpół zdziczałych kotów gnieźdzących się w pobliżu magazynów. Jak mogłaś? Nie potrafiłaś się opanować? Nie masz silnej woli? Kolejny raz Romy czuje wstyd związany z jej własnym poczęciem. Jest jak zwierzę

w rui, myśli, wiecznie napalona, zawsze gotowa się parzyć. Tylko kilkoro dzieci w Arce ma braci albo siostry, ale wszystkie zostały poczęte, kiedy ich rodzice żyli jeszcze wśród Martwych. Nikt nie ma dwójki rodzeństwa. Nikt. Jej matka zostanie napiętnowana na zawsze. Już zawsze będzie dziwadłem. Wszyscy nimi będą, cała trójka. Nawet błogosławiona Eden.

Biedny Lucien. Serce jej pęka na myśl o Ojcu. Jakim zaszczytem obdarzył jej matkę, myśli. A ona jak mu się odpląca? Eden piszczy i Romy uświadamia sobie, że wbija palce w drobniutkie ramionka siostry.

Lucien odchrząkuje i zaczyna przemawiać.

– Co mamy począć? – pyta. – Co mamy począć?

Mówi o zdradzie. Somer nie jest pierwsza. Wszyscy powinni się wstydić. A oni stoją i słuchają, podczas gdy światło się zmienia, w Kuźni wygasa ogień, a chleb wylewa się z form. Romy żałuje, że nie wzięła płaszcza, jak zrobili to starsi i mądrzejsi, nim porzuciwszy pracę, pobiegli na dziedziniec, bo gdy słońce kryje się za okapem dachu, zaczyna drzeć. Eden szamocze się jej w ramionach, a kiedy dociera do niej, że się nie uwolni, zaczyna płakać. Przestań, proszę, przestań, błaga w myślach Romy, podczas gdy stojący obok ludzie popatrują na nią ze złością, jakby liczyli, że jakimś cudem uciszy siostrę. Od ciężaru wijącego się ciała bolą ją ręce, kolana i – pierwszy raz w życiu – plecy. Mimo to trzyma siostrę na rękach, bo jeśli tego nie zrobi, sprowadzi na siebie karę.

Tymczasem Lucien nie przestaje mówić. Vita, Ursola, Uri i Strażnicy stoją niczym posągi. Somer wbija wzrok w stopień, na którym stoi; na jej łysej głowie zasychają strużki krwi.

– Kłamcy – grzmi Lucien. – Kłamstwa, oszustwa i kradzieże. Kiedy tu przychodziliście, obiecywaliście nam wszystkim, że z tym skończycie. Ta kobieta okradła łona swoich sióstr. Każdy, kto postępuje tak jak ona, kradnie dziecko komuś innemu.

Gdzieś w tłumie zaczyna szlochać kobieta. Przez Somer jedna z nich nie dostanie swojej szansy podczas kolejnego przesilenia.

– Czy ktoś chciałby coś wyznać? – pyta Ojciec.



Patrzy ponad ich głowami na zapadający zmrok, a oni wstrzymują oddech i zagląдают do wnętrza swoich dusz.

– Nikt? Co mamy począć? – pyta ponownie, kiedy głodni, spragnieni, zziębnięci stoją w ciemności, drżąc i marząc o tym, by położyć się i zasnąć. – Co mamy począć?

Ursola robi krok do przodu.

– Wszyscy go zdradziliśmy – mówi. – Patrzyłam na swych braci i siostry ze złością. Kradłam dodatkowy chleb. Odpoczywałam, gdy powinnam była pracować dla dobra nas wszystkich. Nie jestem lepsza od innych... ani od nich gorsza.

Z wiszącej na biodrze torby wyciąga maszynkę do strzyżenia i podaje ją Vicie. Rozwiązuje chustę, pod którą skrywa włosy, i pada na kolana.

## 13 | Romy | *Wrzesień–listopad 2003*

Przychodzi na świat, krzycząc, kiedy zbiory owoców są w pełni, i Romy nie ma o niczym pojęcia. Nie zauważa nawet, że od dwóch dni nie widziała matki. Każdy mieszkaniec Plas Golau, który może chodzić i rozumie proste polecenia, jest w sadzie i nikt nie wyczekuje jego narodzin tak, jak wyczekiwano przyścia na świat Eden. Właściwie Romy uświadamia sobie, że matka urodziła, gdy ta, dawno zdegradowana do roli Farmerki, wraca na pola, wyglądając jak balon, z którego uszło powietrze. Romy nie podchodzi do niej i o nic nie pyta. Od sześciu miesięcy prawie nie rozmawiają, chociaż śpią w tej samej sali. Wstyd jest nie do zniesienia, a widoczne wokół ogolone głowy bez przerwy przypominają jej o tym, że miała związek z grzechem.

W Chlewiku pozostałe rodzeństwo Eden dyskretnie przejęło nad nią opiekę i Romy przystała na to, bo wie, że bękart na dobre pozbawił ją korzyści płynących z posiadania siostry w Rodzinie. Jest teraz dla Eden tym, kim są pozostałe dzieci, nawet Eilidh jest dla niej tak samo ważna jak Romy. Przynajmniej nie musi dłużej walczyć z obojętnością. Jeśli to Eden okaże się Jedynym, byłoby dobrze, gdyby wiedziała, kim jest Romy, ale nie musi już udawać, że jest oddana siostrze, która nigdy nie była bliska jej sercu.

Nie odwiedza swojego małego braciszka. Lucien nazwał go Ilo, ale zamiast przyjść osobiście, wysłał do Infirmierii posłańca.

\* \* \*

Ilo pojawia się w Chlewiku w listopadzie, kiedy z powodu mrozu nie może towarzyszyć matce na polu. Przynosi go Ursola, wręcza koszyk Nauczycielce, a ta stawia go na dywaniku przed piecykiem i wraca do wyliczania nabożnych czynów.

Ponieważ Romy zna je na pamięć, może sobie pozwolić na odrobinę ciekawości. Stojąc w trzecim rzędzie, z niższymi dziećmi przed nią i wyższymi za jej plecami, ma dobry widok na tłumoczek leżący przy palenisku.

– Kłamca to złodziej – recytuje. – Ten, kto okłamuje swych braci, kradnie im jedzenie. – Widzi drobną, czerwoną rączkę, która wysuwa się spod kocyka i macha. – Obietnica to puste naczynie – mówi. Stojąca obok niej Eilidh niedawno straciła jedyne i wypowiedzenie tego następcza jej wyjątkowych trudności. Tobołek przy ogniu wierzga rączkami i nóżkami. Wygląda jak larwa, myśli Romy. Jak tłusta larwa żerująca na plonach. Będą chcieli, żebym go zobaczyła. Żebym się nim zajęła, ale ja tego nie zrobię. To nie moje dziecko i nie mój błąd. Nie ukarzą mnie za niego.

Stojąca dwa rzędy przed nią Eden recytuje niezdarnie, choć z wielkim zapałem:

– Wszyscy są nikim, każdy jest kimś.

– Jesteśmy Arką – mówią. – Jesteśmy przyszłością. Od nas zależą losy ludzkości. – Po wszystkim jak zawsze wiwatują i rozchodzą się na poranną przerwę.

Romy wkłada kurtkę, żeby wyjść na dwór i pobawić się z innymi dziećmi, zanim zaczną się obowiązki, lecz Nauczycielka ją zatrzymuje.

– Nie przywitasz się ze swoim braciszkiem? – pyta.

Romy zamiera z ręką w rękawie. Właściwie nie jest to pytanie, tylko polecenie. Eilidh także przestaje się ubierać. Mimo hańby, jaką okryła się Romy, wciąż jest jej przyjaciółką i nadal jest wobec niej lojalna.

– No tak – rzuca entuzjastycznie. – Chodź, Romes.

Romy przez chwilę waha się, czy nie odmówić, lecz w końcu wzdycha i odkłada kurtkę na bok. Eden wybiega na podwórze razem z Heulwen i Roshin, śmiejąc się jak ktoś, kto nigdy nie poczuje ciężaru brzemienia. Bo to prawda. Nikt jej nie mówi, że ma pokochać bękarta. Eden została stworzona do wyższych celów.

Podchodzą do piecyka. Romy cieszy się, że ma przy sobie Eilidh, bo wie, że gdyby została sama z Nauczycielką obserwującą każdą jej reakcję, byłoby dużo trudniej.

Jest owinięty w płótno. Dla kogoś takiego jak Ilo nie ma kocyka z angory. Nawet nie przypuszcza, jak wiele nas łączy, myśli

Romy. Od początku jesteśmy niepasującymi elementami. Wyrzutkami. Ale to nie znaczy, że muszę... och.

Eilidh ściągnęła mu czapkę, więc widzą teraz jego twarz. Pierwsza myśl Romy jest taka, że nie jest tak brzydki jak jego siostra. A druga, która niczym fala wypływa na powierzchnię umysłu, przesłaniając wszystko inne, jest taka, że jest podobny do nich wszystkich. Do matki. Do Eden. I do niej. To jasnowłosa wersja mnie, myśli. Pierwszy raz widzę kogoś, kto wygląda jak ja. Próbuje zobaczyć siebie w Somer i Eden, ale na próżno. Z nim jest inaczej. Widzę w nim siebie. Mój Boże, widzę w nim siebie.

Kiedy Ilo otwiera oczy, Romy widzi, że są niebieskie. Malec przez chwilę rozgląda się, aż w końcu zatrzymuje na niej wzrok i uśmiecha się.

Rozpoznaje mnie, myśli Romy.

– Cześć, szkrabie – mówi i daje mu palec. – Cześć, Ilo. Mam na imię Romy. I jestem twoją siostrą.

**WŚRÓD MARTWYCH**  
*Październik 2016*

## 14 | Romy

Mój nóż jest piękny. To najpiękniejsza rzecz, jaką mam. Jest idealnie wyważony i idealnie ostry. Wyrzeźbiłam trzonek z dwóch wąskich kawałków drewna orzecha włoskiego, żeby pasował do mojej dłoni i leżał w niej tak, jakby był jej przedłużeniem. Kowale zamknęli między nimi ostrze, połączyli nitem z żelaza wytopionego z końskiej podkowy i polerowali tak długo, aż stało się lśniące. Jest niedługie, ale ostre. Już sama świadomość, że mam je w kieszeni dzinsów, przynosi mi pociechę.

To jednak za mało, żebym wyszła z mieszkania. Zanim to zrobię, miną pełne trzy dni.

Potrzebuję jedzenia, gotówki i telefonu. Mam dwanaście funtów, które muszą mi wystarczyć na kilka dni, chociaż nie sądzę, żebym kupiła za nie telefon. Muszę znaleźć bibliotekę, żebym mogła skorzystać z internetu. Muszę też dowiedzieć się, jak dojechać do Finbrough, bo nie mam pojęcia. A gdzie indziej mogłabym zacząć poszukiwania brata i siostry?

\* \* \*

Spędzam niemal godzinę na ubieraniu się. Nie mam zbyt wielkiego wyboru, ale trwa to tak długo, bo trzęsą mi się ręce i muszę robić przerwy, żeby odpocząć i uspokoić oddech. W końcu zażywam beta-bloker, który przepisano mi w Weston – moje galopujące serce po prostu nie chce zwolnić – i muszę odczekać pół godziny, aż tabletki zaczną działać. Nie chcę brać ich więcej, niż to konieczne, ale w głowie mi się kręci i czuję się tak, jakby serce miało wyskoczyć mi z piersi. Przepraszam, maluszku. Twoja mama pozwoliła sobie na chwilę słabości. Nie jestem lwicą, której będziesz potrzebował, żeby cię chronić.

Kiedy tabletki zaczynają działać, decyduję się na dzinsy, koszulkę oraz granatową bluzę z kapturem i dużą kieszenią z przodu, bo po pierwsze mogę w niej ukryć nóż, a po drugie chcę

pozostać anonimowa, przynajmniej na razie. Po tłumach spieszących do pracy na ulice Hounslow wylegają dzieci w szkolnych mundurkach, więc z łatwością zniknę w tłumie. Klucze i kartę bankową chowam do stanika, a pieniądze do kieszeni. Wychodzę. Nie biorę kartki z zapisanym na niej adresem mieszkania. Wbrew temu, co myśli Janet, nie mam problemów z pamięcią.

\* \* \*

Drzwi zamykają się za mną, a ja wciąż żyję. Nikt nie rzucił się na mnie z maczetą, nic nie wybuchło i żadna pokryta czyrakami ofiara epidemii nie czepia się mnie, błagając o pomoc. Ludzie, wszędzie ludzie. Mijają mnie na chodniku i żaden z nich nawet nie patrzy w moją stronę. Wysoko w górze przelatuje samolot. Teraz, kiedy nie dzielą nas mury domu i dach, dźwięk jest tak głośny, że wzdrygam się i przywieram do ściany, którą mam za plecami. Chwilę później już go nie ma, a ja jestem w drodze do Magicznego Pianina.

Karta bankowa była wymysłem Vity. Każdy z nas miał jedną, w razie gdybyśmy nagle potrzebowali pieniędzy, jeśliby ktoś z nas się zgubił, został porwany albo uwięziony i musiał zapłacić za powrót do domu. Oczywiście nie ma już domu, ale pieniądze najprawdopodobniej nadal są w banku i jestem pewna, że Vita przyznałaby, że wykorzystuję je w słusznej sprawie.

Znajduję Magiczne Pianino (Spencer powiedział, że tak się to nazywa) wbudowane w szkło okienne supermarketu. Na chodniku obok siedzi mężczyzna. Ma brudne włosy i jeszcze brudniejszą kurtkę, a także przyjaznego brązowo-białego psa i styropianowy kubek z paroma dziesięciopensówkami na dnie, stojący na kartonie z napisem: JESTEM BEZDOMNY I GŁODNY. PROSZĘ O POMOC.

Wolałabym, żeby go tu nie było. Może wszyscy tak myślą i dlatego ten człowiek jest bezdomny i głodny. Nie mogę dać mu nic, dopóki nie skorzystam z Magicznego Pianina, a nie chcę z niego korzystać, kiedy on tu jest. Podchodząc, zwalniam i staram się wyglądać na niezdecydowaną.

– W porządku, skarbie – odzywa się mężczyzna. Jego głos brzmi, jakby dobiegał z kanału burzowego, spękanego, pełnego

brudu i śmieci. – Nie okradnę cię.

– Sądzi pan, że tak właśnie pomyślałam? – pytam.

Potrząsa psim łańcuchem.

– Ludzie zawsze tak sądzą, kiedy widzą bezdomnego – odpowiada.

– A mają powód? – pytam.

Patrzy na mnie zdumiony, a zaraz potem wybucha śmiechem.

– No, no – rzuca. – Od dawna nie spotkałem nikogo z takim poczuciem humoru.

– A mnie od dawna nikt nie powiedział, że mam poczucie humoru – mówię. Lody zostały przełamane i już się go nie boję. Sięgam do kieszeni i wyjmuję kartę, którą znalazłam w skrzynce. Wsuwam ją do czytnika i wbijam numer. 0712. Urodziny Ojca.

Maszyna zastanawia się przez chwilę, po czym na ekranie pojawia się liczba, na której widok mrugam gwałtownie. 73 887,00.

Gapię się na nią. Nie sądziłam, że na całym świecie może być tyle pieniędzy. Może nastąpiła pomyłka i przecinek powinien być w innym miejscu.

Na swoim koncie mam nieco ponad czterysta funtów. W Domu Przejściowym nie wydawaliśmy dużo.

73 887,00.

**CZY CHCESZ WYKONAĆ KOLEJNĄ TRANSAKCJĘ?**

Ręka mi drży. Wciskam TAK. A zaraz potem WYDRUKUJ POTWIERDZENIE. Myślę, że powinnam je mieć na wypadek, gdyby ktoś chciał je zobaczyć. Jeśli jeszcze jest ktoś taki, kto chciałby je zobaczyć. Wszyscy się rozproszyli i z tego, co wiem, nie ma już Arki.

Wybieram dwieście funtów. Nie wiem, ile kosztuje telefon. Mam nadzieję, że to wystarczy. Czekam zdenerwowana, aż rozlegnie się jakiś alarm, ale kilka sekund później maszyna wypluwa kartę, zaczyna warkotać i ze szczeliny wysuwają się banknoty.

– Dasz funcika na herbatę? – pyta natychmiast mój towarzysz.



Daję mu dziesięć funtów, co powinno wystarczyć na chleb, ser, gin, heroinę czy co tam chce sobie kupić. W Domu Przejściowym wiele się nauczyłam.

– O jacie! Dzięki, skarbie – rzuca i chowa pieniądze do brudnej kieszeni.

– Pewnie nie powie mi pan, gdzie jest biblioteka – mówię.

Facet kręci głową.

– Chyba jest jakaś przy Hounslow Central.

– Dojdę tam pieszo?

– A próbowałaś ją wyszukać?

Zaciskam zęby.

– Nie mam gdzie. Właśnie dlatego potrzebuję biblioteki.

Patrzy na mnie rozbawiony.

– Chwileczkę – mówi i sięga do kieszeni. Wyjmuje jeden z tych małych ekraników, w które wgapiają się ludzie, przez co wpadają na siebie na ulicach. Stuka w niego palcem raz, drugi i trzeci, aż w końcu mówi: – Proszę – i odwraca go w moją stronę.

Na ekranie widzę mapę. Mapę! Jest za mała, żebym widziała dokładnie, więc kucam obok niego na chodniku.

– Jejku – bąkam. – Ma pan internet w kieszeni?

– Skąd ty się urwałaś? – pyta. – Z Marsa?

– Z Walii – odpowiadam i uznaję to za wystarczającą odpowiedź. Patrząc na mapę i próbuję ją zapamiętać, ale jest za mała, żebym mogła odczytać nazwy ulic. Mężczyzna wykonuje pospieszny ruch palcami i nagle obraz się powiększa. – Jejku – mówię zachwycona. – Jak się nazywa to urządzenie?

– Telefon komórkowy – odpowiada ze śmiechem. W jego ustach brzmi to jak tele-fooon-komór-kooo-wy. Kiedy uczyli nas, jak wkładać kartę SIM, telefon miał klawiaturę z przodu i mały ekran, na którym wyświetlało się to, co wpisywaliśmy.

– Gdzie mogę kupić coś takiego? – pytam. Mając taki telefon, nie będę potrzebowała biblioteki. To niesamowite, że bezdomny ma w kieszeni taki cud technologii.

– Jak to gdzie? – rzuca. – W sklepie.

– W jakim sklepie?

– Jeśli chcesz nowy, to w sklepie z telefonami – tłumaczy. – Ja ten kupiłem w lombardzie. Kosztował dwadzieścia funciaków. Jak dojdiesz do głównej ulicy, skręć w lewo. – Wskazuje mi drogę.

– Jejku, dzięki. Warto było dać panu dziesięć funtów.

– Daj spokój – mruczy. – Zabawna jesteś. Nie powinnaś wymieniać kasy na usługi. Po prostu daj mi pieniądze i powiedz przyjaciółom, jaka byłaś hojna.

– Nie mam przyjaciół.

– No to teraz będziesz mogła powiedzieć całemu internetowi – pociesza mnie. – To prawie to samo.

\* \* \*

Wracam do domu uboższa o sześćdziesiąt funtów i pięć pensów. Czterdzieści wydałam na telefon, dziesięć na ładowarkę, kolejne dziesięć na dwuminutowy instruktaż od sprzedawcy w lombardzie na temat tego, jak go włączyć, i pięć pensów na torbę, do której spakowałam zakupy. Niesamowite! Będę potrzebowała lat, żeby zrozumieć, ile co jest warte. W Minimarcie przy Bath Road sześć jajek kosztuje funta i siedemdziesiąt dziewięć pensów, a torba, którą kupiłam, jest praktycznie niezniszczalna.

Po powrocie do mieszkania znajduję w telefonie książkę adresową i otwieram ją. Jest w niej tylko jeden numer od lat przechowywany na karcie SIM w razie nagłych wypadków. Stukam w niego palcem i czekam.

Odbiera po ósmym sygnale, kiedy zaczynam się martwić, że tego nie zrobi. Że to już naprawdę koniec. Że może nigdy nie odbierze i zostanę sama jak palec.

– Do diabła – mówi. – Myślałem, że nie żyjesz. Co robisz w Hounslow, Sto Czterdzieści Trzy?

Skąd wie? Nagle ogarnia mnie panika. Rozglądam się po pokoju, jakbym spodziewała się zobaczyć w kącie któregoś ze swoich dawnych towarzyszy.

– Widziałem, że ktoś użył karty w Hounslow – mówi. – Poważnie, nie spodziewałem się, że to będziesz ty. Gdzie byłaś, Sto Czterdzieści Trzy? Zrobiłaś sobie krótkie wakacje w jaskini rozpasania?

– Przepraszam – rzucam. – Zabrali moją skrzynkę jako dowód. Dopiero mi ją oddali.

– Jasne, dość tych ckliwych opowiastek. Czego chcesz?

– Chcę wrócić. Chcę wrócić do domu.

## 15 | Romy

– Do domu? – mówi. – Myślisz, że jest tu dla ciebie miejsce?

Poniekąd spodziewałam się takiej reakcji. Muszę rozegrać to ostrożnie.

– Tak – odpowiadam. – Moje miejsce jest wśród was. Zawsze było. Gdybym mogła, byłabym teraz z wami. Lucien zawsze powtarzał, że bez względu na wszystko powinniśmy się trzymać razem. Wiesz o tym. Zawsze chciał, żebyśmy gromadzili się wokół Jedyne.

Pochlebstwo. Nie kłamstwo, bo nie potrafię kłamać. Ale Uri myśli, że mówiąc o Jedynym, mam na myśli jego. I nie ma w tym nic złego, prawda, maluszku?

Cisza. Trwa tak długo, że podnoszę telefon do oczu, żeby sprawdzić, czy przypadkiem się nie rozłączyłam. W końcu słyszę głos:

– A niby czemu miałbym cię przyjąć z powrotem?

– Ja...

– Nie było cię w autobusie – mówi.

Po plecach pełźnie mi lodowaty chłód.

– Uri! – protestuję. – Zostawiliście mnie!

Sardoniczny śmiech.

– Jeśli mam być szczery, Sto Czterdzieści Trzy, to byłem prawie pewien, że ci się nie uda.

Nie wiem, co powiedzieć. Myślałam, że to zniosę. Że zniosę jego.

Znowu śmiech.

– Ale pokazałaś, że potrafisz przetrwać. Trzeba ci to przyznać.

\* \* \*

Staram się unikać wspomnień. Zwykle mi się udaje, ale rozmowa z Urim i błaganie go sprawiają, że powracają. Mam nadzieję, maluszkę, że nigdy nie dowiesz się, jakie to straszne, kiedy człowiek leży przykuty do łóżka, gdy przeszło setka ludzi umiera za oknem. Te krzyki. Wrzaski. Jęki. Słyszysz to wszystko przez szybę, drewno, a nawet przez kamień. Ale nikt nie słyszy ciebie. Ludzie wpełzali po schodach do miejsca, w którym byłem. Nie po to, żeby mnie znaleźć, lecz po to, by się ratować. Nikomu się nie udało. Matka... Słyszałam ją, jak wołała moje rodzeństwo; jej znajomy głos wzbijał się ponad innymi. W końcu ona również zamilkła.

Później nastąpiła cisza. Dni wypełnione ciszą, zanim w końcu mnie znaleźli. Słyszałam trzepotanie skrzydeł padlinożernych ptaków, które ucztowały na podwórzu.

– Proszę – mówię. – Powiedz mi, gdzie jesteście. Pozwól mi wrócić do domu. – Oczami wyobraźni widzę go na podwórzu w Plas Golau, choć wiem, że na pewno go tam nie ma. Ale musi być w podobnym miejscu. Miejscu, które łatwo odciąć od świata i łatwo obronić, w którym łatwo zamknąć ludzi i w którym łatwo przewidzieć atak. Górską wioską. Sprawdziałam góry Cairngorm i wiem, że są wielkie. Zresztą nawet gdybym ich znalazła, nie dostałabym się tam bez zaproszenia.

– Tak, muszę przyznać, że zdobyłaś mój szacunek – odzywa się. – Ale to jeszcze nie znaczy, że masz moje zaufanie. Wiele się zmieniło, Sto Czterdzieści Trzy, i od miesięcy nie mieliśmy z tobą żadnego kontaktu.

– Wiesz, co się dzieje, jeśli przerwiesz kurację antybiotykową w połowie? – pytam. – Nic dobrego z tego nie wychodzi.

– A jednak jesteś tu – rzuca.

– To nie jest wymówka, tylko fakt. Poza tym zabrali moją skrzynkę jako dowód w sprawie. Wiesz, kiedy ją odzyskałam? Wczoraj.

Plus minus trzy dni. Ale on przecież nie musi wiedzieć o wszystkim. Zwłaszcza o tym, co mogłoby świadczyć o mojej słabości.

– Wymówki.

– Dobra – wycofuję się. – Powiedz, czego ode mnie chcesz?

– Znalazłaś swoje rodzeństwo?

– Szukam. Są nieletni. Najwyraźniej nie mogą tak po prostu powiedzieć mi, gdzie są. Będę potrzebowała pozwolenia od tego, kto się nimi zajmuje. Nie sądzę, żebym trafiła na listę opiekunów. Nie po tym, jak znalazłam się w psychiatryku po masowym samobójstwie i całej reszcie.

– Chryste, Sto Czterdzieści Trzy... – mruczy. – Coś ty porabiała przez ten cały czas?

– Czekałam, aż mnie wypuszczą.

– Musisz ich znaleźć – mówi.

– Wiem.

– Powinniśmy byli wziąć chłopca ze sobą. Był dobry. Miał talent. Nieźle się zapowiadał.

– Oni są razem – przypominam mu.

– W takim razie dopilnuj, żeby ona też była bezpieczna.

Milczę, bo nie ufam własnemu głosowi. Nawet jej jeszcze nie znalazłam. Nie spojrzalam jej w oczy i nie przypomniałam sobie, że kiedyś była moją siostrą.

– Zostało troje – mówi Uri. – Nie tylko ona.

– Naprawdę? – Myślałam, że tylko jedno. Nie dwoje. Kim jest to drugie?

– Musisz je znaleźć – rzuca. – Nikt z nas nie będzie spokojny, dopóki nie upewnimy się, że są bezpieczni.

Kładę rękę na brzuchu i kciukiem głaskam miejsce, w którym wyobrażam sobie, że jest twoja główka. Już dobrze, maluszk. Kiedy oni będą bezpieczni, ty także będziesz bezpieczny. Widzisz? Już jesteśmy o krok bliżej. Odczekuję trzy uderzenia serca, żeby pomyślał, że się zastanawiam.

– Kto jeszcze? – pytam w końcu.

– Siedemdziesiąt Osiem – odpowiada.

Odliczaliśmy się każdego wieczoru przed kolacją, by mieć pewność, że nikt się nie zgubił, nie zachorował ani nie oddalił się

bez pozwolenia, więc po dwudziestu latach pamiętam niemal każdy numer. Ja byłam numerem Sto Czterdzieści Trzy, a moja matka – Sto Czterdzieści Dwa. Eden to Dwieście Jeden, a Ilo – Dwieście Dwadzieścia Sześć. Uri lubi używać zamiast imion numerów. Tylko jego Strażnicy mieli imiona. Nas nazywali Trutniami.

Siedemdziesiąt Osiem to Jaivyn Blake. Spodziewałam się tego, bo uciekł na Zewnątrz, zanim to wszystko się stało. Nie lubiłam Jaivyna. On też nas nie lubił. Z tego, co widziałam, nie lubił nawet swoich rówieśników. Nadal pamiętam, jak sponiewierał mnie tego dnia, kiedy urodziła się Eden. Z radością go odnajdę.

– I Sto Trzydzieści Dziewięć – ciągnie Uri.

Serce podchodzi mi do gardła. Eilidh.

– Och – bąkam. – Myślałam, że ona... – Urywam.

Nie widziałam, jak umiera. Nie tak jak Zaria czy Farial. Nie widziałam ciała, po prostu założyłam, że skoro zniknęła... To ja wzięłam jej skrzynkę z sali sypialnej i dałam ją Vicie. Przecież nie odeszłaby bez niej. Chociaż... jednego dnia była, a drugiego już nie i nigdy więcej o niej nie rozmawialiśmy.

– Gdzie ona jest? – pytam.

– Próbujemy to ustalić – odpowiada. – Ty też możesz się tym zająć.

– Myślałam, że my...

– Nie ma żadnych nas, Sto Czterdzieści Trzy – przerywa mi. – Znajdź ich i udowodnij mi, że są bezpieczni. Wtedy porozmawiamy.

– Nie wiem, co robić – mówię. – Od czego zacząć.

– Zacznij od siebie – radzi mi. – I nie wyłączaj telefonu. Skontaktuję się z tobą, kiedy się czegoś dowiem. I znajdź mi tego chłopca... jeśli jeszcze żyje.

## 16 | Sarah

Wychodząc, pracownica opieki społecznej prosi Sarah „na słówko” i prowadzi ją na ceglany parking, który wszyscy sąsiedzi nazywają szumnie „podjazdem”. Tam wręcza jej opasłą teczkę papierów.

– Przepraszam – mówi. – Trochę to chaotyczne. Ale musiałam upchnąć wszystko razem. Będzie musiała je pani poukładać, zanim przekaże je nowemu pracownikowi opieki społecznej.

– Rozumiem – bąka Sarah. – Dziękuję.

– Chodzi o to, że są tam pewne rzeczy, które pewnie zechce pani zatrzymać. Jak choćby akty urodzenia. Będą pani potrzebne. Trochę to trwało, ale udało nam się je wyrobić. Bez nich praktycznie nie da się nic załatwić. Jeśli ktoś oficjalnie nie istnieje, nie ma go w państwowych bazach danych... sama pani rozumie.

– Chyba tak.

– W każdym razie jako opiekun prawny dzieci siostry będzie pani potrzebowała tych dokumentów. Chociażby do szkoły, zwłaszcza że rozpoczną naukę od drugiego półrocza. Są tu też karty szczepień. Szkoły coraz mniej chętnie przyjmują dzieci, które nie mają wymaganych szczepień. Odporność stadna i takie tam. Jest kilka szczepień, które trzeba będzie powtórzyć, kiedy już zarejestruje pani dzieci u lekarza. Obawiam się, że w kwestii rzeczywistych dat urodzenia możemy tylko zgadywać. Cóż, z Eden było w miarę łatwo: przysięga, że urodziła się jedenastego września. Ale Ilo... Chyba wie, kiedy został poczęty, więc podaliśmy orientacyjną datę.

– Dziwne.

– Wygląda na to, że w okolicach zimowego przesilenia. – Pracownica opieki społecznej wzrusza ramionami. – Najwyraźniej przesilenia były dla nich czymś ważnym. Chociaż



nie sędzę, by poczęcie pani siostrzeńca było planowane. To bardziej wpadka, którą zaliczyła mat... pani siostra.

Nie pierwsza, myśli Sarah. Zdumiewa ją jej własna złośliwość.

– W każdym razie wybraliśmy czternasty wrzesnia i pewnie niewiele się pomyliliśmy.

– Urodziny w jednym tygodniu – mówi Sarah. – Chryste...  
Dzięki za informację.

Pracownica opieki społecznej posyła jej promienny uśmiech.

– Będę musiała zadbać o to, żebyśmy jakoś to uczcili – dodaje Sarah i ona również się uśmiecha. – Dziękuję, że się tym zajęliście. Nie wiedziałabym nawet, od czego zacząć.

– Proszę mi wierzyć, nie chcemy, żeby w prowadzonych przez nas domach dziecka dochodziło do epidemii krztuśca.

– Dziękuję – powtarza Sarah.

Stoją na podjeździe przy samochodzie pracownicy opieki społecznej, która bawi się kluczykami i aktówką pełną kanapek oraz papierowych teczek, jakby nie mogła się doczekać, aż wróci za kółko. Do Dolgellau jest spory kawałek drogi. Sarah cieszy się, że przynajmniej nie będzie musiała znowu tam jechać.

– To miłe dzieci – zapewnia ją optymistycznie kobieta. – Grzeczne.

– Tak – rzuca Sarah. – Takie sprawiają wrażenie.

– Cóż... – Kobieta spogląda na dom i najwyraźniej wyciąga wnioski na temat zarobków Sarah. – Muszę wracać. Czeka mnie długa podróż. Aha, jeszcze jedno... – Sięga do kieszeni i wyciąga kartkę formatu A4. – Miałam to pani dać.

Sarah rozkłada kartkę. 136 B Bath Road. Kod pocztowy wskazuje na Twickenham, Hampton, a może okolice Heathrow?

– To adres ich przyrodniej siostry. Pomyślałam, że powinna go pani mieć, choć istnieją powody, dla których nie możemy jej podać pani adresu. Dzieci są nieletnie, a ona jest dorosła, ale niewiele o niej wiemy. Do niedawna była w szpitalu psychiatrycznym. Proszę o tym pamiętać. Ocenić sytuację, zanim zdecyduje się pani z nią skontaktować. Może uda się pani ich

wybadać? Zobaczyć, czy chcą mieć z nią kontakt. Jeśli tak, myślę, że nie byłoby to zły pomysł.

– Dziękuję – mówi Sarah. – Pewnie ta ich siostra przyrodnia nie ma numeru telefonu?

– Z tego, co wiem, nie.

– Dobrze. – Sarah składa kartkę. Schowa ją do portfela, żeby jej nie zgubić.

\* \* \*

Ilo spogląda na portrety swoich przodków. Oboje z Eden dotarli aż do jadalni. To znaczy, że są ciekawscy.

– Kto to? – pyta.

– Wasi przodkowie ze strony matki – tłumaczy Sarah. – Wszyscy mieszkali tu przed nami. To on... – wskazuje na swojego pradziadka – zbudował ten dom.

– Nie wyglądają na szczęśliwych.

– Mimo to myślę, że byli szczęśliwi. Są tacy ludzie, którzy lubią na wszystko narzekać.

Ilo odwraca się i patrzy na nią. Przez chwilę obserwuje jej twarz i w końcu kiwa głową.

– Rozumiem – mówi z uśmiechem.

Eden usiadła na krześle u szczytu stołu, tym, które Sarah nazywa w myślach „krzesłem swojego ojca”. Widząc to, czuje się nieswojo. Sama nigdy tam nie siadała, choć od jakiegoś czasu jest przecież głową tego domu. To, że teraz zajmuje je Eden, wydaje się Sarah czymś niewłaściwym.

\* \* \*

Eden wyciągnęła z toreb dwie drewniane skrzynki i postawiła je na stole przed sobą. Siedzi i w milczeniu obserwuje brata, jakby czekała z ich otwarciem, aż do niej dołączy.

– Co to? – pyta Sarah.

– Nasze skrzynki – mówi Eden, jakby ta odpowiedź była oczywista.

To piękne przedmioty. Proste, oszlifowane na gładko. Drewno – sądząc po słojuowaniu, orzech w jednej skrzynce, a czereśnia w drugiej – wypolerowano na wysoki połysk.

– Są piękne – przyznaje Sarah. – Ktoś je dla was zrobił?

Dziewczynka wygląda na zaskoczoną.

– Nie. My je zrobiliśmy.

– Sami? – Sarah podchodzi do stołu i muska palcami wieczko skrzynki z drewna czereśniowego, na którym dziecięca rączka wyryła skrupulatnie imię ILO. Mosiężne zawiasy i zamknięcie z maleńkim haczykiem. Piękna robota. Kto by pomyślał, że dziecko może przykładać taką wagę do szczegółów.

– Wszyscy takie mamy – wtrąca Ilo. Bierze skrzynkę do rąk i tuli ją do piersi, jakby miał nadzieję, że sam jej dotyk przyniesie mu pocieszenie. – To znaczy mieliśmy – poprawia się.

Sarah zastanawia się, co jest w środku, ale uznaje, że lepiej nie pytać. Niech mają trochę sekretów, trochę prywatności. Jeśli będą chciały mi powiedzieć, zrobią to we właściwym czasie.

– Herbaty? – pyta. Herbata to rozwiązanie w każdej niezręcznej sytuacji.

– Dziękujemy – odpowiada Eden. – Wcześniej nie piliśmy herbaty.

– Piliśmy w Domu – przypomina jej Ilo. – Do śniadania.

– No tak – rzuca dziewczynka. – A czy zamiast tego moglibyśmy dostać po szklance wody?

– Oczywiście. – Sarah opanowuje uśmiech. – Pokażę wam, gdzie co jest. – No proszę, myśli. To teraz moje życie. I ich. Odchrząkuje. – Chciałabym, żebyście czuli się tu jak w domu. To jest wasz dom.

– Dziękujemy – odzywają się jednocześnie, jak małe roboty.

– Mam nadzieję, że będziecie tu szczęśliwi. Nie oczekuję, że to się stanie z dnia na dzień, ale mam nadzieję, że będzie wam ze mną dobrze.

– Byliśmy szczęśliwi w Plas Golau – odpowiada z uśmiechem Eden.

– Tak – przytakuje Ilo. – Byliśmy tam szczęśliwi.

Sarah nie wie, co na to odpowiedzieć. Po tym, co wyczytała, Plas Golau wydawało jej się piekłem na ziemi. Ale stamtąd właśnie pochodzą. Nie mogę się denerwować, myśli. To oczywiste, że zabrali ze sobą część tego miejsca, tak samo jak zabrali te skrzynki.

– Zrobię, co w mojej mocy, żeby było wam tu dobrze. Jeśli czegoś potrzebujecie, powiedzcie. W najbliższych dniach będziemy musieli iść na zakupy. Po wyprawkę szkolną.

Widzi, że wymieniają spojrzenia. Zaraz potem powtarzają zgodnie:

– Dziękujemy.

– Nie, poważnie, nie wstydźcie się. Wiem, że dużo tego wszystkiego naraz. I że to ogromna zmiana. Jest mnóstwo rzeczy, do których będziecie musieli przywyknąć. Na szczęście macie trochę czasu, żeby się przyzwyczaić, zanim pójdziecie do szkoły. Przykro mi, że nie dało się zorganizować wszystkiego tak, żebyście rozpoczęli naukę z początkiem roku szkolnego. No i obawiam się, że musicie być gotowi na to, że będziecie zwracać na siebie trochę uwagi. Ale jeśli czegoś potrzebujecie... jeśli coś przyjdzie wam do głowy...

– Chyba mamy wszystko, czego nam trzeba – mówi Ilo.

Sarah rozgląda się po domu i czuje smutek. Wszystkie marzenia o pięknych meblach z jasnego skandynawskiego drewna, które dzieliła z Liamem, zostały ograniczone do kilku mebli z Ikei przechowywanych w garażu, bo kompletnie nie pasowały do tego miejsca. Miała nadzieję, że do tego czasu zdąży wszystko uprzątnąć.

– Przepraszam – rzuca. – Ponuro tu, wiem. Ale trudno zdecydować, co zatrzymać, a czego się pozbyć, kiedy się to odziedziczyło. Obiecuję, że się tym zajmę. Wybierzemy rzeczy, które będziecie chcieli zatrzymać, a resztę kupimy.

Dzieci znowu zerkają na siebie.

– Nie, nie – mówi pośpiesznie Ilo. – Nie to chciałem powiedzieć. Po prostu... nie jesteśmy przyzwyczajeni do tylu rzeczy.

– W domu było inaczej – dodaje Eden.

– Cóż... – w głosie Sarah brzmi nadzieja – życie we wspólnocie jest inne. Pewnie mieliście niewiele miejsca.

Eden wzrusza ramionami.

– Tak. Zresztą po Wielkiej Katastrofie rzeczy materialne nie będą miały znaczenia.

– Tylko przeszkadzają – tłumaczy Ilo. – Są balastem.

– Właśnie – popiera go Eden. – My cię nie... oceniamy. Ale pewnie masz plan.

– Plan?

– Co zabrać ze sobą, gdybyś musiała uciekać. I dokąd byś poszła.

– Ja... – Nie ma jeszcze pory lunchu, a Sarah już jest skołowana. – Niezupełnie. Ale... może opracujemy jakiś razem. – Dobry Boże, one nadal wierzą w te bzdury. Tak jak moi rodzice wierzyli, że Jezus to zwyczajny gość, który chciałby zamieszkać w ładnym podmiejskim domu, albo jak pastafarianie wierzą w Latającego Potwora Spaghetti. Człowiek nie ma pojęcia, o co chodzi, dopóki się z tym nie zetknie.

– Sypialnie – mówi. – Chodźcie, pokażę wam sypialnie.

Zerkają na siebie.

– Sypialnie? – pyta Ilo. – Osobną dla każdego?

– Tak. Oczywiście.

– Och.

– Mamy mnóstwo pokoi.

– Chyba tak – bąka chłopiec i Sarah znowu czuje się skołowana. Nawet bliźnięta jednojajowe, kiedy wchodzą w wiek dojrzewania, marzą o własnej przestrzeni. – Ja tylko... myślałem, że...

Trudno będzie pokazać im, jak żyje normalny świat, nie krytykując tego, z którego pochodzą. A wygląda na to, że w Plas Golau panował taki ścisk, że ludzie żyli jak w slumsach. Nic dziwnego, że praktycznie nie mieli żadnego dobytku.

– Chodzi o to, że opieka społeczna nie lubi, gdy rodzeństwo różnej płci dzieli pokój – tłumaczy Sarah. – Dlatego zrobimy to, czego od nas oczekują. Przynajmniej do czasu, aż przestaną patrzeć nam na ręce. – Mam nadzieję, że do tego czasu zdązycie się przyzwyczaić, dodaje w duchu. – Chodźcie – rzuca i prowadzi ich na górę.

Na piętrze są cztery sypialnie. Pierwsza to sypialnia jej rodziców, z okularami do czytania ojca i jego szklanką – woda już dawno zdążyła wyparować – na stoliku nocnym. Dwie mniejsze pośrodku należały kiedyś do Sarah i Alison. Tydzień po odejściu Alison jej pokój został zmieniony w pracownię krawiecką. Jest jeszcze Pokój Biskupa, który w normalnych domach nazywany jest gościnnym. Mniejszy od sypialni rodziców, ale dwukrotnie większy od pokoi dziewczynek. Niemal wstyd jej się przyznać, ale wróciła do swojej sypialni z dzieciństwa. Nie chce zajmować tej, w której spali rodzice, i nie ma siły jej uprzątnąć. Te ubrania i buty nienoszone od dwóch lat. Sarah ma wrażenie, że wszystko, czego tknęli, jest dziwne w dotyku, jak jaszczurcza skóra. Obiecywała sobie, że w końcu się za to weźmie. Ale kiedy człowiek jest samotny, czas umyka. Samotność wysysa energię. Można latami gapić się na tę samą pajęczynę, patrzeć, jak czernieje, i nie sięgnąć po ścierkę do kurzu, żeby ją usunąć.

Otwiera drzwi do wolnego pokoju.

– Pomyślałam, że to mógłby być twój pokój – zwraca się do Ilo. – Jest większy, ale niestety, okno wychodzi na sąsiedni budynek. – Otwiera drzwi do pokoju Eden. – A tutaj mieszkała kiedyś wasza mama.

Dziewczynka stoi w korytarzu. Milczy, lecz jej oczy płoną.

– O co chodzi? – pyta Sarah.

– O nic – rzuca Eden.

– Zobacz, ma własną umywalkę. – Wskazuje mieniącą się perłowym blaskiem różową umywalkę na postumencie. – To był pokój waszej mamy, kiedy była w twoim wieku, Eden – powtarza Sarah z nadzieją.

– Dobrze – bąka dziewczynka. – Wezmę go. Jest w porządku.

– My...myślałam – jaka się Sarah – że bardziej ci się spodoba. Masz tu śliczny widok i sporą szafę.

Eden wbija w nią wzrok.

– Powinna mieć większy pokój – mówi Ilo i wchodzi do dawnej sypialni Alison. Kładzie swoją skrzynkę na biurku i siada na łóżku.

Jego siostra w milczeniu idzie do drugiej sypialni i zamyka za sobą drzwi.

Będzie lepiej, pociesza się w duchu Sarah. To dopiero pierwszy dzień. Z czasem będzie lepiej.

## 17 | Sarah

Fascynuje je kładka dla pieszych. Ale przecież fascynuje je wszystko bez wyjątku; są jak małe dzieci widzące gołębia w zoo. Zdumienie pojawia się to na jednej, to na drugiej twarzy co najmniej pięć razy na godzinę, bo – dosłownie – nie wiedzą nic. Całe szczęście, że rozpoczną szkołę dopiero od drugiego półrocza, ponieważ ich zdumienie wszystkim, co widzą – kolczykami, punktami odbłaskowymi na drodze, skrzynkami na listy, pralkami, niebieskimi włosami, pastą Marmite, morzem, mopsami – z miejsca uczyniłoby z nich ofiary szkolnych łobuzów. Sarah wzięła przed feriami kilka tygodni bezpłatnego urlopu, żeby lepiej poznać swoich podopiecznych. Liczyła też, że pokaże im dość świata, żeby nie zwracały na siebie zbytnej uwagi, kiedy będą musiały poradzić sobie bez niej.

Nie do końca się to udało. Przechodzenie przez kładkę jest dla nich czymś wyjątkowym. Choć na swój sposób rzeczywiście jest to wyjątkowe doświadczenie. Patrzenie w dół na wietrzną nitkę autostrady przypomina dziwną podróż w czasie. Widząc pędzące w dole ogromne ciężarówki, człowiek czuje się jak łowca z epoki kamienia, który trafił do krainy smoków. Ilo zatrzymuje się i oparty o barierkę, wpatruje się w dół tak długo, że Sarah ma ochotę powiedzieć mu, żeby się pospieszył. Ale udziela się jej ciekawość chłopca. Właściwie nigdy tego nie robiłam, myśli i sama wychyla się przez barierkę.

Odkrywa, że to wyjątkowe doznanie: podmuchy powietrza, które czuje na twarzy, gdy w dole przejeżdża nawet mały samochód, i to, że prędkość pojazdów wydaje się tak nienaturalna, tak obca temu, czego doświadczasz w naturze, że kiedy patrzysz, niemal czujesz, jak mózg dostosowuje się do otaczającej cię rzeczywistości. Eden staje po drugiej stronie Sarah i ta powstrzymuje się, żeby nie złapać jej w obawie, że wypadnie, jakby była małym dzieckiem.

– Jak szybko jadą? – pyta Ilo.



– Myślę, że między sto dziesięć a sto trzydzieści.

– Kilometrów na godzinę?

– Tak.

Nie widać, żeby zrobiło to na nim wrażenie.

– Asteroida wpada w atmosferę ziemską z prędkością siedemdziesięciu dwóch tysięcy kilometrów na godzinę – oznajmia.

– Apophis – rzuca Eden.

– Że co?

– Planetoida, która w dwa tysiące dwudziestym dziewiątym roku wejdzie w orbitę naszych satelitów komunikacyjnych – tłumaczy.

– Tak – potwierdza Ilo. – To może zmienić jej orbitę na tyle, że następnym razem zderzy się z Ziemią.

– Boże! – wykrzykuje Sarah. – Kiedy to będzie?

– W dwa tysiące trzydziestym szóstym roku – odpowiadają zgodnie.

– Ale do tego czasu większość ludzkości zdąży już umrzeć – dodaje Eden.

– Tak, i zapanuje długa zima – przypomina Ilo.

– Przestańcie – rzuca Sarah. Zaczyna się przyzwyczajać do tego, że wszędzie widzą związki między rzeczami a różnymi katastrofami. To nic nie znaczy. To zwykły odruch, jak mówienie „na zdrowie”, kiedy ktoś kicha. – Chyba nie chcecie się spóźnić już pierwszego dnia.

Ilo rusza posłusznie, choć jeszcze raz z żalem ogląda się przez ramię.

Sarah patrzy na nich. Zabawne stworzenia. Czy to tylko pozory, czy rzeczywiście są tacy spokojni? Helen radzi jej, żeby była cierpliwa. „Jest jeszcze wcześniej – powtarza. – Najpierw muszą ci zaufać”. Może codzienne spotkania z przyjaciółką pomogą. Albo przynajmniej sprawią, że dzieciaki się otworzą. Sarah nie wie, co robić, kiedy przez większość czasu traktują ją jak obcą osobę, a nie jak przyjaciółkę, którą miała nadzieję

zostać. Prędzej wiedziałyby, jak z nimi postępować, gdyby traktowali ją tak jak wszyscy uczniowie w szkole – jak wroga.

O wilku mowa, myśli, bo wychodząc z za rogu, wpadają na Marie Spence i Lindsay, jej poranną strażniczkę. Sarah to nie dziwi. Marie mieszka w Canaan Estate, w jednym z domów, które Wspólnota sprzedała na początku dwudziestego pierwszego wieku – na podjeździe stoją bliźniacze jaguary jej rodziców, a w miejscu, w którym kiedyś rosły rododendrony, znajduje się basen – nic więc dziwnego, że idąc do szkoły, wybiera właśnie tę drogę. Sarah żałuje, że akurat dziś ojciec nie podwiózł Marie; wolałaby, żeby nie była pierwszą koleżanką, którą spotkają Ilo i Eden.

Marie jest jak Abi Knowles, myśli Sarah, przypominając sobie własną nemezis, która w szkole zatruwała jej życie. Boże, dlaczego tacy ludzie są częścią każdego ekosystemu.

– Dzień dobry pani – rzuca łobuzersko Marie. Ma na rękach mnóstwo podzwaniających srebrnych bransoletek, w uszach wielkie kolczyki koła, a na nogach szpilki tak wysokie, że podbicie jej stóp wydaje się Sarah niemal pionowe. Bardziej przypomina drag queen niż nastolatkę. Mimo to Sarah wie, że za kilka lat, przeglądając swoje zdjęcia, Marie nie będzie czuła się tak kiepsko jak ona, kiedy patrząc na swoje, widzi fryzurę „jak od garnka” i sukienkę przypominającą fartuch.

– Kto to, proszę pani? – dopytuje się Marie. Nie boi się dorosłych, tak jak ich nie szanuje. Prawdopodobnie nie wie nawet, jak Sarah ma na imię. Ale przecież byle pracownicy administracyjni nie są nikim ważnym.

– To Eden Blake, Marie – odpowiada Sarah. W końcu wyda się, że dzieci są z nią spokrewnione, ale nie ma sensu trąbić o tym już pierwszego dnia. – Dołączy dziś do twojej klasy. A to jej brat, Ilo. – Zwraca się do swoich podopiecznych: – To są Marie i Lindsay. Na pewno ciepło przyjmiecie Eden, prawda? – dodaje. W jej radosnym, pogodnym tonie słychać prośbę.

Marie patrzy na Eden, na Ilo, a zaraz potem znowu na Eden. Widząc jej nieumalowaną twarz i długą do kolan spódniczkę, wykrzywia usta w uśmiechu. Mimo wszystkich rozczarowań

doroślego życia Sarah każdego dnia dziękuje Bogu, że nie jest nastolatką.

– Tak – rzuca Marie do trampek Eden, na których próżno szukać logo znanej firmy. Podnosi rękę i odgarnia lśniące czerwone doczepiane włosy.

– Kto to był? – pyta Eden, kiedy skręcają za kolejny róg. Wydaje się, że spotkanie z Marie nie wywarło na niej większego wrażenia ani jej nie zdenerwowało.

– Nie przejmuj się nimi – mówi Sarah z pewnością, której jej brakuje. – W każdej szkole jest jakaś Marie.

– Jak ona chodzi w tych butach? – dopytuje się Eden.

– Bóg jeden wie – przyznaje Sarah. – Kiedy dotrze do szkoły, będzie musiała je zmienić.

– Aha – rzuca Ilo. – To dlatego ma taką dużą torbę.

Na pewno nie ma w niej książek, myśli Sarah.

– No tak – mówi na głos. – Waszym zdaniem szkoda pewnie zachodu, tak?

– Ma bardzo długie rzęsy – zauważa Eden.

– Nie są prawdziwe – tłumaczy jej Sarah. – Przykleja je sobie raz w miesiącu. A miesiąc później spadają jej na policzki jak odnóża pająka.

Helen czeka na nich na schodach, ubrana – jak przystało na psychologa – w miękkim dżersejowym zapinany sweter z mnóstwem kieszeni na chusteczki, opinający jej duże, krągłe piersi, do których można się przytulić, gdy człowiek płacze.

– Cześć – mówi. – Gotowi do boju?

Kiedy wchodzi do środka, Sarah cieszy się w duchu, że w ciągu ostatnich tygodni poświęciła tyle wysiłku i pieniędzy, żeby przyzwyczaić swoich podopiecznych do zatłoczonych miejsc, bo gdyby tego nie zrobiła, prawdopodobnie stanęliby teraz jak wryci. Panujący na korytarzu zgiełk wystarczy, żeby struchlał dorosły. W powietrzu unosi się charakterystyczna mocna woń ciał na tyle dojrzałych, że używają dezodorantów, lecz nie dość, żeby odkryły zwykłą moc drzemną w wodzie

i mydle. Wszędzie dookoła słycać krzyki i śmiech. Zatrzymują się tuż przy drzwiach, żeby się przyzwyczaić, i Sarah czuje przyspieszony oddech Eden.

– Wszystko będzie dobrze – próbuje ją pocieszyć. – Przywykniecie, obiecuję.

Lawirując w tłumie, kierują się w stronę korytarza prowadzącego do gabinetu dyrektora.

**PRZED KOŃCEM**  
*2008–2009*

## 18 | Romy | 2009

Chłopcy stają się mężczyznami w wieku trzynastu lat. W przypadku dziewczynek jest to rytuał ruchomy. Romy spędza w Chlewiku niemal rok dłużej od Eilidh. Z powodu niskobiałkowej i niskotłuszczowej diety dziewczynki w Arce dojrzewają później niż ich rówieśniczki, które żyją wśród Martwych. Ale w wieku czternastu lat w końcu staje się kobietą. W głębi duszy uważa za paskudne to, że tak wiele osób interesuje się jej ciałem, ale wszyscy wydają się tacy podekscytowani i tak bardzo cieszą się jej szczęściem, że zatrzymuje tę myśl dla siebie. Poza tym, czekając zamknięta w Chlewiku, nudziła się i wprost nie może się doczekać, co się wydarzy.

Kiedy widzi plamę, pierwsze, co przychodzi jej do głowy, to: Dlaczego to się musiało wydarzyć zimą? Przez chwilę zastanawia się nawet, czy nie zataić tego i nie poczekać do wiosny, ale perspektywa kolejnej długiej zimy w Chlewiku i umilania sobie czasu czytaniem Szekspira, Dickensa i Tennysona, podczas gdy Nauczyciele, którzy wiedzą niewiele więcej od niej, skupiają się na młodszych dzieciach, jest gorsza niż perspektywa narażania się na chłód i chodzenia w wełnianej czapce symbolizującej dorosłość. A poza tym Romy boi się, że ktoś mógłby przyłapać ją na kłamstwie. Idzie więc do Ursoli, mówi jej o wszystkim i natychmiast zostaje porwana przez przytłaczający prąd dorosłości.

Przygotowaniom do ceremonii towarzyszy pośpiech, bo Lucien życzy sobie, żeby odbyła się, kiedy dziewczyna jeszcze krwawi. Zażenowanie Romy jest tak wielkie, że przysięga sobie w duchu nigdy więcej nie zdradzać nikomu takich szczegółów o sobie. Wyjawia prawdę w poniedziałek, a ceremonia zostaje zaplanowana na czwartek po wieczornym posiłku. Kucharze przygotowują naprędce piernik, Rolnicy zarzynają tuzin nieznoszących już jaj kur, żeby każdy skosztował mięsa, a z piwnicy zostają wyciągnięte trzy dzbany cydru, którym zostanie wzniesiony toast za nowego dorosłego członka Arki.

Uzdrowiciele przeczesują żywopłoty i ogródek ziołowy w poszukiwaniu kwiatów i liści na wianek, co w listopadzie nie jest takie proste. W końcu znajdują brodaczkę, firletkę oraz miętę polej i splatają te rośliny gałązkami wawrzynu. Może nie jest to najładniejszy wianek, ale Romy jest zadowolona, bo ładnie się ususzy, a poza tym wawrzyn ma w sobie coś wiedźmowatego.

O szesnastej kobiety przychodzą po nią do Chlewika. Przy drzwiach wkładają jej wianek na głowę i prowadzą ją podwórzem do łaźni. Tam czeka na nią wanna cudownie gorącej wody z rozsypanymi na powierzchni suchymi płatkami róż. Wanna czystej, gorącej wody tylko dla niej! Nikt nie czeka, żeby wykąpać się po niej, i nikt nie psioczy, że siedziała za długo i woda zdążyła wystygnać. W palenisku trzaska ogień, a na wannie leży kostka lawendowego mydła, jakie zwykle sprzedają Martwym. Należy do niej i będzie mogła ją zatrzymać. Przed paleniskiem na suszarce do bielizny wisi ręcznik, a przez oparcie krzesła przerzucono sukienkę. Romy czuje się jak królowa.

Uczucie to wzmagają się, kiedy po odliczaniu w towarzystwie Vity idzie w nowej płócienną sukienkę przez salę jadalną. Widzi matkę, jak dotykając ręką obojczyka, patrzy na nią, jakby na zawsze chciała zachować w pamięci ten obraz. Mały braciszek Romy, siedzący przy stoliku dla dzieci, piszczy z radości. Zanim ktoś z dorosłych uciszy go, Romy posyła mu drżący uśmiech i widzi, że go zauważył. Z całego Chlewika to właśnie jego będzie brakowało jej najbardziej: tego, jak kręci się wokół niej niczym szczeniak i jak często rozumieją się bez wypowiedzania niepotrzebnych słów.

W końcu dostrzega cel swojej drogi i musi pamiętać, żeby oddychać.

Lucien siedzący przy Wysokim Stole wśród swoich dzieci obserwuje ją, jak podchodzi do schodów. Nachyla się w stronę Zarii i szepcze jej coś na ucho. Nawet z tej odległości Romy widzi rumieniec rozkwitający na twarzy dziewczyny. Chwilę później Zaria wstaje i sztywnym krokiem idzie wzdłuż stołu, żeby usiąść obok Jaivyna. Lucien podnosi się i czeka na nią, przez cały czas uśmiechając się promiennie. Romy czuje na sobie spojrzenie jego bładniebieskich oczu, które prześlizgują się po jej ciele, ciele kobiety, i oblewa się rumieńcem.

– Usiądź, moja droga – mówi Lucien i wskazuje krzesło obok.

Romy siada, a Vita zajmuje miejsce po jej drugiej ręce. Romy chciałaby czuć się bardziej zaszczycona i mniej rzucać się w oczy. Jej krzesło bardziej przypomina tron. Ma wyściełane siedzenie, oparcie i podłokietniki. Można się o nie oprzeć i poczuć, jak drewno odciąża kręgosłup. Po czternastu latach siedzenia na ławkach to z pewnością coś nowego.

– Witaj, moje dziecko – przemawia Lucien. – Oto stałaś się kobietą.

Bierze kawałek chleba i rozrywa. Romy jest zbyt zdenerwowana, żeby cokolwiek przełknąć. Sięga po szklanę z wodą i pije. Ręka jej drży. Siedząca obok niej Vita kładzie rękę na jej ramieniu i uśmiecha się.

– Nie denerwuj się – uspokaja ją. – To nic takiego.

Romy rozciąga usta w niepewnym uśmiechu.

– Mam w tym doświadczenie – zapewnia Vita.

– Wiem. Ale ci wszyscy ludzie – szepcze dziewczyna.

– Widzisz ich codziennie.

– Ale nie co dzień tak się na mnie gapią.

Vita unosi brew.

– A więc nie lubisz być w centrum uwagi, tak?

– A ty lubisz?

Vita mruga.

– Czasami dla większego dobra musimy zrobić coś, czego nie lubimy – mówi. – Wszyscy.

– Tak – przyznaje Romy.

– Zdziwiłabyś się, wiedząc, co jesteś w stanie zrobić, jeśli znajdzie taka potrzeba.

– Mam nadzieję – bąka Romy.

Kucharze wnoszą jedzenie na półmiskach, tak jak w głównej sali. Tyle że dziś jest go jakby trochę więcej – dodatkowa porcja ziemniaków tu, kilka kawałków kurczaka więcej tam. A wszystko



podane tak, żeby nikt z dołu nie zauważył różnicy. Romy bierze widelec i łyżkę i niepewnie sięga po leżące na samej górze udko. Kładzie je na talerz, opiera ręce na kolanach i czeka, aż wszyscy się poczęstują.

– Nie krępuj się, dziecko – zachęca ją Lucien. – Weź więcej.

Romy rozdziawia usta. Nigdy, przenigdy nie zaproponowano jej dokładki kurczaka. Rolnikom i Budowniczym może, zwłaszcza gdy mieli pełne ręce roboty, ale nie takim jak ona.

– Wyjątkowe jedzenie na wyjątkową okazję – dodaje Lucien. Uśmiecha się i wskazuje głową półmisek.

Ostatnio zapuścił krótką brodę i wśród złocistych włosów Romy dostrzega pasemka siwizny. Zastanawia się, czy to jakiś test, ale patrzy na stół i widzi, że na większości talerzy leżą po dwa kawałki. Przecież Ojciec nie kłamie, powtarza sobie w duchu. Nienawidzi kłamstw, więc dlaczego miałyby zrobić mi coś takiego? Romy bierze udko i kładzie je na talerz. Ślina napływa jej do ust.

– A więc powiedz mi, Romy, ile masz lat.

– Czternaście – odpowiada.

– Późno zakwitłaś! – stwierdza Lucien. – Ale to nic. Warto było czekać.

Dziewczyna robi się czerwona i wbija wzrok w talerz.

– Lucienie... – odzywa się Vita. Jej głos brzmi jak ostrzeżenie.

– Jesteś gotowa na swoje obowiązki? – zwraca się do Romy Lucien.

– Mam nadzieję – bąka dziewczyna.

– Jak myślisz, kim będziesz?

Chcę być Uzdrawicielką, myśli Romy. Proszę, pozwól mi zostać Uzdrawicielką. Zna jednak poprawną odpowiedź i udziela jej.

– Będę tym, kim Vita i Uri zdecydują, że powinnam być – mówi. Wkrótce się dowie. Vita i Uri poinformują ją o swojej decyzji w Izbie Rady, kiedy uczta dobiegnie końca.

– Grzeczna dziewczynka – kwituje Lucien. – Grzeczna dziewczynka. – Po tych słowach bierze sztucę i zaczyna jeść. –

Pewnie nie możesz się doczekać, kiedy będziesz pełnoletnia.

– To dopiero za cztery lata, Lucienie – przypomina mu Vita.

– Ach, tak – mruczy Lucien. – W takim razie jest na co czekać.

Kapusta jest okraszona masłem. Romy nie miała pojęcia, że może być taka pyszna.

\* \* \*

Strażnicy coraz częściej jadają kolację razem w nowym, odnowionym mimo protestów Vity domu przy rezerwuarze. Dziś wieczorem Uri przyszedł ucztować z Rodziną, głównie dlatego, że to kolacja na cześć Romy, a jeśli chodzi o uczyty, przepisy mówią jasno: wszystkie dzieci Luciena muszą być obecne. Mimo to Uri nie wygląda na zadowolonego. Siedzi między Eden i Heulwen, dwójką najmłodszych sióstr, i je w milczeniu. Ciekawe, co takiego zrobiły, że ich nie lubi, zastanawia się Romy.

Dziewczynki wyglądają na przestraszone; siedzą z łokciami na stole i jedną ręką podpierając głowę, drugą dziobią w talerzach. Eden bawi się jedzeniem. Gdyby jadła na dole, dostałaby reprimendę od Kucharzy.

W pewnym momencie podnosi wzrok, patrzy na Romy i woła:

– Podobno masz okres! I jak to jest?

Romy ma wrażenie, że jej twarz płonie.

Siedząca na końcu stołu Eilidh posyła jej swój najśłodszy uśmiech i dyskretnie macha na powitanie, a zaraz potem przewraca oczami, żeby pokazać przyjaciółce, że wie, jak się czuje. To poprawia Romy nastrój, bo wie, że dopóki ma przy sobie Eilidh, będzie miała wsparcie. Eilidh i Ilo zawsze staną po jej stronie, niezależnie od tego, jak bardzo jest zawstydzona.

Zjadłszy jabłka, Lucien odsuwa krzesło i wstaje od stołu. Romy czuje ucisk w żołądku. Jej dzieciństwo dobiegło końca.

– To radosny dzień – mówi Lucien i w sali wybucha wrzawa.

Wszyscy walą pięściami w stoły, uderzają łyżkami w szklanki. Kucharze uwijają się między stołami, nalewając cydr i wykładając na talerze kawałki piernika. Wszyscy dorośli dostaną po szklance cydru i go wypiją. Romy siedzi ze

spuszczonym wzrokiem, bo nawet w ten wyjątkowy dzień ludzie będą wypatrywać u niej oznak próżności. Zwłaszcza u niej – po tym, co zrobiła jej matka. Ale nie może powstrzymać uśmiechu, który ciśnie się jej na usta, i czerwieni się. Ja. Wiwatują na moją cześć.

– Dziś wieczorem – ciągnie Lucien – jedna z naszych dziewcząt pozna wyzwania i obowiązki dorosłego życia. Dziś przestaje być dzieckiem i staje ramię w ramię z nami. Witaj, Romy Blake. Witaj w przyszłości.

Romy wstaje, a sala kolejny raz wypełnia się gwarem. W uszach jej dudni i nie wie, czy to od hałasu, czy tak głośno wali jej serce. Rozpromieniony Lucien ujmuje w dłonie jej twarz i ojcowskim gestem tuli ją do siebie. Pachnie mydłem, dymem drzewnym i intensywną lesistą wonią, która nie kojarzy się Romy z północą Walii. Kiedy wypuszcza dziewczynę z objęć, odwraca ją tak, by stanęła twarzą do tłumu. Romy widzi przyjaciół z Chlewika, którzy biją jej brawo. Jej matka stoi z rękami złożonymi przed twarzą jak do modlitwy.

Lucien podnosi rękę i wszyscy siadają. Zabawne, że ja nie muszę niczego mówić, myśli Romy. Ale to chyba zrozumiałe. Może czuję się wyjątkowo, ale tak naprawdę nie robię niczego poza tym, że staję się częścią wielkiej całości. Przejdę daleką drogę, zanim w końcu będę na tyle ważna, żeby się odezwać. W głębi duszy cieszy się, bo nie jest pewna, czy zdołałaby wydusić choćby słowo. Patrzy na Luciena i czuje przyływ miłości. Jest pobudzona, zelektryzowana, odmieniona. Gotowa.

Na podwyższeniu, na którym siedzi Rodzina, dwóch Kucharzy stawia krzesło i mały stoliczek, a na nim kładzie nożyce, którymi w kuchni przecinają ścięgna, maszynkę do strzyżenia i mały, niebieski woreczek. Romy odsuwa się od Luciena, odchodzi od stołu i siada tam. W głowie jej huczy. Chwilę później podchodzi Vita, pochyla się i składa na jej policzkach pachnące różami pocałunki. Ależ ci Przywódcy ładnie pachną.

– Gratulacje, Romy – mruczy jej do ucha. – Witamy w świecie.

Romy siada i pochyla głowę. Vita zdejmuje jej wianek i ostrożnie odkłada go na stół. Bierze nożyczki, odgarnia z twarzy

dziewczyny gęste, lśniące, sięgające pasa włosy, kilka razy owija je wokół dłoni i zmienia Romy w kobietę.

Romy nigdy nie czuła się taka naga. Korci ją, żeby podnieść rękę i dotknąć włosów, krótkich jak krecie futerko. A więc tak czuła się moja matka, myśli. Ona jednak nie czuje wstydu. Ciepła peleryna z włosów, która chroniła ją przed chłodem, została związana wstążką i wrzucona do woreczka z niebieskiego aksamitu. Nigdy więcej jej nie zobaczy. Vita z powrotem nakłada na jej głowę wianek. Liście i gałązki kłują i drapią skórę delikatną jak u dziecka. Mimo to Romy nie zdejmie go, dopóki nie zacznie więdnąć. Wtedy Kucharze zabiorą wianek i powieszą na ścianie kominowej, żeby wysechł. Zawiną go w bibułkę i oddadzą jej, żeby schowała go do skrzynki na pamiątkę tego ważnego dnia.

Romy nie ma o tym pojęcia, lecz jej oczy są duże jak u sarny.

## 19 | Romy | 2009

Pod koniec Ceremonii Przydzielenia w Izbie Rady Uri wychodzi pod pretekstem pilnej rozmowy, lecz Vita zostaje. Zamyka za nim drzwi i odwraca się do Romy ze słodkim uśmiechem, który ostatnio tak rzadko gości na jej twarzy.

– Jesteś szczęśliwa?

A gdybym nie była, czy miałoby to jakiegokolwiek znaczenie? – myśli Romy. Uśmiecha się jednak i odpowiada, że jest zachwycona. I poniekąd tak właśnie jest. Nie będzie Farmerką, Praczką czy Kucharką. Ale nie będzie też Uzdrowicielką ani Technikiem. Będzie żyła poza Hierarchią. Związana z Uzdrowicielami, ale nie zostanie jedną z nich. Będzie kimś wyjątkowym, a zarazem nikim. Ogrodnikiem-Medykiem, jedynym w całej społeczności.

– To nie koniec – mówi Vita. – Zrozum. Nie możemy tak po prostu zrobić z ciebie Uzdrowicielki. Nie od razu. Tak było w przypadku twojej matki, a ona nas zawiodła.

– Nie jestem taka jak matka – zauważa Romy.

– Wiem – przyznaje Vita. – I możesz zapracować na swoją pozycję.

– Dziękuję. Jak mam to zrobić?

– Udowadniając, że postąpiliśmy słusznie, obdarzając cię zaufaniem – tłumaczy Vita. – Praktycznie nikt w Arce, zwłaszcza nikt w twoim wieku, nie cieszy się takim zaufaniem.

– Dziękuję. – Teraz, kiedy Romy myśli o Plas Golau, rzeczywiście jest wdzięczna. Gospodarstwo, wrzosowiska i lasy. Wszystko to będzie jej. Jeśli zrobi, co do niej należy, jeśli zobaczą, że wywiązuje się z obowiązków, będzie mogła pójść, gdzie tylko zechce. Może pewnego dnia wyjdzie nawet na Zewnątrz i zobaczy, jak wygląda świat, w którym żyją Martwi. Będzie przecież pomocnicą Pszczelarza, opiekunką uli, kiedy on będzie

przenosił pszczoły, żeby zapylały sady, ogrody i dzikie kwiaty i przynosiły obcy miód. Bo przecież miód to samo życie. Kucharze używają go w kuchni, a Uzdrowiciele trzymają zapieczętowany w sterylnych słojach jako środek antyseptyczny do opatrywania ran.

Przyda mi się mój nóż, myśli Romy. Dobrze, że go zrobiłam. Będę potrzebowała mocnego ostrza, żeby obcinać grube łądygi. Ostrza, łopaty i dobrego oka do tego, co dojrzałe. Znam rośliny, dlatego mnie wybrali. Cały ten czas, który spędziłam w ogródku ziołowym, wszystko, czego nauczyłam się od Somer i z książek, które wszędzie ze sobą nosiłam, nie pójdzie na marne. Może nie jestem jeszcze Uzdrowicielką, ale przynajmniej jestem Kimś.

Będzie odpowiedzialna za ogródek ziołowy. Ale nie tylko. Będzie poszukiwaczką i obrończynią całego Plas Golau. To ona będzie zrywała muchomory, szale jadowity, starca jakubka, lulka czarnego, przestęp, kropidło i psiankę – wszystko, co jest trujące zarówno dla zwierząt, jak i ludzi. Będzie nosiła torby na rośliny lecznicze, trujące i te „pomiędzy”; te dwie ostatnie będzie oddawała Vicie. Od czasu, gdy dwie osoby zemdlały po tym, jak nawdychały się oparów palonego różanecznika, Vita osobiście pozbywa się wszelkich trucizn.

Zapewniono Romy, że może zasłużyć sobie na dostęp do Infirmierii. Musi tylko sumiennie wykonywać swoje obowiązki, być pracowita, niezmordowana, przynosić rośliny, które pomagają uśmierzyć ból, i takie, które zbijają gorączkę, pajęczyny do opatrywania ran, szczaw na leczenie wysypek i miętę na problemy żołądkowe. A także trucizny. Bo przecież wiele trujących roślin wykorzystuje się również w lecznictwie. Te, które mogą zarówno leczyć, jak i zabić, muszą trafić w koszyku do Infirmierii. „Staraj się ich nie uszkodzić, Romy, a pewnego dnia powierzemy ci ważniejsze zadanie”.

– Chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła – mówi Vita. – Przyjaźnimy się od dawna.

Romy promienieje.

– Lucien jest bardzo zmęczony – ciągnie Vita. – Dba o nas wszystkich, podejmuje ważne decyzje, martwi się naszą przyszłością, a to go wyczerpuje. Rozumiesz?

Dziewczyna kiwa głową.

– Jest dla nas taki dobry.

– Robię, co mogę, żeby go odciążyć. – Vita wzdycha. – Nie może być wszędzie, ja zresztą też. A niektórzy nie są tak lojalni, jak powinni. Musimy współpracować. Wiesz o tym. Jesteśmy tak silni, jak nasze najsłabsze ogniwo.

Romy milczy. Czasami w dormitorium, w kuchni i na korytarzach słyszała głosy niezadowolenia. Skargi, zarzuty i złe słowa na innych członków społeczności. Wszystko dlatego, że była jeszcze dzieckiem. Ludzie zapominają, że dzieci mają uszy.

– Chcę, żebyś była moimi oczami, Romy – kontynuuje Vita. – Możesz być wszędzie. To wielki przywilej wynikający z twojej funkcji. Bądź moimi uszami. Ludzie, widząc, że nadchodzę, zmieniają się. Ciebie nawet nie zauważają.

Dziewczyna z trudem przełyka ślinę i kiwa głową. Vita chce, żeby była szpiegiem. W zamian za wolność Romy będzie musiała szpiegować swoich towarzyszy.

– Nie chcę, żebyś donosiła – zaznacza Vita. – Nie o to mi chodzi. Nie proszę cię, żebyś karała ludzi. Zrób to dla mnie. Żebym wiedziała, kiedy zaczną się problemy, i mogła je jakoś rozwiązać. Rozumiesz? Kiedy będziesz blisko, zatrzymaj się i posłuchaj, o czym mówią Farmerzy, Kowale i Nauczyciele. Dowiedz się, o czym rozmawiają Strażnicy, którzy mieszkają w domu z dala od innych. Nie mogę być wszędzie. Dlatego słuchaj, jeśli nadarzy się okazja.

Strażnicy. Romy wiedziała, że wcześniej czy później ten temat się pojawi. Napięcie między Vitą i Urim jest coraz bardziej zauważalne. Oboje milkną, kiedy widzą, że zbliża się to drugie, witają się prawie niezauważalnym skinieniem głowy. Chce, żeby obserwowała Strażników, myśli Romy. I wcale jej to nie dziwi.

\* \* \*

Podczas gdy Romy siedziała w ciepłej izbie, wzgórza osrebrzył pierwszy przymrozek. Gdy więc otwiera drzwi Wielkiej Sali, zaczyna drżeć w swej nedorzecznie cienkiej sukience, czując na łysej głowie powiew lodowatego wiatru. Dormitorium, które

dzieli z siedmioma innymi kobietami – w wieku siedmiu lat przestała spać w tym samym pomieszczeniu co jej matka – jest oddalone o prawie dwieście metrów. To stara drewniana chatka za murem podwórza; dawno temu, gdy Plas Golau było więzieniem dla trudnej młodzieży, mieszkał w niej wychowawca. Romy ma szczęście, że sypia tutaj, a nie w starych szopach w ogrodzie, jak jej matka i inni Farmerzy. Jest jednak boso i nikomu nie przyszło do głowy, żeby przynieść z Łaźni jej płaszcz. Powietrze jest mroźne, a gdy minie mur podwórza, zostanie zupełnie sama w ciemnościach.

Schodząc po schodach Wielkiego Domu, trzyma się poręczy, bo w taką noc jak ta stopnie bywają oblodzone. Kiedy wreszcie dociera na wysypaną żwirem ścieżkę, zaczyna biec, spragniona czekającego na nią ciepła.

Ktoś jednak wyłania się z mroku i zagraджа jej drogę. To Uri. Czego od niej chce? Romy zatrzymuje się trzy metry od niego i patrzy na niego podejrzliwie, nie wiedząc, co robić – iść dalej czy się cofnąć.

– Witaj, Sto Czterdzieści Trzy – odzywa się Uri. – Możemy zamienić słówko?



**WŚRÓD MARTWYCH**  
*Listopad 2016*

## 20 | Sarah

Na tyłach pokoju nauczycielskiego znajduje się toaleta i choć druga – główna – mieści się znacznie bliżej jej gabinetu, Sarah woli pójść do tamtej, bo toaleta, z której korzystają dorośli, pachnie znacznie ładniej niż ta, do której ma dostęp kilka setek dzieci. Lubi chodzić tam rano w połowie drugiej godziny lekcyjnej i podczas pierwszej lekcji po lunchu, kiedy większość nauczycieli jest w klasach albo na spotkaniach, co oznacza, że prawdopodobnie nikogo nie spotka. To pewne zahamowanie, które wyniosła z dzieciństwa: świadomość tego, że ktoś jeszcze jest w toalecie, sprawia, że jej pęcherz robi się nieśmiały. Nie sposób opisać ulgi, którą czuje, gdy będąc w miejscu publicznym, odkrywa toaletę dla niepełnosprawnych. W dzieciństwie w przerwie na lunch biegła do domu, żeby się wysikać, a później – do dziś pamięta ten strach, że kiedyś może nie zdążyć – żeby zmienić grube podpaski, którymi matka chroniła jej domniemane dziewictwo. Człowiek nie pozbywa się takich zahamowań z dnia na dzień.

Dziesiąta rano, a ona siedzi na sedesie, gdy nagle dźwięk otwieranych drzwi sprawia, że jej mięśnie się zaciskają. Zerka na zegarek. Do następnej zmiany zostało dwadzieścia minut. Ma czas, żeby to przesiedzieć.

– ...kto to był? – pyta ktoś, mijając drzwi do kabiny. Dwie kobiety. Nie wszyscy nauczyciele są teraz na zajęciach.

– Pewnie któryś z pracowników, którego dzieci chodzą do szkoły, nie sądzisz?

– Lepiej trzymać język za zębami.

– Gnojki mają wielkie uszy.

– Żebyś wiedziała. Zresztą, nieważne. Po trzech tygodniach wyszło szydło z worka. Tricia mówi, że cały dzień telefony się urywają.

Tricia. Sekretarka dyrektora. Najwyraźniej coś jest nie tak.

– To śmieszne. Przecież żadne z nich nie było w to wplątane. Raczej nie zatrują wody.

Do diabła. Może chodzić tylko o jedno.

– Spróbuj powiedzieć to rodzicom.

– Wiem, wiem. Byłoby lepiej, gdyby nie były takie dziwne, nie? Uczysz któreś z nich?

– Dziewczynkę.

– Ja mam oboje. Spuszczają cię choć na chwilę z oka?

Śmiech.

– Nie! To przerażające! Czuję się, jakby podwinęła mi się spódnica.

– Gdyby tak było, Ben McArdle na pewno by ci powiedział!

– Albo Marie Spence.

– Chryste, że też nikt jej nie otruje.

– Mów mi jeszcze.

Drzwi po obu stronach kabiny zamykają się. Mogłabym teraz wyjść, myśli Sarah, ale toaletowe ploteczki – tak przypadkowo zasłyszane – to świetna okazja, żeby się czegoś dowiedzieć.

– Biedactwa – mówi ta po lewej. – Nie mają żadnych szans. Nawet jeśli nikt się nie dowie. Ona też jest jakaś dziwna. Kto im pokaże, co znaczy być normalnym?

– Tak, wiem. Gania tam i z powrotem jak wiewiórka i ciągle przeprasza.

Sarah czuje, że policzki jej płoną. To nic miłego słuchać, co inni sądzą na twój temat. Ma ochotę wrzasnąć: „Nie masz pojęcia, jak odważna muszę być, żeby każdego dnia wyjść z domu!”.

– Czy ona nie należy do tej wspólnoty przy High Street?

– Tak? Cóż, niedaleko pada jabłko...

– Wyobraź sobie – mówi ta po prawej – że uciekasz z jednej sekty, a zaraz potem trafiasz do następnej.

- To chyba nie tak.
  - Co mówi Helen?
  - Znasz ją. Te jej „śmiem twierdzić” i „może”. Nigdy nie usłyszysz diagnozy od psychologa.
  - Tymczasem my zmagamy się ze skutkami.
  - Nie wiem... może przydałaby się kolejna pogadanka na temat znęcania się nad słabszymi?
  - Błagam, tylko nie to. Wystarczy, że po ostatniej pogadance połowa uczniów z dziewiątych klas uznała, że są niebinarni.
  - Tak, ale żal mi tej dwójki. Ta Marie to podłe dziewczusysko.
  - Co zrobiła?
  - Mówi, że śmierdzą, że dziewczynka się w niej zakochała, patrzy na nich wymownie i pyta, czy nic nie zginęło im z szafek. Czyli to co zwykle.
  - Ci nowi też sobie nie pomagają. Cały czas trzymają się razem, jakby chłopiec był ochroniarzem tej dziewczynki.
  - I te ubrania! Co ona sobie myślała?
  - Wiem! Spójrz na ich buty!
  - I te uśmiechy! Te dzieciaki są jak... marionetki.
- Szum spłukiwanej wody po jednej i drugiej stronie. Szczęk otwieranych drzwi.
- No, zobaczymy.
  - Albo dalej będą dziwolągami, albo się dostosują.
- Odgłosy kroków i trzask zamykanych drzwi. Gotując się z wściekłości, Sarah w końcu może się wysikać. Głupie dziwki, myśli. Mówią tak o moich dzieciach, a same nie myją rąk po wyjściu z ubikacji.

## 21 | Romy

Dwa lata po tym, jak urodził się mój brat Ilo, czterech młodych mężczyzn z plecakami pełnymi ładunków wybuchowych weszło do londyńskich środków transportu. Nigdy z nich nie wyszli, podobnie jak pięćdziesięciu dwóch pasażerów, którzy jechali z nimi w autobusie i metrze. W Japonii w 1995 roku członkowie sekty Najwyższa Prawda, używając sarinu, dokonali zamachów w tokijskim metrze, w wyniku czego dwanaście osób straciło życie. W 1987 roku na stacji King's Cross zapaliła się mieszanka włosów, drobin naskórka i smaru, nagromadzonych pod schodami ruchomymi. Pożar w mgnieniu oka objął halę biletową, zabijając trzydzieści jeden osób. Żeby zidentyfikować jedno z ciał, potrzeba było aż siedemnastu lat.

Miliony ludzi jeżdżą codziennie metrem, ale na samą myśl, że miałabym wejść do któregoś z tych tuneli, ciarki przechodzą mi po plecach. Ojciec miał zdjęcia zrobione wewnątrz wagonów i pokazywał je nam na projektorze w stołówce. Krew i wnętrzności, pozginany metal, fragmenty ciał, torebka porzucona na zrobionej z listewek drewnianej podłodze. Żyjąc w bezpiecznym Plas Golau, nigdy nie sądziłam, że będę się tak narażać.

Są autobusy do Finbrough. Odjeżdżają z miasta o nazwie Reading. Ale można tam dotrzeć z Heathrow, które jest dwa przystanki od Hounslow West na linii Piccadilly, a policja zatrzymuje ludzi kręcących się w okolicach lotniska. Równie dobrze Finbrough mogłoby być w Chorwacji. Żadna ilość beta-blokerów, żadna rozwaga czy technika oddychania nie przeprowadzą mnie przez te tunele. Weszłam na halę i po tym, jak poczułam bijące od schodów ruchomych gorące powietrze – było niczym piekielny oddech – przez dwa dni nie wychodziłam z mieszkania. Nie jestem taka jak kiedyś, maluszku. Widziałam śmierć i widok ten sprawił, że stałam się słaba.

Próbuję więc złapać stopa. Somer mówiła, że często podróżowała stopem, podczas gdy ja siedziałam w chuście, którą nosiła na piersiach. Lato w roku, kiedy przyszedłam na świat, spędziłyśmy, objeżdżając rozmaite festiwale. Somer pracowała na straganach Chai Tea, sprzedawała kanapki z bekonem albo dostarczała do namiotów specyfik o nazwie E, gdy ja rączkowałam w błocie pod okiem wyzwolonych ludzi z dreadami, tatuażami i piórami we włosach. Właśnie wtedy poznała Vitę i ta w sierpniu dała jej pracę w objazdowej kawiarni Arki, a we wrześniu, gdy sezon dobiegł końca, zabrała ją do domu w Glastonbury. Można więc chyba powiedzieć, że to, kim jestem – kim obie byłyśmy – zawdzięczamy podróżom autostopem. To one zawiodły nas do Plas Golau.

Łapanie stopa okazuje się zdumiewająco łatwe. Po niespełna dziesięciu minutach stania przy autostradzie A4, z celem mojej podróży zapisanym na kawałku tektury, zatrzymuje się kobieta w samochodzie tak wielkim, że muszę się podciągnąć, żeby do niego wejść.

– Nie powinnaś jeździć autostopem – mówi. – Zatrzymałam się tylko dlatego, że wyglądasz, jakbyś nie wiedziała, co robisz. To niebezpieczne. Po drogach jeżdżą różni ludzie.

– Wiem – odpowiadam. Jestem coraz lepsza w wymyślaniu historyjek. – Ale zepsuł mi się samochód, a obiecałam, że pójdę z babcią do kościoła.

– To miło z twojej strony. – Siedzenie jest skórzane i mogłabym przysiąc, że podgrzewane. Odchyłam się i niemal słyszę, jak moje obolałe biodra jęczą z ulgi. – Ale założę się, że nie chciałaby, żeby jej wnuczka wystawała przy trasie, czekając na okazję. Na pewno wolałaby ten jeden raz nie pójść do kościoła.

– Jeździ na wózku – dodaję. Odpowiedź najwyraźniej zadowala kobietę.

Specjalnie nadkłada drogi, żeby podrzucić mnie do Finbrough – twierdzi, że jedzie do Newbury obejrzeć konia. Dziwi mnie, że w okolicach Londynu nie ma żadnych koni, ale może ten jest jakiś wyjątkowy. Kiedy wjeżdżamy na A4, częstuje mnie czymś, co nazywa batonem energetycznym, i pyta, na kiedy mam termin.

– Na luty – odpowiadam, bo tak mi się zdaje. Przeraza mnie, że tak szybko się zorientowała, bo myślałam, że skoro przybrałam na wadze, trudno będzie zauważyć. Ale szósty miesiąc to szósty miesiąc...

– Obiecuj, że nie będziesz już taka nierozważna – mówi i przyspiesza, żeby zmienić pas.

\* \* \*

To zwykle miejsce. Ani nie odstręcza, ani nie pociąga. W Plas Golau wyobrażałam sobie, że wygląda trochę jak Dolgellau, jedyne miasteczko, jakie kiedykolwiek odwiedziłam. Człowiek tworzy wyimaginowane krajobrazy z tego, co zna, tak więc wyobrażałam sobie, że miejsce, w którym przysłam na świat, pełne jest wąskich, krętych uliczek, oraz wzgórz wysokich budynków z małymi oknami i ścianami z granitu. Wszystko na zewnątrz wyglądało jak Dolgellau, może poza Tadź Mahal i Angkor Wat, bo nie wiedzieć czemu, ich zdjęcia wisiały na ścianach w Chlewiku.

Macham na pożegnanie Caroline, która mnie podrzuciła, i rozglądam się po London Road. W Finbrough dominują parterowe domy z poddaszem. Brukowane podjazdy, przysadziste, czarno-białe tabliczki z nazwami ulic. I ronda. Niezliczone małe rondo, a także przejścia dla pieszych co dwieście metrów. Sprawdzam mapę w telefonie, cofam się o kilkaset metrów i skręcam w Cardigan Street, bo za tymi nędznymi, małymi domkami kryje się znacznie starsze miasto.

Autostrada jest tu nie tyle dźwiękiem, ile wrażeniem. Jeśli stanę bez ruchu i wstrzymam oddech, gdzieś zza tyłów budynków dotrze do mnie szum przejeżdżających samochodów, i choć idąc, nie zwracam na niego uwagi, przypuszczam, że jakaś część mnie jest go świadoma. Jestem niespokojna, nerwowa. Może dlatego, że powierzono mi zadanie i nie wiem, co z tego wyniknie.

Nagle słyszę ludzi. Ich głosy – krzyki, rozmowy, śmiech – brzęk, kroki, od czasu do czasu ryk silnika, muzykę, dziwny warkot i rywalizujący z nim kobiecy śpiew, a właściwie zawrodożenie, coś o seksie albo tańcu, albo o czymś jeszcze. Skręcam w High Street i wchodzę w sam środek targu

w Finbrough. Pełno tu kramów, samochodów dostawczych z otwartymi tylnymi drzwiami i czujnych mężczyzn biorących gotówkę i w każdej chwili gotowych do ucieczki. Otacza mnie feeria barw. Wszyscy tu krzyczą – mężczyźni, kobiety i dzieci. Widząc to, Lucien zacisnąłby powieki i zatkał uszy dłońmi. Nienawidził krzyczących ludzi. „Świeże awokado za funta!”, „Środki czyszczące!”. Dziesiątki zapachów mieszają się ze sobą: przyprawy, olej i karmel, woń grillowanego mięsa. Wzdrygam się na widok jaskrawości w tym ciasnym szarym miejscu i zanurzam się w niej.

Lawiruję w świecie zupełnie obcych ludzi, gdzie każdy może być uzbrojony i czekać na okazję, żeby stać się iskrą, która wznieci rewolucję. W każdym z nich może inkubować wirus, który wywoła pandemię, a ta doprowadzi do zagłady świata. Każdy może zrobić coś, co wywoła popłoch.

Chwilę później czuję zapach tak cudownie apetyczny, że wstrzymuję oddech i odwracam głowę. Jest tak silny i hipnotyzujący, że mogłabym przysiąc, że ty też go czujesz i obracasz się w jego stronę, choć wiem przecież, że to tylko złudzenie. Albo burczenie w żołądku. Nigdy w życiu nie czułam czegoś podobnego. Ten zapach przywodzi na myśl ciepło, owoce cytrusowe, sól i brąz królewski. Rozglądam się i patrzę na stoisko, na którym ciemnoskóry mężczyzna z zawiązanymi na karku węzowymi mackami obraca na otwartym ruszcie kawałki kurczaka. Podchodzę do niego. Jest stary. Musi mieć co najmniej czterdzieści lat. Ale uśmiecha się do mnie, jakbyśmy byli rówieśnikami.

– Co to? – pytam.

– Kurczak jerk, skarbie – odpowiada.

– Czyli?

– W marynacie według starego jamajskiego przepisu. Jak spróbujesz, wyskoczysz z butów. – Podskakuje, jakby chciał pokazać, że to, co mówi, jest prawdą.

– Co w nim jest?

– To sekretny przepis. Nikomu go nie zdradzam. Chcesz spróbować?



– Ile?

Odkrawa kawałek przypieczonego udka i nadziany na widelec wyciąga w moją stronę. Ostrożnie biorę go w palce, wącham, wkładam do ust i nagle cały wszechświat eksploduje. Wydaje mi się, że lada chwila naprawdę wyskoczę z butów. Tymczasem ciemnoskóry sprzedawca zaśmiewa się do łez. Mięso jest pikantne – tak bardzo pikantne, że mam wrażenie, że zaraz odpadnie mi język – i... nie wiem, jak to opisać. Idealne. Idealne w każdym calu, jak gdyby wszystkie smaki świata zatoczyły pełne koło. Nie wiedziałam. Mój Boże, nie wiedziałam. Nie miałam pojęcia, że jedzenie może tak smakować.

– Boże – mówię.

Mężczyzna powoli rozciąga usta w chytrym uśmiechu.

– Najlepszy kurczak po jamajsku w południowo-zachodniej Anglii – oznajmia. – Z pozdrowieniami z Bristolu.

Potrzebuję tego. Chcę kupić wszystko, co ma na straganie. Mam ochotę objąć go, rzucić się na jedzenie i uściskać cały świat.

– Ile? – pytam jeszcze raz.

– Sześć kawałków za piąta – odpowiada. Nie mam pojęcia, czy to drogo, czy nie. Jeśli wierzyć temu, co piszą w internecie, tyle kosztuje bilet do Reading. Sięgam do kieszeni i znajduję banknot pięcioletni. Wciskam go mężczyźnie do ręki, wyrywam mu porcję kurczaka i odchodzę pospiesznie, szukając miejsca, w którym mogłabym usiąść.

Kilka metrów dalej znajduję niski murek przed budynkiem oddalonym nieco od drogi. To murek z ogrodzeniem, ale jest na tyle szeroki, że mogę na nim przysiąść, i chętnie to robię. Otwieram pudełko i jeszcze raz wdycham ten niebiański zapach udka i skrzydełka. Zamykam oczy i skupiam się na złożoności, wyzwaniu, ociekającej tłuszczem pieścocie smaku; słyszę ochy i achy dobywające się z moich ust. Nigdy, myślę. Nigdy, przenigdy w całym swoim życiu nie jadłam czegoś tak pysznego. Jak ludzie, którzy potrafią przygotować coś takiego, mogą dążyć do samozagłady?

Obgryzam kość i wrzucam ją do pudełka. Jeszcze jeden kawałek. Jeśli zjem skrzydełko, reszta zostanie mi na później.

Ludzie przechodzą obok mnie nieświadomi tego, co się ze mną dzieje. Ludzie w dżinsach i sukienkach, w powłóczystych płaszczach i obcisłych kurtkach, w botkach i legginsach, ludzie z szalami zarzuconymi na ramiona, zawieszonymi na szyjach albo okręconymi wokół głów jak turbany. Fascynują mnie. Wszyscy pragną się jakoś wyróżniać i pokazać światu jakąś część swojej osobowości. Wśród ubrań, które mi podarowano, jest leciutki szal z zielonej wełny z nadrukowanymi czarnymi sylwetkami ptaków – spłowiwały, ale nadal uroczy. Muszę spróbować innych sposobów noszenia go. Do głowy mi nie przyszło, że może mieć inną funkcję niż tylko chronienie szyi przed chłodem.

Przestań, Romy. Przestań. Bez końca ostrzegali mnie przed tym niebezpieczeństwem, przed uwodzicielską fasadą świata Martwych. „Może cię uzależnić – mówili. – Zniewolić. Będiesz naprawdę wolna tylko wtedy, gdy będziesz od nich stroniła”. Minęło cztery i pół miesiąca, a ja już szukam wskazówek modowych. Wgryzam się w chrupiącą skórę skrzydełka i kolejny raz czuję dziwną nostalgię za życiem, którego nigdy nie było.

Wstaję i podchodzę do kosza na śmieci, żeby wyrzucić kości. Starsza kobieta w różowym tweedowym płaszczu posyła mi pomarszczony uśmiech.

– Niebo w gębie, prawda? – mówi. Kiwam głową, nadal zbyt zachwycona smakiem, żeby cokolwiek powiedzieć. – Nie wiem – ciągnie staruszka – wszyscy narzekają na imigrantów, ale jestem dość stara, żeby pamiętać, jak nudny był ten kraj przed ich przyjazdem. Ludzie myśleli, że oliwa to coś, co się kupuje w buteleczce z zakraplaczem i zapuszcza do uszu.

Widać, że chce porozmawiać, więc wykorzystuję okazję, żeby na nią popatrzeć. Rzadko widywałam starych ludzi i dobrze byłoby, żebym nie okazała zdumienia podczas spotkania ze swoimi dziadkami. W Plas Golau nie było starców. Po pięćdziesiątce ludzie znikali, a my, zgodnie ze zwyczajem, nigdy nie rozmawialiśmy o dezertkach ani o nich nie pytaliśmy. Ojciec był najstarszy – kiedy umarł, miał zaledwie sześćdziesiąt sześć lat. Chyba niewiele o tym myślałam. Nie widziałam niczego dziwnego w tym, że większość z nas stanowili ludzie młodzi. Po

Apokalipsie człowiek nie dożyje późnej starości, a jedyny pożytek z kogoś, kto nie może już pracować, jest taki, że pewnego dnia może nadać się do zjedzenia.

Tymczasem teraz mnie otaczają. Mijają mnie, powłócząc nogami, ze swoimi laskami i torbami na kółkach. Już mnie nie przerażają.

– Wie pani, gdzie mogę znaleźć miejsce o nazwie Dom Pana? – pytam.

– Dom Pana? – powtarza. – Nie. To jakaś kafejka?

– Nie. To kościół.

– Aha – rzuca. – Jaki kościół?

Nie bardzo wiem, co odpowiedzieć.

– Może nie kościół – tłumaczę w końcu. – Zgromadzenie.

– Zgromadzenie – mruczy. – Ach, tak! O to chodzi! Stoisz przed nim!

Wskazuje murek, na którym chwilę temu zjadłam fenomenalny posiłek. I oto jest, maluszk. Byłam tak zaabsorbowana jedzeniem, że nie zwróciłam uwagi. Miejsce, z którego pochodziła moja matka. Za ogrodzeniem widzę brukowany dziedziniec, a jeszcze dalej duży, elegancki dom z podłużnymi oknami i uroczymi gzymsami. Nie mam pojęcia, jak mogłam go nie zauważyć, bo nad ogrodzeniem na wyblakłej kremowej tablicy widnieje napis: *Kongregacja Finbrough*.

Nic więcej. Żadnych informacji oprócz inicjałów namalowanych farbą w sprayu. Brama jest zamknięta i zabezpieczona łańcuchem i kłódką, a podwórze zasłane suchymi liśćmi, choć nigdzie nie widzę drzew, z których mogłyby opaść.

– Nie wiem, czy ktoś tu jeszcze chodzi – mówi staruszka. – Dawniej widywałam ich w dni targowe, jak zaczepiali ludzi i rozdawali te swoje ulotki, ale jak tak teraz pomyślę, to było jakiś czas temu.

– Jak dawno?

– Boże, nie mam pojęcia. Coś się wydarzyło, ale nie pamiętam co. Chyba ktoś umarł. Kilka lat temu.

– Och – bąkam.

– Przykro mi – rzuca.

– To nie pani wina – zapewniam ją, co, jeśli się nad tym zastanowić, jest oczywiste.

Czyli nie znajdę tu Eden. Nie bardzo wiem, co zrobić. Uri z pewnością nie będzie zachwycony wynikiem moich poszukiwań. W internecie niewątpliwie jest wzmianka o tym, co się wydarzyło, ale sprawdziłam tylko adres.

Jeszcze raz przyglądam się domowi. Prawdopodobnie nikt w nim nie mieszka, ale nie wydaje się opuszczony. Może w środku jest ktoś, kto powie mi, dokąd powinnam się udać. Może nawet poda mi adres.

Spaceruję ulicami, aż trafiam na tyły domu. Niewiele jest tu do oglądania. Szereg budynków z czerwonej cegły w połowie drogi i alejka zakończona wysoką drewnianą furtką. Podchodzę do niej i naciskam klamkę. Zamknięte. Nie dziwi mnie to. Ale zamek nie wydaje się skomplikowany. Mimo wszystko lepiej zaczekam, aż się ściemni. I w pobliżu nie będzie nikogo, kto mógłby zobaczyć, jak się włamuję.

## 22 | Sarah

Wraca do ciemnego domu i czuje się dziwnie zawiedziona. Po tym, jak przez trzy lata sama włączała światła, miło by było zobaczyć kogoś, kiedy otwiera drzwi.

Zapala światło w holu i odwiesza płaszcz. Nabiera powietrza, żeby zawołać, ale coś ją powstrzymuje. Cisza jest taka jak wtedy, gdy dzieci tu przyjechały. Kiedy zaniepokojona wracała do domu, a one wychodziły z którejś z sypialni – zawsze razem – i witały ją upiornymi uśmiechami. Ostatnio to się zmieniło. Zaczęła cieszyć się na myśl o ich obecności. Czasami nawet zabierały się do przygotowywania kolacji. Okazuje się, że Ilo potrafi nieźle gotować, i Sarah musi przyznać, że nie jadła tak dobrze, odkąd Liam odszedł.

Dziś jednak dom jest zimny i cichy.

W ciszy Sarah słyszy szlochanie.

Zamiera w korytarzu i całe jej ciało nasłuchuje. Po chwili słyszy głosy.

Które z nich płacze? Wygląda na to, że Eden. Zaraz potem z góry dobiega syk, gniewny, oskarżycielski ton i błagalny, łamiący się głos Ilo.

Sarah zatrzymuje się na najniższym stopniu. Wiedziała, że kiedyś do tego dojdzie. Ale w domu Maxwellów nikt nie płakał, zwłaszcza po tym, jak pozbyto się z niego zbuntowanej, wybuchowej córki. Liam twierdził, że coś z nią jest nie tak. Jego zdaniem wszystkie kobiety płaczą. Jego mała przyjaciółeczka płakała na okrągło – Sarah jest tego pewna. Płakała, żeby afiszować się ze swoją kobiecością i żeby przekonać go, że jego żona nie ma uczuć. Lecz jeśli za młodu dowiesz się, że lzy oznaczają karę, nauczysz się je powstrzymywać.

Co robić, kiedy ktoś płacze? Sarah nie ma pojęcia. Nikt nigdy nie płakał w jej obecności – to znaczy nikt, na kim by jej zależało,

i nigdy z ważnego powodu. A ten powód wydaje się ważny. Nie wie, jak się zachować.

Mimo umowy, którą zawarła sama ze sobą, że będzie z nimi szczerą i nie będzie ich podsłuchiwać ani szpiegować, zakrada się na górę i nasłuchuje.

W tym szlochaniu jest jakaś złość, Sarah nie ma co do tego wątpliwości.

– Miałeś się mną opiekować, Ilo – mówi Eden. – Gdzie byłeś?

– Przepraszam. – To głos Ilo. – Byłem w holu. Czekałem na ciebie.

– To cholernie źle. Masz się mną opiekować.

– Było tłoczno – tłumaczy się chłopiec. – Nie miałem gdzie stanąć.

Poirytowana Eden prycha z pogardą.

– Jesteś do niczego – rzuca.

– Przepraszam – powtarza Ilo. – Poprawię się.

Jęk rozpaczy.

– Za późno! Boże, co ja teraz zrobię? Umrę bez niego, Ilo! Umrę! Nie rozumiesz?

Sarah czuje, że jej ciało napina się niczym struna. To przesadna reakcja nastolatki czy może powinna zacząć się martwić? Eden zachowuje się jak... obłąkana. Co ją tak wzburzyło?

– Odzyskam go – obiecuje Ilo.

– Jak? Powiedz mi jak?

– Poproszę.

– Poprosisz? Wyśmieją cię. Nawet się do nich nie zbliżysz. Umrę bez niego, Ilo. Nie rozumiesz? Nie masz pojęcia, jak tam jest niebezpiecznie dla kogoś takiego jak ja. Bez niego jestem niczym. Równie dobrze już teraz mogę się zabić...

– Eden, ja... nie... może jeśli kogoś poprosimy...

– Kogo chcesz prosić?

– Nie wiem. Ciocię Sarah?

– I co ona robi?

– Jest po naszej stronie.

– Daj spokój – warczy Eden. – Nikt nie jest po naszej stronie. Jesteśmy sami, Ilo. Tylko ty i ja. Czyli tak naprawdę zostałam zupełnie sama.

– Eden... – zaczyna chłopiec, ale siostra mu przerywa.

– Jesteś nikim – rzuca. – Jeśli umrę i świat się skończy, to będzie twoja wina.

Sarah czuje ukłucie żalu. Tyle wysiłków, a Eden nadal jest wobec niej tak nieufna jak na początku. Po chwili uświadamia sobie, co właściwie robi. W poniedziałek w toalecie przekonała się, czym się kończy podsłuchiwanie. Dobrze ci tak. Jeśli ci nie ufają, musisz się bardziej postarać.

Wraca na dół i woła:

– Halo?! Jest tu kto?!

Cisza aż dźwięczy w uszach. Tak samo cichną cykady, gdy wyczuwają drapieżnika. Chwilę później drzwi otwierają się i oto są oboje. Uśmiechnięci. Na buzi Eden nie ma śladu złości, a twarz Ilo nie wyraża skruchy. Bawią się ze mną, myśli Sarah, a zaraz potem upomina się w duchu: Daj spokój. Po prostu cię nie znają. Jesteś dorosła. To ty musisz zaskarbić sobie ich zaufanie, nie odwrotnie.

– Cześć, ciociu – wita ją Eden. – Wcześniej wróciłaś.

– Jest piątek – odpowiada Sarah. – Dzień Oleju.

Marszczą brwi, nie wiedząc, o co chodzi.

– Olej pracę, idź do domu – tłumaczy, wchodząc po schodach. Najwyraźniej uznały żart za nieśmieszny. – Na moment się wystraszyłam. Byliście tak cicho, że myślałam, że uciekliście i mnie zostawiliście.

– Nie – mówi Ilo. – Byliśmy... na górze.

– Jak wam minął dzień?

No dalej. Zaufajcie mi. Opowiedzcie mi o wszystkim. Jak mamy poczynić postępy, skoro mi nie ufacie?

– Dobrze – odpowiada chłopiec. Jego siostra milczy.

– Wszystko w porządku, Eden? – dopytuje się Sarah.

Eden kładzie rękę na mostku, gdzie zwykle wisi ten paskudny, mały wisiorek.

– Zgubiłaś wisiorek? – pyta Sarah.

Dziewczynka odwraca się na pięcie, wchodzi do sypialni i zatrzaskuje za sobą drzwi. Zakłopotany Ilo stoi na korytarzu.

– Coś się stało? – szepcze Sarah.

Chłopiec wygląda, jakby miał czterdzieści lat.

– Nic jej nie będzie – zapewnia. – Jest silniejsza, niż jej się wydaje. Wszystko w porządku, ciociu.

– Może pomogę i...

– Nie teraz. – Chłopiec kręci głową.

Nie przeginaj, upomina się w duchu Sarah. Między kotami i psami jest różnica. Idziesz do psów, jeśli chcesz, żeby cię pokochały. Kotom musisz pozwolić przyjść do siebie.

– Jedliście coś? – pyta.

Ilo kręci głową.

– Pomożesz mi? Zaniesiemy Eden jedzenie, jeśli nie będzie chciała zejść.

Wygląda na to, że Ilo lubi gotować.

– Może będziesz szefem kuchni – proponuje Sarah. – Świetnie sobie radzisz.

Słyszając pochwałę, chłopiec się rozpromienia. Obiera cebulę i zaraz potem zaczyna ją kroić.

– Dziękuję – mówi.

– Często gotowałeś w Plas Golau? Świetnie radzisz sobie z nożem. Jak profesjonalista!

To za mało, żeby poruszyć inny, ważniejszy temat.



– Tak – odpowiada chłopiec. – W Domu Strażników. Po tym, jak do nich dołączyłem, nie nadawałem się do niczego innego. Ale to dobre ćwiczenie.

– Właśnie widzę! – Sarah się śmieje. – Chcę cię o coś zapytać. Czy coś wydarzyło się w szkole? Nie mogę udawać, że nie widziałam, że Eden jest zdenerwowana.

Nóż nieruchomieje, a zaraz potem znów opada na cebulę.

– Nic takiego – zapewnia Ilo. – Głupota. Eden łatwo wpada w złość. To dla niej trudne. Przez to, kim jest, trudniej jej być normalną. Mnie jest łatwiej. Nigdy nie byłem wyjątkowy.

– A kim ona jest...?

Nóż znowu nieruchomieje.

– Przepraszam. Myślałem, że wiesz, że jest córką Luciena – mówi chłopiec, jakby to wszystko wyjaśniało.

– Och – bąka Sarah.

Ile pytań to za wiele? Kiedy kończy się zainteresowanie, a zaczyna wścibstwo? Muszę pamiętać, że dla nich to wszystko nadal jest prawdziwe.

– Oczywiście – rzuca. – Ale czy coś się stało? Wydaje mi się, że...

– Straciła swój medalion – mówi Ilo.

– Co takiego?

– Medalion, który zwykle nosi na szyi. Jest dla niej ważny.

– Jak ważny?

– To... symbol. Wszystkie dzieci Ojca nosiły takie medaliony.

– To coś jak talizman? Amulet przynoszący szczęście?

Ilo zastanawia się przez chwilę.

– Tak jakby. Trudno to wytłumaczyć. Są ich częścią... te medaliony. Od dnia ich urodzin.

– Bez niego czuje się naga?

Chłopiec kiwa głową.

- Tak. Odsłonięta.
- Boże. Gdzie go zgubiła?
- Dzisiaj na placu zabaw. Kiedy wracaliśmy do domu.
- Znaleźliście go?

Spojrzenie Ilo uświadamia jej, jak głupie było to pytanie.

- Przepraszam. Chciałam zapytać, czy go szukaliście?

Znowu to spojrzenie. Zupełnie jakby chciał powiedzieć: „Odwal się, kobieto, jeśli masz mi zadawać tak idiotyczne pytania”.

- Wybacz. Ten medalion... Jest cenny?
- Ktoś z zewnątrz uznałby, że nie. Ale dla niej tak.
- Dobrze. Zobaczę, co da się zrobić. Wywieszę informację na tablicy ogłoszeń...

Ilo się krzywi.

- Myślę, że ktoś go zabrał – mówi.
- W takim razie to kradzież – tłumaczy Sarah. – Za coś takiego należy karać.

Chłopiec znowu się krzywi i wrzuca pokrojoną cebulę do garnka.

\* \* \*

Eden schodzi na kolację. Umyła twarz i znowu przykleiła uśmiech, ale nie patrzy na brata i ignoruje go, kiedy on stawia przed nią talerz, jak przed damą z epoki króla Edwarda VII. Dzisiaj niczego się od niej nie dowiem, myśli Sarah, ale i tak próbuje.

- Eden – zaczyna – jeśli zdarzyło się coś, co cię zdenerwowało, powiedz mi, proszę. Po to tu jestem. Żeby ci pomóc.

Kiedy Eden się odzywa, mówi podniesionym, rozkazującym głosem.

- To вина Ilo, ciociu. I to on musi to załatwić.
- Nie musicie załatwiać niczego sami – upiera się Sarah i powtarza: – Po to tu jestem. Są pewne zasady. Jeśli ktoś ci

dokucza albo znęca się nad tobą, łamie je.

Jasne niebieskie oczy wpatrują się w nią.

– To mi nie przeszkadza – odzywa się w końcu Eden. – Chcę odzyskać medalion, ale współczuję im. Wszystkim.

– Dlaczego? – pyta Sarah.

– Bo są głupi – odpowiada dziewczynka. – I umrą, krzyżąc.

\* \* \*

Kiedy dzieci są już w łóżkach, wychodzi do ogrodu na wieczornego papierosa. Pozwala sobie na dwa papierosy dziennie, na przekór zasadom i dlatego, że sprawia jej to przyjemność.

Siada na jednym z pomalowanych na zielono krzeseł z kutego żelaza przy takim samym stoliku i pali najwolniej, jak może, strzepując popiół do zielono-beżowej ozdobnej doniczki, która należała kiedyś do jej matki. Nie jestem w tym dobra, myśli. Kogo mam zapytać? Każdy, z kim rozmawiam, widzi Arkę tak jak ja – jako porąbany świat kręcący się wokół teorii, których nie rozumiemy i które dla nas nie mają sensu – ale świat pełen jest katastrofistów, którzy czekają, aż niebo runie nam na głowy. Nie oni jedni. Potrzebuję pomocy i nie chodzi o kogoś, z kim ja mogłabym porozmawiać, lecz o kogoś, z kim one będą mogły porozmawiać. Kogoś, kto nie będzie cały czas przygryzał warg ani mówił niewłaściwych rzeczy tylko dlatego, że nie rozumie tego, w co wierzą te dzieciaki. Nie zaufają mi, jeśli nie udowodnię im, że jestem po ich stronie.

Sarah wyciąga portfel, zagląda do przegródek i znajduje adres swojej siostrzenicy, Romy. Patrzy na niego, podczas gdy papieros wypala się aż do filtra, i gasząc go, podejmuje decyzję.

## 23 | Romy

Tak jak myślałam, zamek furtki nie jest skomplikowany. Otwieram go w niecałą minutę z pomocą dwóch metalowych szpikulców, które kupiłam za jednego funta i trzydzieści pięć pensów na stoisku z przyborami kuchennymi. Oglądam się za siebie, powoli otwieram furtkę, na wypadek gdyby skrzypiała na zawiasach, i wślizguję się do środka.

Jestem na małym brukowanym podwórzu. Kubły na kółkach leżą przewrócone na bok, żeby nie lała się do nich woda. Posępne lokum dla Pana: widok na tyły domów innych ludzi i zero prywatności. Ledwie starcza tu miejsca na stolik i krzesła. Może Pan wybierze podwórze od frontu, żeby ludzie mogli patrzeć, jak Jego Boski Majestat popija poranną kawę.

Do tylnego wejścia prowadzą schodki z gankiem, który zapewni mi odrobinę prywatności.

W drzwiach znajduję zamek wpuszczany i drugi, patentowy, firmy Chubb. Z pierwszym poradzę sobie bez problemu, drugi jest nieco bardziej skomplikowany, ale nie z takimi rzeczami radziłam sobie wcześniej. Mieliśmy zajęcia w Chlewiku. Nigdy nie wiadomo, gdzie człowiek, uciekając, będzie szukał schronienia. Zamek wpuszczany poddaje się po trzech minutach, a po pięciu słyszę szcęk zamka patentowego.

W środku panują nieprzeniknione ciemności i pachnie pajęczynami. Kusi mnie, żeby włączyć światło, ale się powstrzymuję. Na litość boską, Romy. Wyćwiczone cię, żebyś umiała stawić czoło końcowi świata. Nie schrzanisz tego tylko dlatego, że boisz się pajaków.

Zamykam za sobą drzwi i włączam moją nową latarkę. Znajduję się w skromnym, małym pokoju, właściwie magazynku. Jest tu kilka połamanych krzeseł, rząd pustych haczyków na ubrania, a na rozchwierutanym ozdobnym stoliku pod ścianą leży stosik mszałów. Na jednym z krzeseł stoi kartonowe pudło.

Ktoś przykleił do niego kartkę z napisem: *Proszę, szanujcie dom Pana*. Zaglądam do środka i znajduję białe bawełniane czepki z tasiemkami do zawiązywania pod brodą. Tu i ówdzie widać na nich plamy pleśni. Musi tu być bardziej wilgotno, niż można by sądzić po zapachu. Czepki są takie same jak ten, który nosi Hester Lacey na zdjęciu w Wikipedii. Ciekawe, dlaczego ktoś ubierał się jak ten stary, pokryty brodawkami potwór. Cóż za dziwny sposób na wyrażanie wiary. Moja matka musiała zakładać taki czepek w każdą niedzielę do czasu, aż skończyła siedemnaście lat. W ścianie naprzeciw znajdują się drzwi zamknięte na ciężką zasuwę. Ta jednak odsuwa się z łatwością. Przekręcam gałkę i słyszę przyjemny dla ucha szcęk.

Rozległa przestrzeń dla tak pomarszczonych mieszkańców. Świecę latarką po ścianach, wyławiając z mroku kolejne szczegóły. Rozpoznaję to miejsce z opowieści matki. To tutaj odrabiała pracę domową, siedząc w którejś z tylnych ławek, podczas gdy jej ojciec stał przy mahoniowej mównicy i rozprawiał o ogniu piekielnym. Białe ściany. Czarne drewno. Wchodzę głębiej i idę w stronę wysokich, łukowatych drzwi w drugim końcu pomieszczenia. Odwracam się i patrzę w stronę, z której przyszłam. Prosty kwadratowy stół z dwoma mosiężnymi świecznikami, cynowy kielich i cynowy talerz na płóciennym obrusie. Nad nim, na ścianie, namalowane na kamieniu wokół okna widnieją słowa: *Ja Pan, Bóg twój, jestem Bogiem zazdrosnym*<sup>4</sup>, a nad drzwiami, do których zmierzam: *Albowiem zapłatą za grzech jest śmierć*<sup>5</sup>. Nie ma co, pogodni ludzie z tych moich przodków. Byli tak pochłonięci rozmyślaniami o wyimaginowanych zaświatach, że nie zwracali uwagi na katastrofę, która zbliżała się ku nim nieuchronnie.

Żadnych dekoracji, żadnych upiększeń. W Plas Golau nie korzystaliśmy z kaplicy w celach religijnych – przechowywaliśmy w niej jedzenie, bo nawet latem panował tam przyjemny chłód – ale pomieszczenie zachowało pamiątki z bardziej radosnych czasów: wyryte na ścianach czaszki, mosiężnego orła, na którym można było położyć otwartą Biblię, kanelowane kolumny podtrzymujące strop, skrzydlate aniołki płaczące u stóp pary staruchów wykutych w marmurze na marmurowym podeście. Symbolizowały radość, makabryczną wesołość pośród całej tej powagi związanej z uwielbieniem i śmiercią. To pomieszczenie

jasno i wyraźnie daje do zrozumienia, że Bóg nie pozwala na żadną zabawę. Lata temu przestałam wierzyć w bajeczki o tym, że chrześcijanie zjedli Jezusa, ale najwyraźniej kościół mojego dziadka nie był beczką śmiechu.

Ojciec twierdził, że widzi we mnie gniew, chociaż w kółko udowadniałam, jak bardzo jestem posłuszna. Kiedy to mówił, czułam mrowienie między łopatkami, a skóra na głowie cierpła mi, jakby całe moje ciało gotowało się do ataku. Dopiero później przyszło mi do głowy, że być może miał rację. Pod wieloma względami powoduje mną gniew. Nawet teraz. Wściekłość na świat, na dziadków, na Eden i Ilo, bo zniknęli i zostawili mnie samą, i na Uriego, który zlecił mi to zadanie. Ale wszystko, naprawdę wszystko zaczęło się od ludzi, którzy uczynili z tego domu miejsce kultu. Zimnych, krytycznych i destrukcyjnych w swej pogoni za moralnością. Ludzi, którzy pławili się w poczuciu własnej wyższości. Odnajdę ich i dopilnuję, żeby pojęli, co naprawdę znaczy nikczemność.

Zabiliście moją matkę, powiem. Równie dobrze mogliście ją zabić, używając do tego noża.

Zemsta, jak mówił Ojciec, to autodestrukcyjna siła. Nie miał o niczym pojęcia. Vita wiedziała o świecie więcej od niego. Znacznie więcej. I Uri. Dlatego Uri wciąż żyje, a oni są martwi. Ojciec najwyraźniej nigdy nie żywił do nikogo nienawiści. W przeciwieństwie do mnie nie miał powodu do nienawiści, a to znaczy, że mimo wszystkich pięknych słów nie miał o niczym pojęcia.

Rozglądam się po miejscu, w którym zaczęła się moja niedola, i zaskoczona uświadamiam sobie, że może stąd cały ten mój gniew. Ktoś, kto nie ma w sobie całych pokładów gniewu, nie czerpie przyjemności z rozmyślania o ogniu piekielnym. Tylko ktoś, kto nienawidzi świata, raduje się na myśl o wiecznym potępieniu.

Moja matka miała szczęście, że uwolniła się od tych ludzi... hm... może nie do końca. Ale ocalała mnie i za to mogę tylko być jej wdzięczna.

Do tej pory nie miałam o tym pojęcia, ale jestem wnuczką ludzi, którzy tu kiedyś przebywali.

\* \* \*

Pachnie tu kurzem i, delikatnie, pastą do drewna. Muskam palcem tył najbliższej ławki i na opuszcze pozostaje siwy osad. Od jakiegoś czasu nikt tutaj nie wchodził. Idę do drzwi i szukam piwnicy. Pamiętam, jak mama mówiła, że właśnie tam mieli swoje biura. Jeśli gdzieś mogę znaleźć potrzebne mi informacje, to tylko tam. Jak tu wilgotno, przemyka mi przez głowę, gdy stoję na schodach. Pomieszczenie było zamknięte i nieogrzewane tak długo jak reszta budynku. Co daje mi nadzieję. Bo skoro nikt tu nie wchodził, nikt nie mógł zabrać dokumentów. Pewnie zamknęli je tu i odeszli. Zastanawiam się, gdzie są teraz. Czy człowiek, który umarł, był moim dziadkiem? W głębi duszy mam taką nadzieję, bo im szybciej ten człowiek przekona się, czym jest ogień piekielny, tym lepiej.

Zakładam, że na dole jest na tyle bezpiecznie, że będę mogła włączyć światło. Wisząca pod sufitem naga żarówka zalewa wszystko upiornym, zimnym blaskiem, który kojarzy mi się z wampirami. Cóż za ponure pomieszczenie. Dwa długie stoły, dwa fotele na kółkach i ściany z cegły pomalowanej białą farbą. Plastikowe tace, a na nich kruszejące kartki papieru. Rząd szafek na dokumenty.

Kiedy podchodzę do szafek, drzwi na górze schodów otwierają się i słyszę głos:

– Firma ochroniarska Clarion. Proszę wyjść.

Jest ich dwóch. Mają na sobie mundury, które upodabniają ich do policjantów. Wiem, że nimi nie są, bo gdyby tak było, powiedzieliby mi o tym. W korytarzu rozbłyskuje światło. W kaplicy też.

– Skąd wiedzieliście, że tu jestem? – pytam, bo jestem autentycznie zaintrygowana.

– Alarm, skarbie – odpowiada jeden z nich.

Aha. Jak to możliwe, że nie zaczął wyć? Czyżby mieli tu ciche alarmy? Czyżbym uruchamiała je, chodząc po świecie?

– Może pani powiedzieć, co tutaj robi? – żąda mężczyzna.

Robię żalną minę porzuconego dziecka i rozchylam poły kurtki, żeby zobaczył mój obrzmiąły brzuch.

– Szukałam miejsca, gdzie mogłabym przenocować – tłumaczę.

– W piwnicy?

– Nie jestem wybredna. – Wzruszam ramionami.

– Sypialnie zwykle są na górze.

Znowu wzruszam ramionami.

– Wie pani, że to włamanie, prawda?

– Niczego nie wyłamałam. Tylne drzwi były otwarte. Po prostu szukałam miejsca, gdzie mogłabym przenocować – powtarzam. – Jest zimno.

Przyglądam się im. Może ten starszy pozwoli mi odejść. Mogłoby mieć córkę w moim wieku.

– Jestem w ciąży – dodaję.

– Widzę – odpowiada. – Ale to nie zmienia faktu, że się pani włamała. A przynajmniej wkroczyła na teren prywatny. Proszę stanąć tam. – Wskazuje kąt. Odwraca się i mówi do telefonu, jakby myślał, że go nie usłyszę. – Terence. Tak, mamy włamanie przy High Street w Finbrough. Wezwij policję. Mamy ptaszynę.

– Nie – rzucam. – Proszę, nie. – Patrzę na niego błagalnym wzrokiem zbitego psa.

Nie działa. Facet spogląda na mnie spod czapki z daszkiem i wiem, że się nie wyłgam. Dlatego wybieram drugą opcję i rzucam się do ucieczki.

Są powolni, tak jak myślałam. Wolniejsi ode mnie, chociaż utykam i jestem w zaawansowanej ciąży. Starszemu wolniej pracują nogi, a młodszemu – mózg. Ja tymczasem mam pamięć mięśniową i gdy zaczynam biec, moje ciało przypomina sobie, jak to robić, chociaż nie biegałam od miesięcy. Docieram do kaplicy i biegnę między ławkami, podczas gdy oni, klnąc, objają się o siebie. Wpadam do małego pokoju i rygluję drzwi chwilę przed tym, jak zaczynają się do nich dobijać. Wybiegam tylnym wejściem, gnam w górę uliczki i wypadam na główną drogę.

Czuję, jak fikasz koziołki w moim brzuchu. Przyzwyczaj się do tego, maluszku. Życie nie jest łatwe.



Oddalam się od High Street, bo to oczywiste, że właśnie stamtąd nadjedzie policja, przecinam dwie ulice i skręcam w lewo. Dopiero wtedy zwalniam i idę niespiesznie jak ktoś, kto wyszedł na spacer. Nikt mnie nie szuka. Może w ogóle nie zadzwonili na policję. Na London Road stoję na poboczu i wyciągam rękę z nadzieją, że ktoś się zatrzyma, żeby podrzucić biedną ciężarną dziewczynę.

Złość osłabia czujność. Nie myślę o tym, kim są kierowcy samochodów, które mkną ze świstem po drodze. Niespełna minutę później jeden z nich się zatrzymuje, a ja wsiadam, nie zaglądając nawet przez szybę do środka. Rzucam plecak pod nogi i patrzę na kierowcę dopiero wtedy, gdy wciska pedał gazu. Wściekłość sprawiła, że zapomniałam o kolejnej ważnej rzeczy, którą zawsze powtarzał nam Ojciec: że decyzje podejmowane w gniewie rzadko są mądre.

**PRZED KOŃCEM**  
*2010–2011*

## 24 | Romy | 2010

Omali nie nadeptuje na ciało. To kobieta. Sądząc po ułożeniu, spadła z głązów poniżej zapory wodnej i leży twarzą w dół w stawie pełnym wielkich pstrągów.

Lasy są ciche. Słyszeć tylko cichutki śpiew wody u jej stóp. Romy odwraca wzrok i szuka pocieszenia w maleńkich bladych plamach nocnego nieba prześwitujących między gałęziami drzew. Jeszcze raz ogląda się za siebie. Ciało nadal tam jest.

Romy chwieje się na nogach w chłodnym nocnym powietrzu. Wzdryga się, gdy coś wylatuje spomiędzy gałęzi.

To jej mózg, myśli. Widzę jej mózg.

Spadając, połamano ją. Przez rozdarcie na rękawie przebija złamana kość, a szyja kobiety jest przekrzywiona pod dziwnym kątem. Romy widziała już zwłoki, ale te wyglądają najgorzej.

Czy to normalne, że jestem taka spokojna? – zastanawia się. Czy nie powinnam się trząść?

Ale przygotowanie przewycięza szok. Od małego wychowywano ją tak, by ze spokojem podchodziła do śmierci. Miała zbierać jemiołę, myśli. Co teraz? Jeśli do rana nie wrócę z jemiołą, Ursola naskarzy na mnie Vicie i moje szanse na pracę w Infirmarii jeszcze bardziej spadną.

Znowu patrzy, bo ciało ma w sobie coś fascynującego. W świetle księżyca mózg wydaje się biały. Jak łatwo pęka czaszka, niczym łupina orzecha.

Może powinnam sprawdzić, kto to jest, zastanawia się, choć krótko przycięte miedziane włosy nie pozostawiają wątpliwości. Szarpie nieuszkodzony rękaw, ten jednak nasiąknął wodą i zrobił się ciężki. W końcu Romy musi wywlec zwłoki na brzeg jak worek mokrego cementu i wtedy już wie, że to Zaria Blake. Oczy ma szeroko otwarte, usta rozchylone, a w świetle księżyca rana na głowie odcina się czernią na kredowobiałej twarzy.

Romy siada na omszałej skale, upija łyk wody z butelki i zastanawia się, co zrobić. Powinnam zostawić ją i odejść, myśli. Udawać, że nic nie widziałam. Co miałabym powiedzieć? Albo raczej komu powiedzieć najpierw? Oboje oczekują, że będą najważniejsi, dali mi to jasno do zrozumienia. Do tej pory trzymałam ich na dystans, karmiąc ich regularnie nieistotnymi szczegółami, ale co mam zrobić w tej sytuacji?

Nagle słyszy kroki, w górze na ścieżce, która prowadzi od Domu Strażników do zapory. Przypada do ziemi i na czworakach chowa się wśród paproci za wysokim kasztanowcem. W nocy ma Plas Golau tylko dla siebie, nie licząc patroli Straży. Skoro ktoś zmierza dokładnie w tym kierunku, to musi wiedzieć, co znajdzie.

Strażnicy nie lubią szpiegów. Szpiegów i zdrajców, chyba że są to ich szpiedzy i zdrajcy. Nie lubią też ludzi, którzy ich przepytują, i takich, którzy się im odszczekują. Może lepiej by było, gdyby od razu się pokazała i wyjaśniła, że nie ma z tymi zwłokami nic wspólnego. Ukryta w ciemności, gdzie nie dociera blask księżycowego światła, dziękuje w duchu za swój ciemny strój, za sprawą którego wtapia się w mrok. Gdybym dziś zniknęła, tak po prostu, jak czasami znikają ludzie, nikt nie zainteresowałby się moim losem, przemyka jej przez głowę. W każdym razie nikt nie mówiłby o tym głośno.

Jej wzrok przyzwyczajają się do mroku i Romy widzi, jak nadchodzą. To Uri, jego zastępca, Jacko, Dom, jeden z żołnierzy, którzy wrócili z Urim ze świata Martwych, i Willow, należąca do nielicznych dziewczyn, które zabrał z Chlewika, żeby do nich dołączyły.

Romy skupia się na tym, by uspokoić oddech i leżeć bez ruchu. Znaleziony nocą trup nie przeraża jej, ale żołnierze Uriego tak.

Mijają ją i gromadzą się wokół ciała. Mężczyźni patrzą na Zarię z całkowitą obojętnością, a Willow nie może dobrać głosu.

– Co się stało? – pyta w końcu.

Uri wzrusza ramionami. Wcale się nie przejmuje. Noc jest wypełniona ciszą.

Romy widzi, że Willow stara się nie okazywać uczuć, podobnie jak jej towarzysze. Musi uważać na to, co mówi, myśli Romy. Willow wie o tym. Odkryła właśnie jedną z tajemnic Domu Strażników, podobnie jak ja, i jeśli któraś z nas puści parę z ust, skończymy jak Zaria.

Wśród dzieci Luciena panuje wysoki wskaźnik umieralności. Romy zauważyła to i inni pewnie też. W zeszłym roku jedenastoletnia Roshin Blake zjadła jagody cisu i zmarła w konwulsjach na podłodze Chlewika. Rok wcześniej prasa do siana wciągnęła rękaw siedemnastoletniej Leany Blake i dziewczyna wykrwawiła się, podczas gdy Uzdrowiciel próbował bezskutecznie zatamować krwotok. Obie pochowano z honorami, lecz po wszystkim jak zwykle nikt więcej o nich nie mówił. Później, wczesnym latem, gdy Jaivyn uciekł podczas festiwalu rockowego – wziął swoją skrzynkę, buty i utarg z całego weekendu i zniknął w tłumie – była wielka draka. Vita na miesiąc popadła w niełaskę.

Romy martwi się o siostrę.

Zaria niewidzącym wzrokiem wpatruje się w księżyc, a Willow po chwili milczenia odchrząkuje i mówi:

– W tych butach nietrudno się poślizgnąć. A mech na skałach bywa zdradliwy. Wchodzenie tu to głupota.

Najwyraźniej jest to poprawna uwaga.

– Nieważne – rzuca Uri. – Teraz nic jej już nie grozi.

Mężczyźni mruczą zgodnie, Dom zapala latarkę. Jacko kładzie plecak na ziemi i wyciąga ze środka długi kawałek materiału. To płócienny worek, wystarczająco duży, by pomieścić ciało.

Romy zakłada, że pójda w górę strumienia do Wielkiego Domu, ale ku jej zaskoczeniu, włożywszy ciało do worka, wchodzą głębiej w las i idą ścieżką, która prowadzi aż do rzeki.

– Dokąd idziemy? – pyta Willow.

– Myślisz, że ciała same się pogrzebią? – odpowiada pytaniem na pytanie Jacko.

– Pewnie dalej myśli, że zajmują się tym wróżki – wtrąca Dom.  
– Nadal wierzysz w magię, Sto Dziewięćdziesiąt Trzy?

Ciało Zarii przekręca się w worku i Strażnicy robią się nerwowi. Romy wykorzystuje zamieszanie i widząc, że przestali zwracać uwagę na leśne odgłosy, skrada się ich śladem.

Na błotnistym brzegu Willow traci równowagę i omal się nie przewraca. Widząc to, mężczyźni niosący płócienny worek ryczą ze śmiechu. Brzmi to dziwnie upiornie.

Martwa dziewczyna. To przecież martwa dziewczyna, a oni obchodzą się z nią jak z mięsem w rzeźni.

\* \* \*

Kamienie ułożone w połowie drogi na wzgórzu pomagają przejść na drugi brzeg i Strażnicy skręcają gwałtownie, by przeprowadzić się przez wodę.

– Wyjdziemy poza granice Plas Golau? – pyta drżącym głosem Willow.

Jest przerażona, myśli Romy. Bardziej przerażona ode mnie. Zna stawkę równie dobrze jak ja. Jedno spojrzenie, jedno niewłaściwe słowo i zniknie jak Zaria. Wystarczy bajeczka o lesbijskiej miłości albo o zamięłowaniu do błyskotek, by wszyscy wzruszyli pogardliwie ramionami i zapomnieli o czyimś istnieniu. Ale Romy wie, że jeśli dziewczyna przez to przejdzie, jeśli wykona rozkazy i przewycięży odrazę, będzie należała do nich jeszcze bardziej niż chwilę temu.

– Ugór – mówi Uri. – Obszar wyjątkowego naturalnego piękna. Unia Europejska płaci, żeby takie pozostało.

– Niezłe zasieki przeciwko hordom – dodaje Dom – Zanim przedrą się przez jeżyny, będą zbyt zmęczeni, żeby zaatakować. Będziemy mogli załatwić jednego po drugim podczas ich przeprawy przez strumień.

To również dobre miejsce, żeby coś ukryć.

Rzucają worek na wilgotną ziemię i Jacko przechodzi po kamieniach na drugą stronę. Lasy, w których ukrywa się Romy, są codziennie patrolowane przez zwiadowców i strażników. To tam zbierają drewno na opał i suche paprocie na podpałkę. Jeżyny tworzą kolczastą płataninę u podnóży drzew, a paprocie osiągają wysokość dorosłego człowieka. Romy nie ma pojęcia, jak

tamci się przez nie przedrą, bo roślinność jest tu gęsta jak syrop z melasy.

Nagle Jacko podnosi jedną z gałęzi i odsuwa na bok.

Kamuflaż. Ukryta furtka zasłonięta gałęziami i suchymi liśćmi. Teraz, kiedy ją otworzył, Romy widzi, że rozpięto na niej materiał, do którego przyczepiono patyki i liście. Za nią jest ścieżka, która pnie się w górę i znika pod utworzonym przez gałęzie łukowatym sklepieniem.

Romy wstrzymuje oddech.

– Ile...? – dyszy Willow. – Gdzie...?

Idący przodem Jacko parska szyderczym śmiechem.

– To tajemnica, Sto Dziewięćdziesiąt Trzy. Teraz wiesz, gdzie skończysz, jeśli się komuś wygadasz.

Willow trzęsie się, bo wie, że nie jest to czcza groźba.

– Nie chciałam...

– Nie rób afery – rzuca Jacko. – W razie Wielkiej Katastrofy będą naszym źródłem białka.

## 25 | Romy | 2010

Strażnicy kopią, a Romy, ukryta za kępą szaleju, obserwuje ich z nożem w dłoni. U jej stóp leży otwarta torba z jemiołą. Szalej to paskudny chwast. Przed zimą Romy może jedynie pilnować, żeby się nie wysiał, a gdy nadejdą chłody i roślina będzie w stanie spoczynku, wykopie ją z korzeniami. Poza tym obrywanie zwiędłych kwiatów to dobry pretekst, żeby kręcić się w pobliżu Domu Strażników, nie zwracając na siebie uwagi.

Wyglądają imponująco. Pod kurtkami khaki, które noszą oficjalnie, ich mięśnie przypominają grube węzły; są wyprostowani i mają silne ciała. Podobnie jak dzieci Luciena są bogami wśród kmiotków. Dwunastu bierze udział w porannej musztrze, podczas gdy dwunastu odsypia nocną wartę, a kolejnych dwunastu patroluje okolicę. Romy obserwuje, notuje w pamięci, wyobraża sobie ruchy ich mięśni. Kopniak, krok, cios, kopniak, krok, cios.

Romy nieźle posługuje się nożem. Po miesiącach samotnych ćwiczeń potrafi błyskawicznie wyjąć go z kieszeni, otworzyć i złożyć, a naoliwiony zawias pracuje gładko jak skrzydło sokoła.

Oni jednak są silni. Tacy silni. Silniejsi od niej, silniejsi od nich wszystkich. Kiedy tak patrzy, jak boksują i z prowizorycznych worków treningowych unoszą się drobiny kurzu, czuje podziw. Nie ma wątpliwości, że gdyby miała zmierzyć się z którymkolwiek z nich – nawet z Willow – już pierwszy cios powaliłby ją na ziemię.

Jest ich zaledwie trzydziestu sześciu – trzydziestu siedmiu, jeśli liczyć Uriego – ale są wystarczająco silni, żeby zniszczyć nas wszystkich, myśli Romy. Nikt z nas nie szkolił się w walce mimo obietnic Uriego, że nas nauczy. Czy ja jedna to widzę? Nie, Vita na pewno też to zauważa. Ale Uri to syn Luciena i być może to on jest Jedynym. Gdyby tak było, na końcu wszystko obróciłoby się przeciwko niej.



Romy dość się naczytała, by wiedzieć, że uzurpator jest uzurpatorem tylko wtedy, gdy zawiedzie. I że pokonani kończą w nieoznakowanych grobach.

\* \* \*

Ule stoją w wyznaczonej części sadu, odgródzone wysokim żywopłotem, który ma powstrzymać dzieci i uchronić ludzi przed użądleniami. Kiedy pszczelarz wyjeżdża, to Romy opiekuje się pasieką i często ma ją wyłącznie dla siebie. Nigdy dotąd nie miała takiej prywatności. Dzięki temu może ćwiczyć rano i wieczorem. Jeśli nie znajdzie sposobu, żeby przygotować innych Trutniów na atak, przynajmniej sama będzie gotowa. Robi więc to, co podejrziała u Strażników. Wyskoki, kopniaki, pchnięcia. Okłada powietrze pięściami i tnie dłońmi. Schyla się, prostuje, czołga się i kręci piruety w miejscu, aż ziemia przestaje wirować, zwiesza się z gałęzi i powoli uczy się podciągać.

Jeśli chcesz przetrwać, musisz być przygotowany. Całe życie jej to wpajano.

Kiedy zbliża się uczta, Romy zagląda przez okno rzeźni, żeby zobaczyć, jak Rzeźnicy posługują się nożami. Próbuje podpatrzeć i zrozumieć, w jaki sposób znajdują żyłę szyjną i przecinają ścięgna. Chcąc oswoić się ze śmiercią, zgłasza się na ochotnika do pomocy przy sprawianiu mięsa.

W snach widzi szkliste oczy Zarii wpatrzone w księżyc.

Między wykonywaniem różnych zadań Romy biega. Willow potrafi pokonać odcinek od podjazdu do wrzosowisk – który wznosi się na wysokość stu dziesięciu metrów – w piętnaście minut, więc Romy musi być przynajmniej szybsza od niej.

Pewnego dnia biegnie od ogródka ziołowego do wrzosowisk, gdzie przeniosła ul, żeby pszczoły zebrały nektar z kwitnących właśnie wrzosców popielatych. Widząc ją, mały Ilo rzuca na ziemię wiadro z wodą, którą miał wlać do koryta dla kur, i dołącza do niej. Ma siedem lat – w tym wieku dzieci są wystarczająco duże, żeby móc pracować popołudniami i brać odpowiedzialność za swoje błędy – i wyrasta na uroczonego chłopca. Ma niebieskie oczy i jasne włosy, jak przystało na dziecko Arki. Romy zerka na niego zdumiona tym, jaki jest szybki.

– Nie masz obowiązków? – pyta. Biega zaledwie od sześciu tygodni i z radością odkrywa, że w drodze pod górę jest w stanie rozmawiać.

– Mogę ci pomóc – odpowiada Ilo bez cienia zadyszki.

Romy trochę mu zazdrości. To nie w porządku, że poświęca tyle czasu na robienie pewnych rzeczy, a dzieciak, który nie sięga jej nawet do ramienia, wykonuje je z taką łatwością. To urodzony sportowiec, stworzony do tego, żeby przetrwać.

– Nie wiem, czy potrzebuję pomocy – rzuca.

Lubi Ilo. Zawsze go lubiła. Ale minął rok, odkąd odpuściła Chlewik i zaczęła pracować, a przez ten czas chłopiec zmienił się do tego stopnia, że wydaje się kimś prawie obcym.

– Każdy potrzebuje pomocy, prawda? – mówi chłopiec. – Myślałem, że o to właśnie chodzi. Że nie zrobimy wszystkiego sami.

– Chyba masz rację – przyznaje Romy. – Ale lepiej nie zwalniam. Nie zamierzam marnować czasu na pomaganie słabeuszom.

– W porządku! – woła radośnie Ilo i wyrywa się naprzód.

Biegnie jak chart. Romy ma problemy, żeby za nim nadążyć. Mkną ścieżką wśród wrzosowisk, patrząc pod nogi, by nie potknąć się o któryś ze zdradzieckich kamieni. Romy nie może już rozmawiać. Stara się nie myśleć o palącym bólu, który rozsadza jej płuca i nogi. Nie może przegrać z siedmiolatkiem. Resztką sił wyrywa się naprzód. Ilo śmieje się i wyprzedza ją, jakby nagle wyrosły mu skrzydła.

Na szczycie wzgórza przy walącym się murku, który wyznacza granicę między Plas Golau a terenami należącymi do państwa, dosłownie padają na ziemię. Wszędzie dookoła strzelają w górę kłujące, drapiące łodyżki, a pod palcami czują żyzny torf. Teraz, kiedy nie owiewa jej wiatr, Romy oblewa się potem, twarz ma czerwoną. Jest zdyszana... wykończona. Obraca się na plecy i czuje, jak zmęczenie przetacza się przez całe jej ciało.

– Gdzie, u diabła, nauczyłeś się tak biegać?

Ilo wzrusza ramionami.

– Nie wiem – odpowiada. – Po prostu... tak mam. Kiedy dorosnę, chcę zostać Strażnikiem, więc...

– Strażnikiem? – Romy odwraca się z powrotem na brzuch i opiera na łokciach.

Chłopiec kiwa głową.

– Naprawdę? Myślałam, że miałaś zostać Technikiem.

– Tak będzie najlepiej, jeśli mam was wszystkich ochronić.

Ochronić. Na dźwięk tego słowa Romy dostaje gęsiej skórki na ramionach. Widziałam jej mózg przez dziurę w głowie, myśli i czym prędzej odsuwa od siebie ten obraz.

– Wszyscy będziemy chronić się nawzajem – mówi.

Ilo marszczy nos, piegowaty jak u Somer – to wpływ letniego słońca.

– Tak, ale ktoś musi to robić jak należy – upiera się chłopiec. – Eden może być Jedynym, ale ona ledwie potrafi zadbać o siebie samą. Wiem, że nie będą mnie chcieli, ale ja chcę być jednym z nich. Chcę umieć to co oni. Dlatego muszę być najlepszy. Lepszy niż wszyscy w Chlewiku. Żeby nie mogli mnie odrzucić.

Nad wrzosami niesie się bzyczenie pszczół, a gdzieś wysoko w górze na błękitnym niebie śpiewa skowronek. Romy patrzy na braciszka i zastanawia się, jak najlepiej zapewnić bezpieczeństwo Jedynemu.

– W takim razie musisz nauczyć się walczyć – odzywa się w końcu i spycha go ze wzgórza.

**WŚRÓD MARTWYCH**  
*Listopad 2016*

## 26 | Romy

Kierowca cuchnie stęchlizną, jakby w przerwach między jazdą samochodem siedział w zawilgłej, dusznej piwnicy. Ma niesforne czarne loki, bokobrody sięgające aż do żuchwy i małą twarz z oczami, które mruży, gdy się uśmiecha.

– Wygląda na to, że ktoś ma dziś dobry dzień – mówi i parska szczekliwym śmiechem.

Staram się opanować złość i oceniam swoją sytuację. Z siedzenia, sądząc po tym, jak wbija mi się w uda i pośladki, wypadło całe wypełnienie. W gęstniejącym mroku widzę, że samochód jest stary. Pewnie nawet starszy ode mnie. Korbka do opuszczania szyby po mojej lewej ręce urwała się, a tam, gdzie powinna być, zaje dziura z kółkiem zębatym w środku. Na desce rozdzielczej stoi plastikowa figurka łaciatego pitbula, który nieustannie kiwa głową. Pokrywę schowka w desce rozdzielczej przytrzymuje kawałek srebrnej taśmy klejącej. Pod moimi nogami walają się papiery i puszki po napojach.

Zerkam na kierowcę. Patrzy przed siebie i uśmiecha się, odsłaniając niewiarygodnie białe zęby.

– Skąd wracasz, kaczuszek? – pyta. Z nawiewu spływa na moje stopy gorące powietrze, podczas gdy jesienny chłód owiewa mi ramiona. Naciągam kaptur, żeby okryć kark. Idiotka ze mnie. Pozwoliłam, żeby gniew wziął górę nad zdrowym rozsądkiem.

– Odwiedzałam dziadków – mówię.

– Dziadków, tak?

– Tak – bąkam. Nie bardzo wiem, jak to rozegrać. Po przyjacielsku, żeby pomyślał, że go kokietuję, czy z rezerwą, co może go rozzłościć? Mogę też zgrywać twardzielkę, żeby wiedział, że lepiej ze mną nie zadzierać.

– I co oni na to, że zostaną pradziadkami? – dopytuje z drapieżnym uśmiechem, w którym jest coś prymitywnego.

Wygląda na to, że mam spore kłopoty.

– Są staromodni – odpowiadam.

Znowu ten szczekliwy śmiech.

– Dziecko nie ma tatuśka, co?

Postanawiam grać nieprzystępną. Niech sobie myśli, że jestem głupią gęsią, która wierzy, że wielkopańskie maniery zapewnią jej bezpieczeństwo.

– Cóż za wścibskie pytanie – mówię.

Jego uśmiech gaśnie.

– Bez urazy, panienko – mruczy i skręca na wjazd na autostradę. Nie zwolniliśmy na tyle, żebym mogła spróbować wyskoczyć z samochodu. Nie na tyle, żeby nie stała ci się krzywda. – Chociaż jak się nad tym zastanowić, za późno już chyba, żeby nazywać cię panienką, co?

Kiedy wjeżdżamy na autostradę, dodaje gazu. Samochód ryczy i zmienia pas na środkowy. Przy prędkości stu trzydziestu kilometrów na godzinę raczej nic mi nie grozi, ale kiedy wrócimy na boczne drogi, muszę być gotowa.

Może lepiej będzie, jeśli zajmę go rozmową. Przynajmniej będę wiedziała, z kim mam do czynienia. Może po prostu jest bardzo, bardzo głupi i nie ma pojęcia, jak odbierają go inni. Albo to ja zachowuję się jak paranoiczka. Niewykluczone – byłam wychowywana w duchu paranoi. On przecież nic jeszcze nic zrobił.

– No to dokąd pan jedzie? – pytam.

– To zależy – odpowiada i błyska wielkimi, białymi zębami. Są sztuczne, myślę. Nie ma mowy, żeby ktoś z tak umazaną twarzą miał tak białe zęby. Kładzie dłoń na dźwigni zmiany biegów i wodzi po niej kciukiem.

W milczeniu mijamy Reading, a potem Slough. Facet co chwila wjeżdża na lewy pas i z niego zjeżdża, a ja patrzę przez przednią szybę. W pewnym momencie włącza kierunkowskaz, skręca w tunel pod autostradą i zmierzamy na południe. Ogołoczone z liści drzewa, skarłowaciałe krzaki i żadnych ludzi.

– Dokąd jedziemy? – pytam.

– To skrót – rzuca.

Każda kość, każdy włoszek na moim ciele jest w stanie najwyższego pogotowia.

– Skrót dokąd?

– Mówiłem już – odpowiada. – To zależy.

Patrzę przez boczną szybę. Mijamy stare, zaniedbane magazyny. To martwa strefa. Widziałam takie na obrzeżach każdego miasta, przez które przejeżdżałam. Latarnie uliczne oświetlają zamknięte drzwi i pozbawione okien ściany z blachy falistej. Na wyboistej betonowej drodze rosną chwasty; kontenery na śmieci pełne są drewnianych palet i połamanych krzeseł. W świetle na Zewnątrz jest mnóstwo takich miejsc: miejsc, w których budynki przestały pełnić swoją funkcję, a wszyscy, którzy je zajmowali, wynieśli się i je porzucili.

– Ta wycieczka kosztuje mnie sporo paliwa – dodaje, nie przestając wodzić kciukiem po gałce zmiany biegów.

Biedna Romy, tkwisz po uszy w gównie. Nic nie mów. W ogóle się nie odzywaj. Cokolwiek powiesz, będzie brzmiało tak, jakbyś się go bała.

– Jak mi się odwdzięczysz, panienko?

Przed nami światło zmienia się na czerwone i samochód się zatrzymuje. Nie mam dokąd uciec, mimo to postanawiam wykorzystać okazję i chwytam za klamkę. Naciskam ją, ale nic się nie dzieje. On odwraca się w moją stronę i uśmiecha – to trupia czaszka cuchnąca dymem papierosowym i potem.

Chwilę później rusza. Kręci kierownicą i wjeżdża w ślepy zaułek. Metalowe ściany i wysoki ceglany mur, żadnego światła. Czarny bez i budleja gubią liście, ich korzenie wciskają się w szczeliny między ceglami i podobnie jak moje stopy toną w śmieciach. Ceglana ściana przed nami jest zbyt wysoka; nie wspięłabym się na nią, nawet gdybym nie była w ciąży.

– Zaraz wrócę – rzuca kierowca.

– Dokąd pan idzie?

– Muszę się odlać – odpowiada. – Nigdzie się nie ruszaj, dobra?

Testuję go. Robię coś, co sprawi, że poczuje się swobodnie i pomyśli, że z nas dwojga to on ma władzę.

– Proszę, niech mi pan nie robi krzywdy – mówię.

Znowu ten uśmiech.

– Skąd ten pomysł, że miałbym ci coś zrobić?

Opcje. Analizuję je, podczas gdy on stoi w świetle reflektorów, odwrócony do mnie plecami, i kołysze się na piętach, jakby dzięki temu lepiej mu się sikało. Z trudem przeciskam się na fotel kierowcy, do jego drzwi, licząc, że zdołam to zrobić, zanim mnie dopadnie. Ucieczka? Nie wchodzi w grę. Nawet w tym stanie byłabym szybsza od niego, prześcignęłabym samochód, gdybym tylko miała dokąd uciec. Ukraść samochód? Wychodząc, zabrał kluczyki. Spróbować przemówić mu do rozsądku? Nie wygląda na takiego, co lubi rozmawiać.

Wyciągam nóż z pochwy i chowam go do kieszeni bluzy.

Widzę, jak zapina dzinsy. Zaraz potem opuszcza głowę i staje bez ruchu. Czekam. Otacza mnie cisza. Tam gdzie powinien być człowiek, osobowość, jest wyjąca pustka. Cała ta pusta ciemność czeka, aż ktoś ją wypełni. Wkładam rękę do kieszeni, wodzę palcami po rękojeści noża i dotykam kciukiem przycisku, którym otwiera się ostrze. Jest solidny. Dodaje mi otuchy.

Kiedy wraca do samochodu, robi to szybko. Unosi głowę i biegnie w moją stronę. W światłach reflektorów jego twarz przypomina oblicze diabła.

W trzech susach pokonuje dzielącą nas odległość i chwyta za klamkę. Chwilę później łapie mnie za włosy i wyciąga na beton.

To dziwne, ale daję się zaskoczyć. Mam je od tak dawna, że zapomniałam już, jak bezbronnymi czynią nas nasze włosy. Pamiętam, że Jaivyn zrobił mi to samo, kiedy miałam pięć lat, i ogarnia mnie wściekłość. Skóra na głowie eksploduje bólem. Facet jest silny. Ma siłę człowieka, który całe życie pracuje fizycznie. W jego ruchach nie ma zręczności, są tylko brutalna siła i obojętność wobec drugiego człowieka. Wierzgam nogami i próbuję chwycić go za rękę. Wywleka mnie z samochodu i ciągnie w mrok cienia budynku. Próbuję zapierać się piętami,



ale nic to nie daje. Nagle uderza mnie mocno w bok głowy i świat spowija biel.

Udawaj martwą. On myśli, że jestem nieprzytomna, więc nie wydaję mu się groźna. A to daje mi przewagę. Pozwalam, żeby moje ciało zwiotczało, czekam, aż odzyskam jasność umysłu, i słyszę, jak wlokąc mnie, stęka z wysiłku. Jeszcze nie, Romy. Jeszcze nie. Nie, kiedy jest za tobą.

Upuszcza mnie. Ciska na ziemię usłaną żwirem i kawałkami różnych potłuczonych rzeczy i staje nade mną w swoich starych, ciężkich buciorach. Są pochłapane farbą i gipsem. Czekam i wydaję cichy dźwięk – coś między jękiem a skomleniem.

W ciemności rozlega się jego śmiech. Wierzy mi. Myśli, że wygrał. To dobrze. Przyciskam prawą rękę ciężarem ciała, dłoń bezpiecznie spoczywa w kieszeni. Nie mam siły się zamachnąć. Zaczekaj, Romy, zaczekaj. Będziesz miała jedną jedyną szansę.

Czubkiem buta obraca mnie na plecy. Leżę z na wpół przymkniętymi oczami i obserwuję go spod rżęs. A gdy podnosi nogę, żeby stanąć nade mną, atakuję.

Cios nie jest dokładny, ale nie musi taki być. Tętnica udowa biegnie w pachwinie tuż pod skórą, a moje ostrze jest szerokie i ostre. Atakowanie z pozycji leżącej nie jest najlepsze, dlatego uderzam z całej siły, tak że facet chwije się na nogach. Ostrze przebija materiał spodni i wchodzi w ciało jak w masło; jego czubek zatrzymuje się na kości i ześlizguje. Tętnica, jądra, jedna albo druga rana wkrótce doprowadzi do jego śmierci.

Mężczyzna wrzeszczy. Dźwięk odbija się echem od blaszanych ścian. Pospiesznie wyciągam nóż, zanim mój oprawca zegnije się wpół. Odpycham się piętami byle dalej od niego. Chwilę później pada na kolana. Już nie patrzy na mnie. Skupiony na bólu, zapada się w sobie. Oczy ma zamknięte, dłonie przyciska do czarnej plamy, która niczym kwiat rozkwita mu na udach.

– Ty pizdo! – ryczy.

A zatem nie jest po wszystkim. Została mi jeszcze jedna szansa, żeby to zakończyć. Nie ma potrzeby go torturować, ale lepiej mieć pewność. Celuj w bok szyi. Nie marnuj energii na chrząstkowaty przełyk. Celuj w tętnicę. Jeśli zamierzasz zadać

szybką śmierć, tętnice są twoimi sprzymierzeńcami. Zaciskam palce na rękojęści noża i przeciągam ostrzem po szyi.

\* \* \*

Umiera w ciszy. Leżąc na ziemi wsparta na łokciach, zastanawiam się, czy jest dumny, że ostatnie słowa, jakie padły z jego ust, brzmiały: „Ty pizdo”. Może inne rzeczy chodzą mu po głowie. A może nic nie myśli. Utrata krwi szybko wpływa na mózg, zwłaszcza jeśli rana znajduje się blisko głowy.

Pluje krwią. Czuję na twarzy ciepłą, słonawą ciecz.

Jęczy. Teraz już się nie śmieje.

Znowu pluje krwią. Czerwone krople obryzgują mi bluzę, przód sukienki i ciało. We krwi są choroby, ale nie mam czasu się tym przejmować. Przód jego dżinsów, aż do kolan, jest nią przesiąknięty. Krew ścieka z materiału i skapuje na beton. Tyle krwi. W ludzkim ciele jest jej ponad pięć litrów. Odsuwam się nieco i krople krwi lądują na ziemi tuż przy mojej lewej nodze.

Z rękami przyciśniętymi do pachwiny pada na twarz.

Mrugam. Oczy mnie pieką, gdy kropla stygnącej krwi ścieka mi z brwi.

Ostatni jęk i cisza.

Czuję, jak się we mnie poruszasz, jak kopiesz. Mężczyzna drga kilka razy i nieruchomieje. Naciągam rękaw na dłoń i wycieram twarz. Obracam się i dźwigam na czworaki. Kiedyś byłam w stanie podnieść się, nie używając rąk. Ale nie teraz.

Czekam pięć minut, on jednak się nie rusza, a kałuża krwi powoli przestaje się powiększać. Gdzieś na drodze słychać przejeżdżający samochód, cienie w uliczce na krótką chwilę zmieniają kształty. Nikt nie przychodzi sprawdzić, co to za hałas. W białawym świetle reflektorów jego twarz wydaje się srebrzystoszara, a otaczająca go kałuża – czarna i połyskliwa. Rankiem, kiedy wszędzie słońce, jej kolor zmieni się w rdzawobrazowy.

Podnoszę nóż i podchodzę do kontenera na gruz, który stoi wciśnięty między budynki. Grzebię w nim, aż znajduję brudną szmatę. Wycieram nią ostrze. Krew nie służy metalowym

elementom, a gdy zaschnie, robi się lepka i ciężko ją usunąć. W Plas Golau czyściłam nóż każdej nocy, bez względu na to, czy używałam go, czy nie. Kochaj swoją broń, a nigdy cię nie zawiedzie.

Składam szmatkę i chowam ją do kieszeni. Ze Slough do Hounslow jest dziewiętnaście kilometrów. Pozbędę się jej po drodze, na nasypie przy autostradzie, gdzie nikt nigdy nie chodzi. To długa droga, ale przed świtem powinnam być w domu.

**PRZED KOŃCEM**  
*2012*

## 27 | Romy

Latryny są wbudowane w południową ścianę podwórza, za którą ziemia opada stromo w stronę lasów. Jest tam ścieżka, która biegnie do nieużywanych dawniej toalet przy głównej drodze. To kawałek od domu i na tyle daleko od zbiornika z wodą, że mogli tu stworzyć małą biogazownię i gnojownik.

W Plas Golau jest osiem latryn: małych, cuchnących wychodków, w których nikt nigdy nie szukałby prywatności. Nieheblowane deski zawieszono nad wkopanymi w ziemię niebieskimi plastikowymi beczkami, z wiadrami wody i chochlami do splukiwania nieczystości. Do beczek można się dostać przez drewniane drzwi i zajmują się nimi Latryniarze.

Zbieranie beczek i znoszenie ich ze zbocza było niegdyś obowiązkiem wykonywanym na zmianę przez wszystkich mieszkańców. To Uri wpadł na pomysł powołania Techników Sanitarnych. Fakt, że jest to niewdzięczne zajęcie, przechodzi prawie niezauważony. Technicy Sanitarni sprzątają wychodki, a także latryny w Wielkim Domu oraz mały dół z szambem na jego tyłach; wybierają gnój z chlewu i ze stajni, a zimą czyszczą kurniki. Latem zbierają zwierzęce odchody z łąk, w lutym natomiast rozrzucają nawóz.

Oficjalnie nazywamy ich Technikami Sanitarnymi, ale Uri szybko ochrzcił ich mianem Latryniarzy i tak już zostało. Teraz mają osobny stolik na końcu stołówki i oddzielną salę sypialną, bo mogliby się myć na okrągło, a i tak zawsze cuchną.

Wszyscy rozprawiają o równości, ale jak przyjdzie co do czego, sprawy wyglądają inaczej. I chociaż nikt nie nazwie tego głośno degradacją, każdy wie, że ci, którzy zrobili coś złego, są wysyłani do prac na roli. A gdy winowajcą jest ktoś, kto już tapla się w błocie, jedyną karą jest dołączenie do Latryniarzy. Nie ma gorszej, chyba że ktoś po cichu w nocy opuszcza Arkę.

Latryniarzami dowodzi Somer. To był jej wybór. Mogła zostać Farmerką albo Przywódczynią. Zostać zdegradowaną, żeby potem awansować. Przywódcy biorą udział w Radach. Somer może cuchnąć gównem, ale w pewnym sensie wróciła do wąskiego grona Przywódców.

Uri rośnie w siłę. Wszyscy to widzą. Dwa lata temu Lucien spadł z konia i zanim go znaleźli, nieprzytomny przeleżał noc na wrzosowiskach. Niektórzy zastanawiają się, czy w pełni wrócił do zdrowia. Chodzi teraz o lasce i częściej przesiaduje w swej kwaterze, a gdy się pojawia, wydaje się łagodny i jakby nieobecny. Chociaż uśmiecha się. Zawsze się uśmiecha. Kiedy go widzą, odganiają od siebie te myśli, bo to przecież Lucien, Przywódca nad Przywódcami, i to, kim są i kim się staną, zależy od niego.

\* \* \*

Romy i Ilo trenują codziennie; wymykają się, kiedy lekcje w Chlewiku dobiegają końca. W lesie, na wrzosowiskach, w pasiece, w magazynach. Krok i wykop, krok i wykop. Romy może stać na jednej nodze jak bocian przez piętnaście minut, a po wszystkim zamachnąć się nogą na wysokość głowy. Potrafi sto razy podciągnąć się na belce w stodole. Obejmując pień udami, wspiąć się na drzewo. Może unieść nad głowę beczkę cydru. Zbierając plony, ćwiczy posługiwanie się nożem: dźganie i podcinanie, cięcie w górę i przekręcanie ostrza. Na razie to tylko teoria, ale pamięć ciała jest wspaniałą rzeczą. Jeśli będę zmuszona walczyć, będę gotowa, myśli Romy. Moje ramiona, nogi, ręce i tułów będą wiedziały, co robić, nawet jeśli mózg będzie musiał sobie przypomnieć.

Od roku zgłasza się na ochotnika do uboju zwierząt, które są zabijane przed ucztami i z myślą o zapasach. Podglądała przez okno. Widziała, jak Fitz, Jacko i Willow zabijają zwierzęta jednym płynnym ruchem – to obowiązek i przywilej Strażników, by oswoili się ze śmiercią. Sama jeszcze nie zabiła, ale wie, jak to jest, kiedy rozpruwa się brzuch, z którego wylewają się wciąż ciepłe wnętrzności. Wie, co to znaczy zanurzyć ręce aż po łokcie w trzewiach jelenia, który nie dalej jak godzinę temu biegł dumnie po wzgórzu, i jak przeciąć tchawicę tak, żeby wyciągnąć

płuca. Potrafi dwoma cięciami i jednym szarpnięciem oskórować królika.

Ilo jest obdarzony naturalnym talentem, choć ma zaledwie osiem lat. Wydaje się wystarczająco duży, żeby się uczyć. Każdego dnia przez godzinę tylko we dwoje tańczą pełen przemocy sekretny taniec, uderzając z całych sił i rzadko nawiązując kontakt. Chciałaby też szkolić Eden, ale ona nie jest zainteresowana. Ma dziesięć lat i zna swój status. Terminowała u Stolarzy, nikt jednak nie kazał jej wykuwać lemiesza ani zginać karku w polu. Kiedy dorośnie, od razu przejdzie szkolenie dla Przywódców. W przeciwieństwie do Romy nigdy nie widziała trucizny w ogrodzie. Tak jak nie widziała sekretnego cementarza. Nie ma pojęcia, jak mało jest prawdopodobne, że w ogóle dorośnie, chyba że rodzeństwo postanowi ją chronić.

W lasach ćwiczą tropienie. Na zmianę są zwierzyną i łowcą. Uczą się sztuki kamuflażu i skradania się. Czasami podążają za grupą Strażników na patrolu; idą za nimi od bramy aż do zapory. Bywa, że czekają bez ruchu, żeby złapać wiewiórkę albo wyciągnąć z wody tłustego, brązowego pstrąga, i patrzą, jak miota się na brzegu z rozdziawionym pyszczkiem.

Właśnie wracają do Plas Golau przez mur obok wygódek, kiedy Ilo dotyka jej ramienia i przykładą palec do ust. Romy zatrzymuje się i nasłuchuje. Ktoś coś mówi, a chwilę później słyszą niski, posłuszny głos Somer. Romy pokazuje bratu, żeby poszli wzdłuż brzegu i wdrapali się na rosnącą sześć metrów dalej starą sosnę, skąd będą widzieć wszystko jak na dłoni.

To Willow. Poważna i wyprostowana jak wtedy, gdy dwa lata temu opuszczała Chlewik. Patrzy, jak Somer opróżnia latrynę numer 5. Beczka jest pełna po brzegi, a Somer sprawia wrażenie zawstydzonej, że jej pracę nadzoruje dziewczyna młodsza od niej o połowę. Kiedy nakłada metalowe wieko, zawartość beczki wycieka spod niego, ochlapując ścianki wychodka i jej prawy policzek. Somer nawet się nie wzdryga.

Willow stoi z kuszą i na jej twarzy maluje się czysta odraza.

– Będiesz musiała to posprzątać – mówi.

– Tak, wiem – odpowiada cierpliwie Somer.

– Nie musisz być bezczelna – dodaje Strażniczka.

– Nie – przytakuje Somer.

– Nie powinnaś była pozwolić, żeby tak się napełniły – strofuje ją Willow.

– Wiem. Ale nie sposób przewidzieć, jak ludzie będą z nich korzystać. Kilka innych było niemal pustych.

Dziewczyna wsuwa kciuki za pas z narzędziami, tak jak robi to Uri. Wszyscy Strażnicy zaczynają go naśladować.

– Chcesz powiedzieć, że to вина innych? – pyta.

– Nie – odpowiada Somer. – Po prostu stwierdzam fakt...

– Lepiej tego nie rób, Sto Czterdzieści Dwa – przerywa jej Willow.

Somer patrzy na nią urażona. Chwilę później przygarbia się i odwraca wzrok. Może jest Przywódczynią, ale dobrze wie, kto tu rządzi. Wypycha beczkę z latryny i zostawia ją na ścieżce. Napełnia wiadro wodą z pompy, bierze szczotkę i wraca do środka.

Romy czuje, że wzbierają w niej wstyd i gniew. Jak matka może być taka pokorna? I jak to możliwe, że Willow zmieniła się w takiego potwora?

Willow otwiera wygódkę numer 1. Jest wysprzątana, niebieska beczka stoi na miejscu wyszorowana i tylko lekko zabrudzona. Sprawdza pozostałe trzy, szukając czegoś, do czego mogłaby się przyczepić, lecz nie znajduje. Kiedy wychodzi z wychodka numer 4, Somer stoi na ścieżce i zdejmuje gumową rękawiczkę. Następnie zanurza dłoń w wiadrze i ochlapuje twarz wodą.

– Niepotrzebnie to robisz – stwierdza Willow.

– Nie muszę mieć twojego pozwolenia, żeby umyć twarz – odpowiada wyzywająco Somer.

Strażniczka podnosi rękę i wymierza jej policzek. Nie delikatny. Uderza z całej siły, zahaczając palcami o ucho. Somer przewraca się bez słowa. Pada na ziemię i przykłada dłoń do ucha. Krew odpłynęła jej z twarzy.



– Nigdy, przenigdy nie odzywaj się do mnie w ten sposób, Sto Czterdzieści Dwa – grzmi Willow. – Jeszcze raz i trafisz do Czyścca.

Somer się nie rusza.

– Rozumiesz?

Nadal ani drgnie.

– Rozumiesz?

Somer kiwa głową. Z góry wygląda to tak, jakby nawet ten ruch sprawiał jej ból.

Szelest liści. Ilo napiął się niczym struna. Romy obserwuje scenę w dole i kładzie mu dłoń na ramieniu. „Nie. Nie wiedzą, że tu jesteśmy. Tak jest lepiej”. Jego mały, twardy biceps rozluźnia się.

Ich matka siada i odprowadza wzrokiem Willow, która odchodzi ubitą ścieżką. Przykłada dłoń do policzka, ale oczy ma suche. Romy i Ilo schodzą z drzewa i ruszają w jej stronę. Somer patrzy na nich zawstydzonym wzrokiem.

– Wolalabym, żebyście nie musieli tego oglądać – mówi.

– Nic ci nie jest? – pyta Ilo.

– Nic. – Somer opuszcza rękę. Ślad dłoni Willow odcina się czerwienią na jej twarzy. Włożyła w ten policzek całą siłę.

Robią się coraz bardziej zuchwali, myśli Romy. Już nawet nie czekają na osąd Luciena i starszizny. Wymierzają kary w trybie doraźnym i nikt nie ma odwagi się odezwać.

Latryniarze nie są jedynym wymysłem Uriego. Przekształcił kryptę za kaplicą – zbyt wilgotną, żeby przechowywać w niej jedzenie, i zbyt duszną, żeby można było w niej spać – w rodzaj więzienia. Nazywają to Czyścem. Nikt, kto spędził tam choćby noc, nie chce tam wracać. Kary stały się surowsze i są wymierzone znacznie częściej: zmniejszone racje żywniowe, dodatkowe zajęcia i praca na nocną zmianę, aż „nieprzystosowani” chodzą, potykając się o własne nogi, jak bezwolne, posłuszne zombie. Nie ma dnia, żeby ktoś nie był zbojkotowany i nie jadł samotnie posiłku na schodach Wielkiego Domu.

Ruaridh, pięćdziesięciopięcioletni Przywódca Kowali, niegdyś właściciel sieci klubów nocnych w Glasgow i Stirling, zwerbowany w ośrodku odwykowym przez Vitę, która pracowała tam na zastępstwie, wpadł w szal, kiedy pewnego wieczoru Uri oznajmił w Izbie Rady, że planowane są inspekcje. Ruaridh zerwał się na równe nogi i wrzasnął: „Jeszcze nie jesteś Przywódcą, chłopcze! I nie będziesz mi rozkazywał!”. Pięć dni później zniknął. Zabrał swoją skrzynkę i skórzane buty i nigdy więcej nikt o nim nie wspominał.

Ale Romy wie, dokąd poszedł. O tak, Romy to wie.

\* \* \*

Romy wyciąga rękę i pomaga matce wstać. Jej ubranie od kolana aż po łokieć jest usmarowane odchodami z wygodki. Dzień prania był wczoraj. Będzie musiała chodzić w tych ubraniach aż do soboty albo wypłucze je i będzie nosiła wilgotne w jesiennym chłdzie. Ilo podnosi jej dzianinową czapkę, otrzepuje ją i podaje Somer.

Ta zakłada ją na niemal łysą głowę i patrzy na nich zbolałym wzrokiem.

– Nie... – mówi.

A właśnie że tak, myśli Romy. Tylko trochę, żeby się pochorowała. Jest teraz na mojej liście.

Jednak nie mówi tego na głos.

Somer odwraca się, stawia beczkę z fekaliami na wózku i bez słowa rusza ścieżką w stronę dołu z szambem.

Romy i Ilo odprowadzają ją wzrokiem. Wydaje się mniejsza, myśli Romy. Może dlatego, że to ja urosłam. Wrzucę do butów Willow odrobinę tojadu. Na noc wszyscy Strażnicy zostawiają obuwie przed kwaterą. Tojad przeniknie przez skarpety do jej skóry. Tylko trochę, żeby się rozchorowała. Nie żeby ją zabić.

– Nie przeżyje bez nas – zwraca się Romy do brata, a on wie, kogo ma na myśli.

– Wiem – bąka.

– Dalej chcesz być Strażnikiem? – pyta go siostra.

– O tak – odpowiada Ilo i patrzy tam, gdzie przed chwilą zniknęła Willow. – Zdecydowanie.

**WŚRÓD MARTWYCH**  
*Listopad 2016*

## 28 | Romy

A więc tak to jest zabić człowieka. Nie wiedziałam. Pod wieloma względami to bardziej przygnębiające niż zabicie... powiedzmy... świni.

Wracam drogą do ronda na autostradzie. Nie jest tak daleko, jak mi się wydawało. W chwilach stresu czas i odległość się wydłużają. Miałam wrażenie, że od zjazdu z autostrady jechaliśmy mniej więcej dziesięć minut, ale okazuje się, że to tylko jakieś pół kilometra.

Dochodzi północ. O tej porze roku będzie ciemno jeszcze przez jakieś siedem godzin, więc spokojnie dotrę do domu i nikt nie będzie oglądał mojej posiniaczonej twarzy i zastanawiał się, co mi się stało. Choć może pomyśleliby, że przebrałam się na Halloween za włóczęgę albo szalonego seryjnego mordercę. Mam dziwne wrażenie, że coś się stało z moim nosem, jakby był krzywy. Prawie nie widzę na jedno oko i czuję, że rozcięta warga zaczyna puchnąć. Idąc trzy kilometry na godzinę, powinnam bez trudu dotrzeć do domu.

\* \* \*

Dziś w nocy zabiłam człowieka. Niezupełnie z zimną krwią. Powinnam coś czuć, ale tak nie jest. Może to, czego chce ode mnie Uri, nie będzie jednak takie trudne. Zwłaszcza jeśli zacznę od Jaivyna. Jaivyn będzie treningiem, tak jak był nim ten mężczyzna.

A inni? Nie wiem.

Co zrobię, maluszk, żeby cię ochronić? Musisz być teraz wielkości małego kotka. Zastanawiam się, czy to czułeś, ukryty w moim ciepłym wnętrzu? Musiałeś przynajmniej poczuć przypływ adrenaliny; pewnie drżałeś i podskakiwałeś, kiedy włókł mnie i rzucił na ziemię.

Musisz mi zaufać, że się tobą zaopiekuję. Zrobię wszystko, żebyś był bezpieczny.

\* \* \*

Droga, następne rondo, następny most. Jest druga w nocy, a ja wątpię, czy przeszłam więcej niż trzy kilometry. Ześlizguję się z nasypu, pochylona przebiegam na drugą stronę asfaltowej drogi, wspinam się pod górę i w miejscu, gdzie blask księżyca zastępuje światło ulicznych latarni, tracę równowagę, skręcam kostkę i spadając, uderzam się w nogę. Czuję się tak, jakby w głowie eksplodowała mi supernowa. Jakby coś twardego i ostrego wbiło mi się w bliznę. Ból jest tak ogromny, że wyję. Boże, spraw, żeby to nie było otwarte złamanie. Przetaczam się na bok i zwijam w kłębek.

Nie przeżyję, jeśli będę taka słaba. Umrzemy, jeśli będę taka słaba.

Oddycham. Wpuszczam powietrze nosem, a wypuszczam ustami, tak jak uczyła nas Vita. Gdy w końcu otwieram oczy, widzę, że uderzyłam nogą w stary pojemnik na wodę, który ktoś wrzucił w pokrzywy. Krawędzie ma twarde, ale dzięki Bogu nie ostre. Odrywam dłonie od obolałego biodra. Niebieskie legginsy nadal są całe. Rękaw bluzy mam umazany błotem. Na szczęście nie widzę krwi.

Siadam. Boże, jak boli. Otarcia i siniaki, a teraz jeszcze to. Chyba nadal jestem na wschodnich przedmieściach Slough. Nie ma mowy, żebym dotarła do Hounslow przed wschodem słońca. Jeśli nie będę ostrożna, w ogóle tam nie dotrę.

\* \* \*

Zaczyna świtać, a ja wciąż idę. W miarę jak zbliżamy się do Londynu, ruch jest coraz większy, a autostrada dzieli się i dzieli, aż w końcu w obawie, że ktoś mnie rozjedzie, jestem zmuszona z niej zejść i skorzystać z kładek dla pieszych wznoszących się kilkanaście metrów nad drogą. Kostka i biodro pulsują bólem, cała jestem obolała, a pęcherz w bucie przypomina o sobie przy każdym kroku.

Pola ustępują miejsca pozostałościom po wioskach, niegdyś zaludnionych, a teraz niekochanych i porzuconych. Plany ich ulic odbierają mi nadzieję, że dotrę prosto do domu. Patrząc na mapę w moim nowym telefonie, dochodzę do wniosku, że najlepiej zrobię, jeśli będę się trzymała na lewo od lotniska. W rzednącej

ciemności nad moją głową przelatuje schodzący do lądowania samolot. Za nim drugi i jeszcze jeden. Kawałek dalej wioski zaczynają się łączyć w siatkę ulic, brzydkich domów z betonu i irytujących ślepych zaułków. W oknach zapalają się pierwsze światła. Najpierw na piętrach, a później na parterze, w kuchniach. Ludzie wychodzą na zachwaszczony parking i zauważają mnie. Na widok mojej twarzy pospiesznie odwracają wzrok.

Myślą, że jestem bezdomna.

Ściągam tasiemki kaptura, żeby jak najszczelniej ukryć twarz, i koncentruję się na tym, by stawiać kolejne kroki. Pęcherz na stopie zaczyna krwawić i poniekąd czuję ulgę, bo dzięki temu wkładka już mnie tak nie uwiera. Z każdym krokiem robię się coraz słabsza – w udzie mnie rwie, a kostkę przeszywa ból i muszę zagryzać zęby, żeby nie zacząć krzyczeć.

Docieram do Bath Road o wpół do dziesiątej i mijając małą kafejkę pachnącą bekonem i kawą, zaczynam płakać ze szczęścia. Zaraz się położymy, maluszku. Położymy się i zapomnimy o bólu.

Nagle widzę matkę siedzącą na schodach i serce podchodzi mi do gardła. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że to moja ciotka, i wybucha we mnie nadzieja.

## 29 | Sarah

Ona jest w ciąży. Tego Sarah się nie spodziewała. Ale utykająca ciężarna kobieta w brudnej bluzie z kapturem, która idzie w jej stronę, to na pewno jej siostrzenica. Na widok Sarah siedzącej na schodach zatrzymuje się, a zaraz potem rusza w jej stronę jak szarżujący byk. Tak samo robiła Alison. Kiedy szła ulicą ze spuszczoną głową i patrzyła wilkiem spod grzywki, człowiek od razu wiedział, że lepiej z nią nie zadzierać. Dopiero teraz, kiedy Sarah widzi tę dziewczynę, przypomina sobie o tym i dociera do niej, że była to tylko młodzieńcza poza. Mimo braku fizycznego podobieństwa to wystarczy, żeby rozpoznać w niej córkę Alison. Sarah wstaje i czeka.

Dziewczyna jest niska. Dziesięć, dwanaście centymetrów niższa od Eden, drobna, z gęstwiną grubych, lśniących, czarnych włosów. Długie do brody, z postrzępioną grzywką, wyglądają imponująco. Kiedy dziewczyna podchodzi, Sarah widzi, że ma najpiękniejsze migdałowe oczy, jakie w życiu widziała. I że jej twarz pokrywają fioletowe sińce.

Sarah ma ochotę wziąć nogi za pas. Nie tego się spodziewała. Ale dziewczyna wie, kim ona jest – przynajmniej tak się wydaje – więc jest już za późno. Zachowam się jak należy i udam, że niczego nie zauważyłam, uznaje Sarah.

Romy zatrzymuje się dwa metry od niej i patrzy na nią wyzywająco. Jej skóra ma niepokojąco żółtawy odcień. Jak u ludzi chorych na żółtaczkę. A jeśli to siniaki sprawiają, że wydaje się żółtawa, musi być ich więcej niż tylko te na twarzy.

– Wiesz, kim jestem? – pyta Sarah.

Dziewczyna kiwa głową.

– Moją ciotką. Wyglądasz jak moja mama.

Sarah jest zaskoczona. Nigdy nie myślała o tym, że wygląda jak Alison. Ale dwadzieścia lat zmieni każdego.



– Tak. Sarah. Sarah Byrne.

Wyciąga rękę. Dziewczyna patrzy na nią zaskoczona, jakby widziała ten gest po raz pierwszy. Dopiero po chwili ściska dłoń ciotki i potrząsa nią energicznie. Palce ma lekko wilgotne, a skórę nad nadgarstkiem, w miejscu, gdzie rękaw nieco się podwinął, upstrzoną brązowymi plamkami. Kiedy w końcu ją puszcza, Sarah ukradkiem wyciera rękę w kurtkę. W torbie ma buteleczkę żelu antyseptycznego; użyje go, kiedy siostrzenica się odwróci.

– Romy – przedstawia się dziewczyna. – Romy Blake. – Szuka w kieszeni kluczy i patrzy na Sarah niepewnym wzrokiem. – Wejdiesz?

– Jeśli mogę.

Romy wzrusza ramionami, jakby kompletnie nie obchodziło jej, co zrobi ciotka. Po chwili otwiera drzwi na obskurną klatkę schodową z zielonym linoleum i utykając, idzie na górę; nie ogląda się za siebie.

\* \* \*

Mieszkanie jest ponure. Niski sufit, zaparowane okna, smutne, stare, zniszczone meble. To mieszkanie starej kobiety. Prawdopodobnie zmarła tu albo trafiła do domu starców. Założę się, że w łazience są poręcze, myśli Sarah. Rząd szafek kuchennych z oliwkowego laminatu. Na wpół zaciągnięte szkaradne, żółto-niebieskie zasłony, które kończą się dobre trzy centymetry nad parapetem. Romy podchodzi do okna i odsłania je.

– Muszę się wysikać – oznajmia i wychodzi z pokoju. Sarah stoi w miejscu, nie wiedząc, czy może usiąść. Mały, owalny, odrapany stolik rodem z lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku, na trzech patykowatych nogach. Poszarzała z czasem kwiecista tapeta, z plamą wilgoci w górnym rogu, i przybrudzony dywan ze strzyżonej wełny. W mieszkaniu jest gorąco od pralni samoobsługowej na dole, a jednak wydaje się dziwnie, odstręczająco chłodne.

Urodzić dziecko w takim miejscu to straszne, stwierdza w duchu Sarah. Nagle myśli o Alison, która w środku zimy

mieszkała z córeczką w przyczepie kempingowej, i kolejny raz czuje potworne wyrzuty sumienia.

Długo jej nie ma jak na kogoś, kto poszedł się wysikać, przebiega jej przez głowę. Słyszy szum lejącej się wody, a zaraz potem szcęk otwieranych i zamykanych drzwi w korytarzu. Czuje się niezręcznie, nie chce niczego dotykać, w obawie że nadużyje gościnności. W końcu podchodzi do okna i wygląda na ulicę. Podupadający, szacowny zachodni Londyn, z dwoma stacjami metra w pobliżu. Mogła skończyć w gorszym miejscu.

Nagle słyszy ryk samolotu przelatującego tuż nad dachem, kuli się i zakrywa uszy rękami. A może nie, myśli. Życie tu musi być koszmarem.

Drzwi w korytarzu znowu się zamykają i do pokoju wraca jej siostrzenica z czystymi rękami, przebrana – w legginsy i minisukienkę z czarnej dzianiny z falbanką u dołu. Kiepskie połączenie. Ale Sarah w końcu widzi jej twarz i to, że dziewczyna, choć jest bosa, nadal utyka.

– Usiądziesz? – pyta Romy.

– Tak. Dziękuję. – Sarah ostrożnie siada na kanapie. Przynajmniej nie jest tu brudno. Dziewczyna najwyraźniej potrafi sprzątać, zupełnie jak jej rodzeństwo. Mimo to mieszkanie przedstawia sobą smutny widok. Choć najwyraźniej próbowała je ożywić, stawiając na kominku rozmaite bibeloty, ale to jeden z bardzo nielicznych dowodów na to, że w ogóle tu mieszka.

Romy, ciągle stojąc, zastanawia się przez chwilę.

– Herbata – odzywa się w końcu. – Mam herbatę. Napijesz się? Mam też mleko.

– Chętnie – mówi Sarah. Patrzy, jak Romy nalewa wody do czajnika, stawia go na gazie, po czym wyciąga z szafki prosty, biały kubek, otwiera pudełko herbaty PG Tips i wyjmuje torebkę. – Ty się nie napijesz? – pyta Sarah.

– Nie. Nie piję herbaty.

– Przepraszam. Nie chciałam robić kłopotu.

Dziewczyna mruży oczy, jakby próbowała coś rozgryźć.

– No tak – rzuca po chwili. – Kiedy kogoś częstujemy, sami też powinniśmy się napić?

– Tak zwykle bywa – odpowiada Sarah. Teraz dostrzega podobieństwo między Romy a dziećmi. Są lekko zdziczali i próbują nauczyć się różnych dziwnych zasad, tyle że Romy musi to robić sama, nie ma nikogo do pomocy. – To taki zwyczaj. Wspólne jedzenie i picie.

– Aha, łamanie się chlebem. – Romy odwraca się w stronę szafki. Kiedy sięga po drugi kubek, Sarah zauważa, że drży jej ręka.

– Wszystko w porządku? – pyta.

– Tak – odpowiada dziewczyna. – Miałam po prostu kiepską noc.

– Mogę zapytać, co się stało?

– Zostałam... Jak to się mówi? Napadnięta. Kilka dni temu pojechałam do Londynu i zostałam napadnięta.

– Boże drogi. Jezu... Dobrze się czujesz?

– Nic mi nie będzie. – Romy wzrusza ramionami.

– Gdzie to się stało?

Dziewczyna z trudem przełyka ślinę, jakby nie była przygotowana na tak szczegółowe pytania.

– Nie jestem pewna. Pojechałam na King's Cross, żeby się rozejrzeć. To było gdzieś w okolicy.

– Myślałam, że teraz jest tam bezpieczniej. Co ci zabrali?

– Niewiele. Trochę pieniędzy. Byli źli, bo nie miałam nic innego.

– Nie wzięli telefonu?

Romy kręci głową.

– Dzwoniłaś na policję?

Dziewczyna patrzy na ciotkę wzrokiem, który zdaje się mówić: „A po co?”. Zupełnie jak Ilo, kiedy zaproponowała, że pomoże odzyskać amulet jego siostry. Chryste, Sarah, ta dziewczyna mieszka w innej Anglii niż ty. W Anglii, którą

oglądasz w wiadomościach, nie tej, w której żyje większość z nas. To dziwne, lecz w takim mieście jak Finbrough łatwo zapomnieć, że dla innych ludzi rozboje, napady z użyciem noża i wilgotne ściany są na porządku dziennym. Że to wszystko dzieje się naprawdę i nie jest serialem wymyślonym po to, żeby ci dobrze sytuowani czuli, że się im poszczęściło.

Twarz Romy wygląda kiepsko, jakby ktoś uderzył ją z całej siły.

– Pewnie słyszysz wiele rzeczy – mówi z wahaniem Sarah. – O dziecku i w ogóle. Kiedy kobieta jest w ciąży, wszyscy prześcigają się w udzielaniu porad...

– Skąd wiesz? – Dziewczyna nie odwraca się, po prostu gapi się na puste kubki. – Byłaś w ciąży?

Cholera. To reakcja obronna czy co?

– Ja... nie, nie byłam – bąka w końcu Sarah.

Liam ma teraz dwójkę dzieci i uważa pewnie, że płodność jego nowej żony, młodej dziewczyny, jest kolejnym dowodem na oziębłość emocjonalną Sarah.

– Więc lepiej powstrzymaj się od komentarzy – radzi jej siostrzenica.

Na dźwięk jej słów Sarah kuli się w sobie.

Woda się gotuje. Romy zalewa herbatę i miesza energicznie.

– Słodzisz? – pyta. – Wiem, że niektórzy piją herbatę z cukrem.

– Tak. Jedną łyżeczkę.

Romy otwiera szufladę i wyciąga saszetkę z cukrem. Rozdziera ją, wsypuje do jednego z kubków całą jej zawartość i nalewa do obu herbat solidną porcję mleka. Stawia kubki na stoliku.

– Masz ochotę na coś do jedzenia? Mam jabłka.

Sarah tłumy uśmiech.

– Nie. – Upija łyk letniego napoju, w którym bardziej czuć smak mleka niż herbaty, i stara się nie krzywić. – Pyszna, dziękuję.

– Cieszę się – bąka Romy i powoli siada obok niej.

Coś ją boli, myśli Sarah. Brzuch ciągnie ją do przodu, ale to coś więcej. Porusza się jak osiemdziesięcioletnia staruszka.

Widząc jej spojrzenie, dziewczyna kręci głową.

– Nie jest tak źle, jak mogłoby się wydawać – mówi. Nachyla się, żeby sięgnąć po kubek, i krzywi się. – Po co przyszłaś? – Odwraca się w stronę ciotki.

– Przepraszam – rzuca Sarah. – Uprzedziłabym cię, gdybym mogła. Ale miałam tylko twój adres i nie wiedziałam, jak się z tobą skontaktować.

Romy kiwa głową.

– Wiesz, gdzie jest moje rodzeństwo?

– Tak. Są ze mną. Dlatego chciałam cię odnaleźć.

Dziewczyna mruga.

– Och, przepraszam – dodaje pośpiesznie Sarah. – Nie tylko dlatego tu jestem. Ale nie wiedziałam... o tym, co się wydarzyło. Dowiedziałam się dwa miesiące temu. Nie miałam pojęcia, że tam byliście.

Romy odwraca wzrok.

– Nieważne. – Upija łyk herbaty. Krzywi się i odstawia kubek na stolik.

– I tak jest mi przykro. Musiałaś sama poradzić sobie z wieloma rzeczami... Powinnam była o tym pomyśleć. I wiem, że to niczego nie zmieni, ale przepraszam, że nie próbowałam cię wcześniej odszukać. Ciebie i twojej mamy. Wiem, że kiedy przyszłaś na świat, sama byłam jeszcze dzieckiem, ale przestałam nim być dawno temu.

Romy znowu mruga. Oczy ma tak zielone, a rzęsy tak długie i gęste, że przez chwilę wygląda jak jedna z tych lalek, które mężczyźni kupują dla przyjemności.

– Tak... cóż... Miałam rodzinę.

Miałam.

– Taki mi przykro – powtarza Sarah. – Z powodu twojej mamy. I... przyjaciół.

– Rodziny – poprawia ją Romy. W jej ustach brzmi to niczym wyzwanie.

Sarah patrzy na jej oko i wzdryga się. Jest sine i na wpół zamknięte od opuchlizny. Jeśli wygląda tak dwa dni po tym, jak została napadnięta, musiała być bliska śmierci. Dzieci mojej siostry są ulepione z twardej gliny, myśli, ale chyba przyszłam w nieodpowiednim czasie. A może wręcz przeciwnie. Bez względu na to, jak bardzo jest nadwrażliwa, przyda się jej wsparcie.

Romy kaszle.

– Opowiedz mi o Eden i Ilo – prosi.

– Mają się dobrze. Tak dobrze, jak można by się tego spodziewać... Sama nie wiem. Nie miałam pojęcia, że jesteś w ciąży. Przepraszam. Wszystko schrzaniłam.

– Tak... hm... – Dziewczyna znowu kaszle. Naprawdę nie wygląda dobrze. – Chyba dla nas obu jest to zupełnie nowa sytuacja.

Sarah się uśmiecha.

– Tak – przyznaje. – Cieszę się, że to rozumiesz.

Ma wrażenie, że twarz siostrzenicy wyraża jednocześnie dziesiątki różnych emocji. Chwilę później Romy bierze się w garść i sprawia wrażenie obojętnej.

– Nie wiem, co tu jest do rozumienia. Jest, jak jest. Dziękuję, że je przygarnęłaś. Gdzie mieszkacie?

– W Finbrough – odpowiada Sarah. – To małe miasteczko nieco...

– Wiem, gdzie jest Finbrough – przerywa jej dziewczyna. – Chcesz powiedzieć, że mieszkaliście tam przez cały czas?

– Ja... wyjechałam na trochę, kiedy wyszłam za męża. Mieszkałam w Reading, ale... Aha! Chodzi ci o mnie i o dzieci. Tak... to znaczy nie od razu. Ale opieka społeczna uznała, że powinny zamieszkać ze mną. Szukałaś ich?

Romy wygląda na zbolaną, jakby od góry napierała na nią czyjaś niewidzialna ręka.

– Tak – przyznaje.

– Pewnie pojechałaś do kościoła?

– Tak, ale nie mogłam wejść do środka. Na stronie internetowej znalazłam numer, tylko że nikt nie odbierał.

– Przykro mi. Kościół jest zamknięty od kilku lat, odkąd umarł twój dziadek.

– Domyśliłam się... że kościół jest nieczynny. Ale tego, że dziadek nie żyje, już nie.

– A dom? Nie wiedziałaś, gdzie jest? Mama ci nie mówiła?

– Opowiadała mi o nim – mówi Romy. – Ale nie podała adresu.

– No tak. Nic dziwnego. – Sarah myśli o listach i czuje, że ogarnia ją gniew. – Alison raczej nie chciała, żebyś miała z dziadkami cokolwiek wspólnego.

– Somer – poprawia ją Romy.

Sarah powstrzymuje się od uwagi na ten temat.

– Tak, przepraszam. Po prostu przez wszystkie te lata myślałam o niej jako o Alison i trudno mi się przestawić. Wybacz.  
– Znowu to piorunujące spojrzenie. – Tak czy inaczej – ciągnie, udając, że niczego nie zauważyła – Eden i Ilo mają się dobrze. Ale tęsknią za tobą.

Teraz Romy wygląda jak rażona gromem.

– Tak powiedzieli?

– Wielokrotnie. Często o tobie mówią.

Dziewczyna unosi brew. Boże, jak ciężko cokolwiek wyczytać z ich twarzy. Są jak puste ściany z siateczką pęknięć grubości włosa.

– I myślę – dodaje Sarah – że mogą potrzebować twojej pomocy.

– Mojej pomocy?

– Tak. Jeśli... Wiem, że nie mam prawa cię o nic prosić...

– Owszem, nie masz. Ale chętnie posłucham. – Romy opiera dłoń na podłokietniku kanapy i odchyła się, jakby czekała, aż coś strzeli jej w kręgosłupie.

– Posłuchaj... cieszę się, że cię poznałam, i szczerze... jeśli mogę coś zrobić... Potrzebuję jednak twojej pomocy. Jesteś jedyną osobą, która... no wiesz... zna ich. Wie, przez co przeszli. Jak zostali wychowani...

– Ja też – zauważa Romy. – Ja też zostałam tak wychowana.

– Tak, rozumiem. Dlatego pomyślałam, że może... ja tylko... Oni mają problemy z przystosowaniem się. Widzę to. I zastanawiałam się, czy może...

– Myślisz, że ja wiem, co z tym zrobić?

Sarah nie ma pojęcia, co powiedzieć.

– Ja... Chryste – jęka. – Nie wiem. Przepraszam, jeśli cię uraziłam.

Romy kręci głową.

– Nie. Po prostu uważam, że to głupie.

– Jesteś starsza – próbuje ją przekonać Sarah. – Kiedy nie są w szkole, cały czas przesiadują w domu. Nie mają żadnych przyjaciół. Sama niedawno przeprowadziłam się do Finbrough... – Wstyd jej się przyznać, że minęły trzy lata, a ona nadal żyje jak odludek. – I też nie mam zbyt wielu znajomych. Zresztą sama wiesz, że ludzie w moim wieku zwykle zostają rodzicami. Rzadko się zdarza, żeby mieli piętnastoletnią... Po prostu nie wiem, jak w tej sytuacji mogliby się dostosować. A muszą się dostosować. Żyją teraz w prawdziwym świecie i powinni wiedzieć, jak sobie w nim radzić.

Znowu uniesienie brwi. Pewnie Romy nie spodobała się wzmianka o „prawdziwym świecie”, ale przynajmniej nie jest tak zamknięta w sobie jak oni.

– Myślałam, że dobrze nam idzie – ciągnie Sarah – ale... uświadomiłam sobie, że nie wiem, jak z nimi rozmawiać. Sądzę, że niektóre dzieci w szkole są wobec nich niemiłe, ale Eden i Ilo nie chcą mi się zwierzyć... A ja nie wiem, jak zadać właściwe pytania. Nie mam pojęcia, jak pomóc im się otworzyć.



– Rozumiem – rzuca Romy. – I chcesz, żebym ja to zrobiła?

– Tak. Albo żebyś mi doradziła. Czasami jestem zaskoczona rzeczami, które są dla nich ważne. I tymi, w sprawie których nie chcą mi zaufać.

– Na przykład?

– Nie wiem. Na przykład pewnego dnia Eden zgubiła swój medalion i...

Romy niemal podrywa się z kanapy. Patrzy na ciotkę podejrzliwymi ciemnymi oczami.

– Medalion? Metalowy? Na rzemyku?

– Tak. Ilo mówi, że to dla niej ważne, ale nie chcą, żebym nagłaśniała sprawę w szkole, a ja nie wiem... nie mam pojęcia, do kogo się zwrócić.

– I co ja mam zrobić? Odzyskać go?

– Nie... nie o to chodzi. Ale sama rozumiesz, ich życie bardzo różniło się od mojego. Nie tylko od mojego. Jest wiele rzeczy, które Eden i Ilo uważają za oczywiste, a o których istnieniu nie mam bladego pojęcia. Zresztą myślę, że to działa w obie strony. Pomyślałam, że gdyby spotkały się z kimś, kto... wie to wszystko... kto przeżył to samo co oni, ale jest od nich starszy...

– Rozumiem. – Romy marszczy nos. – Ale nie wiem, czy będę mogła pomóc. Jak mam im wytłumaczyć, jak działa świat, skoro nawet nie potrafię zaparzyć porządnie herbaty?

Jej ciotka się uśmiecha.

– Nauczę cię, jeśli chcesz.

– Zastanowię się.

Sarah postanawia pójść o krok dalej.

– Nie chodzi o to, że to ja muszę wytłumaczyć im, jak wygląda życie tutaj, ale o to, żeby ktoś wytłumaczył mi, jak wyglądało życie tam. Próbowалаm je pytać, ale... Zdaję sobie sprawę, że nie mam pojęcia, w co wierzyliście... przepraszam, wierzycie... i wiem, że nic z tego nie rozumiem. Tak to jednak wygląda. Na tym polega problem. Mam wrażenie, że ciągle popełniam gafy

i wyciągam błędne wnioski. Czuję się tak, jakbyśmy mówili innymi językami. Jakbym potrzebowała tłumacza.

Romy patrzy na nią zaskoczona.

– Och – rzuca. – Jesteś pierwszą osobą, która nie zakłada, że to z nami jest coś nie tak. Dobrze. Kiedy miałabym przyjść i z nimi porozmawiać? Teraz?

Sarah panikuje. Nie. Nie, nie, nie. Powinnam to była lepiej przemyśleć. Nie może tak po prostu przyprowadzić do domu tej dziewczyny. Jest cała w siniakach, a do tego w ciąży.

– Ja... – Rozpaczliwie szuka w głowie jakiejś wymówki, która nie zabrzmiałaby niegrzecznie. – Teraz są w szkole. Poza tym jeszcze nie rozmawiałam z nimi o tobie. Myślę, że byłby to dla nich szok, gdyby po powrocie zastały cię w domu.

– Aha – bąka Romy.

– Masz telefon? Może podasz mi swój numer? Mogłybyśmy porozmawiać, kiedy poczujesz się lepiej?

– Dobrze, ale nie wiem, jak to zrobić.

– Jeśli podam ci mój numer, będziesz mogła wysłać mi wiadomość. I będziemy mogły częściej rozmawiać.

– Aha – rzuca znowu Romy. – Dobrze. – Wstaje z kanapy. Robi dwa kroki w stronę torby leżącej na blacie i nogi się pod nią uginają. Dosłownie pada jak kłoda.

## 30 | Romy

Przychodzą i siadają przy mnie. Czasami razem, czasami osobno, ale udaję, że ich nie widzę. Muszę zająć się sobą, a teraz, kiedy leżę w tym wygodnym łóżku w pokoju z zasłonami, które w ogóle nie przepuszczają światła, w domu przy spokojnej ulicy, uświadamiam sobie, że jestem potwornie zmęczona i obolała. Dlatego przez kolejne dni śpię i dochodzę do siebie. Sprowadziła lekarza z siwymi włosami i okularami, który zmierzył mi temperaturę, osłuchał mnie i choć uznał, że nic mi nie grozi, przepisał cudowne środki przeciwbólowe i kazał pić mnóstwo wody, „czy będzie chciała, czy nie, żeby oczyścić organizm i pozbyć się siniaków”. Rzeczywiście wyglądam kiepsko. Kiedy spali, zakradłam się do łazienki i przejrzałam się w lustrze. Jestem cała poobijana.

Nic dziwnego, że się wystraszyła – bała się, że umarłam.

Ciotka karmi mnie pomarańczową zupą z białego talerza i przepyszny kawałkami tostów z masłem. Kiedy nie śpię, każe mi wypijać co godzinę szklanek wody. Stawia mi na szafce taki śmieszny mały dzwoneczek i wygania dzieci, kiedy za długo siedzą przy moim łóżku i patrzą na mnie, podczas gdy ja udaję, że śpię. Spędzam w dusznej ciemności więcej czasu, niż gdybym była nieprzytomna, jak gdyby kilka siniaków rzeczywiście mogło mi zaszkodzić.

Moje sny to chaos. Wirująca otchłań poprzetykana okrzykami wściekłości. Zawsze tak było. Zwykle są w nich mrok, ruch i uczucie, że ktoś mnie śledzi.

Ale leżąc w tym łóżku, śnię, że wracam do Plas Golau i u moich stóp w połowie leśnej drogi na wzgórze leży mężczyzna. Szczerzy się od ucha do ucha; zamiast palców ma szpony. Nie żyje. Sprawdziłam to. Pod jego plecami jest kałuża zaschniętej krwi. Odwracam go czubkiem buta, aż stacza się ze wzgórza i znika między drzewami. Już nie będzie mnie niepokoił.

Skończyłam z nim. Podejmuję przerwana wędrowkę na wzgórze, do domu.

Przecinam sad. Pranie łopocze na wietrze niczym proporce na festynie. Pamiętam, jak było naprawdę – szarość i mżawka wypełniająca powietrze – ale to inny dzień, dzień, zanim nadeszli ludzie. Oprócz mnie nie ma tu nikogo.

Gdzieś wysoko na niebie śpiewa skowronek i widok tej pięknej okolicy, którą tak dobrze znam, sprawia, że czuję się pełna, jakbym lada chwila miała wybuchnąć. Stworzyliśmy piękne miejsce, tu, na wzgórzach; nad nami wznosi się góra Cader Idris, której kolory zmieniają się z każdą upływającą chwilą. To coś, czego Martwi nigdy nie rozumieją. Że życie w Plas Golau było ciężkie, ale to, co stworzyliśmy, zachwycało swym pięknem.

Po chwili odwracam się w stronę bramy i widzę, że nadciągnęła Wielka Katastrofa.

\* \* \*

Ostry ból w żebrach pozbawia mnie powietrza i wyrywa ze snu. Skurcz. Musiałam dyszeć. Nie wiem, jak się ułożyć, żeby minął. Cokolwiek zrobię, będzie gorzej, zanim się poprawi. W końcu się przeciągam. Syczę, bo mięśnie mnie rwą, a ból emanuje aż do kręgosłupa.

– Auć – jęczę. – Auć. – Nagle podnoszę wzrok i widzę Eden i Ilo siedzących w nogach łóżka. Wyglądają na zaniepokojonych. – Auuuć, przepraszam – mówię. Podnoszę się do pozycji siedzącej i opieram o poduszkę. – Skurcz – tłumaczę.

Ilo wstaje i podchodzi do mnie.

– Gdzie? – pyta.

Wskazuję na dół klatki piersiowej po lewej. Ilo zgina rękę i wbija łokieć w rwący bólem kłęb pod moją skórą. Mam ochotę krzyczeć, ale chwilę później ból mija.

Oddycham z ulgą.

– Dzięki.

– W porządku – rzuca Ilo i siada z powrotem przy mojej siostrze.

- Gdzie byłaś? – pyta Eden.
  - W Weston-super Mare i Hounslow.
  - Gdzie jest Hounslow?
  - Na wschód stąd. Niedaleko Londynu.
  - Miałaś się mną opiekować – przypomina mi z wyrzutem.
  - Przepraszam – mówię. – Szukałam was, ale przez długi czas byłam chora. Miałaś przecież Ilo.
  - A gdybym umarła? – pyta Eden. – Co stałoby się z nami?
- Patrzę na nią i patrzę; przypominam sobie, jaka była w dzieciństwie, i cieszę się, maluszkę, że nigdy nie będziesz dorastać jak dzieci Luciena. Przeświadczenie, że jesteś wyjątkowy, to nie to samo co bycie wyjątkowym.
- Jak się czujesz? – pyta Ilo.
  - Nie wiem – przyznaję. – Jakby przejechał mnie samochód.
  - Ciocia Sarah mówiła, że cię okradli.
  - Tak.
- Chłopiec ściąga brwi.
- To do ciebie niepodobne.
  - Zaskoczyli mnie. Poza tym... nie jestem tak wysportowana jak kiedyś. Jaki mamy dzień?
  - Niedzielę.
  - Która godzina?
  - Dziesiąta trzydzieści – odpowiada Eden. – Wyglądasz dużo lepiej. Kiedy wstaniesz?
  - Pewnie cuchnę – mówię.
  - W tym domu są trzy łazienki – oznajmia Ilo. – Jedna za tymi drzwiami, patrz. Sikaaś w niej, ale pewnie tego nie pamiętasz. Majaczyłaś.
  - Przeległa – mówię, patrząc na drzwi. Eden i Ilo gapią się na mnie skonsternowani. – Tak się to nazywa – tłumaczę. – Przeległa łazienka.

Nie wyglądają na przekonanych.

– Powiedziała, żeby zawołać ją, kiedy się obudzisz – zmienia temat Eden. – Żeby mogła zrobić ci śniadanie.

– Ona?

– Ciocia Sarah.

– No tak. Oczywiście.

Eden kiwa głową.

– Zemdlałaś. – Chyba nie zrobiło to na niej wrażenia. – To dom naszych dziadków – dodaje.

Udaję, że rozglądam się, chociaż miałam mnóstwo czasu, żeby zaznajomić się z brązoszarymi ścianami, beżowym dywanem i dwoma fotelami z wysokim oparciem, które wyglądają, jakby dom nigdy nie był opuszczony.

– Tak? W Finbrough?

– A więc szukałaś nas? – pyta Eden.

– Przecież mówiłam. Gdzie byliście?

– W miejscu o nazwie Barmouth. Całkiem blisko domu. Później przywieźli nas tutaj. Chodzimy teraz do szkoły.

– I jak tam jest?

– Dziwnie. Nudno. Interesują ich głupie rzeczy i nie wiedzą niczego użytecznego. A przy okazji, podobasz mi się z włosami. Pasują ci.

– Tobie też – odpowiadam. Patrzę na nich. Urosli, a Eden wygląda ładnie z bujnymi, gęstymi lokami. Ilo wydaje się chudszy, delikatniejszy niż wtedy, gdy go zostawiałam. Życie na Zewnątrz osłabia człowieka. Mnie osłabiło.

– Pójdę po nią – rzuca Eden. – Pojedziemy do supermarketu. Wiedziałaś? Większość z nich kupuje za jednym razem jedzenie na cały tydzień. Wyobrażasz to sobie?

– Próbowaliście kurczaka po jamajsku? – pytam. Wiem. To głupie. Ale często rozmawialiśmy o jedzeniu. Myśleliśmy o nim wszyscy, przez cały czas. Niezależnie od tego, ile pracowaliśmy, nigdy nie było go wystarczająco dużo.

– Nie – odpowiada. – A próbowałaś hinduskiego jedzenia?

– Nie.

– Na High Street jest restauracja. Niedaleko kościoła naszych dziadków.

– Kurczaka po jamajsku można kupić u mężczyzny na ulicy naprzeciw kościoła – odpowiadam i myślę: Cholera, powiedziałam więcej, niż chciałam. Przyznałam się wprawdzie, że ich szukałam, wiem, ale nie chcę, żeby ciotka Sarah wiedziała, jak byłam blisko. Oni jednak nie zwracają na to uwagi.

– Daje każdemu z nas dziesięć funtów tygodniowo – mówi Ilo.

– O jacie! – rzucam. – Za takie pieniądze można kupić mnóstwo kurczaka po jamajsku.

– Ciocia Sarah pali papierosy – informuje mnie Ilo. – Czasami, kiedy leżymy już w łóżkach, czuję zapach dymu. Wychodzi zapalić do ogrodu.

– Aha... Ktoś, kto już jest Martwy, raczej nie przejmuje się takimi rzeczami – kwituję.

– Pewnie nie – przytakuje Eden. – Ale i tak szkoda. Lubię ją, nawet jeśli jest Martwa. Jeśli będziemy mogli, uratujemy ją.

– Nie rób sobie za dużych nadziei – uprzedzam siostrę.

Pukanie do drzwi. Osoba przed drzwiami czeka, aż ją zaprosimy. Co za świat! To moja ciotka w długiej kwiecistej sukience, w której wygląda jak nakryty obrusem stół. Teraz, kiedy się jej spodziewam i kiedy czuję się lepiej, wiem, że Eden ma rację. Po prostu jest w niej coś miłego. Coś dziwnego i ciepłego, co kontrastuje z tym smutnym, pozbawionym wyrazu pokojem. Ma miły uśmiech – szczery i prawdziwy, nie taki jak nasze. To głównie on upodabnia ją do Somer, choć wczoraj, kiedy czekała na mnie przed drzwiami, poznałam ją po tym, jak marszczyła brwi. Muszę się postarać. To pomoże się nam przystosować.

– Jak się czujesz? – pyta Sarah. – Pomyślałam, że zostawię tu tych dwoje, żeby cię obudzili.

– Ja... – Zastanawiam się przez chwilę. – Dziękuję. Wydaje mi się, że lepiej.

To prawda. Chyba jednak nie czułam się najlepiej, nawet jeśli udawałam, żeby się tu dostać. Ten facet nieźle mnie poturbował. Mimo wszystko to on wyszedł na tym gorzej.

– Paskudne siniaki – ocenia mój wygląd. – Nieźle się nagimnastykowałam, by przekonać lekarza, żeby zostawił cię w domu.

– Z powodu kilku siniaków?

– Podczas wchłaniania się krwiaków można dostać żółtaczkę – tłumaczy. Zaraz potem rumieni się uroczo, jakby bała się, że posadzimy ją o popisywanie się. – Albo coś takiego.

– My nie chorujemy na żółtaczkę – mówię i widzę to samo zdumione spojrzenie, które tak często gościło na twarzy Melanie. – Wszystko w porządku. Nic mi nie jest.

– Mimo wszystko lepiej będzie, jeśli zostaniesz w łóżku. Nie wstawaj. Musisz odpoczywać. Gdybyś czegoś potrzebowała, któreś z nas zawsze będzie w pobliżu. Jutro idziemy do pracy, ale możesz zostać i odpoczywać. Będę pod telefonem.

Patrzę zdumiona na Eden.

– Pracujesz? Myślałam, że ci nie wolno.

Sarah śmieje się nerwowo.

– Nie, nie, przepraszam. Pracuję w szkole, do której chodzą Eden i Ilo. W biurze.

– Aha.

– Jak się czujesz? Masz ochotę na śniadanie?

– Sprzedałabym Ilo za coś do jedzenia – odpowiadam. Urocza. Jestem urocza. Wiele się nauczyłam od Luciena.

Sarah śmieje się.

– Nie wiem, ile byś za niego dostała, ale myślę, że może przygotować ci śniadanie. Co ty na to, Ilo? Mamy jajka, pieczywo tostowe i sok pomarańczowy.

Na samą myśl o tym chce mi się płakać.

– Dziękuję – rzucam i naprawdę jestem wdzięczna.



– Eden i ja wybieramy się do supermarketu. Dacie sobie radę z Ilo?

Mój mały braciszek. Nie widziałam go przez pięć miesięcy.

– Oczywiście – mówię.

## 31 | Romy

Kiedy drzwi zamykają się za nimi, rzuca się na mnie jak pies na szynkę.

– Auć! – wołam schrypniętym głosem i tulę brata tak mocno, że chyba go uduszę. – Kurwa, Ilo, to boli!

Tęskniłam za nim, tak bardzo za nim tęskniłam. Pachnie chemicznymi kwiatami, a jego skóra jest o sześć odcieni bledsza, niż powinna być. Ale to wciąż Ilo. Pod cienką warstewką tłuszczu nadal wyczuwam twarde mięśnie. Odzyskam go.

– Myślałem, że nie żyjesz – mówi. – Naprawdę. Kiedy weszliśmy do Infirmierii. Kiedy cię zobaczyłem... myślałem, że nie żyjesz.

– Jak widzisz, nie umarłam. Jestem jak karaluchy. Kiedy świat się skończy, ja przeżyję i będziesz mógł mnie zjeść. – Oboje się śmiejemy, bo Uri próbował wprowadzić kiedyś zasadę, że raz w tygodniu wszyscy będziemy jeść robaki. A ponieważ w północnej Walii jest mało termitów, na szczycie jego listy znalazły się karaluchy. Lecz nawet siła perswazji Uriego nie wystarczyła, żeby ludzie przystali na ten pomysł.

– Co, do cholery, stało się z medalionem Eden? – pytam.

Ilo oblewa się rumieńcem.

– Przepraszam. To ta głupia dziewczyna w szkole. W piątek zerwała jej go z szyi. Ona ma przyjaciół i kiedy próbowałem go odzyskać, zaczęli rzucać medalion między sobą nad moją głową. Później przyszła nauczycielka i rozgoniła nas, a ojciec tej dziewczyny przyjechał po nią wielkim samochodem i...

– Potrzebujemy go, Ilo. Bez niego Eden jest kompletnie bezwartościowa.

– Wcale że nie! To przecież wciąż ona!

Masz rację, braciszku. Bez niego jest kompletnie bezwartościowa – dla mnie. Albo raczej ja jestem bezwartościowa dla Uriego. Bez niego Eden mogłaby być każdym.

– Co to za dziewczyna? – pytam.

– Jest... głupia. Ma na imię Marie, plastikowe włosy i paznokcie i chodzi z podniesioną głową, jakby to ona była Jedynym. A ci jej przyjaciele to kretyni... chodzą za nią jak psy. I nienawidzi Eden, bo Eden nie chce jej ustąpić. To straszne. Nie lubię szkoły. Możemy się stąd wynieść, Romy? Możesz nas stąd zabrać?

– To nie takie proste. Nie mogę was porwać.

– Ale jesteście naszą siostrą.

– Teraz to ciocia Sarah jest waszą prawną opiekunką. Nie mogę was od niej zabrać.

– Myślałem, że ona zajęła się nami dlatego, że nie mogli cię znaleźć – mówi Ilo. – Ale wróciłaś!

– Nie. Wiedzieli, gdzie jestem. Tylko że według nich nie jestem odpowiedzialna. Są pewne prawa.

– My nie podlegamy ich prawom – oburza się Ilo.

– Teraz już tak. Ścigaliby nas.

– Och.

– Zresztą ona wydaje się miła.

– Chyba jest. Ale nie ma o niczym pojęcia. Niczego nie przygotowała. Dosłownie niczego. Próbowaliśmy jej powiedzieć, ale to tak, jakbyśmy mówili do ściany. Jak przetrwamy?

– Pracuję nad tym.

– I jesteś w ciąży. Wyglądasz jak piłka.

– Dobrze, że jesteś spostrzegawczy. Sama cię tego nauczyłam.

– Co powiedziałyby na to Somer?

– Wiedziała. Przyznałam się jej.

– Jak to zrobimy? – pyta.

– Och.

– Nie była zachwycona.

– Och – powtarza i dodaje: – To trochę zakłamanie.

Wzruszam ramionami.

– Ale nie będę miał ci tego za złe.

Racja, ty mały gnojku, myślę. Jesteś ostatnią osobą na ziemi, która powinna mieć mi to za złe.

– Dziękuję – mówię.

– Kto jest ojcem?

Kręcę głową.

– To bez znaczenia. I tak nie żyje.

– Nie boisz się? Chodzi o to, że nie ma znaczenia, jak miła jest ciocia Sarah. Ja boję się cały czas. Oglądasz wiadomości? Ona włącza telewizor codziennie o osiemnastej, a tam pokazują tylko ludzi, którzy krzyczą na innych, ludzi, którzy giną w wybuchach, wulkany i płonące budynki. A ona ogląda to jak program rozrywkowy. Niedługo wszyscy skoczą sobie do gardeł. Jak może tego nie widzieć? Wyobraź sobie, co się stanie, kiedy wszyscy zaczną uciekać z Londynu...

Kładę mu rękę na ramieniu. Zapomniałam, że jest takim dzieciakiem.

– Tak – mówię. – Wiem.

– Co wtedy zrobimy?

– Trzymaj spakowany plecak. Bądź gotów, zawsze. Jeśli nie przekonamy jej, zanim będzie za późno, będziemy musieli ją zostawić.

– I dokąd uciekniemy?

– Do Cairngorm. Oni tam są. Uri i reszta. To tam się udali.

Chłonie każde moje słowo. Myślę, że w Domu Strażników nie powiedzieli mu wszystkiego. Był bardzo krótko. Jest taki młody.

– A jak tam dotrzemy?

Mówię mu. To znaczy nie wszystko. Jeszcze nie. Najpierw niech oswoi się z tym, co najprostsze. Nie jest głupi. Będzie

wiedział.

**PRZED KOŃCEM**  
*2012–2014*

## 32 | Romy | Czerwiec 2012

Po drugiej stronie ścieżki na wzgórzu ukryte wśród wrzosów w srebrzystoczarным jeziorze odbija się niebo. Każdego roku rano po letnim przesileniu, kiedy świętowanie dobiega końca i dzieci mogą opuścić Chlewik, kobiety niosą resztki z uczy na wzgórze, by zjeść je na wrzosowiskach i cieszyć się zimną górską wodą. To ich chwila wolności, nawet jeśli trwa ona jeden ranek w roku. Lucien nie lubi wspólnych kąpieli. Przez chwilę, przez resztę poranka, mogą robić, co tylko chcą, ale muszą się odziać, nim mężczyźni – którzy w tym czasie sprzątaj podwórze – wejdą na wzgórze, żeby zjeść wspólny posiłek.

Eilidh pada na wrzosa, a Romy obok niej. Wszędzie dookoła kobiety zdejmują sukienki, eksponując światu swe blade ciała. Mieszkańcy Plas Golau mają opalone twarze, głowy, przedramiona i stopy, które kontrastują z białą skórą ukrytej pod ubraniami. Wśród całej tej bieli Romy ze swoją oliwkową karnacją zdecydowanie rzuca się w oczy. Właściwie nie zastanawia się, kim był jej ojciec – jego udział w jej życiu ograniczył się do wytrysku – choć czasami żałuje, że nie jest bladą blondynką, jak wszyscy na świecie. Eilidh jest tak biała, że Romy trochę się o nią martwi, wie bowiem, do czego jest zdolne górskie słońce.

– To się nazywa życie, co? – odzywa się Eilidh.

Romy zdejmuje bluzkę, obraca się na plecy i wygina w łuk. Czy istnieje wygodniejsze łóżko od koca rozłożonego na miękkich wrzosach? Nie może oderwać wzroku od ciał trzech Strażniczek. Wśród tych wszystkich żeber, kości biodrowych i piersi, które wiotczeją i opadają, jakby nie pasowały do noszących je ciał, Fitz, Ash i Willow wyglądają jak lwice. Umięśnione ramiona, uda i brzuchy twarde jak granit. Skórę mają gładką i lśniącą, bo Uri upiera się, żeby codziennie brały kąpiel i nacierały ciała olejami, które mają zapewnić im ochronę przed infekcjami i żywiołami. Romy kładzie się na brzuchu. Może powinnam się ubrać, myśli.

Bo chociaż ma trochę więcej ciała, boi się, że ktoś mógłby zauważyć, że bardziej przypomina Strażniczkę niż Trutnia.

Nieco niżej Vita, majestatyczna w szmaragdowym kostiumie kąpielowym, z długimi do pasa srebrnymi włosami, jako pierwsza wchodzi do wody. Matka Romy, wolna tego dnia od obowiązków, przyłącza się do reszty, jakby tam, wśród nich, było jej miejsce, i piszcząc, wbiega w samej bieliźnie do lodowatej wody. Od lat nie wyglądała tak młodo. Trzyma za rękę Eden i obie się śmieją. Mimo wszystko Eden nadal jest do niej przywiązana. Może być częścią Rodziny, ale nigdy nie zapomina, kto jest jej matką.

– Nie idziesz? – zwraca się Romy do Eilidh.

Ta drży.

– Może choć raz powyleguję się na słońcu. – Dotyka medalionu i patrzy na inne kobiety. – Zimno tu.

– Dzięki temu pozbędą się kaca – mówi Romy.

– Dlatego to robią? – Eilidh się śmieje.

– Tak słyszałam. Że możesz pić, ile chcesz.

Eilidh otwiera szeroko oczy. W wieku szesnastu lat człowiek chce robić tyle różnych rzeczy.

– Naprawdę? Myślisz, że Kiran...?

Zeszłej nocy ich przyjaciel Kiran osiągnął pełnoletniość i wprost nie mogą się doczekać, aż usłyszą jego relację z pierwszej przesileniowej uczty. Przez ściany Chlewika wszystko brzmi tak niesamowicie i dziko. Podniecające odgłosy bębnow i wrzaski kobiet, które – chociaż ci w Chlewiku wiedzą, że tak nie jest – brzmią jak okrzyki bólu.

– Pewnie tak. Ty byś tego nie zrobiła? Zresztą niedługo się przekonamy. Jest całe mnóstwo jedzenia. I żadnych racji. W zeszłym tygodniu ubili dwie świnie i trzy owce.

– O jacie – rzuca Eilidh.

\* \* \*

Kiedy nadjeżdża Lucien na swoim wielkim karym koniu, prowadząc za sobą mężczyzn, kobiety od dawna już nie są



w wodzie. To w nim jest piękne, myśli Romy, że nadal kocha tego konia, chociaż prawie go zabił. Nasz Ojciec jest taki dobry. Wszystko wybacza. Zauważywszy Kirana, białego jak ściana, z cieniami pod oczami, macha do niego i szturcha przyjaciółkę.

– Jest – mówi.

Eilidh wyteęza wzrok i marszczy nos.

– Czy ktoś, kto tak wygląda, naprawdę mógł się dobrze bawić?  
– pyta.

Fitz i Ash, odmienione i jakieś niesamowite w kobiecych strojach, przysiadają się do nich na kocu i rozmawiają z nimi, jakby były sobie równe. Na pytania o to, co wydarzyło się w nocy, uśmiechają się, chichoczą i odwracają wzrok. Niedługo zobaczycie, mówią. I tak, było fajnie. Myślicie, że piknik jest dobry, ale na ucztę w noc przesilenia jest tyle jedzenia, że człowiek nie wie, od czego zacząć.

– Niektórzy nie wiedzą też, kiedy skończyć – mówi Ash, na co Fitz parska śmiechem. Bez zielonego munduru Fitz jest ładna. Ma gładką, złotą skórę, kilka piegów i oczy niebieskie jak jaja rudzika. A może chodzi o wyraz twarzy. W Domu Strażników zwykle jest skwaszona, jakby myślała, że to część jej obowiązków. Tutaj, wśród innych kobiet, wydaje się odprężona, jej brwi nie są ściągnięte, a kąciki ust ma uniesione, nie opadnięte.

– Tak – przyznaje. – To prawda.

– Ktoś się upił? – pyta Romy. Niektóre kobiety są dzisiaj wyjątkowo ciche. I powolne. W milczeniu podnoszą do ust dzbany i piją sok z czarnego bzu rozcieńczony wodą z jeziora.

– Nie my – mówi Ash.

– Właśnie, nie my – potakuje Fitz. – My jesteśmy rozsądne.

Mężczyźni docierają do jeziora i zaczynają się rozbierać. Romy zastanawia się przelotnie, dlaczego oni mogą pokazywać się kobietom bez ubrań, a te nie rzucają się na nich. Zawsze tak było. Mimo to patrzy, bo od zeszłego roku nie widziała Kirana bez koszulki. Wyprzystojniał, ciało ma szczupłe i umięśnione od pracy w kuźni. Zaskakuje ją świadomość, że podoba jej się ten widok.

Odwraca się.

– Są tańce? – pyta.

– O tak – odpowiada Fitz. – Są tańce.

Lucien dołącza do nich o szesnastej. Usiedli w kręgu, starsze nastolatki i ci, którzy niedawno skończyli dwadzieścia lat. Ludzie, którzy dorastali razem, dawni koledzy z Chlewika, flirtują i wygłupiają się, jakby nie mieli żadnych obowiązków.

Patrząc, jak Lucien wstaje i idzie w ich stronę, Romy uświadamia sobie, że przyciągnął go ich śmiech. Zerkał na nich za każdym razem, gdy rechotali jak głupi. Jest taki znajomy, a zarazem taki obcy. To postać, która chodzi wśród nich każdego dnia, która im przewodzi, ale jest powściągliwa. Wcześniej udaje się do swojej kwatery, bo, jak mówi Vita, jego brzemię jest ciężkie i Lucien do późna rozmyśla o wielu rzeczach. Nigdy taki nie jest – to znaczy nie jest jednym z nich – tylko dziś. Tak działa magia najdłuższego dnia w roku. Bycie Przywódcą musi być niezwykle ciężkie, myśli Romy. Pewnie jest bardzo samotny.

Patrzy Romy prosto w oczy i pyta, czy może usiąść, jak zwykła osoba, jak człowiek. Romy dostaje gęziej skórki, ale nie ma wyboru i przesuwa się, żeby zrobić mu miejsce, jak gdyby był jednym z nich. Lucien siada w pozycji kwiatu lotosu i uśmiecha się do każdego z nich po kolei.

Ma sześćdziesiąt dwa lata. Włosy mu posiwiały, podobnie jak starannie przystrzyżona broda. Nadal jest szczupły, choć pod tuniką rysuje się lekki starczy brzuszek. Romy widzi, że zęby ma wystające, a oczy, które na ceremonii zapamiętała jako jasnoniebieskie, straciły kolor i wydają się niebieskawoszare. O dziwo, twarz ma gładką; tylko gdy się uśmiecha, wokół oczu pojawia się siateczka zmarszczek. Gdyby to nie był Lucien i gdyby nie wiedziała, jak wiele czasu poświęca na rozmyślania, mogłaby pomyśleć, że to skóra człowieka, który niczym się nie przejmuje. Ale to on, jest tutaj wśród nich, a oni próbują ukryć ekscytację i udawać, że takie rzeczy są na porządku dziennym.

– Co robicie? – pyta Lucien.

Ktoś musi się odezwać. No już, niech ktoś coś powie. Romy patrzy na swoich towarzyszy spod przymrużonych powiek. Im

dłużej milczą, tym bardziej robi się niezręcznie i między nim a nimi wyrasta tym większa bariera. Romy zerka na Eilidh. To twój ojciec, mówi jej wzrok. Powinnaś być w stanie coś powiedzieć.

I nagle zaczyna mówić, bo uświadamia sobie, że pozostali są bardziej oniemiała od niej. A on uśmiecha się i kiwa głową, jakby każde wypowiedziane przez Romy słowo było fascynujące.

– To tylko głupia gra.

Czuje na sobie spojrzenie niebieskoszarych oczu i tonie w nich. Może wyblakły, lecz nadal są jasne i przesywające. Z daleka człowiek ma wrażenie, że zaglądają w głąb jego duszy.

Przebiega ją dreszcz, bo dociera do niej, że kiedy patrzysz w nie z bliska, niczego w nich nie ma.

– My... – bąka – gramy w „Simon mówi”.

– A, w tę starą grę – rzuca Lucien i częstuje się jagodami z miski. Powoli wkłada je do ust i przez cały czas patrzy Romy w oczy.

Tam nic nie ma. Nic. Jest równie pusty jak misa dźwiękowa. Słońce przestało grzać.

– Dobrze się wczoraj bawiliście? – pyta.

– Tak – odpowiada Fitz. – Było fajnie.

– Było świetnie – dodaje Kiran. – Nie żebym miał porównanie.

Lucien go ignoruje i znowu patrzy na Romy.

– A ty? – pyta. – To musiał być twój pierwszy raz.

Romy odzyskuje głos, choć wydaje się dziwnie piskliwy. Jak to możliwe? Jak możemy za nim podążać, skoro nic w nim nie ma?

– Nie – mówi. – Mój będzie dopiero w przyszłym roku. Zimą.

Delikatne uniesienie brwi.

– W przyszłym roku? Ile masz lat? Myślałem, że w tym roku osiągnęłaś pełnoletniość.

– Za rok w listopadzie – tłumaczy mu.

– Ach, tak – mruczy. – Więc już niedługo będziesz gotowa.

## 33 | Romy | *Grudzień 2013*

Szykuje się do wyjścia z łaźni, kiedy matka łapie ją za rękę.

– Posłuchaj – mówi Somer. – Unikaj ciemności.

Romy się zatrzymuje.

– Co? – pyta. W długiej, luźnej sukience czuje się nieswojo. Włożyła ją pierwszy raz od rytuału dojrzałości cztery lata temu i sukienka jest równie niewygodna teraz jak wtedy. Trzeba ją było popuścić trochę w ramionach, bo Romy jest już wyższa i szersza o kilka centymetrów.

Tymczasem jej matka jeszcze bardziej się skurczyła, jakby codzienne upokorzenia przyginały ją do ziemi. Jeśli tak wyglądają trzydziestopięciolatekowie, wolałabym zginąć w walce, myśli Romy z butą osiemnastolatki. I nagle ogarnia ją poczucie winy, bo oto stoi przed nią kobieta, która wydała ją na świat, która ją wykarmiła i czuwała nad jej bezpieczeństwem.

– Dziś wieczorem – rzuca Somer. – To twój pierwszy raz.

– Wiem. – Romy próbuje zachować spokój, ale w środku czuje nerwowe podniecenie. Ma osiemnaście lat i nigdy nie była na przyjęciu. Dziś jest ta noc. Wszystko to, co przez tyle lat słyszała przez ściany Chlewika... tym razem będzie w tym uczestniczyć.

– Posłuchaj mnie, Romy. To ważne.

\* \* \*

Na widok Eilidh, która siedzi przy piecyku w otoczeniu starszych kobiet i śmieje się głośno, czuje gulę w gardle. Dla Romy to też pierwsze przesilenie, ale nikt nie przyszedł do niej, żeby przystroić ją girlandami, nikt nie zawiązuje jej na nadgarstkach bransoletek przyjaźni i nikt nie naciera jej skóry olejkami. Czasami czuje się tak, jakby ona i Eilidh mieszkały na innych planetach.

– Unikaj ciemności – powtarza Somer.

– Co? – Słowa matki wyrywają Romy z zamyślenia.

– Nie wiesz – ciągnie Somer. – Nie jest tak, jak myślisz. Lucien, Vita, Uri... nie będzie ich tam dziś.

Romy ma ochotę westchnąć z irytacją, ale rzuca tylko:

– Wiem.

– Posłuchaj, Romy.

Słucha, lecz niechętnie.

– Pij powoli – radzi jej matka. – Nie jesteś przyzwyczajona. Nikt z nas nie jest. Zanim się obejrzysz, możesz stracić kontrolę. Ludzie... dziś wieczorem nie będą tacy sami. Zobaczysz.

Mija je Eilidh.

– Idziesz? – pyta.

– Tak – odpowiada Romy. – Zaczekaj. Nie idź beze mnie. – Odwraca się do matki. – Potrafię o siebie zadbać – oświadcza stanowczo.

– Wiem. Wiem. – Somer puszcza jej rękę, nagle wydaje się zmęczona. – Po prostu... unikaj ciemności.

\* \* \*

Na podwórzu Kiran wciska im w dłonie kufle z cydrem. Romy pije i niemal się krztusi, bo pierwszy łyk alkoholu wbrew jej oczekiwaniom nie smakuje jak jabłka, jest raczej kwaśny, a zarazem słodki. Widząc jej minę, Kiran wybucha śmiechem.

– Posmakuj ci – zapewnia ją, a ona upija kolejny łyk. Teraz, kiedy wie, czego się spodziewać, smakuje nieco lepiej, lecz Romy nie sądzi, by kiedykolwiek polubiła ten smak. Ale przecież można udawać, że się coś lubi.

Podchodzi Ursola, uśmiechnięta, ze swoim dziwnym aparatem w ręce.

– Wy dwie – mówi. – Zdjęcia z okazji przesilenia.

Dziewczęta się prostują. Nagle czują się dziwnie skrepowane. Zdjęcia nie są częścią ich życia. Kiran robi krok w tył, ale Eilidh chwyta go za ramię.

– Czy Kiran może z nami zostać? – prosi.

– Naprawdę? – pyta zdumiona Ursola. – Nie chcecie zdjęcia tylko we dwie?

Eilidh kręci głową i uśmiecha się najśłodszym ze swoich uśmiechów.

– Ja nie – odpowiada. – Chcę zdjęcie naszej trójki. Już zawsze będziemy we troje.

– Skoro tak... – mówi Ursola. – Zgadzasz się, Romy?

– Tak. – Romy staje po drugiej stronie Kirana. Czuje przyjemne ciepło; czuje się kochana i ma poczucie, że wreszcie gdzieś przynależy.

– Uśmiech proszę! – woła Ursola.

\* \* \*

To cudowne przyjęcie. Stoły na kozłach uginają się pod ciężarem owoców, mięsa świń i owiec ubitych specjalnie na tę okazję i stosów podpłomyków. Dziś wieczorem nie obowiązują żadne ograniczenia. Przywódcy siedzą w zamknięciu, a pozostali mieszkańcy Plas Golau mogą robić, co chcą. To tradycja. Wolność, która trwa przez jedną noc i jeden dzień dwa razy do roku. Podwórze przystrojono papierowymi lampionami, w słojach palą się świece, a od dwóch wielkich ognisk bije żar. Ustawione przy prowizorycznym parkiecie bębny zaczynają wygrywać tak miarowy i hipnotyzujący rytm, że Romy ma ochotę kołysać biodrami i wyrzucić ręce w powietrze. Kobiety w sukienkach, z wiankami albo z turbanami na głowach, w małych grupkach wychodzą na otwartą przestrzeń i zaczynają tańczyć. Odchylają się w tył i śmieją perłście. Nagle Romy czuje się onieśmielona: nie wie, jak zachować się wobec tych ludzi. Powietrze iskrzy od wyczekiwania, którego nigdy dotąd nie czuła.

– To będzie udany wieczór – odzywa się Kiran z doświadczeniem kogoś, kto ma już za sobą trzy przesileniowe uczyty.

Jest dwudziesta druga i zaczyna zmierzchać.

\* \* \*

Są tam Strażnicy. Nie w mundurach, ale zbici w gromadę, trzymają się z dala od reszty Trutni. Są jak plemię wewnątrz

plemienia. Siedzą rozparci na belach siana niczym czujne koty. Trzy kobiety najwyraźniej czują się w swoich sukienkach równie nieswojo jak Romy w swojej. Nie rozmawiają, przemyka jej przez głowę. Mężczyźni i kobiety. Nie tylko z nami, ale też między sobą. Kilku Strażników pali. Romy słyszała o papierosach, ale nigdy ich nie widziała.

Zupełnie jakby ktoś spuścił ich ze smyczy, myśli i sięga po kolejny kubek cydru. Policzki ma lekko zarumienione. Dźwięk bębnow, który gdy była dzieckiem, brzmiał tak dziwacznie, sprawia, że ma ochotę tańczyć. Nagle Dom odwraca głowę i patrzy w jej stronę. Oczy ma zmrużone, porusza ustami. Mówi coś o niej. Tylko kilka słów, ale to wystarcza, żeby wszyscy Strażnicy podążyli za jego wzrokiem. Mężczyźni i kobiety: nieruchomi jak posągi, jak gdyby byli jedną istotą.

Romy oblewa się rumieńcem i pospiesznie odwraca, żeby spojrzeć na przyjaciół. To, jak patrzą, myśli. Nie podoba mi się. Zupełnie jakby mnie oceniali.

\* \* \*

O północy Romy jest pijana. Umazana sosem z pieczeni i truskawkami i spocona. Strażnicy stoją przy beczkach, obserwują wszystkich spod przymrużonych powiek, wymieniają komentarze, tymczasem ona jest na parkiecie i tańczy. To coś innego. Pierwotnego. Nie ma muzyki. Tylko bębnienie, bębnienie, bębnienie. Mężczyźni stoją w kolejce; gdy jedni się zmęczą, ich miejsce zajmują inni. Blask płomieni liże ściany, rzucając na ziemię długie, wielkie cienie. Teraz rozumiem, po co ta sukienka, myśli Romy. Swoboda ukrytego pod nią nagiego ciała jest cudowna.

Wyrzuca ręce w powietrze i porusza biodrami, w przód, w tył i na boki. W pewnej chwili dołącza do niej Kiran; ich stopy i ciała poruszają się w zgodnym rytmie, jak gdyby byli jedną osobą. Twarz Kirana lśni od potu, a w blasku ognia kości policzkowe są tak wyraźne, że rzucają cienie. Kiran i Romy poruszają zgodnie biodrami i jednocześnie unoszą ręce. Nie dotykają się, nie rozmawiają, tylko patrzą, i nagle ogarnia ją pożądanie tak wielkie, że ją przeraża.

Eilidh łapie ją za rękę, a ona lawiruje wśród wirujących ciał i śmieje się z ulgą. Mój Boże, spójrz na nas. W końcu jesteśmy dorosłe! My, dzieciaki z Chlewika, tańczymy, jakby świat miał się nigdy nie skończyć!

– To niesamowite! – woła Eilidh.

– Prawda?! – krzyczy Romy i odgania od siebie wszystkie niepokojące myśli. Obejmuje przyjaciółkę, bo potrzebuje fizycznego kontaktu, musi kogoś dotknąć, każdego, byle nie jego. Nie wolno mi o tym myśleć, upomina się w duchu. To zakazane, a poza tym to przecież Kiran.

Oddech Eilidh cuchnie alkoholem i Romy uświadamia sobie, że przyjaciółka jest znacznie bardziej pijana od niej. Chwieje się na nogach, a gdy Romy ją podtrzymuje, omal się nie przewracają. Eilidh zatacza się i poprawia wianek na głowie. Śmieje się jak dziecko, odwraca się do Rohana i znowu zaczyna tańczyć.

\* \* \*

I tak w kółko. Noc rozbrzmiewa dudnieniem bębnów, ciała coraz bardziej przysuwają się do siebie. Jak oni dają radę? – zastanawia się Romy. Teraz, kiedy przestała tańczyć, nie chce już wracać. Podchodzi do stołu z jedzeniem, kładzie na podłomyku kawałek wieprzowiny i zaczyna jeść. Mięso jest zimne i tłuste, a placek lekko czerstwawy, ale jest głodna jak wilk. Dochodzi druga. Za dwie godziny zacznie świtać i przesilenie dobiegnie końca.

Na parkiecie czyjaś ręka dotyka czyjegoś pośladka i zostaje odepchnięta. Jakaś kobieta kołysze się między dwoma mężczyznami i nagle Romy czuje się nieswojo. Rozgląda się i widzi dorosłych. Twarze mają niewyraźne i rozmazane, i Romy wyczuwa, że atmosfera się zmieniła. Mężczyźni stoją w grupkach na skraju parkietu, obserwują i oblizują wargi.

Romy odwraca się w stronę najbliższej osoby, którą okazuje się jeden ze Strażników.

– Zdrzemnąłabym się – mówi.

– Ja pierdolę – rzuca Dom. – Mięczak z ciebie.

– Jest nawalona – odzywa się Phil.



– Nie tak jak tamta – dodaje Ace i wskazuje na parkiet, gdzie Eilidh kołysze się w przepoconej sukience na niewielkiej wolnej przestrzeni, jak gdyby tłum rozstąpił się, żeby zrobić jej miejsce. Małe, sterczące piersi rysują się pod materiałem; już dawno zgubiła wianek. Głowę ma zadartą i patrzy w niebo, chociaż w blasku ognisk gwiazdy są niewidoczne.

– Chodź, przejdziemy się – proponuje Dom. – Za gorąco tu. W sadzie jest chłodniej.

– Nie – rzuca Romy. – Chcę do łóżka.

– Jasne.

Nagle tuż obok jak spod ziemi wyrastają trzy Strażniczki: Ash, Fitz i Willow.

– Chodź – zwraca się Fitz do Willow. – Mam dość. Odprowadźmy Sto Czterdzieści Trzy do domu, zanim się przewróci.

– Zaczekajcie – prosi Dom. – Idę z wami.

– Nie ma, kurwa, mowy – oburza się Ash.

– Nie chcę jeszcze iść – protestuje Romy. Bębny wciąż dudnią, a ona, chociaż chce jej się spać, czuje, że nie powinna się stąd ruszać, dopóki nie ucichną. Lekko chwieje się na nogach i wpada na stół tak, że spadają na ziemię puste kubki.

Silne ramiona Fitz stawiają ją do pionu.

– Ups – rzuca. – Ktoś tutaj ma już dość. Młodzież.

– Sama masz dopiero dwadzieścia dwa lata – zauważa Romy.

– To wiele zmienia.

Na parkiecie Eilidh nagle zakrywa usta dłonią. Za późno. Ludzie odskakują w bok, gdy mieszanka cydru, owoców i kawałków chleba chlusta na żwir. Romy parska śmiechem i odwraca się, żeby pokazać to Domowi, ale ten zdążył się już ulotnić.

– Cholera – mruczy Romy i znów się zatacza.

Ash odstawia kubek na stół i chwytą ją za drugie ramię.

– Dobra – mówi. – Zbieramy się stąd.

Romy pozwala się odprowadzić. Jest bardzo zmęczona i marzy o tym, żeby położyć się spać. Nagle z ciemności wyłania się jej matka razem z Carą, Kucharką, która śpi z nią w jednej sali.

– My ją weźmiemy – zwraca się Somer do Willow i Romy widzi, że jest wściekła.

– My właśnie... – bąka Willow.

– Wiem – przerywa jej Somer. – Dziękuję.

Somer i Cara zarzucają sobie ręce Romy na ramiona i odprowadzają ją do domu.

Kiedy docierają do bramy, Romy odwraca się i widzi Eilidh, która zakrywając usta dłonią, biegnie chwiejnie w kierunku dróżki prowadzącej do kaplicy.

Kilka sekund później kilku Strażników rusza jej śladem niczym wataha wilków, które wyczuły zwierzynę.

## 34 | Somer | *Luty 2014*

I nie ma już Eilidh.

Znika pewnego dnia, tak po prostu. Tego ranka Vita jedzie do Glastonbury zażegnać tamtejszy kryzys, a Lucien medytuje zamknięty w swojej kwaterze, więc dowodzenie przejmuje Uri. Ursola idzie po Eilidh, bo ta nie pojawia się w Izbie Chorych, lecz posłanie dziewczyny jest starannie pościelone, jej skrzynka stoi pod łóżkiem, a wszystkie ubrania wiszą na wieszaku. Brakuje tylko medalionu. Po kilku godzinach poszukiwań i nawoływań dają za wygraną i nigdy więcej o niej nie mówią, a jej obowiązki rozdzielają między siebie, jakby w ogóle nie istniała. Kiedy Somer znajduje Romy za magazynami, dziewczyna opłakuje po cichu zaginioną przyjaciółkę, lecz przecież mieszkańcy Plas Golau nie rozmawiają o tych, którzy odeszli, więc poklepuje ją tylko po plecach i wraca do swoich obowiązków.

\* \* \*

Nikt w Plas Golau nie widzi Vity przez kolejny tydzień. Siódmego dnia, kiedy Somer i Ursola popijają w sadzie herbatę z mięty pieprzowej – tak miło jest wracać do łask po tym, jak została Przywódczynią – Somer słyszy trzask krótkofalówki Strażników i chwilę później widzi Uriego, który z marsową miną idzie w stronę bramy. Zatrzymuje się na środku podjazdu, krzyżuje ramiona na piersi i czeka.

Vita wjeżdża na wzgórze samochodem. Widząc Uriego na swojej drodze, zatrzymuje się, wysiada i oboje zaczynają krzyczeć.

Somer i Ursola nie muszą podsłuchiwać. Są wystarczająco blisko i wcale się nie kryją. Lecz nawet jeśli Uri i Vita wiedzą, że tam są, wyglądają na tak wzburzonych, że w ogóle nie zwracają na nie uwagi. Ursola siedzi sztywna obok Somer, oddycha powoli. Może tamci chcą, żeby ta rozmowa odbyła się przy świadkach.

Żeby wszyscy usłyszeli plotki o ich wzajemnej wrogości. Ktoś musi mieć w tym interes, pytanie tylko kto.

– Gdzie ona jest? – pyta Uri.

– Odeszła – odpowiada Vita.

– Dokąd?

– Odeszła. Wywiozłam ją stąd. Nie będę tego tolerować.

– Czego? – szydzi Uri.

– Dobrze wiesz. Chryste, Uri. Myślisz, że jestem ślepa? Nawet twój ojciec...

Uri wybucha nieprzyjemnym śmiechem.

– Bystrzacha z ciebie.

– Ta biedna dziewczyna. Jezu. Nie możesz nad nimi zapanować?

– A kto powiedział, że chcę? – Uri się śmieje.

– To nie są... zabawki. Ani cholerne prezenty dla twoich robotów. Boże, Uri, to twoja siostra.

– Przyrodnia siostra.

Vita kręci głową, jakby nie wierzyła własnym uszom.

– Nie wierzę ci. Do cholery, co się z tobą stało?

On znowu krzyżuje ramiona na piersi. Milczy przez chwilę, po czym mówi:

– Jest wściekły, wiesz?

– Wątpię, czy w ogóle zauważył.

– Pewnie by nie wiedział, gdybym go nie poinformował.

Teraz to Vita krzyżuje ramiona.

– Zabawny jesteś. Myślisz pewnie, że w ten sposób podkopiesz mój autorytet.

– Cóż, chętnie posłucham, jak się tłumaczysz.

– Nie potrwa to długo, Uri. Jeśli ich Ojciec nie jest w stanie zapewnić im bezpieczeństwa, zadba o to ich Matka. To proste. I wiesz co? On się na to zgodzi, bo prowadzę to miejsce od lat.

– Gówno prawda.

– Daj spokój – rzuca Vita. – Jak myślisz, dzięki komu to miejsce jeszcze istnieje? Dzięki twojemu ojcu?

Somer uświadamia sobie, że Ursola patrzy na nią. Odwraca się i widzi jej skupioną twarz. Czuje się równie niezręcznie jak ja, myśli. Nigdy dotąd nie widziała Vity tak wzburzonej. Ona jest oazą spokoju w samym centrum naszego świata. Okiem cyklonu. Co się dzieje?

– Jeśli myślisz, że to ty tutaj rządzisz, jesteś bardziej porąbana, niż mi się zdawało – mówi Uri. – To ja tu dowodzę, Vito. On tylko czekał, aż będę wystarczająco dorosły i silny. Jesteś nikim. Marionetką. Gdybyś ty dowodziła, wszyscy umarliby w ciągu trzech dni.

– No, no. Naprawdę masz o sobie takie mniemanie?

– Zapytaj go. Po prostu go spytaj.

– Dzieciaku. – W głosie Vity pobrzmiewa kpina. – Ile ty masz lat? Trzydzieści pięć? I wciąż nie wiesz, że twój ojciec powie wszystko, byle tylko był lubiany? Kiedy dorośniesz i przejrzysz na oczy, żeby zobaczyć, jak naprawdę wygląda sytuacja?

Odwraca się i rusza w stronę samochodu.

– Nadchodzą zmiany. – Zatrzymuje się i patrzy na niego. – Przestałeś panować nad swoimi ludźmi. Tego już za wiele, Uri. Mówię ci. Było wystarczająco źle, gdy sam korzystałeś z prawa pierwszej nocy. Nie możesz ukształtować ich wszystkich na swoje podobieństwo.

Ku zdziwieniu Somer Uri zaczyna się śmiać.

– Po prostu rozszerzam przywileje – oświadcza.

Vita otwiera drzwi samochodu i podnosi wzrok.

– Co to ma znaczyć?

– Jakbyś sama od lat nie była jego stręczycielką. Co jest, Vito? Zapytaj samą siebie. Tak bardzo boisz się, że cię zostawi, że sama mu je przyprowadzasz?

– Nie bądź śmieszny.

Uri kolejny raz krzyżuje ręce na piersi i wzrusza ramionami.

– Było mnóstwo kobiet, które chciały być matką Jedyne­go – mówi Vita.

Somer ma wrażenie, że zaraz zwymiotuje. Nie chcę tego słuchać, myśli. Nie chcę. Nie chcę tego słuchać.

Po sadyzie niesie się kpiący śmiech.

– Tak – rzuca Uri. – To rzeczywiście było pomysłowe. Ach, jakże się poświęcał, płodząc te wszystkie dzieci.

Vita zatrzaskuje drzwi i podchodzi do niego.

– Wiesz co, Uri? Jesteś za bardzo pewny siebie. Za bardzo. To miejsce nie opierało się na tyranii i nie przetrwa na niej. Przez jakiś czas możesz sprawować sobie rządy strachu, ale to nie potrwa wiecznie.

– Głupia starucho – warczy Uri. – Ty głupia starucho. Jesteś pieprzonym reliktem.

– Ale przynajmniej nie jestem pieprzonym gwałcicielem – odgryza się Vita. Po tych słowach wsiada do samochodu i zatrzaskuje drzwi.

\* \* \*

Somer milczy, czekając, aż Uri odejdzie w stronę Domu Strażników. Dopiero wtedy się odzywa.

– A więc Eilidh odeszła.

– Tak. – Ursola kiwa głową.

– Kolejna ofiara przesilenia.

Następne skinienie głową. Somer czuje ukłucie gniewu. Mnie nikt stąd nie wywiózł, myśli. Nikt nie okazał mi niczego poza pogardą.

– Somer?

Odwraca się i patrzy na zastępczynię Vity.

– Tak?

– Myślę, że coś nadciąga – mówi Ursola. – Sądzę, że to miejsce się zmieni i będzie to zmiana na gorsze.

Somer zastanawia się, co powiedzieć. Usłyszeć coś takiego od kogoś tak wysoko postawionego w hierarchii Arki to z jednej strony pochlebstwo – po tylu latach w końcu odzyskała zaufanie – a z drugiej – słowa Ursoli ją przerażają. Mogą być bowiem sprawdzianem.

– Wszyscy jesteśmy tu z łaski Ojca – odpowiada w końcu. – Uri także.

Tyle że pewnego dnia Ojca zabraknie, myśli, pijąc herbatę. A dowództwo przejmie ktoś inny. On sam w kółko to powtarzał. Przywódca może być tylko jeden.

**WŚRÓD MARTWYCH**  
*Listopad 2016*



## 35 | Sarah

Dziesiątoklasiści urządzili na trawniku przed laboratorium manifestację przeciwko nietolerancji i bigoterii. Zasłonili twarze chustami, a na mundurki włożyli koszulki ze sloganami. Wymachują pięściami i powiewają transparentami z hasłami „JEREMY CORBYN NA PREMIERA”, „PIEPRZYĆ TORYSUW”, „PIEPRZYĆ RADYKALNE FEMINISTKI” i „DO DIABŁA Z TRUMPEM”. Z przodu grupka szóstoklasistów skacze na skakance i nawet na nich nie patrzy. Reszta szkoły siedzi z nosami w telefonach.

– Ach – rzuca Helen – polityka szkolnego dziedzica. Zawsze o krok od utopii. W końcu im się znudzi.

– Chciałabym, żeby w końcu nauczyli się pisać „torysów” – mówi Sarah.

– Albo sprawdzili w słowniku znaczenie słowa „bigoteria” – dodaje Helen. – I od kiedy słowo „feministka” jest obraźliwe?

– W niektórych kręgach zawsze takie było – zauważa Sarah. – Tylko nie wśród postępowców.

– No tak... „postępowcy”... Następne słowo, od którego ścisza mnie w żołądku.

– Myślisz, że powinniśmy to przerwać?

– Na jakiej podstawie?

– Przeklinają? Podburzają do przemocy?

– Mmm – mruży Helen. – Już samo to, że nikt nie zwraca na nich uwagi, może podważyć nasz argument. Jak tam w domu? – pyta. – Dzieciaki mówiły, że zamieszkała z wami ich przyrodnia siostra.

Sarah się uśmiecha.

– Tak. Pojechałam z nią porozmawiać, a skończyło się na tym, że przywiozłam ją do domu. Mówiły ci, że jest w ciąży?

– Nie! – Helen pochyla się do przodu.

Pewnie będzie próbowała ciągnąć mnie za język, myśli Sarah. Szkoda, że to nie działa w drugą stronę, zwłaszcza teraz, kiedy moje dzieci są jej pacjentami.

– Tak. I ona nie... – Coś, jakiś instynkt, podpowiada jej, żeby nie wspominać o tym, że Romy została pobita. – Nie radziła sobie najlepiej. Pomyślałam, że powinnam jej pomóc. Była chora. Nie mogłam jej zostawić.

– Mam tylko nadzieję, że nie staniesz się jedną z tych osób, które przygarniają bezpańskie psy.

– Nie, nie – rzuca pospiesznie Sarah. – To nie tak. Ona miała... grypę. Była w naprawdę kiepskim stanie. Teraz czuje się dużo lepiej. Cały weekend przeleżała w łóżku, ale jest w pełni władz umysłowych.

– To dobrze. Jak długo zostanie?

– Myślę, że kilka dni. Dobrze, że jest. Właściwie można powiedzieć, że jest z nami od wczorajszego lunchu, ale dzięki niej Ilo już się otworzył.

– A Eden?

– Nie bardzo. Ale chyba zaczynam ich rozumieć. Romy powiedziała mi wiele rzeczy, o których nie miałam pojęcia. Ona i Ilo spędzali ze sobą dużo więcej czasu. Eden to... ktoś w rodzaju arystokratki. No wiesz: coś jak braminy, z powodu tego, kim był jej ojciec. Nie brałam tego pod uwagę. To jednak wiele tłumaczy. Myślę, że będzie potrzebowała więcej czasu. Kомуś, kto był wyjątkowy, ciężko przyzwyczaić się do bycia normalnym.

– Fakt – przyznaje Helen. – Minie jeszcze trochę czasu, zanim znormalnieją.

Sarah zauważa Eden. Dziewczynka siedzi na ławce plecami do boiska netballu i czyta książkę. Czyta książkę! Ktoś, kto robi coś takiego na szkolnym placu zabaw, z całą pewnością naraża się na ataki ze strony rówieśników. Ilo nie wyszedł jeszcze ze stołówki, inaczej siedziałby z siostrą.

– Nie sądzisz, że nie powinni zakrywać twarzy? – pyta Sarah.

Helen patrzy na protestujących.

– Lepiej, żeby robili to tutaj niż na Trafalgar Square. Poza tym od razu ich rozpoznają. Ty nie?

Jedna z szóstoklasistek potyka się o skakankę i upada. Obie wstają i popijając kawę, patrzą, czy się rozplącze. Nie. Dziewczynka podnosi się, otrzepuje dłonie i kolana i przejmuje skakankę od koleżanki.

– Dobrze, że nie mamy dzisiaj dyżuru w przerwie na lunch – zauważa Helen.

Na ławce przy pracowni artystycznej, obok konia zrobionego przez ósmoklasistów z siatki ogrodzeniowej, siedzi Marie i podziwia swoje długie, hybrydowe paznokcie. Często to robi, choć regulamin szkoły dopuszcza co najwyżej french manicure. Mika, Lindsay i Ben McArdle (niektóre nazwiska same cisną się na usta za każdym razem, kiedy mowa o Marie) siedzą rozwaleni obok niej, prezentując pogardę dla całego świata.

Patrzą na Eden. Mika szturcha Bena, mówi coś i zaraz potem oboje wybuchają śmiechem. Sarah tłumy westchnienie.

– Chciałabym, żeby po prostu się zamknęli. – Wskazuje ich głową.

– To tylko dzieciaki – przypomina jej Helen. – Żadni z nich gangsterzy.

Sarah wzrusza ramionami. Helen ma rację. Nikt ze świty Marie nie przyniesie do szkoły broni, nie będzie handlował koką ani gwałcił koleżanek z klasy. To tylko rozpieszczone bachory z przedmieść. Śmieją się z rówieśników, bo nie mają nic lepszego do roboty. Nie powinna tak się nimi przejmować. Kiedy człowiek pomyśli o tym wszystkim, co widziała Eden, Marie Spence wyśmiewająca się z twoich tenisówek naprawdę nie jest żadnym problemem.

Ilo wychodzi z budynku i rozgląda się. Szuka Eden, myśli Sarah. Ale nie. Zauważa siostrę, kiwa głową i przecina boisko, kierując się w stronę Marie.

Sarah momentalnie robi się niespokojna. Ben podnosi się z ławki, a Marie, Mika i Lindsay prostują się i siadają jak świętoszki.

Jaki on mały, myśli Sarah. Nie pójdę tam. To nie moja sprawa.

Ilo staje naprzeciw Marie. Sprawia wrażenie wyluzowanego, ręce zwisają mu po bokach. Mówi coś i Sarah ma wrażenie, że wskazuje na dekolt Marie. Dziewczyna odchyła się do tyłu, dotyka wisiora, uśmiecha się z wyższością i kręci głową.

Chłopiec znowu coś mówi. Ben robi krok do przodu, lecz Ilo patrzy na niego ze spokojem. Zaraz potem jego ręka niczym atakująca kobra wystrzeliwuje w stronę obojczyka Marie. Ilo szarpie, Marie próbuje się wyrwać, jej przyjaciółki piszczą i nagle rzecz, którą pochwycił Ilo, pęka, jego ręka podskakuje gwałtownie w górę, a Marie wrzeszczy jak opętana. Z jej nosa tryska krew.

Biegając, Helen i Sarah słyszą krzyki – „Uderzyłeś mnie! Uderzyłeś! Boże, złamałeś mi nos!”. Ilo wycofuje się z wisiorami w dłoni, lecz Ben skacze mu na plecy. I nagle Ben szybuje w powietrzu, jak marionetka, a wszyscy w promieniu sześciu metrów zaczynają piszczeć.

Ilo jest równie spokojny jak minutę temu. Odwraca się i idzie przez plac zabaw w stronę siostry. Podchodzi do Eden, wyciąga rękę i upuszcza jej na dłoń medalion.

Siostra uśmiecha się do niego i chowa medalion do kieszeni.

\* \* \*

– To oburzające! – Głos Sarah jest piskliwy i drżący. Nie tak mocny, jak być powinien. To typowy głos ofiary.

Cholera, myśli. Nigdy nie umiałam zaznaczać swojego autorytetu. To ona zaczęła. To jej wina. Znęca się nad moimi dziećmi, ona i jej... – patrzy na nich i nienawidzi ich wszystkich – psiapsiółki. Dlaczego ich nie ukarzą?

W gabinecie dyrektorki panuje tłok. Marie i Ben siedzą na krzesłach naprzeciw biurka, a Eden i Ilo metr dalej, jakby posadzenie ich obok siebie było proszeniem się o kolejną awanturę. Lindsay i Mika stoją przy oknie, pociągając nosami, chociaż włos im z głowy nie spadł. Helen została wezwana jako szkolny psycholog, a z sal lekcyjnych poproszono trzech wychowawców. Z Rayem Spence'em i Sarah w gabinecie jest trzynaście osób.

Ray Spence nie przestaje krzyczeć, odkąd przyjechał do szkoły osiem minut temu.

– Spójrzcie na nią! – Wskazuje na córkę. Rzeczywiście Marie przedstawia sobą żaloszny widok. Po tym, jak uderzyła twarzą w ławkę, ma spuchnięty nos, podbite oko i wyszczerbiony zęb. To powierzchowne urazy, myśli Sarah. Nic jej nie będzie.

– Prosiłem ją – mówi Ilo. Sprawia wrażenie, jakby całe to zamieszanie było dla niego ćwiczeniem intelektualnym. Czy w ogóle zdaje sobie sprawę, jakich narobił sobie kłopotów? – Ale nie chciała go oddać. To medalion Eden. Jest dla niej ważny.

– Oczywiście, że bym jej go oddała. – Marie pociąga nosem. – Ale nie dałeś mi szansy.

– Ile razy miałem cię prosić, Marie? – pyta Ilo.

Na dźwięk tych słów Sarah się wzdryga. Przestań być taki spokojny, Ilo, myśli. Zachowujesz się jak psychopata, a przecież nim nie jesteś.

– Gównu prawda! – krzyczy Ray Spence i chociaż dorośli się krzywią, nikt go nie upomina. Zaraz potem rusza w stronę Ilo. Widząc to, wychowawcy stają między nimi. – Nigdy. Przenigdy. Nie. Bij. Kobiety! – ryczy ojciec Marie. Patrzy ponad ich ramionami i z każdym słowem dźga palcem powietrze.

– Nikogo nie uderzyłem – tłumaczy Ilo ze stoickim spokojem. – Wisiorek się zerwał i ręka mi się omsknęła, a kiedy Ben wskoczył mi na plecy, wykorzystałem podstawową technikę samoobrony. Każdy by tak zrobił. Gdyby Marie po prostu oddała mi medalion, nikomu...

– Zapłacisz za operację plastyczną – grzmi pan Spence. Jego twarz jest purpurowa jak koszula pod błyszczącym, szarym garniturem.

Świetnie, myśli Sarah. Marie w końcu dostanie nos, o który wierciła rodzicom dziurę w brzuchu od dwunastego roku życia, a my będziemy musieli pokryć koszty. Ten mężczyzna reprezentuje wszystko to, czego nienawidzę w dzisiejszym świecie: ludzi, którzy uważają, że nieustępliwość jest cnotą.

– Cóż, wątpię, by tak się stało – oświadcza dyrektorka. – Szkolna higienistka stwierdziła, że oprócz siniaków Marie nic nie

jest i nie trzeba jechać do szpitala. Niestety, nie obejdzie się bez wizyty u dentysty.

Sarah odchrząkuje, a gdy zabiera głos, skupia się na tym, by mówić cicho, lecz stanowczo.

– Nie doszłoby do tego, gdyby pańska córka nie ukradła mojej siostrzenicy medalionu. Zresztą to nie pierwszy raz. Marie to prawdziwe utrapienie. Prawdę powiedziawszy, dostała to, na co zasłużyła.

Boże, nie chciała, żeby to tak zabrzmiało. Musi pamiętać, że jest w pracy.

– Proszę darować sobie podobne uwagi, pani Byrne – upomina ją dyrektorka. Nie zwraca się do niej po imieniu. Nie kiedy w gabinecie są rodzice i inni nauczyciele.

– Uderzył mnie – piszczy Ben McArdle.

– Popchnąłem – prostuje Ilo. – Biegłeś na mnie, więc się odsunąłem i lekko pchnąłem.

– Nic ci nie jest? – pyta dyrektorka.

Ben podnosi prawą rękę z niewielkim otarciem, na które przyklepiono plastrem kawałek gazy.

– Chyba skrzyłem rękę – mówi.

Wal się, myśli Sarah. Nie ma to jak szkolny chuligan udający ofiarę. Ma ochotę wrzeszczeć. KUUURWA, wyje w myślach, ale zdrowy rozsądek podpowiada jej, że powinna być lepszą osobą.

– Pani Byrne – zwraca się do niej dyrektorka – faktem jest, że doszło do przykrego incydentu między pani podopiecznymi a ich kolegami ze szkoły i wszyscy widzimy, kto na tym ucierpiał. Musimy zdecydować, co zrobić w tej sytuacji.

– Ja? – Eden prostuje się na krześle, jakby wyrwana z transu. – Co ja zrobiłam?

– Daj spokój, Eden. Twój brat jest od ciebie młodszy. Z pewnością myślał, że postępuje słusznie, i chciał cię chronić, ale ty także ponosisz odpowiedzialność za to, co się stało.

– Ponosi odpowiedzialność? – pyta oburzona Sarah. – Obserwowałam całe zajście! Eden czytała książkę! Siedziała

w drugim końcu placu zabaw! A co z Marie? Nic by się nie stało, gdyby nie ukradła jej medalionu!

Ray Spence wskazuje palcem Eden.

– Niby czemu miałyby ukraść coś takiego? Moja córka ubiera się w Zarze, nie w sklepach za funciaka.

Wszyscy wyciągają szyje, żeby zobaczyć, o co chodzi. Ozdoba wydaje się tandetna – ot rzemyk i zawieszony na nim okrągły kawałek kutego żelaza. Żadne tam kryształki Swarovskiego.

– Nie chodzi o wartość – mówi Sarah. – Ale o zasady.

Dyrektorka zaciska usta.

– Dobrze – rzuca. – Chciałabym porozmawiać z panią Byrne na osobności. Panie Spence, odwiezie pan córkę do domu czy mamy wezwać taksówkę?

Ray Spence potrząsa breloczkiem.

– Mam jaguara – oznajmia.

No jasne!

Odwraca się do Sarah.

– Nie myśl sobie, że to już koniec – cedzi przez zaciśnięte zęby.

– Nie wątpię – rzuca Sarah.

## 36 | Sarah

Cały miesiąc. Zawieszają go na cały miesiąc. Aż do Bożego Narodzenia. I co ona zrobi? Jak ma pracować i jednocześnie się nim zajmować?

A do tego Helen. Wielka mi przyjaciółka! Opowiedziała dyrektorce o swoich spostrzeżeniach i dała jej argumenty, których tamta potrzebowała, żeby uznać, że moi podopieczni są nieprzystosowani.

– Co ty sobie myślałeś, Ilo? – pyta. – Co ty sobie myślałeś?

– Przepraszam – bąka chłopiec. – Siła przyzwyczajenia.

Chyba nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji. Prawdopodobnie oboje nie zdają sobie sprawy. Inaczej nie byłiby tacy spokojni. Spójrzcie na mnie. Czy jestem spokojna? Dlaczego nie wezmą ze mnie przykładu? Siła przyzwyczajenia? Poważnie? Aż boję się myśleć, co wyczyniali w tym Plas Golau. Naprawdę byli aż tak agresywni?

– Przepraszam – mówi Sarah.

– Ale odzyskał mój medalion – oznajmia Eden, jakby to była najważniejsza rzecz na świecie. I może dla niej jest. Bez tego amuletu wydawała się taka markotna. – Teraz jestem bezpieczna.

– Bezpieczna?

– Kiedy mam go na sobie, nic nie może mi się stać – tłumaczy dziewczynka i uśmiecha się od ucha do ucha.

Wszyscy siedzą obok siebie na kanapie. Romy po turecku, niczym Budda z brzuchem na skrzyżowanych nogach, Ilo wyprostowany, jakby kij połknął, z dłońmi na udach, a Eden z nogą założoną na nogę. Sarah jest zbyt wzburzona, żeby usiedzieć na miejscu. Krąży nerwowo po pokoju, przestawia bibeloty na kominku i strzepuje z zasłon nieistniejący pyłek.



– Masz szczęście, że udało się ugłaskać jej ojca – mówi. – W przeciwnym razie trafiłoby to do twoich akt.

Romy opuszcza stopy na podłogę. Jak na kogoś z podbitymi oczami wygląda na niezwykle zaskoczoną.

– Naprawdę? Przemoc jest niedozwolona?

– Bez jaj, Sherlocku! – warczy Sarah. – Chryste. – Zaciska powieki. – O jakich innych podstawowych zasadach funkcjonowania w społeczeństwie jeszcze nie wiecie? – cedzi przez zaciśnięte zęby i od razu czuje się źle, bo to przecież nie ich wina. Kiedy otwiera oczy, widzi, że Ilo jest bliski płaczu. Przez moment zastanawia się, czy z nią nie pogrywają, zaraz jednak odsuwa od siebie tę myśl.

Bierze głęboki oddech.

– Przepraszam. To było nie w porządku. Tak, przemoc jest niedozwolona. Nie miałam pojęcia, że nie wiecie. Myślałam, że to oczywiste.

– Więc jak mamy się bronić? – pyta Eden.

– O to chodzi. W cywilizowanym społeczeństwie nie musimy się bronić.

Patrzą na Sarah z niedowierzaniem.

Powinłam była im pomóc; nie dopuścić, żeby doszło do czegoś takiego. Powinłam być mądrzejsza, zgłosić to, że Marie zabrała Eden medalion, i postępować jak należy. Dlaczego tego nie zrobiłam? Bo miałam nadzieję, że sprawa ucichnie, a Marie da im święty spokój. Bo nikt nie kiwnął palcem, kiedy Abi Knowles robiła to samo ze mną. Siedząc za mną w ławce, dźgała mnie cyrkiem w plecy, popychała na korytarzach, wlewała mi do plecaka mleko, tak że cuchnął rzygowinami. Dlatego zakładałam, że im też nikt nie pomoże.

– A jak dojdzie do Wielkiej Katastrofy? – pyta Eden. – Co wtedy? Przecież nie wiemy, kiedy się zacznie. Nikt nie jest w stanie jej przewidzieć. Nie możemy nie być przygotowani.

Sarah czuje, że coś w niej pęka.

– Na litość boską! Przestańcie już. Po prostu przestańcie. Nie będzie żadnej Wielkiej Katastrofy. To bzdura. Głupia gadka. Więc

skończcie już z tym!

Ich miny zmieniają się i Sarah wie, że popełniła poważny błąd. Zaciskają usta i unoszą głowy, przez co upodabniają się do swoich dziadków. Cholera, myśli, niech to szlag. Kto jak kto, ale ja powinnam wiedzieć najlepiej, że nie należy kpić z przekonań innych. Bezpośrednia konfrontacja nigdy niczego nie zmienia. Może tylko pogorszyć sytuację, zwłaszcza gdy ktoś czuje się atakowany. Scjentolodzy, komuniści, faszyci, świadkowie Jehowy, buddyści, fani Justina Biebera, islamiści... Niezależnie od tego, w co wierzą, zawsze mają taką samą minę. Gapią się na człowieka pustym wzrokiem i zawieszają jak komputery. Dwie sekundy później restartują się i zaczynają wyrzucać z siebie wyuczone slogany albo zasypują człowieka pytaniami bez odpowiedzi tak długo, aż będzie zbyt zmęczony, żeby się dalej wyklócać. Nie przemówisz im do rozumu. Próbując, jeszcze bardziej utwierdzasz ich w przekonaniu, że mają rację. Dysonans poznawczy wzmacnia lojalność – nigdy jej nie osłabia. Byłam cierpliwa, bo myślałam, że sami to rozumieją.

– Dlaczego tak myślisz, ciociu Sarah? – pyta Eden.

– Takie rzeczy działy się już wcześniej – dodaje Ilo. – To żywy system w żywym wszechświecie.

– Daleko nam do pierwszego dominującego gatunku – ciągnie Eden. – Dlaczego myślisz, że będziemy ostatnim?

– W ciągu ubiegłego wieku dwanaście razy dochodziło niemal do końca świata – wtrąca Romy. – Czemu myślisz, że na tym się skończy?

Sarah ma wprawę w odwracaniu uwagi i wie, jak zmienić temat. Człowiek, który spędza młodość w domu żarliwych wyznawców, co najmniej raz dziennie mówi albo robi coś złego, nawet jeżeli nie jest buntownikiem. Jeśli ona czegoś teraz nie zrobi, będą tak gadać całą noc, a nie mając ich zapachu, zmęczy się na długo przed nimi.

– Dobrze – ucina. – Coś wam powiem. Nie zamierzam dłużej o tym dyskutować. Wy dwoje możecie iść do łóżek. Chcę, żebyście wiedzieli, że postąpiliście źle.

Zaciskają zęby.

- Dobrze – bąka Eden.
- Przepraszam, ciociu Sarah – mówi Ilo.

\* \* \*

Koszmarne dzień. Myślała, że zaczyna panować nad tą nową sytuacją, ale najwyraźniej się myliła.

I chociaż jest zdenerwowana, całuje ich na dobranoc i życzy im słodkich snów. Zapewnia, że wszystko będzie dobrze, że wspólnie znajdą rozwiązanie, choć, prawdę mówiąc, sama w to wątpi. Po wszystkim nalewa sobie ginu z tonikiem, bierze koc i wychodzi do ogrodu, żeby w chłodzie nocy przy stoliku z kutego żelaza zapalić papierosa. Dziś wieczorem może nawet dwa.

Teraz, kiedy trochę ochłonęła, jest wdzięczna dyrektorze, że zachowała to w tajemnicy. Mimo wszystko Ilo został zawieszony i nie ma wątpliwości, że urzędnicy zaczną wypytywać, jak Sarah zamierza zająć się siostrzeńcem i jednocześnie chodzić do pracy.

Oni naprawdę w to wierzą. Jak mogłam być taka głupia i tego nie rozumieć tylko dlatego, że przywódcy sekty okazali się psychotykami? Przecież oglądasz to na co dzień: ludzi, którzy przesuwają słupki tak, by ich zasady pozostały nietknięte. „Cóż, mur graniczny był tylko metaforą”. „Tak, wiem, że Stalin zamordował dwadzieścia milionów ludzi, ale zrozum, to nie był właściwy socjalizm”. „Nie jestem antysemitą, ale syjoniści głosowali na Jeremy’ego”. „Tak, sekta Luciena Blake’a zabiła wszystkich swoich wyznawców, ale to nie znaczy, że nie miał racji co do Apokalipsy”. Odkąd odszedł Liam, nie czuła się taka samotna i dezorientowana. Nie wie nawet, od czego zacząć. Szuka w pamięci wskazówek, próbuje przypomnieć sobie, w jaki sposób uwolniła się od Wspólnoty. Wie, że nie stało się to z dnia na dzień. Pamięta jak dziś, że do czasu, aż była w wieku Eden, wierzyła, że Alison zasłużyła na wygnanie. Dopiero na uniwersytecie zrozumiała, jak niedorzeczny był pomysł, że Jezus chciałby zamieszkać w takiej miejscinie jak Finbrough.

Słyszy, że drzwi balkonowe otwierają się, i zerka przez ramię. To Romy, wciąż ubrana i z chustą zarzuconą na ramiona.

- Cześć – mówi. – Mogę się przysiąść?

– Oczywiście. – Sarah bez entuzjazmu wskazuje jedno z zimnych metalowych krzeseł. – Przepraszam. Przeszkodziłam ci?

Dziewczyna siada.

– Nie, oczywiście, że nie. Poza tym to twój dom.

Jakoś tego nie czuję, myśli Sarah. Nigdy nie czułam się tu jak w domu.

– Poczulałam dym papierosowy i pomyślałam, że zejść.

Sarah patrzy na papierosa.

– Poważnie? Poczulaś dym?

– Zostawiam okno sypialni otwarte. U mnie w mieszkaniu to raczej niemożliwe. Mogę spróbować? Nigdy nie paliłam.

– Jesteś pewna?

– A co? Od razu się uzależnię?

– Nie... – Sarah wskazuje głową jej brzuch. – Myślałam raczej o dziecku.

– Aha. Może jej zaszkodzić?

– Tak. A więc to dziewczynka, tak?

– Nie mam pojęcia. Tak tylko mówię.

– Tak, możesz zaszkodzić dziecku. Dziwne, że nikt ci nie powiedział. A skoro już o tym mowa... gdybyś chciała zrobić badania albo iść na kontrolę, daj mi znać, dobrze? Chyba że chcesz wrócić do domu. Przepraszam. Tak tylko pomyślałam...

Chwila ciszy, a zaraz potem:

– Nie, w porządku. Nie mam żadnych planów. Ciociu Sarah, mogę zapytać, jak się czujesz? Chyba nikt tego dotąd nie zrobił.

Sarah czuje, że coś ściska ją w gardle.

– Hm... Prawdę mówiąc, jestem zdenerwowana. I martwię się.

– Powinniśmy zawsze być szczerzy – mówi Romy.

– Tak. Tak, masz rację. Dobrze, tak, jestem zdenerwowana. Nie rozumiem, jak Ilo mógł być taki nierozważny. Obawiam się, że

nie potrafię z nimi rozmawiać. I boję się, że popełniłam straszny błąd.

Twarz Romy nie zdradza żadnych uczuć. Sarah zaczyna tracić pewność siebie.

– To znaczy... nawet przez minutę nie myślałam... sama wiesz. Ale, na Boga, co ja mam teraz zrobić? Nie mogę zostawić trzynastolatka samego w domu na cały dzień. To chyba nawet niedozwolone. Do ferii świątecznych zostały niecałe trzy tygodnie, a ja już wykorzystałam urlop...

Wypowiada te słowa tak szybko, że brakuje jej tchu. Romy siedzi w milczeniu i słucha, przez cały czas patrząc jej w oczy.

– Chcesz, żebym została? Przynajmniej do czasu, aż wymyślisz coś lepszego?

Sarah czuje nieopisaną ulgę. Takie rozwiązanie nawet nie przyszło jej do głowy.

– Zrobiłabyś to?

– Oczywiście. – Romy kiwa głową.

Czując nagły przyływ miłości do siostrzenicy, Sarah chowa twarz w dłoniach.

– Boże, byłoby cudownie – szepcze.

Romy wzrusza ramionami.

– Nie żartuj. Pomogłaś mi, byłaś dla mnie taka dobra. Nie wiem, jak poradziłabym sobie sama w tym mieszkaniu.

– Nie – rzuca Sarah. – Martwi mnie to, że zostaniesz sama w twoim... stanie.

– Jestem w ciąży. Nie umieram.

– Wiem, ale mimo wszystko.

– Jeśli zgodzisz się, żebym została – Romy przez krótką chwilę sprawia wrażenie niewyobrażalnie smutnej – będzie cudownie.

To rozwiązanie dla nas wszystkich, myśli Sarah. Przynajmniej na razie. A w przyszłym roku? Może z czasem nauczę się mniej przejmować. Może na dłuższą metę będzie lepiej, jeśli Ilo i Eden nie będą spędzać każdej wolnej chwili razem.

– Możesz zostać tak długo, jak będziesz chciała – mówi Sarah. Już tyle osób wprowadziło się w tym roku do willi, że jedna więcej nie robi żadnej różnicy. Wszyscy zmagają się z demonami przeszłości. Co za dziwna rodzina.

– Postaram się pomóc – obiecuje Romy. – Chcę mieć tylko pewność, że wszyscy są bezpieczni. I że czujesz się dobrze, ciociu Sarah. Chcę, żebyś czuła się dobrze.

Sarah gasi papierosa o nogę zielonego metalowego stolika, który należał niegdyś do jej rodziców.

– Dziękuję, Romy. Nawet nie wiesz, jaka jestem ci wdzięczna.

## 37 | Romy

– Będziemy trenować? – pyta Ilo chwilę po tym, jak Eden i Sarah wychodzą z domu.

– Możemy – mówię. – Ale nie będzie tak jak kiedyś. Przez najbliższe pół roku raczej nie będę w stanie wyrzucać nóg wysoko w górę.

– To nic. Wciąż możesz robić przysiady i takie tam.

– Ale nie mogę biegać.

– W ogóle?

– Próbowałam kilka tygodni temu. Myślałam, że brzuch mi odpadnie.

– Mięczak z ciebie.

Dźgam go palcem w miękki brzuch.

– Ty w przeciwieństwie do mnie nie masz wymówki.

\* \* \*

– Romy?

– Tak?

– Czy ona nadal jest zła?

– Myślę, że w ogóle nie była zła.

– Czasami mam wrażenie, że jest.

– Nie na ciebie, Ilo.

– A na co?

– Na życie. Na swoich rodziców. Na męża. Na Marie Spence.

– Na męża? Nie wiedziałem, że ma męża.

– Ilo, musisz zacząć zadawać pytania.

– Myślałem, że to niegrzeczne.

– Kto ci tak powiedział?

– W domu.

– Och, to coś innego.

– Jak to innego?

– Jeśli chcesz pojechać w góry Cairngorm, musisz zaprzyjaźnić się z Sarah. Mówiłam ci.

– Zaprzyjaźnić?

– Tak.

Chłopiec zastanawia się długo, po czym pyta:

– Jak to zrobić?

– Trzeba zadawać pytania i słuchać odpowiedzi.

– Skąd wiesz?

– W Weston miałam przyjaciela o imieniu Spencer. On mi to powiedział.

– Spencer? Co się z nim stało?

– Złapał cuga.

– Ojej. To coś złego?

– Umarł – rzucam i jest mi trochę smutno. Kopnięciem w stopy zwałam Ilo z nóg.

Ląduje na pupie na trawniku przed domem dziadków, dźwiga się na łokciach i patrzy na mnie przeszywającym wzrokiem.

– Ale ciocia Sarah... ona nigdy mnie nie puści.

Podaję mu rękę i napinam mięśnie brzucha tak mocno, że muszę zgiąć się wpół, i z opuszczonymi ramionami czekam, aż skurcz minie.

– Wszystko zależy od ciebie – mówię. – Może pojechać z nami, ale to zależy od ciebie.

– Jak możemy zabrać Eden do Cairngorm? – pyta Ilo. – Nie wolno nam zostawić jej tu samej. Nie przetrwa.

– Nie martw się – uspokajam go i masuję brzuch. – Będzie bezpieczna. Najpierw jednak mamy coś do zrobienia.



\* \* \*

– To tu – mówi Ilo i podnosi drzwi do garażu.

– O jacie – rzucam.

Samochód wygląda jak pudełko – prosty i kanciasty. Granatowy z tweedową tapicerką. Nie ma na nim śladu rdzy, chociaż stoi nieużywany od dwóch lat i jest najwyraźniej starszy od srebrnego samochodu ciotki Sarah z zadrapaniem na lusterku i wgnieceniem na drzwiach. Dużo starszy. Ale to samochód, a właśnie samochodu potrzebuję, jeśli Uri chce, żebym na jego rozkaz jeździła po kraju.

– Myślisz, że nie zauważy?

– Odkąd tutaj mieszkamy, nie widziałem, żeby tu przychodziła. Ani razu.

– Ale zauważy, jak będziemy wjeżdżać i wyjeżdżać.

– Nie, jeśli w tym czasie będzie w pracy. Kiedy nie będziemy pewni, czy jest w domu, zaparkujemy za rogiem.

Brzmi rozsądnie.

Biorę kluczyk. Zamek stawia lekki opór, a drzwi otwierają się ze skrzypnięciem. Siadam za kierownicą. Wygląda na to, że mój dziadek był ode mnie wyższy. Muszę wyciągać nogę, żeby dosięgnąć pedałów. Wkładam kluczyk do stacyjki i przekręcam. Nic się nie dzieje.

– Nie działa.

– Jak to?

– Słyszałeś. Nie działa. Wiedziałam, że moja szczęśliwa passa nie potrwa długo. To by było za proste.

– Mmm. – Ilo pochyla się i pociąga dźwignię, która otwiera maskę. Mogłam się domyślić, że będzie wiedział, co z tym zrobić. Zawsze fascynowały go silniki. Bez przerwy kręcił się przy Farmerach z nadzieją, że będzie mógł przejechać się traktorem, i przyglądał się pracy Techników. – Zaczekaj.

Czekając, aż wróci, przeglądam się w lusterku wstecznym. Mój nos odzyskał normalne rozmiary. To dobrze. Nie będę zwracała na siebie niepotrzebnej uwagi, przynajmniej na przedmieściach.

Nadal mam podbite oczy, ale nie są już takie przekrwione. Starzeję się. Kiedyś siniaki znikają dużo szybciej.

– Spróbuj jeszcze raz! – woła Ilo.

Przekręcam kluczyk i silnik z warkotem budzi się do życia. Mój brat zamyka maskę i zadowolony z siebie, wskakuje na miejsce pasażera.

– Ktoś odłączył akumulator – wyjaśnia. – Czasami tak robią, jeśli wiedzą, że samochód będzie nieużywany przez jakiś czas.

– Mówiłam ci, że będziesz mi potrzebny.

Uśmiecha się.

– Niektórzy z nas uważali na zajęciach z Technikami.

– Dobra, dobra – bąkam. Nie odróżniłby tojadu od krotonu, gdybym podstawiała mu je pod nos.

\* \* \*

Siedzimy w samochodzie z włączonym silnikiem, żeby podładować akumulator, kiedy dzwoni Uri.

– Gdzie jesteś? – pyta.

– W Finbrough – odpowiadam.

– Dobra. A więc bliżej. Pewnie ucieszysz się, że Jaivyn jest w Bristolu.

Bristol. Pamiętam to miejsce. Labirynt domów, magazynów, bloków, który ciągnął się kilometrami pod autostradą. A za nim lśniące morze.

– Skąd wiesz?

– Tak samo, jak wiedziałem, że jesteś w Hounslow – odpowiada. – Zaczął używać karty. Chyba kończą mu się inne środki. A może myśli, że teraz, kiedy Vita nie żyje, może korzystać z pieniędzy do woli. W tym tygodniu codziennie wyciąga po trzysta funtów. Albo więc jada na złotych talerzach i kąpie się w mleku, albo oszczędza, żeby dać nogę. Lepiej, żebyś dotarła tam prędzej niż później.

Patrzę na brata i kiwam na niego głową, a on rozdziawia buzię.

– Bristol brzmi mało precyzyjnie – mówię. – Przejeżdżałam tamtędy. To wielkie miasto.

– Old Red Lion, Strickland Road, St Paul's – recytuje Uri.

– Że co?

– To pub. Wyciąga forszę w pubie. Korzysta z bankomatów w całym mieście, ale parę razy w tygodniu bierze kilka setek z tamtejszego bankomatu. Albo to, albo pije tyle, że sam załatwi sprawę.

– Dobra. Co mam zrobić? Zaczekać na niego w okolicach pubu?

– Tak.

Jasne. Ciężarna kobieta z pokiereszowaną twarzą na pewno nie zwróci niczyjej uwagi. Dolną wargę mam wciąż tak opuchniętą, że odstaje na dobry centymetr.

– Zobaczę, co da się zrobić – rzucam.

– Nie patrz, tylko zrób – kończy rozmowę Uri.

## 38 | Romy

Nigdy nie wybaczyłam Jaivynowi tego, co zrobił w dniu, kiedy urodziła się Eden. Trudno zapomnieć, gdy widzi się na czyjejś twarzy taką pogardę. Miał wtedy mniej więcej dwanaście lat, tyle co teraz Ilo. Początki młodszej arogancji i ostatecznie podrygi dziecięcego narcyzmu spotęgowane przez świadomość, że jesteś kimś wyjątkowym. Mimo wszystko.

Pewnie nadal jest większy i silniejszy ode mnie. Był jednym z najwyższych mieszkańców Plas Golau; zanim osiągnął pełnoletniość, miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu.

Na moją korzyść działa element zaskoczenia.

\* \* \*

Po tym, jak uciekł, nasza sytuacja się pogorszyła. Lucien był wściekły. Wszyscy byli wściekli, a my staraliśmy się nie rzucać w oczy, licząc, że nie zostaniemy ukarani. To był koniec wyjazdów na Zewnątrz. Bramy zostały zamknięte i poza Vitą i Urim nikt sam nie opuszczał Arki. Dwanaście osób zostało zdegradowanych i przydzielonych do pracy na roli, a kolejnych sześć popadło w niełaskę. Lucien nie mógł uwierzyć, że nikt z nich nie wiedział o planach Jaivyna. Zastanawiałam się, po co ktoś miałby razem z nim planować ucieczkę i samemu zostać, ale Lucien mówił, że zdrajcy są wszędzie. „Nie mogę wam już ufać – powiedział w tamten piątek. – Od tej pory nie ufam żadnemu z was”.

Kiedy wykonano kary, nigdy więcej nie rozmawialiśmy o Jaivynie.

Nie mógł być Jedynym. Nie mógł być Przywódcą. Jeśli ktoś miałby uciec, to właśnie on. Zawsze pierwszy do jedzenia, najbrutalniejszy w czasie przesilen, zawsze patrzył na dziewczyny, jakby były jego hurysami, i zawsze się wyklócał, kiedy ktoś kazał mu coś zrobić. Gdyby był Jedynym, umarlibyśmy

w ciągu kilku lat. Dyscyplina. Jeśli chcesz przetrwać, potrzebujesz dyscypliny.

Zabawne: przed odejściem Eilidh Lucien jakby niczego nie zauważał. Myślę, że do tego czasu przywykł, że jego dzieci znikają. Kiedy umarł, w Plas Golau było ich tylko sześcioro. Teraz została czwórka.

\* \* \*

Strickland Road to wąska, brzydka droga z kocami wiszącymi w oknach i samochodami takimi jak mój zaparkowanymi przy ulicy. Kilka drzew próbuje rozweselić tę ponurą okolicę, lecz nawet one są szare od kurzu i skarłowaciałe. Wyszukałam St Paul's w internecie i dowiedziałam się, że to dzielnica, której status został podniesiony, choć najwyraźniej gentryfikacja nie dotarła aż tak daleko. Pub Old Red Lion jest mały, a stare mosiężne parapety nawet z daleka wyglądają tak, jakby lepiły się od brudu. Trzech mężczyzn o różnych kolorach skóry i w różnym wieku, ale w jednakowych dresach, stoi wokół dużej, walcowatej popielniczki. Każdy trzyma jedną rękę w kieszeni spodni, miętosząc jajka, a drugą nakrywa papierosa, jakby bał się, że blask żaru ściągnie uwagę snajpera. Jeden z nich gada coś do siebie, a dwaj pozostali gapią się w ścianę.

Parkuję. Dochodzi szesnasta i niebawem zacznie się ściemniać. Sarah myśli, że pojechaliśmy do Hounslow po resztę moich rzeczy i że zostaniemy tam przez kilka dni. Już zaskarbiłam sobie jej zaufanie.

\* \* \*

– Możesz w międzyczasie robić zadania z matematyki – zwracam się do Ilo. – Zgoda?

W odpowiedzi patrzy na mnie i przewraca oczami.

– Mówię poważnie, Ilo. Musisz się uczyć.

– Przerabiałem te rzeczy dawno temu – tłumaczy. – Czy oni myślą, że jestem głupi?

– Zawiesili cię. Chyba nie spodziewają się nie wiadomo czego po dzieciakach, które wdają się w bójki na szkolnych dziedzińcach.

- Dzięki – rzuca. – Zrobiłem to, bo mi kazałaś.
- Wiem. Ale nie mówiłam ci, żebyś się bił.
- Gdybym tego nie zrobił, nie byłoby mnie tu z tobą.
- Po prostu masz rozwiązywać zadania, dobrze?

Kiwa głową i wyciąga telefon. Siada wygodniej na fotelu pasażera, a ja wchodzę do pubu.

Czy to rozsądne zostawiać go samego w samochodzie w takim miejscu? Oczywiście, że tak. Przecież to Ilo.

\* \* \*

Nigdy dotąd nie byłam w pubie. W Domu Przejściowym alkohol i tego typu rzeczy były zabronione. Ale widziałam je w telewizji. Old Red Lion jest jednak niepodobny do serialowych pubów w stylu Queen Vic czy Rover's Return. W tamtych przynajmniej jest czysto.

Otwieram drzwi i wchodzę do pomieszczenia, gdzie zawieszane na ścianach lampy zdają się pochłaniać całe światło. To długa sala, która ciągnie się aż na tyły budynku, z barem po jednej stronie i drewnianymi boksami po drugiej. W mroku obok schodów stoi stół bilardowy z wiszącą nad nim zgaszoną lampą. A więc tak wyglądają puby. W niczym nie przypominają tych z telewizji.

Nie jest tu tłoczno. Kilku mężczyzn siedzi przy barze i gapi się na mnie w milczeniu. W boksie siedzą dwie kobiety. Jedna ma podbite oko i nie ma zębów. Powinnam czuć się tu jak w domu.

Podchodzę do baru i uśmiecham się do stojącego za nim mężczyzny. Ma jakieś metr siedemdziesiąt wzrostu i mniej więcej tyle samo w pasie. Patrzy na mnie bez entuzjazmu, ale mam wrażenie, że tutaj to nic niezwykłego.

– Tak, skarbie? – rzuca. Sięga po ścierkę i ściera nią lepkie plamy z blatu.

– G and T, proszę – odpowiadam pewnym siebie głosem. W Queen Vic ludzie bez przerwy to zamawiają.

Facet patrzy na mój brzuch.

– Pojedynczy czy podwójny?

Najpierw zobaczę, czy mi posmakuje.

– Pojedynczy.

– Z lodzikiem i cytrynką?

Ktoś chichocze, więc w pytaniu musi się kryć jakiś podstęp.

– Nie, dzięki – rzucam.

Mężczyzna bierze szklankę, podchodzi do jednej z butelek wiszących do góry nogami naprzeciw lustra i nalewa miarkę. Cholera, to gin. Pewnie stąd to „G”.

– Mogę jeszcze prosić o wodę? – pytam.

Facet wzdycha, jakbym go uraziła, ale wyciąga spod blatu mały wężyk i nalewa wody do drugiej szklanki. Naciska przycisk na górze i dolewa do ginu gazowany napój, pewnie „T”, cokolwiek to jest. W końcu stawia obie szklanki na podkładce.

– Coś jeszcze?

– Macie coś do jedzenia?

Znowu chichot.

– To pub, nie restauracja – odpowiada. – Mam chipsy o smaku sera i cebuli, soli i octu albo prażone orzeszki.

– Orzeszki – mówię, bo z tego wszystkiego brzmią najlepiej.

Facet sięga za siebie i bierze z wystawy małą paczkę orzeszków.

– Nie wiem, czy w twoim stanie powinnaś je jeść – mówi. Taka refleksja od gościa, który chwilę temu sprzedał mi gin.

Ileż tu mają zasad! W Plas Golau jedyna zasada obowiązująca kobiety w ciąży brzmiała: „Nie robić zamieszania”.

– W takim razie może chipsy serowo-cebulowe – proszę.

Gość znów sięga za siebie i bierze paczkę chipsów.

Przez moment chce mi się płakać, bo ta krótka rozmowa uświadomiła mi, że nie mam o niczym pojęcia. Daję mu pieniądze Uriego, biorę szklanki i siadam przy pustym stoliku.

\* \* \*

Wszyscy oni to pijacy. Smutni, samotni pijacy. Nie są na samym dnie, bo nie sądzę, żeby ludzie będący na samym dnie byli w stanie zapłacić za drinki w pubie. Ale jeśli masz w życiu jakiś wybór, nie przesiadujesz całymi dniami w miejscu takim jak to i nie wlewasz w siebie w milczeniu alkoholu. Kobiety nie rozmawiają; po prostu siedzą naprzeciw siebie, piją kolorowe drinki, które od czasu do czasu stawiają przed nimi mężczyźni, gapią się w telefony i oglądają paznokcie z odpryskującym lakierem.

– Umówiłaś się z kimś, skarbie?! – woła właściciel z drugiego końca pomieszczenia.

– Nie – odpowiadam zgodnie z prawdą, bo przecież nie umawiałam się z Jaivynem. – Po prostu muszę gdzieś zaczekać.

– W porządku – rzuca i wraca do wycierania baru.

Pewnie myślą, że urządzam zasadzkę na ojca mojego dziecka.

Wysłałam SMS-a do brata.

*Wszystko w porządku?*

*Tak – odpisuje. – Dzwoniła S. Powiedziałem, że jesteś w kiblu.*

Dobrze go wyszkoliłam.

Kiedy zapada zmierzch, czyli o tej porze roku niedługo po szesnastej, miejsce zaczyna zapełniać się ludźmi. Ci, którzy siedzieli tam, gdy przyszłam, nigdzie się nie ruszają, jakby woleli przepijać swoje życie, niż próbować je zmienić. Ci, którzy przychodzą teraz, piją szybciej, rozmawiają głośniejszym i chciwym wzrokiem popatrują na mój stolik. Wokół mnie utworzył się krąg wolnej przestrzeni i choć stoją odwróceny do mnie plecami, co chwila ktoś zerka na mnie przez ramię.

I kiedy spisawszy wieczór na straty, mam zamiar wyjść i wrócić do samochodu, do pubu wchodzi Jaivyn, wielki jak świat i dużo bardziej paskudny.



## 39 | Romy

Jeśli wydawał na coś pieniądze Uriego, to na pewno nie na swój wygląd.

Nie widzi mnie. To znaczy widzi, bo zerka w moją stronę, ale patrzy przeze mnie. W ciągu sześciu lat, odkąd widziałam go ostatni raz, jego jasne, szpecinowate włosy urosły do ramion i zmieniły kolor na mysi, tak że pasują do zaniedbanej, postrzępionej brody. Wygląda jak zapijaczony Jezus. Szare dżinsy, które marszczą się w okolicach krocza, i obszerna kraciasta koszula nieudolnie maskują jego tuszę.

Jego wzrok prześlizguje się po mnie, a zaraz potem Jaivyn wraca do swoich spraw. Zamówił kufel jasnego piwa i pije między zdaniami z zachłannością kogoś, dla kogo nie jest to już tylko zwykła przyjemność. Wyciera brodę wierzchem dłoni, krople piwa skapują mu na koszulę.

Opuszczam głowę i wychodzę, zanim coś w moim zachowaniu przypomni mu, kim jestem.

\* \* \*

Dochodzi wpół do dziewiątej i ulica jest ciemna, pusta i złowroga. W porównaniu z nią pub wygląda jak oaza ciepła i gościnności; przyćmione światło sączące się zza matowych szyb jeszcze bardziej podkreśla panujący dookoła mrok. Jest zimno. Na tyle zimno, że oddech ulatuje mi z ust białymi obłoczkami. Powietrze w pobliżu morza jest wilgotne i lepi się do skóry. Wsiadam do samochodu.

– Jest – mówię. – Przyszedł chwilę temu.

– Zastanawiałem się, czy to on – odzywa się Ilo. – Miałem do ciebie napisać.

– Jak go poznałeś?

– Nie wiem – przyznaje. – Tak... po prostu.

– Dobra, będziemy musieli poczekać. Odrobiłeś matematykę?

– W pięć minut. Zrobiłem też angielski i francuski. Nie wymagają wiele, co?

– Nie mam pojęcia. Po co uczysz się francuskiego?

Wyrzuca z siebie bezsensowny zlepek spółgłosek i uśmiecha się znacząco.

– Też powinnaś się go nauczyć. Moglibyśmy rozmawiać i nikt by nas nie rozumiał.

– Myślę, że całkiem sporo ludzi mówi po francusku, Ilo. Na przykład wszyscy w twojej klasie.

– Och. – Wygląda na rozczarowanego. – No to może arabski? Wtedy moglibyśmy nawet pisać do siebie liściki.

– Nieźle kombinujesz.

Wszystkie rzeczy, które przepadną. Języki, sztuka, muzyka, jedzenie. Kiedyś, gdy były dla mnie pojęciami abstrakcyjnymi, nie obchodziły mnie tak bardzo. Ale teraz, gdy zobaczyłam nieco więcej świata, myśl ta napełnia mnie melancholią. Musimy pójść za przykładem Luciena i Vity, maluszku, i zadbać o to, by ocalić jak najwięcej. Nie sądzę, żeby Uri się tym przejmował. Świat pod jego dowództwem byłby ponurą rzeczywistością pełną wojskowej musztry i zabijania.

Zjadłabym teraz kurczaka po jamajsku. Umieram z głodu. Mam nadzieję, że poczuję jeszcze ten smak, zanim świat się skończy.

Jakby czytając mi w myślach, Ilo oznajmia, że jest głodny. Mówię mu, że musimy poczekać. Czasami praca jest najważniejsza.

Mamy do wykonania ważne zadanie.

Wchodzą i wychodzą, wchodzą i wychodzą. Zwykle sami, czasami w parach. Old Red Lion nie jest miejscem, do którego idzie się z ludźmi, tak jak pokazują to w telewizji. Gdzie samotni ludzie idą, żeby pobyć wśród innych.

Ci sami trzej mężczyźni palą przy popielniczce. Nie jestem pewna, czy widziałam któregoś z nich w środku. Zegar na desce

rozdzielczej odmierza czas.

– Co mówiła ciocia Sarah? – pytam.

– Żebyśmy nie przejmowali się tak bardzo sprzątaniami mieszkania, i pytała, co będziemy jeść.

– I co jej powiedziałaś?

– Że pójdziemy na zakupy.

– Dobrze – chwalebę go.

– Martwi się byle czym.

– Tak, ale ma wiele zmartwień. A nie jest do tego przyzwyczajona. Nie jest nawet przyzwyczajona do mieszkania z ludźmi.

– Chyba masz rację – zgadza się Ilo.

– Musisz zdobyć jej zaufanie.

– Nie wiem, czy to możliwe. Chyba zmarnowałem swoją szansę – dodaje ze smutkiem.

– Musisz to naprawić, Ilo. Jeśli tego nie zrobisz, niczego nie osiągniesz.

Wzdycha.

– Dobrze. Jak mam to zrobić? Mam wrażenie, że ona nawet nas nie lubi. To znaczy jest miła i tak dalej, ale to wszystko jest takie... sztuczne.

– A co zrobiłeś, żeby cię polubiła?

– Co zrobiłem?

– Och, Ilo.

Ma dopiero trzynaście lat, Romy. Pamiętaj o tym. Przypomnij sobie, jaka byłaś, kiedy miałaś trzynaście lat.

Ilo podnosi wzrok.

– Ten, co wychodzi, to on?

Podążam za jego wzrokiem.

– Chryste. Tak.

\* \* \*

Idzie nieco chwiejnym krokiem i pali papierosa. W ogóle się nie rozgląda, przekonany, że nic mu nie grozi. Boże, to oczywiste, że nigdy nie był jednym z nas. Ani z wyglądu, ani z zachowania. Syn Luciena czy nie, był nieostrożny; liczył, że wszyscy będą obchodzić się z nim jak z jajkiem, i nie miał pojęcia o niebezpieczeństwach, przed którymi go chroniliśmy... trochę tak jak Eden. Dopilnuję, żebyś nigdy nie tracił czujności, maluszku. Będziesz musiał mieć się na baczności.

Uruchamiam silnik, ale nie włączam świateł. Nie ma sensu iść za nim pieszo. Jest już sto metrów dalej i musielibyśmy biec, żeby go dogonić, a nawet ktoś tak pijany i zadowolony z siebie jak Jaivyn zwróciłby uwagę na kuśtykającą za nim ciężarną. Zawracam, czekam, aż skręci za róg, i dopiero wtedy włączam światła. Jadę za nim, mijam go, ale on nie patrzy nawet w naszą stronę.

Kilka uliczek dalej zatrzymuję się. Ilo wysiada i chowa się we wnęce drzwiowej. Ponure fasady z czerwonej cegły, sadzawki posępnego, żółtawego światła oddalonych od siebie ulicznych lamp. W każdym mieście są takie miejsca. Miejsca, w których świat poszedł do przodu, zostawiając po sobie jedynie szpetotę i zgniliznę. W których może cię otaczać sześćset piętnaście tysięcy ludzi, a i tak czujesz się samotny.

Pewnego dnia tak będzie wyglądał cały świat.

Jaivyn mijają samochód i znikają za rogiem. Skręcam i widzę, że to pusta, wyludniona uliczka. Wprost idealna. Ślepy zaułek z wąską ścieżką na drugim jego końcu. Jadę tam i parkuję. Wysiadam z samochodu i słyszę jego kroki; na chwilę zwalnia, a zaraz potem znowu przyspiesza, gdy widzi, że to tylko ciężarna kobieta majstruje coś przy drzwiach samochodu. Idę ku niemu ze spuszczoną głową i naciągniętym kapturem. Ręce mam schowane w kieszeniach bluzy. W prawej dłoni ściskam nóż do filetowania, który zabrałam z szuflady w kuchni ciotki Sarah, i wodzę kciukiem po grzbiecie ostrza.

Widząc idącą ciemną ulicą samotną kobietę, mężczyźni powinni przechodzić na drugą stronę. Zwykła etykieta, nic więcej.

Czasami jednak powinni przechodzić na drugą stronę, bo nie wszystkie kobiety to potencjalne ofiary.

Tymczasem Jaivyn idzie wprost na mnie, zbyt pijany, żeby myśleć o innych. A może dominacja, którą lubił okazywać w Plas Golau – to całe przepychanie się, trzaskanie drzwiami, szarpanie za włosy – tu, na Zewnątrz, przerodziła się w autentyczną przyjemność w straszaniu kobiet.

Zatrzymuję się trzy metry od niego i zdejmuję kaptur.

On również się zatrzymuje i wbija we mnie wzrok.

– Czy ja cię znam?

Podnoszę głowę i patrzę mu prosto w oczy. Potrzebuje chwili, żeby mnie rozpoznać.

– To ty – rzuca i po chwili pyta: – Czemu nie umarłaś jak inni?  
– Nie odzywam się. – Jesteś w ciąży.

Ilo zachodzi go od tyłu. Nóż, który wykuł w kuźni, wchodzi w plecy Jaivyna jak w masło.

– Och – stęka Jaivyn.

Istnieje krótka chwila, gdy ktoś nie wie, co się dzieje, a ty kontrolujesz całą sytuację. Trwa ona nie dłużej niż pięć sekund, później następuje atak. Właśnie dlatego trenowałam. By nie dać się zaskoczyć i wykorzystać każdą sekundę. Podczas gdy Jaivyn rozdziawia usta i chwieje się na nogach, ja wbijam mu w brzuch swój nóż i szarpnięciem rozcinam go aż po pachwinę. Przypomina to patroszenie świni. Chwilę później wkładam rękę w jego pulsujące trzewia i wbijam mu nóż w serce. Może nie jest to najlepsze ostrze, ale spełnia swoje zadanie.

– Och – powtarza Jaivyn, patrząc na wylewające się z niego wnętrzności. Zaraz potem z plaśnięciem pada na ziemię. Moja ręka i nóż lepią się od krwi.

Ilo patrzy na mnie, w oczach ma mrok.

Jaivyn już jest martwy. Rana jest zbyt duża i głęboka, by można go było pozszywać. Kaskady krwi spływają do rynsztoka. Cofam się, patrzę, jak drży, i wycieram ostrze w lewy rękaw bluzy, bo prawy jest już za bardzo zakrwawiony.

Mój brat robi zdjęcia. To jego pierwsza ofiara. Zasługuje na ten zaszczyt. Poza tym umie obsługiwać aparat. Uri nie ufa mi na tyle, by na podstawie samego medalionu uwierzyć, że wykonałam zadanie. Dotykam ręką szyi Jaivyna i zaciskam palce na skórzanym rzemyku. Nawet po tylu latach, po tym, jak dawno temu machnął ręką na bycie Jedynym, nadal go nosi. Przecinam rzemyk nożem i chowam go do kieszeni. Jeden z głowy.

\* \* \*

Na przedmieściach Bristolu, przed wjazdem na autostradę do Hounslow, Ilo zauważa złote łuki i oświetloną reklamę restauracji typu fast food. Zjeżdżam więc, bo oboje jesteśmy głodni jak wilki. Miejsca takie jak to są wszędzie. Parkuję, w czystych ubraniach wchodzę do środka i kupuję cztery kanapki o nazwie Big Mac, które zjadamy na parkingu oparci o samochód i popijamy wodą z butelki. Są bez smaku, ale pożywne – stanowią dziwną mieszankę czegoś oślizgłego, suchego i chrupiącego – i pochłaniam każdą z kanapek w trzech gryzach.

– No to co mam zrobić, żeby mnie polubiła? – pyta Ilo.

Lucien wiele mnie nauczył, gdy zamknięta z nim w pokoju, słuchałam jego wywodów.

– Łatwo jest sprawić, żeby ktoś cię polubił – tłumaczę mu. – Musisz tylko zadawać pytania. Tak jak ci mówiłam. Zapytałeś ją kiedyś o jej życie?

– Aha – rzuca. – Rozumiem. Ona zawsze zadaje nam pytania. Nie wiedziałem, że o to chodzi.

– Tak. Musisz też słuchać uważnie odpowiedzi i na ich podstawie zadawać kolejne pytania, żeby pokazać, że słuchasz.

– Dobra.

– I pochwal ją – mówię. – Powiedz jej, jaka jest fajna. Jaka mądra i zabawna. Niech poczuje, że ją doceniasz.

– O jacie – bąka Ilo.

– Tak, wiem. Oni uwielbiają takie bzdury.

**PRZED KOŃCEM**  
*2014*

## 40 | Romy

Ma prawie dziewiętnaście lat, gdy Vita przychodzi do ogródka ziołowego, gdzie przekwitają naparstnice, a ona zbiera nasiona, zawiązując na kwiatostanach papierowe torebki.

– Szczęściara z ciebie – mówi Vita.

Romy mało nie ociera czoła ręką, ale w porę się opamiętuje i zdejmuje rękawicę. Wczoraj wycinała szczywól plamisty i zewnętrzna warstwa rękawicy wciąż pewnie jest nasiąknięta sokiem tej rośliny.

– Słucham? – pyta.

– Chce cię widzieć. – Vita wydaje się ponura, zupełnie jak nie ona.

– Kto? – pyta Romy, a gdy dociera do niej, o kim mowa, bąka tylko: – Mnie?

– Tak. Myślałam, że skończył z tym, ale najwyraźniej zwróciłaś jego uwagę.

– Och... – Romy robi się niedobrze. Lucien jest jej Ojcem. W życiu nie pomyślała o czymś takim.

– To wielki zaszczyt – ciągnie Vita, ale jej mina wyraźnie przeczy tym słowom.

– Tak – mówi Romy. – Oczywiście. Jestem zaszczycona. Po prostu... nie spodziewałam się...

– Wiem – przerywa jej Vita. – A jednak. Wygląda na to, że dopisało ci szczęście. Tylko nikomu o tym nie mów.

– Dobrze.

– I nie myśl sobie, że dzięki temu jesteś kimś wyjątkowym. – W słowach Vity pobrzmiewa złośliwość.

Romy się rumieni.

– Nie – bąka. – Oczywiście, że nie.



- Twoja matka tak myślała i zobacz, jak skończyła.
- Rozumiem.
- Jesteś naczyniem – przypomina jej Vita. – Niczym więcej.
- Tak – zgadza się Romy.
- Dobrze. A więc jutro po lunchu.

Dziewczyna kiwa głową. Zaszło jej w ustach. Tylko nie ja, myśli. Nie zasługuję na to. Nie chcę tego. Lecz jak może odmówić?

Mimo to czuje dziwną ekscytację. Może zdołam uratować naszą rodzinę. Może, jeśli będzie zadowolony, matka wróci do łask. Może to ja urodzę Jedynego. Może po to tu jestem. Może zawsze po to tu byłam.

– Będę czekała przy drzwiach, kiedy Kucharze skończą sprzątać ze stołów – informuje ją Vita. – Umyj się i przynieś sukienkę, którą miałaś na sobie podczas przesilenia.

- Tak – odpowiada Romy i podejmuje przerwana pracę.

## 41 | Romy

Życie Romy jest mniej kontrolowane niż życie przeciętnego Trutnia. Mimo to przez następne dwadzieścia cztery godziny czuje się tak, jakby miała światło odbłaskowe przyczepione do pleców, przez co wszyscy się na nią gapią. Lecz dzień mija i nikt na nią nie patrzy, nikt nic nie mówi, a ona zachowuje pozory, więc żaden z mieszkańców nie zauważa, że coś się zmieniło. Tymczasem Romy czuje strach i zniecierpliwienie, bo wie, że bez względu na to, co mówi Vita, kiedy spłynie na ciebie łaska Luciena, twoje życie odmieni się na zawsze.

Idzie do Łaźni późnym rankiem, kiedy nie ma w niej prawie nikogo. Dwukrotnie myje się lawendowym mydłem ze swojej skrzynki, kilka razy obmywa wodą łysą głowę, obcina paznokcie u rąk i stóp i idzie poszukać sukienki, którą miała na sobie w dniu przesilenia. Leży wyprasowana przez Praczkę pod zapasowym mundurkiem. Nietrudno schować ją do plecaka pełnego narzędzi i zabrać ze sobą.

\* \* \*

W Wielkim Domu Vita czeka na nią na pierwszym piętrze na szczycie krętych schodów i bez słowa prowadzi żwawym krokiem obok Infirmarii i Zielarni, do drzwi, za którymi znajdują się prywatne kwatery. Osoby, które przekroczyły ich próg, można policzyć na palcach rąk i nóg, i żadna z nich nie mówiła nigdy o tym, co tam widziała.

Teraz jestem jedną z nich, myśli Romy. Ja, która zawsze byłam traktowana jak obca.

Vita wyciąga z kieszeni klucz. Odwraca się i mierzy Romy wzrokiem od stóp do głów. Następnie prawie niezauważalnie kręci głową, jakby zdumiewało ją to, co widzi, i otwiera drzwi.

Wchodzą na schody. Miękki wełniany dywan w kolorze mchu i białe ściany. Dywan jest tak gruby, że tłumi kroki. Vita

zatrzymuje się przed pierwszymi drzwiami w korytarzu na górze i otwiera je pchnięciem.

– Przebierz się – mówi. – Zaczekam na zewnątrz. Jest tam łazienka. Pewnie będziesz chciała się umyć.

Romy wchodzi do środka. To sypialnia, taka jak te, o których czytała w książkach. Wysoki sufit, duże okna, łóżko z baldachimem, szezlong, przechylne wysokie lustro w jednym kącie, bieliźniarka i toaletka. Jest zdziwiona, że zna wszystkie te słowa, chociaż nigdy wcześniej nie widziała takich mebli na oczy. Wszystko dzięki książkom, które przeczytała, mając czternaście lat, podczas dodatkowego roku w Chlewiku. Pokój lśni czystością. W smudze światła, które prześwieca przez szparę w zasłonach, nie widać ani jednej drobinki kurzu, na łóżku czeka starannie złożona pościel.

Romy kładzie plecak na szezlongu.

Kto tutaj sprząta? – zastanawia się. Nie chodzi o to, kto tu mieszka. Ktoś przychodzi tu i sprząta to miejsce. Pewnie któraś z Praczek zobowiązana do dochowania tajemnicy.

Romy otwiera drzwi po prawej stronie i wydaje stłumiony okrzyk. Łazienka. Cała łazienka dla jednego pokoju. Umywalka, która stoi na szafce, i coś, co – jak się domyśla – jest toaletą ze spłuczką. Niemożliwe, żeby działały. Nie na tej wysokości. Niby jak miałyby docierać tutaj woda?

Odkręca kurek i z kranu tryska ciepła woda. Oczywiście na dole mają krany, ale woda ledwie z nich ciurka, bo przecież muszą ją oszczędzać. Kładzie dłoń na uchwycie wystającym z porcelanowej spłuczki nad muszlą klozetową, naciska ją i śmieje się zaskoczona, gdy do muszli z szumem spływa woda. Słyszała o takich rzeczach, ale nigdy ich nie widziała. To jak czary.

Myje pobieżnie twarz i wacha się pod pachami; mimo zdenerwowania nadal czuje delikatną woń lawendy. Na umywalce leży cała kostka takiego samego mydła, zawinięta w papier pergaminowy. Romy notuje w pamięci, żeby przynieść swoją i podmienić ją na tę, gdy jeszcze kiedyś tu wróci. I wziąć długą kąpiel. Jeśli jeszcze kiedyś tu wróci.

Oczywiście, że wrócę, myśli. Nie uzna, że się nie nadaję.

Przebiera się w sukienkę i patrzy na siebie w lustrze. Jest wysoka i szczupła, silna i opalona, ma duże, zielone oczy i wygląda na trochę przestraszona. Sprawiam wrażenie bezbronnej, myśli. To mu się spodoba. Mogłabym zabić owcę gołymi rękami – zabiłam owcę gołymi rękami – ale wiem, że dziś będzie chciał zobaczyć niewinną dziewczynę. Dam mu to wszystko. Dam mu wszystko, czego zapagnie, bo od tego zależy mój świat.

Wychodzi.

\* \* \*

– Zasady – mówi Vita.

– Tak.

– Nigdy z nikim o tym nie rozmawiasz.

– Tak.

– Robisz, co ci każe, i niczego nie kwestionujesz.

– Oczywiście – odpowiada Romy. – Zawsze tak było.

– Wychodzisz, kiedy powie ci, że masz wyjść.

– Dobrze.

– I musisz go zadowolić, inaczej więcej cię tu nie zaprosi.

– Chcę go zadowolić – odpowiada Romy. – Niczego bardziej nie pragnę. Ale boję się, że nie będę wiedziała jak.

Twarz Vity nagle łagodnieje.

– Nie bój się, Romy – uspokaja dziewczynę. – Za pierwszym razem każda się boi. Po prostu bądź wdzięczna, że to Lucien. Przyzwyczaisz się. Pamiętaj tylko, że on chce jak najlepiej dla nas wszystkich.

– Wiem – przytakuje Romy. – Wiem.

– Dobrze – mówi Vita i puka do drzwi pokoju Luciena.

\* \* \*

W powietrzu unosi się dziwny zapach. Oleisty, chemiczny, a zarazem nie. Jakby coś palił. Lucien stoi w drzwiach i oparty

o futrynę, zasłania jej widok na resztę pokoju. Ma bawełniane spodnie z gumką i obszerną koszulę z jakiegoś leciutkiego, miękkiego materiału, którego nigdy dotąd nie widziała na oczy. Jedwab? Bawełna? Nie jest pewna. Górne guziki są rozpięte i Romy widzi zawieszony na rzemyku medalion – taki sam jak te, które noszą dzieci Luciena – i kręcone, białe włosy.

– Romy – mówi. – Wejdz, moja droga.

Przechodząc przez próg, dziewczyna ogląda się przez ramię i widzi Vitę stojącą w drzwiach do swojego pokoju. Ma dziwną minę. Zrozpaczoną. Zagubioną. Ona go kocha, myśli Romy. Nie, upomina się w duchu: kochała go kiedyś, a teraz nie wie, co z tym zrobić. Romy wchodzi do pokoju i gdy on zamyka za nią drzwi, staje się następną w kolejce.

Jest w dużym pomieszczeniu, w salonie. Drzwi po prawej i po lewej, na ścianach boazeria z jasnego drewna, a na środku dwie ogromne kanapy obite ciemnozielonym aksamitem. Lucien podchodzi do jednej z nich, kładzie się, przeciąga i wsparty na łokciu, przygląda się dziewczynie.

– Bardzo chciałem cię poznać – mówi.

– Dziękuję – odpowiada Romy.

Czuje dumę i niepewność. Muzyka – narastające dźwięki, których nie rozpoznaje – dobiega ze skrzynek ustawionych po obu stronach kominka, w którym pali się ogień. Za jedną z kanap stoi stolik, a na nim srebrna taca z tuzinem – nie, dwoma tuzinami – butelek. Na ścianie wisi wielki ekran i Romy uświadamia sobie, że to telewizor. Oczywiście. Skądś musi nagrywać informacje o tym, co się dzieje na świecie. Ogląda je tutaj i puszcza wybrane skróty na projektorze w stołówce. Romy robi kilka kroków.

– Nie wstydz się – mówi Lucien.

Ośmielona, podchodzi do okna i wygląda na zewnątrz. On musi patrzeć na nich z góry. Jest niczym Bóg, który przygląda się pracy mrówek. Widok ciągnie się aż za las. Jest niesamowity. Nigdy nie widziała czegoś równie pięknego. Szachownica zieleni, która biegnie aż do widocznych w oddali niebieskich wzgórz,

małe białe domki przycupnięte pod kępami drzew i dwa odcienie srebra w miejscu, gdzie rzeka wpada do morza.

Odwraca się do niego.

– To jest piękne – mówi.

Lucien podrywa się z kanapy.

– Chodź – rzuca. – Chodź, usiądź ze mną. Ale najpierw napijmy się. Na co masz ochotę?

– Ja nie... – Romy patrzy na Luciena stojącego przy stoliku z butelkami. Ściągną na jego szyi napinają się, kiedy posyła jej szeroki, wilczy uśmiech. Odurzony, myśli Romy. Jest odurzony. To stąd ten zapach? – Nie znam się na...

– No tak, oczywiście. – Lucien podnosi kolejne butelki i przygląda się etykietkom. – Likier wiśniowy. To powinno ci posmakować.

Wlewa do kieliszka sporą ilość czegoś ciemnoczerwonego i lepkiego. Podchodzi do wielkiej, zielonej kanapy. Na podłodze przed kominkiem leży owcza skóra. Jedwabście miękka i wyczesana. Romy nigdy nie widziała takiej wełny.

– Merynos? – pyta i wskazuje ją palcem.

– Leicester – odpowiada. – Ma więcej lat niż ty. Chodź. Usiądź.

Romy robi, co jej każe. Przysiada na skraju kanapy, jak debiutantka na balu. Lucien podaje jej kieliszek, a sam sięga po szklaneczkę z jakimś złocistym napojem i upija łyk. Jego źrenice przypominają łebki od szpilek wbitych w wyblakłe niebieskie tęczęwki. Na niskim stoliku stoi naczynie, a w nim długa rolka białego papieru, coś jak papieros, tyle że dłuższy i grubszy, i wypalony do połowy. To stąd ten zapach, myśli Romy. On wdycha dym. Dziewczyna wypija łyk czerwonego napoju. Jest mocny, ostry i obrzydliwie słodki. Czymś takim szybko się upiję, myśli, a zaraz potem uznaje, że może nie byłoby to takie złe. Upija kolejny łyk, tym razem nieco większy. Lucien patrzy na nią spod przymrużonych powiek, na jego twarzy maluje się samozadowolenie.

– Nie jestem już twoim Ojcem, Romy – mówi. – Tutaj, z dala od innych, nie jestem już twoim Ojcem.

**WŚRÓD MARTWYCH**  
*Listopad 2016*

## 42 | Romy

Mieszkanie cuchnie tak, jak Plas Golau tamtego dnia. Woń jest tak silna, że czujemy ją, gdy tylko przechodzimy przez próg.

– O fuj! – rzuca Ilo.

– Zwykle tak tu nie śmierdzi – mówię, jakby nagle obudziła się we mnie gospodyni domowa.

To krew tamtego mężczyzny. Przebierając się w pośpiechu, upchnęłam zakrwawione ubrania do papierowej torby i schowałam ją pod umywalkę, gdzie zapleśniały. Choć okna są zamknięte, do mieszkania dostała się mucha i złożyła jaja. Do głowy by mi nie przyszło, że poliester może być odżywczy, a jednak czerwie są tłuste i ruchliwe.

Ilo gapi się na torbę.

– Co jest w środku? – pyta.

– Zakrwawiłam ubrania i musiałam przebrać się w pośpiechu.

Spogląda na mnie i opuszcza głowę, jakby patrzył znad okularów do czytania.

– Widziałem, jak...

– Żałuj, że nie widziałeś tamtego – przerywam mu. – Choć nie chciałbyś wiedzieć...

Nic nie mówi, tylko podnosi torbę i poruszając bezgłośnie ustami, zawiązuje ją. Mój brat nigdy nie był przesadnie wrażliwy. Nawet nie mrugnął, gdy Jaivyn wykrwawiał się na jego oczach. Może nie brzydzi się krwi, tylko zgnilizny. A może to, co wydarzyło się w Plas Golau, zmieniło go. Mam nadzieję, że nie. Potrzebuję go takiego, jakim był kiedyś.

– Będziemy potrzebować drugiej torby – mówi. – Żeby włożyć w nią tę.

– Tak. – Idę do kuchni zajrzeć do szafek.



– Chociaż może powinniśmy je podzielić – zastanawia się na głos Ilo. – I powyrzucać w różnych miejscach.

– Oglądałeś filmy? – pytam.

– Tak. Lubię telewizję.

– Ja też.

– Widziałaś *Sędzię Judy*?

– Pewnie.

– To ona powinna być Jedynym. Nie toleruje zuchwalstwa.

– Chyba jest trochę za stara – zauważam.

– Ale twarda – orzeka Ilo. – Jak suszona wołowina.

\* \* \*

Kiedy w mieszkaniu była Sarah, mogłam jedynie opłukać swój nóż pod prysznicem i wytrzeć go papierem toaletowym. Teraz, kiedy zaglądam do szafki pod umywalką, chce mi się płakać. Jego piękne ostrze pozbawione jest błysku, a przy zawiasie widać brązowe plamy rdzy.

– Przepraszam – przemawiam do niego. – Tak mi przykro. – Zabieram go do pokoju, żeby go ocalić.

Ilo patrzy na nóż przerażonym wzrokiem.

– Coś ty zrobiła? – pyta.

– Ciocia Sarah była tutaj, w pokoju. Zaskoczyła mnie. Zrobiłam, co mogłam w obecności osoby, którą pierwszy raz widziałam na oczy.

Wyjmuje nóż z mojej dłoni i głaszcze go jak zbłąkanego kociaka. Na jego twarzy maluje się tęsknota. Zawsze podobał mu się mój nóż.

– Chcesz go wyczyścić? – pytam.

– Tak – odpowiada ochoczo i rozpromienia się.

Kiedy przeglądam swoją żałośnie skromną kolekcję ubrań i zaczynam pakować je do skrzynki, w kieszeni wibruje mi telefon. Wyciągam go, patrzę na ekran – teraz dwie osoby znają

mój numer – i widzę, że dzwonił do mnie Uri. Raz, kiedy wracaliśmy do domu, i drugi raz chwilę temu. Oddzwaniem.

– Czemu nie odbierasz, Sto Czterdzieści Trzy? – pyta bez zbędnych wstępów. – Powinnaś mieć telefon zawsze przy sobie.

– Byłam w ubikacji – mówię i dziękuję w duchu Ilo za pomysł. Uri nie lubi słuchać o takich rzeczach; obrzydzają go. Dlatego przydział do Latryniarzy był jego zdaniem najgorszą karą oprócz tortur i śmierci.

– Aha – mruczy. – Znowu! Jakie wieści?

– Zrobione – odpowiadam.

– Wciąż miał swój medalion?

– Tak. Chłopiec zrobił zdjęcia.

– Dobrze. – To tyle, jeśli chodzi o nekrolog. – Mówiłaś, że masz swoją skrzynkę...

– Tak.

– Dobrze – powtarza. – Świątowaś przesilenie razem z Eilidh, tak?

– Tak.

– Nadal masz tamto zdjęcie?

– Tak. – Stoi w pokoju na kominku.

– Wyślij mi kopię.

– Na jaki adres?

Uri parska śmiechem.

– Ha, ha... bardzo sprytne. Przez telefon, kretyńko.

– Przez telefon?

Wzdycha.

– Zrób zdjęcie telefonem i wyślij mi je esemesem.

– Po co?

– Mam ochotę popatrzeć na nie i wspominać. Albo nie, mam pomysł.

– Jaki?

– Zamknij się, Sto Czterdzieści Trzy. Po prostu zrób to.

– Dobrze – mówię i Uri się rozłącza.

\* \* \*

Ilo siedzi na kanapie, czyści mój nóż i ogląda film o samochodach, które zmieniają się w roboty, tak nudny, że tylko trzynastolatek mógłby się nim zachwycać. Kiedy wchodzę z kocem przewieszonym przez ramię, podnosi głowę.

– Połóż się, jak skończysz – mówię i podaję mu koc. – Musisz być zmęczony.

– Nie bardzo – odpowiada.

– Jutro rano musimy tu posprzątać, więc lepiej się prześpij. Kanapa będzie w porządku?

– Jasne – rzuca i wbija wzrok w telewizor.

Zdejmuję z kominka zdjęcia i małego drewnianego konika, którego podarował mi Kiran, i ściągam wianek z haczyka na obraz. Teraz mogę je odłożyć.

Siadam na łóżku z telefonem i patrzę na zdjęcie. Wyglądamy na nim jeszcze młodziej niż miesiąc temu. Martwy Kiran, skazana na zgubę Eilidh i ja. Od teraz nie będzie już tak łatwo. Muszę być miła dla Eden.

\* \* \*

Siadam gwałtownie na łóżku, słysząc, że drzwi do sypialni otwierają się.

– Romy?

Prawie zasnęłam. Podnoszę kołdrę, żeby wpuścić Ilo do łóżka. Tu jesteś, mój mały braciszku. Tęskniłam za tobą.

– Romy?

– Tak?

– Twoje dziecko. Jest jego, prawda?

Przez chwilę zastanawiam się, czy nie skłamać. Tylko po co? Z czasem i tak się dowie.

– Tak.

Ilo milczy.

– Skąd wiedziałeś? – pytam.

– Ja... teraz zrozumiałem. Przed chwilą. Wcześniej myślałem, że może to dziecko Kirana. Wiem, że go lubiłaś. Ale później zrozumiałem.

– Hm... tak.

Cisza. Długa cisza, w której słyszę, jak mój brat mruga. Myśli. Zastanawia się, co to znaczy. Dla nas wszystkich. Nie jest głupi.

– Romy?

– Tak?

– Czy ona musi umrzeć?

– Tak – odpowiadam ze ściśniętym gardłem. – Wiesz, że to nie ona, Ilo. Wiesz, że nigdy nie będzie Jedynym.

– Ale dlaczego musi umrzeć?

Nie mam pojęcia, co odpowiedzieć. Nigdy tego nie kwestionowałam. Nawet wtedy, gdy patrzyłam, jak umierają jedno po drugim. Aż do teraz. To było oczywiste, tak jak Lucien czy nadciągająca Apokalipsa. Bo tylko najsilniejszy może być tym Jedynym? Bo samo przetrwanie jest świadectwem siły? Bo tylko Jedyny może nas uratować. Bo muszę zabrać nas do Cairngorm, maluszku, a on wpuści nas tam pod jednym tylko warunkiem. Bo trzeba się poświęcić. Bo nadciąga Wielka Katastrofa, a my jesteśmy na odkrytym terenie, pozbawieni ochrony. Bo tak mówi Uri.

– Żeby przetrwać, musimy się poświęcić – tłumaczę. – Wiesz o tym. Jeśli śmierć nielicznych zdecyduje o tym, że wielu ocaleje...

– Kocham ją – mówi.

– Ja też – przyznaję, choć może do teraz nie miałam o tym pojęcia.

Ilo znowu milczy. Leżę w ciemności i słucham, jak oddycha. To nie w porządku, maluszku. Wiem, że w końcu świata nie ma żadnej sprawiedliwości, ale Eilidh, Eden...

– Romy?

- Tak?
- Obiecuj mi jedno.
- Mów.
- Zrób to szybko – prosi. – Tak, żeby nie wiedziała.

## 43 | Sarah

W drodze z pracy do domu zatrzymuje się na stacji benzynowej i widzi, że sprzedają tam choinki. Grudzień zaczyna się jutro, a na High Street już od dwóch tygodni wiszą świąteczne dekoracje. Kupuje drzewko, pięć kompletów światełek choinkowych LED z zapasowymi bateriami i duże pudełko ozdób choinkowych. Jest pewna, że w domu nie ma żadnych świątecznych świecidełek. Boże Narodzenie we Wspólnocie było długim, nudnym dniem wypełnionym kazaniami i zwieńczonym zimną kolacją z pozbawionymi smaku i koloru daniami.

Oczywiście, że nie obchodziliśmy świąt, myśli. Po co mielibyśmy robić cokolwiek, co sugerowałyby, że życie może być fajne. W tym roku, choćby nie wiem co, dopilnuję, żeby ci młodzi ludzie mieli Boże Narodzenie z prawdziwego zdarzenia. W Plas Golau pewnie też nie świętowali. Przynajmniej mamy ze sobą coś wspólnego.

\* \* \*

Już od progu czuje smakowity zapach. W domu palą się wszystkie światła. W przedpokoju przy hebanowym stojaku na parasole leży niewielki bagaż: poobijana walizka, płócienny worek i skrzynka z polerowanego drewna, równie piękna jak te, które przywieźli ze sobą Eden i Ilo. Przewiezienie tego wszystkiego środkami transportu publicznego byłoby koszmarem, nawet gdyby Romy nie była w ciąży. Dobrze, że Sarah posłała z nią Ilo, żeby jej pomógł.

– Wróciłam! – woła.

Są w kuchni. W piekarniku piecze się coś pysznego, radio gra na cały regulator. Z głośników płynie głos Glorii Gaynor, a oni śpiewają, tańczą i uśmiechają się. Eden wymachuje drewnianą łyżką jak batutą. Mają piękne głosy, które idealnie ze sobą współbrzmia. Kto by przypuszczał? Sarah staje w drzwiach i patrząc na nich, rozciąga usta w uśmiechu.

*Twoje kości zmieniają się w kamień, śpiewają razem. I skruszeją.*

*Twoje ciało stopnieje i stracisz apetyt.*

*Będziesz wzdychać na myśl o własnej ponurej przyszłości.*

*Opadniesz z sił.*

*Twój ostatni oddech zmieni się we wrzask.*

*A kosmiczny rozbłysk*

*Wypali skórę i brwi na twojej twarzy...*

Ilo dostrzega ją i szturcha siostry. Milkną, ale widząc ją, uśmiechają się jeszcze szerzej. Eden ścisza radio.

– Cześć, ciociu.

– Cześć – odpowiada Sarah i kładzie torbę na stole. – Miło widzieć was w dobrych humorach.

– Uwielbiamy tę piosenkę – mówi Eden. – Śpiewaliśmy ją w domu. Nie wiedziałam, że tu, na Zewnątrz, też ją macie.

– Na to wygląda – rzuca Sarah. Nie mówi jednak, że oryginalny tekst piosenki jest odrobinę mniej drastyczny. Uczę się, myśli. Coraz łatwiej akceptuję to, kim są. – Słuchajcie, pomóżcie mi. W samochodzie są rzeczy, które trzeba przynieść.

Lubię je, myśli. Naprawdę je lubię. Zdziwiająca, jak pozytywnie wpłynęła na Eden i Ilo obecność Romy. Kiedy ją poznałam, nie sądziłam, że mi pomoże, ale oceniałam osobę, która najwyraźniej nie czuła się dobrze. A teraz? Ilo jest nie do poznania i nawet Eden śmieje się i spędza z nami więcej czasu.

\* \* \*

Ustawili choinkę przy kominku w salonie i rozłożyli ozdoby na stole; Sarah otworzyła butelkę rieslinga i wręczyła każdemu po kieliszku.

Hester Lacey patrzy na nich surowym wzrokiem.

– Chyba jej się to nie podoba – mówi Ilo i wskazuje ją głową.

Sarah rozgląda się. Ci skrzywieni martwi ludzie... Całe moje życie, myśli. Nagle wstaje.

– Wiecie co? Skoro jej się nie podoba, może pójść do gabinetu.  
– Kiedy zdejmuję portret Hester, na podłogę spadają kłęбки kurzu. – Cholera – mruczy. – Uważajcie, kiedy będziecie zdejmować resztę. – Ostentacyjnie wynosi obraz do gabinetu i opiera go o wykładaną boazerią ścianę. Idąc po odkurzacz, mija całą trójkę. Są jak pracownicy firmy przeprowadzkowej: każde niesie jeden portret.

– Co to za ludzie? – pyta Romy.

– Wasi święci przodkowie – odpowiada Sarah. – Nie poważali Bożego Narodzenia.

\* \* \*

– Jak było w Hounslow? – pyta, kiedy wieszają ozdoby na choince. Drzewko jest niskie, ale ładne, z mnóstwem igieł. – Wypaliście się?

Zerkają na siebie, tak jak kiedyś Ilo i Eden. Może to przyzwyczajenie z Plas Golau: może tam każdy patrzył na każdego, zanim się odezwał. Nic dziwnego, skoro się żyje w tak hermetycznym świecie pełnym zasad i zakazów. Musi przestać zachowywać się jak paranoiczka.

– Tak, było fajnie – mówi Romy.

– Co w końcu jedliście?

– Big maki – odpowiada Ilo. – A cioci jak minął dzień?

Kolejna niespodzianka. Mój Boże, ta dziewczyna działa cuda. Jest tu od zaledwie kilku dni, a jej brat już zaczął dostrzegać wokół siebie innych ludzi.

– Nieźle – odpowiada. – Zwyczajnie. Mnóstwo formularzy do wypełniania i dokumentów do segregowania.

– Aha. Wiem, że powinienem to wiedzieć, ale czym się zajmujesz?

– Jestem administratorką szkoły... to znaczy jedną z administratorok. Pani Field jest drugą. Poznałeś ją?

– Tak. To ta pani z chorym okiem?

– Nie mówimy „chory”, Ilo – tłumaczy mu Sarah. Chryste, brzmi jak Helen. – Przepraszam. Po prostu niegrzecznie jest



opisywać ludzi, wytykając im ich ułomności.

– Aha – powtarza Ilo. – Rozumiem. Tylko że wtedy opisywanie ludzi trwa znacznie dłużej.

– Tak nakazuje dobre wychowanie.

– Okej. Czy w takim razie mogę powiedzieć o Romy „pani w ciąży”? Czy to dotyczy też stanów przejściowych, czy tylko takich, których nie da się zmienić?

– Skoro już o tym mowa, Romy... Nigdy nie mówiłaś nam, kto jest ojcem – odzywa się Eden.

– To bez znaczenia – rzuca Romy, nawet na nią nie patrząc. – I tak nie żyje.

W pokoju robi się jakby ciszej i chłodniej. Romy uśmiecha się do rodzeństwa.

– Zapiekanka pasterska powinna być już gotowa – oznajmia.

W jadalni również zdejmują ze ścian obrazy przodków i pomieszczenie natychmiast wydaje się jaśniejsze, jakby wymienili żarówki na mocniejsze. Zapiekanka smakuje wybornie. Jest pikantna i aromatyczna, z wyczuwalną nutą gałki muszkatołowej.

– Jakie jest twoje ulubione jedzenie, ciociu? – zwraca się do Sarah Ilo.

– Ojej, sama nie wiem. Kuchnia francuska. Albo nie, chińska. Najbardziej lubię kuchnię chińską.

– Jak smakuje chińskie jedzenie? – dopytuje się chłopiec.

– Jest dobre. Ma mnóstwo smaków. I konsystencji. Przed świętami zabiorę was do Man Ho na High Street. Spodoba się wam.

– Chciałbym spróbować – mówi Ilo. – Chciałbym spróbować wielu rzeczy, zanim... – Zawiesza głos. – Byłaś w Chinach?

– Nie, ale kiedyś chciałabym tam pojechać.

– Naprawdę?

– Chciałabym zwiedzić cały świat, Ilo. – Sarah może mówić szczerze. Po co udawać, że marzyła o tym, żeby całe życie spędzić

w Finbrough?

– Naprawdę?

– Tak. A ty byś nie chciał?

– Nie wiem – odpowiada chłopiec. – To daleko od domu i jest tam tylu ludzi.

– Ponad miliard – precyzuje Sarah, na co Ilo robi się błądy jak ściana. Eden wygląda na znudzoną. Nie zamierzam się tym przejmować, myśli Sarah. Miło jest odbyć normalną rozmowę. Jej siostrzenica kiedyś to zrozumie. – To trochę nudne mieszkać całe życie w jednym miejscu – zauważa.

– Chyba tak. A gdzie ty byłaś? – dopytuje się Ilo. – Jak tam było? I jakie jest twoje ulubione miejsce?

Skąd ta nagła ciekawość? – zastanawia się Sarah. Ale to miłe, że tak go interesuje jej życie. Jest uroczy, kiedy pozna się go bliżej.

– Byłam w niewielu miejscach. – Liam miał bzika na punkcie wakacji all inclusive. Uważał, że urlop jest po to, żeby odpoczywać, i najchętniej nie wychodziłby z basenu, więc nie było sensu latać na drugi koniec świata, skoro i tak wszystko wyglądałoby tak samo. – Na Majorce, na Cyprze, na Malcie, Teneryfie.

– Gdzie jest Teneryfa?

– To wulkaniczna wyspa u wybrzeży Maroka – tłumaczy Sarah zawstydzona, że chce, by zabrzmiało to bardziej wytwornie i egzotycznie, niż jest w rzeczywistości. – Byłam też w kilku miastach Europy. W Paryżu. Florencji. Madrycie. I w Algarve. Byłam też w Algarve. To region w Portugalii. – Tej wiosny planowała odbyć swoją pierwszą pozaeuropejską podróż, do Tajlandii.

Dopiero gdy Romy dotyka jej ręki i ściąga brwi, Sarah uświadamia sobie, że westchnęła głęboko.

– Przepraszam – bąka. – To głupie.

– Nie, to ja przepraszam – odzywa się Romy. – Nie chcieliśmy wtargnąć do twojego życia.

Czuje się pocieszona, a zarazem odczuwa wyrzuty sumienia. Ileż emocji wyzwalają w niej te dzieci.

– Nie, Romy, to nie tak – mówi. – W życiu nie o to chodzi. Już samo to, że postępuję właściwie, jest nagrodą. Nawet jeśli oznacza to, że na jakiś czas będę musiała przełożyć plany.

– To samo mówił Ojciec – oznajmia Ilo.

– Miał rację. – Sarah cieszy świadomość, że ona i Lucien w czymś jednak się zgadzali.

– To gdzie byś się wybrała, gdybyś mogła jechać gdziekolwiek?  
– pyta chłopiec.

Sarah się zastanawia. Tyle miejsc. Tyle oceanów.

– Do Australii – mówi. – I Nowej Zelandii. Na drugi koniec świata. Najdalej od Finbrough, jak tylko się da. A ty?

– Na Tahiti – odpowiada stanowczo Ilo, jakby poświęcił tym rozważaniom długie godziny. – Do Palau. I do Ziemi Ognistej. Wszystkie te miejsca są daleko od innych.

\* \* \*

Kiedy kończą ubierać choinkę, zaczyna wibrować telefon Romy. Dziewczyna wyciąga go z kieszeni i patrzy na ekran.

– Przepraszam, muszę odebrać – rzuca i wychodzi drzwiami frontowymi na podjazd.

W salonie Eden wybiera dwie śliczne złote ozdoby i podnosi je do uszu, jak kolczyki. Sarah i Ilo śmieją się.

– Bardzo eleganckie – stwierdza Sarah.

– Lubię kolczyki – mówi Eden.

– Tak? Chciałabyś dostać kolczyki na gwiazdkę?

– Naprawdę? – piszczy uradowana dziewczyna.

– Oczywiście. Jeśli chcesz, jako część prezentu możemy ci przekłuć uszy.

– Część prezentu?

– Tak! – Widząc, jacy są ożywieni, Sarah nagle zaczyna snuć plany. Pokażę im, myśli. I sobie. Jeszcze będziemy normalną

rodziną. – Może jest już trochę późno, ale moglibyśmy zrobić takie, które pasowałyby do twojego medalionu.

Eden patrzy na nią w osłupieniu.

– Mogłabyś?

– Nie widzę przeszkód. I Romy też, jeśli będzie chciała. Ilo, myślisz, że Romy chciałaby zostać na święta?

Sarah odwraca się w jego stronę i zdumiewa ją jego mina. Patrzy na siostrę z taką... melancholią. Nagle mruga i spogląda na Sarah.

– Przepraszam... co?

– Myślisz, że Romy chciałaby zostać na święta?

– Nie wiem – odpowiada Ilo. – Może.

Słysząc szcęk zamykanych drzwi i Romy wraca do pokoju. Jest odrobinę blada i poważna.

– Coś się stało? – pyta Sarah.

Romy kręci głową.

– Nic ważnego. Muszę zapłacić czynsz czy coś tam. Myślałam, że zapłaciłam, ale właściciel mieszkania się skarży i kobieta z pomocy społecznej mówi, że musi spotkać się ze mną w mieszkaniu.

– I zadzwonili z tym o tej porze?

– To dziwne?

– Tak. Muszą być niezłe wkurzeni.

– No tak.

– Przykro mi – rzuca Sarah. – Co za pech. Dopiero wróciłaś. Podrzuciłabym cię jutro, ale...

– Nie, w porządku. Poradzę sobie. To proste. Pojadę po śniadaniu.

Ilo przygląda się siostrze.

– Chcesz, żebym jechał z tobą?

Romy posyła mu uśmiech i nagle do jej oczu napływają łzy.

– Nie, braciszku – mówi. – Muszę załatwić to sama.

**PRZED KOŃCEM**  
*2015–2016*

## 44 | Somer | 2015

Teraz, kiedy Ursola przerwała milczenie, Somer dostrzega to na każdym kroku i zastanawia się, jak to możliwe, że tak długo była ślepa. Ale nie ona jedna zadaje sobie to pytanie. Zmiany dokonują się tak powoli, że nie dostrzegasz ich, dopóki się nie zatrzymasz, żeby popatrzeć. Jesteś jak homar, który powoli gotuje się w garnku. Odkąd Jaivyn Blake opuścił Plas Golau, do wspólnoty nie przybył nikt nowy – nikt, dzięki komu mogliby dostrzec, jak bardzo ograniczony jest ich świat.

Strażnicy są wszędzie. Pamięta jak przez mgłę, jak wyglądało Plas Golau, zanim się pojawili. Wtedy byliśmy równi, myśli. Świat zmierzał ku zagładzie, my jednak mieliśmy stworzyć zupełnie nowy, lepszy. Były zasady, oczywiście, całe mnóstwo zasad, lecz były one zrozumiałe. Chodziło o dyscyplinę, owszem, ale dyscyplinę opartą na zaufaniu. Na wzajemnym zaufaniu. Lucien ufał nam, a my jemu. A dyscyplina służyła przetrwaniu, nie... podporządkowaniu.

Teraz Somer zauważa to wszędzie – cichą wojnę między Vitą i Urim – i prawie w ogóle nie widuje Luciena.

W urodziny Eden na podjeździe pojawiają się trzy wielkie ciężarówki. Ich naczepy łamią gałęzie i odłupują fragment muru bezzaprawowego, kiedy pojazdy wjeżdżają w głąb sadu. Uri zwołuje Farmerów z pól, każe im przyjść do magazynów i zapakować do ciężarówek zapasy. Somer stoi i patrzy, jak worki ze zbożem, ciecierzycą i mąką ziemniaczaną, a także palety butelkowanych, puszkowanych, konserwowanych i suszonych przetworów – ich zabezpieczenie na wypadek końca świata – znikają z pól i trafiają do naczep pod czujnym okiem Strażników, którzy krzykiem poganiają ludzi.

Kucharze wychodzą z kuchni, Kowale i Technicy z warsztatów, podobnie jak Stolarze, Praczkę, Latryniarze i Nauczyciele. Zbijają się w grupy i patrzą przerażeni. To za dużo, szepczą. Nie możemy tyle oddawać. Właściwie nie zostanie dla

nas nic na zimę. Co zrobimy, jeśli Wielka Katastrofa wydarzy się, zanim zdołamy uzupełnić zapasy?

Ale nikt nie mówi niczego na głos. Strażnicy mają pałki i każdy wie, jak chętnie ich używają.

Nagle pojawia się Vita. Biegnie przez bramę dziedzińca.

– Co robicie?! – krzyczy.

– W Cairngorm potrzebują zapasów – odpowiada Uri.

– Kto tak zdecydował?

– Ja.

– Ale nie ja.

– No cóż – rzuca Uri. – Jeśli chcesz spytać Ojca...

– Żebyś wiedział – warczy Vita. – Nie możesz tak po prostu...

– Ależ mogę i dobrze o tym wiesz. Jest nas teraz więcej i musimy wykarmić tamtejszych ludzi.

– Zaczekaj – mówi Vita. – Ani mi się waź odjeżdżać z tym wszystkim. Pójdę go zapytać.

– Proszę cię bardzo.

Uri krzyżuje ramiona na piersi i uśmiecha się, podczas gdy pozostali odprowadzają wzrokiem odchodzącą w pośpiechu Vitę.

Vita nie wraca.

\* \* \*

Wieczorem w Izbie Rady odbywa się nadzwyczajne zebranie, na którym wszyscy Przywódcy protestują. Za późno. Ciężarówki już dawno odjechały na północ. Ale Przywódcy i tak spotykają się i krzyczą. „Coś ty zrobił?!”, „Co nam zrobiłeś?!”, „Jak będziemy żyć?!”, „Jak przetrwamy?!”...

Uri stoi przed nimi z rękami skrzyżowanymi na piersi i czeka. Nie wydaje się przestraszony ani nawet zawstydzony. Po prostu czeka. A gdy krzyki cichną, zabiera głos.

– Skończyliście? – pyta, na co oni przestępują z nogi na nogę i piorunują go wzrokiem, ale nikt się nie odzywa. – To dobrze. Musicie nauczyć się dyscypliny.



Dyscyplina. Dyscyplina.

– Skąd weźmiemy jedzenie? – pyta Przywódca Kucharzy. – Co nam przyjdzie z dyscypliny, jeśli umrzemy z głodu?

– Przestańcie się obżerać – rzuca Uri. – I pamiętajcie, że nie jesteście jedynymi ludźmi na ziemi.

– Ale to nasze jedzenie! – krzyczy Przywódca Farmerów. Skórę na twarzy ma chropawą i ogorzałą od słońca i brakuje mu dwóch palców prawej ręki.

– Posadźcie więcej – odpowiada Uri.

– A co z Wielką Katastrofą? – pyta Przywódca Techników.

Uri kręci głową.

– Wszyscy musimy się poświęcić – mówi. – Mieć nadzieję, że nie wydarzy się, dopóki nie będziemy gotowi. Dlaczego ci w Cairngorm mają umrzeć, podczas gdy wy przeżyjecie?

– Byliśmy tu od zawsze – odzywa się jeden z Kucharzy. – Od zawsze. Jeśli ci z Cairngorm nie są samowystarczalni, to jaki z nich pożytek?

– Przydadzą się. Ale żeby zbudować drugie takie miejsce, potrzeba czasu. Wiecie o tym. Nie możemy postawić wszystkiego na jedną kartę – tłumaczy Uri. – Bezpieczniej jest mieć dwie lokalizacje niż jedną. To większa szansa dla ludzkości.

– Ale Lucien! – woła Technik. – Nie tego chciał...

– Teraz już chce – warczy Uri.

Wszyscy gwałtownie wciągają powietrze, po czym zaczynają szeptać między sobą.

W końcu Somer odzyskuje głos.

– Jak mogą być dwa miejsca? – pyta. – Co z Jedynym?

Uśmiech Uriego sprawia, że przebiega ją dreszcz.

– Wygląda na to, że musicie mieć nadzieję, że to wy będziecie szczęściarzami. Nigdzie się nie wybieram. Przynajmniej na razie.

Vita siedzi w milczeniu na tyłach pomieszczenia. Czeką.

\* \* \*

Kiedy Uri wychodzi, oczy wszystkich zwracają się ku niej. „Co się stało? – pytają. – Dlaczego Ojciec nam to zrobił? Uri jest za silny. Jak to możliwe, że tak urósł w siłę? Gdzie jest Ojciec? No, gdzie? Dlaczego nas zdradził?”

Vita wstaje. Ręce ze splecionymi palcami trzyma opuszczone przed sobą.

– Przepraszam – mówi. – Zawiodłam was. Do naszego ogrodu zakradł się wąż i musimy stąpać ostrożnie.

– To koniec – stwierdza Kucharz. – Jeśli on będzie dowodził, nie przetrwamy.

Vita się uśmiecha.

– Moje dzieci, musicie mi zaufać – mówi.

## 45 | Romy | 2016

Trzyma klucz w skrzynce, więc Vita nie musi czekać na nią przy schodach. To praktyczne rozwiązanie, bo od czasu do czasu Vita opuszcza wspólnotę na kilka dni, a Romy musi przecież odpowiadać na wezwanie Luciena. Trzy razy w tygodniu. Trzy razy w tygodniu przez osiemnaście miesięcy, chociaż – jak się okazuje – młode, chętne ciało potrafi działać cuda. Lucien lubi rytuał nawet bardziej od samego aktu, choć jeśli weźmie jedną ze swoich tabletek, jego starczy kutas wbija się w nią bez końca – zwykle bierze Romy od tyłu na łóżku, wciskając jej twarz w poduszkę, na owczej skórze albo na kanapie – aż dziewczyna ma ochotę błagać go, żeby przestał.

Nigdy jednak tego nie robi.

Muszę tu być, powtarza sobie, kiedy jego biodra z łuszczącą się skórą poruszają się w przód i w tył, w przód i w tył, a palce wbijają się w jej ciało na karku. Dla dobra przyszłości. Muszę zostać, dopóki nie zajdę w ciążę – Boże, dopomóż, jeśli tak się nie stanie – albo dopóki się mną nie znudzi. Jedno albo drugie. To pierwsze jest moim obowiązkiem, a drugie... cóż, tylko głupiec odrzuca swego pana, kiedy nie ma dokąd pójść. „Jak Stalin każe tańczyć, mądry człowiek tańczy”, mawiał Chruszczow.

Czasami wyobraża sobie, że mężczyzna za nią to Kiran. Młody, silny Kiran, którego codziennie widuje w Kuźni i który uśmiecha się do niej tak, jakby rozumiał. W końcu jednak musi otworzyć oczy, a wówczas jej marzenia się rozwiewają.

Lecz częściej jest opiekunką niż hurysą. Szybko odkrywa sekrety Luciena, w zaciszu swoich kwater jest bowiem tak gadatliwy jak nigdzie indziej. Najwyraźniej Uri o tym wie, podobnie jak Vita, lecz pozostali mieszkańcy Plas Golau zdają się nie dostrzegać znaków. Gdyby jednak pewnego dnia wyłamali drzwi, odkryliby, że człowiek, który im przewodzi, który ich inspiruje, osądza i karci, to pusta skorupa. Łupina. Że jego dni mijają w alkoholowo-narkotykowym stuporze i tylko dzięki

zastrzykom robionym przez Vitę albo Uriego jest w stanie pojawić się na wieczornym posiłku. Odkąd spadł z konia, to Vita i Uri decydują o wszystkim, lecz nikt tego nie zauważa, bo nikt nie chce zauważać.

Nie mogę zapomnieć, myśli Romy. Muszę zawsze pamiętać, że nie jest tym, kim był kiedyś. Nie znałam go, gdy był młody, nawet jak sama byłam dzieckiem, ale pamiętam otaczającą go chwałę. Światło, którym zdawał się emanować, kiedy byłam młoda. I choć te czasy minęły, musimy go zawsze kochać, bo to on poprowadził nas w bezpieczne miejsce. Dosłownie ocalił nam życie.

\* \* \*

Pokoje Luciena to wyściełana gąbką cela. Wszystko tu ma przynosić ukojenie. Często gdy Romy przychodzi po południu, leży rozwalony na kanapie niczym basza, pali papierosy z konopi i popija brandy. Takie dni Romy lubi najbardziej, bo jedyne, co musi robić, to siedzieć i słuchać. Naga na owczej skórze, na jego kolanie albo – jeśli sobie zażyczy – z rozchylonymi nogami na drewnianym tronie przy kominku. W takie dni ich spotkania są krótkie i niewiele się dzieje. Lucien lubi patrzeć. Dzięki temu czuje się potężny, myśli Romy, choć gdy on leniwie masuje swoje krocze i wspomina minioną chwałę, wygląda żałośnie.

Lecz Lucien nie jest Jedynym. Jest Przodkiem. Nie ma znaczenia, jakim jest człowiekiem, bo jego rolą jest spłodzenie Jedyne, który ich ocali. Sam często to powtarzał.

Zdarzają się dni, gdy cierpi. Kiedy jedyne, na co go stać, to przejście z łóżka na kanapę, jeśli w ogóle się porusza. W takie dni jego apetyt na vicodin jest nienasycony, a jej rola ogranicza się do tego, by siedzieć przy nim i go pocieszać.

A ponieważ Lucien jest Przodkiem, Romy będzie przez całe popołudnie ssła jego sflaczałego kutasa, jeśli dzięki temu przyspieszy narodziny Jedyne.

Nie mogę go kochać, myśli, wchodząc po schodach. On nie jest naszym mesjaszem. To moje dziecko ocali ludzkość, i tylko to się liczy.

\* \* \*

Vicodin jest opiatem. Bardzo silnym opiatem. Vita jej ufa, bo jeśli choć raz zobaczyło się Luciena z bliska, kiedy poznało się tę pustą, udawaną jowialność i usłyszało go, jak bełkocze, nie sposób o tym nie myśleć. Musisz mieć na niego oko, mówi Vita. Nie masz pojęcia o bólu, który musi dla nas znosić. Rozumiesz? Jeśli ci ludzie zobaczą, że ich Przywódca jest słaby, zaczną wątpić. Zaczną się kłócić o to, kto powinien go zastąpić, i wszystko upadnie. Musimy o niego dbać. Ale miej na niego oko. Za bardzo lubi vicodin, a łatwo go przedawkować. W kiepskie dni łyka tabletkę za tabletką, zupełnie jakby jadł jagody. W kiepskie dni musisz na niego uważać, Romy. Przypominaj mu, ile wziął, i nie pozwól mu pić.

\* \* \*

W maju nie dostaje okresu, ale nikomu o tym nie mówi. Później jej piersi robią się obolałe i obrzmiałe, temperatura ciała wzrasta i Romy zaczyna się czuć inaczej, jakby życie, które – jak podejrzewa – rośnie w jej wnętrzu, było czymś najcenniejszym na świecie. To dziwne, wciąż jeszcze obce uczucie. Czeka dwa tygodnie, w każdej chwili gotowa na porażkę, zanim jest gotowa przyznać, że udało się i dziecko Luciena znalazło schronienie pod jej sercem.

\* \* \*

Między śniadaniem o szóstej i przygotowaniem do lunchu o godzinie jedenastej stołówka zwykle świeci pustkami. Romy wchodzi tylnymi drzwiami od strony cmentarza, tak by nikt nie widział, jak wspina się po schodach do prywatnych kwater. Nie przegląda się w lustrze w korytarzu, po prostu podchodzi do drzwi i puka.

Głos, który słyszy, jest słaby, nosowy i Romy wie, że to jeden z Kiepskich Dni. Idealny dzień dla niej. Uchyła drzwi, zagląda do środka i widzi, że Lucien leży na kanapie z ręką na czole jak malarz i poeta Branwell Brontë. Oczy ma zapadnięte, podkrążone, usta – spierzchnięte i spękane.

– Nie dziś, Romy – mówi. – Nie dziś.

– Och, Ojciec – szepcze Romy i mimo wszystko do niego podchodzi. – Widzę, że cierpisz. Tak mi przykro.

Kłęka u jego boku i bierze go za rękę. Na stojącym obok kanapy stoliku, na którym setki razy siadała naga z rozchyłonymi nogami, walają się dowody jego choroby. Opakowania tabletek, tekturowe pudełeczka, zużyte chusteczki, brudna szklanka z wodą i mosiężna popielniczka z opartym o brzeg wypalonym do połowy skrzydełkiem. Z oczu Luciena płyną łzy i przez chwilę jest jej go naprawdę żal. Być takim starym i mieć w perspektywie wyłącznie coś takiego. Dobrych dni będzie coraz mniej, a złe staną się częstsze, aż w końcu zleją się w jedną całość. I tak aż do śmierci.

Romy podnosi listek z czternastoma tabletkami. Na stoliku leżą jeszcze trzy w pośpiechu wysypane z opakowania. Jeden rząd jest pusty, w drugim brakuje czterech tabletek. Romy wyciska kolejną, wkłada Lucienowi do ręki i przystawia mu do ust szklankę z wodą. Na kredensie leżą słomki, z myślą o takich właśnie dniach. Zaraz przyniesie jedną z nich. Zapala skrzydełko, czując w ustach ohydny, gryzący smak, i podaje mu go.

– Nikt do ciebie nie zaglądał? – pyta.

– Nie – odpowiada. Z powodu bólu robi się marudny jak dziecko. – Cały dzień byłem sam.

– Tak mi przykro. Gdybym wiedziała, przyszłabym wcześniej. Vita wyjechała?

– Nie wiem.

– Zrobię ci drinka – mówi Romy. Podchodzi do barku i nalewa brandy. Remy Martin, jego ulubioną. Nie ma pojęcia, jak to wszystko tutaj trafia niezauważone. Pewnie w bagażach Vity, razem z innymi rzeczami – drobnymi przedmiotami zbytku, lekarstwami – które znajduje w jego pokoju. Nalewa brandy na jeden, dwa palce, dolewa jeszcze trochę i dodaje napoju gazowanego. Wkłada do szklanki słomkę i wręcza Lucienowi. Wyciska mu na dłoń vicodin, a on bierze tabletkę, jakby zapomniał o tej, którą dała mu przed chwilą.

Skrywa następnego jointa. Z początku ich nienawidziła, ale po nich Lucien staje się łagodniejszy, delikatniejszy, więc z czasem je polubiła. Romy porusza palcami z wyćwiczoną wprawą, bo wie, że lubi się jej przyglądać. W dobre dni chce, żeby robiła to nago. Dziś nawet nie zauważył, że nadal jest w swoim uniformie.

Podaje mu skręta, zapala i czeka, aż się zaciągnie. Po chwili Lucien opada na poduszki i posyła jej słaby uśmiech.

– Jesteś dobrą dziewczynką – mówi.

– Dla ciebie – odpowiada Romy. – Ojcie.

Wyciska jeszcze jedną tabletkę vicodinu i kładzie mu na dłoni. Połknął cały listek. Czternaście. Może dla pewności napocznie następny. Lucien kładzie tabletkę na języku i pijąc przez słomkę, opróżnia szklaneczkę brandy. Romy wyjmuje mu ją z dłoni.

– Przynoszę wieści, Ojcie – oznajmia, dolewając mu brandy. W butelce zostało jeszcze całkiem sporo; kiedy tu przyszła, była prawie pełna. Postawię ją na stoliku, żeby nie musieć chodzić.

Lucien odpływa szczęśliwy – jego ból, jeśli o nim nie zapomniał, jest teraz bez znaczenia. Vicodin sprawia, że robi się miły, a wziął go tyle, że jest miękki jak wosk w jej rękach. Romy wyciska kolejną tabletkę, podaje mu i siada na dywaniku.

– Cóż to za wieści?

– Jestem w ciąży. Noszę pod sercem twoje dziecko.

Daje mu drinka. Lucien pije przez słomkę i uśmiecha się do niej pustymi niebieskimi oczami.

– Ono będzie Jedynym – mówi.

– Wiem – odpowiada Romy. – Otrzymałam od ciebie prawdziwe błogosławieństwo.

– Oczywiście jemu się to nie spodoba – mruczy Lucien, choć nie wydaje się szczególnie zaniepokojony.

– Wiem – powtarza Romy i kładzie mu na dłoni następną tabletkę.

**WŚRÓD MARTWYCH**  
*Grudzień 2016*



## 46 | Romy

Z Finbrough do Southwold jest trzysta pięć kilometrów i podróż zajmuje jej trzy godziny. W linii prostej byłoby szybciej, ale przecież ma do przejechania cały Londyn. Tysiąc pięćset osiemdziesiąt dwa kilometry kwadratowe i osiem milionów ludzi ściśniętych jak mrówki w formikarium. To trzynaście tysięcy ludzi na dwóch i pół kilometrach kwadratowych. Z tego, co czytałam, jednym z problemów w Plas Golau było przeludnienie, a było nas zaledwie sto sześćdziesiąt osób na farmie o powierzchni dwóch i pół kilometra kwadratowego. Jeśli to przeludnienie doprowadziło do naszego upadku, Londyn jest jak otwarta beczka prochu czekająca na iskrę.

Pewnego dnia, zanim wyjadę, rozejrzę się po mieście. Ale nie teraz, jeszcze nie. Teraz muszę wyjechać i zabić swoją najdroższą przyjaciółkę.

\* \* \*

Ellie Dracoulis. Dracoulis... Brzmi jak nazwisko wampirzycy – mrocznie, groźnie i transylwańsko. Nie ma w nim nic jasnego. Skąd się wzięło? – zastanawiam się. Czyżby wyszła za męża? A może to nazwisko panięskie jej matki, tak jak Maxwell mojej? W internecie można znaleźć wszystko. Nawet osobę sprzed lat, która dorosła i żyje pod zmienionym nazwiskiem.

Muszę myśleć o niej jak o zupełnie obcym człowieku. Nie jak o kimś, z kim w dzieciństwie codziennie dzieliłam się chlebem, z kim spałam w jednym łóżku i śmiałam się. Dzięki temu będzie mi łatwiej. Mam nadzieję, że ona zrozumie.

Droga stopniowo robi się coraz węższa, trudniejsza do pokonania i bardziej ponura. Kępy trzcin wyrastają ze stawów pełnych mętnej, zielonej wody. Samotne drzewa wyciągają gałęzie do nieba. Mam upiorne poczucie, że za każdym żywopłotem czai się morze, ale nie widzę go aż do ostatniej chwili. Nagle na równinach wyrastają domy i oto jest. Morze

Północne. Widzę je po raz pierwszy. Jest inne od tego, które znam. Surowe, czarne i leniwie falujące. Kiedy otwieram okno, żeby je usłyszeć i odetchnąć morskim powietrzem, zamiast szumu fal słyszę miarowe plaśnięcia, które zatopiły tysiące łodzi.

To piękna, cudowna miejscowość. Idealna do tego, żeby się ukryć i dojść do siebie. Zostawiwszy za sobą nijakie, brzydkie okolice, docieram do miejsca, gdzie drogi są wąskie i wietrzne, a niewielkie, skromne domki stoją niemal przy ulicy. To oddalona od świata urocza wioska rybacka. Na promenadzie stoją wytworne wille z widokiem na wzburzone wody, niżej, u stóp trawiastej skarpy, tulą się do siebie małe, kolorowe domki plażowe. Drewniane molo wrzyna się dzielnie w głąb wody. Żłocistobiały piasek sprawia, że mam ochotę zdjąć buty. Parkuję przy North Parade, po czym popijając kawę i patrząc na morze, planuję kolejny ruch. Gdziekolwiek spojrzę, widzę świąteczne światełka, radosne wśród zimowej szarości. Nie sądzę, żebym zdążyła zobaczyć święta.

Mając czyjeś nazwisko, masz niemal wszystko. Eilidh stała się nieostrożna. Teraz, kiedy Uri ją odnalazł, niemal wszędzie dostrzegam Ellie Dracoulis. Głupiutką Ellie śmiejącą się ze strony Southwold Arts, z Facebooka i dziesiątków zdjęć, na których została oznaczona przez swoich przyjaciół, z Instagrama i Twittera. Ellie przy grillu, Ellie przebraną za Indiankę, Ellie tulącą wielkie, rudawozłote psisko, Ellie, która śmieje się na wodnej zjeżdżalni, trzymając na kolanach rozwrzeszczane dziecko. Dziewczynka pojawia się na wielu zdjęciach. Wygląda na jakieś dwa lata. Boże, Eilidh, nie wiedziałam, że masz córeczkę. Teraz wszystko ma sens. Wystarczy, że na ciebie spojrzę, i wiem, że nadal bym cię lubiła.

Southwold Arts mieści się w niewielkim biurze, które kiedyś było sklepem, w jednym z uroczych domków przy samej drodze. Wycięte z kartonu litery przyklejone od wewnątrz do szklanej witryny tworzą nazwę organizacji. Na sztaludze przy parapecie stoi duży obraz olejny przedstawiający zniszczoną łódź i wieżę ciśnień. W środku naprzeciw siebie stoją trzy nowoczesne biurka o zaokrąglonych kształtach. Przy jednym z nich, bokiem do szyby, siedzi Eilidh. Rozmawia przez telefon nieświadoma mojej obecności. Zatrzymuję się na moment, żeby spojrzeć i upewnić się, że to ona. Zaraz potem wracam East Street na promenadę.

Nóż mam w kieszeni kurtki. Bluza z kapturem tak bardzo opina mój brzuch, że nóż w kieszeni byłby widoczny jak na dłoni.

\* \* \*

Znajduję małą, tanią kafejkę po drugiej stronie drogi i kupuję babeczkę i filiżankę herbaty, chociaż nie mam ochoty ani na jedno, ani na drugie. Siadam przy oknie – lokal jest niemal pusty, dwie staruszki rozmawiają o męskich problemach z prostatą, a kobieta za ladą zaczyna zawijać ciasta w folię spożywczą – i obserwuję.

Wnętrze biura jest ciepłe, przyjemne. Mam nadzieję, że Eilidh dobrze się tu żyło, że podobało jej się życie wśród Martwych. Jej koleżanka, dobiegająca czterdziestki kobieta o końskiej twarzy, siedzi twarzą do mnie. Obie są pogrążone w rozmowie, kiwają głowami, gestykulują i od czasu do czasu wybuchają śmiechem. Ellie Dracoulis. Lubiana. Ukochana matka Suki, córka kobiety, która przyjęła imię Marnie. Przynajmniej nie umrzesz zapomniana. Masz na Facebooku trzystu siedmiu przyjaciół i z tego, jak ze sobą rozmawiacie, domyślam się, że przynajmniej jedną trzecią z nich znasz osobiście.

Nie przypominam sobie, żeby była szczególnie uzdolniona artystycznie. Miała dwie lewe ręce. Ale może nie trzeba mieć talentu, żeby zostać młodszym koordynatorem. Zresztą nie mam pojęcia, co to znaczy.

Zgniatam babeczkę między kciukiem a palcem wskazującym i odgryzam kęs. Jest gliniasta, dobrze, że nie muszę jej zjeść.

Koleżanka Eilidh wychodzi, a ona zaczyna sprzątać biurko. Zbiera kubki i wynosi je do pomieszczenia na zapleczu. Nie wraca przez kilka minut, na tyle długo, żebym zaczęła się niepokoić, czy nie wyszła tylnymi drzwiami. Nagle wraca. Ma na sobie uroczy płaszczyk z czarnego aksamitu, który sięga jej do kolan, i okręca szyję długim wełnianym szalem. Sięga za siebie i wyłącza światło, po czym podchodzi do drzwi i gasi pozostałe światła. Wstaję od stolika – ostatnio zajmuje mi to trochę czasu – macham pięćofuntowym banknotem do kobiety za ladą, żeby widziała, że płacę, i wychodzę.

Eilidh nie rozgląda się. Bo i po co miałyby to robić? Jest szesnasta i w deszczowym Southwold zapada zmierzch. To nie

Weston, żeby organizować tu wieczory kawalerskie, i nikt nie napadnie cię tutaj jak w Londynie. Po prostu... wraca z pracy do domu w małej nadmorskiej miejscowości, myśląc o centralnym ogrzewaniu i o tym, żeby odebrać dziecko. Odwraca się w stronę morza i podobnie jak ja szczerzej owija się szalem. Wiejący od morza wiatr jest przenikliwie zimny. Dookoła nie ma żywej duszy, na molo nie palą się żadne światła, a zasłony w oknach domów są zaciągnięte.

Wołam ją, używając jej dawnego imienia. Muszę zawołać dwukrotnie, bo za pierwszym razem wiatr unosi mój głos.

Eilidh odwraca się uśmiechnięta. Na mój widok jej uśmiech gaśnie.

– Och, Romy – bąka.

Patrzę na nią i wbijam ręce w kieszenie.

– Wiedziałam, że pewnego dnia któreś z was mnie odnajdzie – mówi. – Nie chciałam tylko, żebyś to była ty. – Zaczyna płakać.

## 47 | Romy

Nie walczyła. Nie kłóciła się. Koniec końców wszyscy jesteśmy tym, kim jesteśmy, i Eilidh pomimo ubrań, makijażu i nowego życia wciąż była dzieckiem Arki. Miała posłuszeństwo we krwi. Podobnie jak ja. Jak my wszyscy.

\* \* \*

Drogą, przy której się zatrzymałam, żeby odetchnąć i popłakać, przejeżdża samochód. Jego światła wrywają mnie z zamyślenia; dostaję ataku kaszlu, bo gardło mam wyschnięte na wiór. Niebo nadal jest ciemne, ale w powietrzu wyczuwa się nadchodzący świt. Ktoś, kto jak ja żył w zgodzie z naturą, wie takie rzeczy. Muszę dostać się na drogę. O wpół do dziewiątej będzie prowadził ją do szkoły i wiem, że jeśli się zawaham, jeśli nie zrobię tego teraz, wspomnienia Eilidh powstrzymają moją rękę i wszystko przepadnie.

Na moim nożu nadal jest jej krew.

\* \* \*

Zanim wracam do Finbrough, umysł mam zaćmiony ze zmęczenia. Jechałam autostradą M25 w godzinach szczytu i przez pół godziny wlokłam się w korku, co chwilę się zatrzymując. Podczas jednego z dłuższych postojów zasnęłam za kierownicą i obudziło mnie wściekłe trąbienie sznura stojących za mną samochodów. Jesteś taki cichy, maluszk. Mam nadzieję, że śpisz. Gdybyś umarł podczas moich podróży, wszystko poszłoby na marne.

Znajduję wolne miejsce dwie ulice od mostu przy wysokim żywopłocie z bukszpanu. Jest ósma, serce wali mi jak szalone. Zastanawiam się, czy nie wziąć beta-blokera, w końcu jednak porzucam ten pomysł. Jeśli mam to zrobić, muszę to czuć każdą komórką mego ciała, inaczej z czasem stanie się to snem, a ofiara i ludzkie życie przestaną mieć znaczenie. Nigdy, przenigdy nie

mogę zapomnieć ofiar złożonych dla ciebie, maluszk. Dla świata.

Och, Eilidh, och Eden, nie miałam pojęcia, że stanę się aniołem zemsty.

**PRZED KOŃCEM**  
*Czerwiec 2016*

## 48 | Somer

Jest na służbie, kiedy widzi Vitę, która wraca do domu z jednej ze swoich wypraw na Zewnątrz. Somer zastanawia się czasami, czy jeszcze kiedyś zobaczy tamten świat. Jest tutaj od tak dawna, że jego tempo, krzykliwe kolory, zgiełk i niezliczone bodźce bardziej przypominają sen niż rzeczywiste doświadczenie. Kiedy tu trafiła, Vita miała jeszcze blond włosy. Uri był nadąsanym młodym człowiekiem, który przyjeżdżał do Plas Golau na przepustki. A Lucien był najpiękniejszą istotą, jaką widziała w całym swoim życiu – bogiem słońca, siły i życia, inspiratorem, prawdziwym Przywódcą. Pragnęła, żeby ją wybrał, i nie posiadała się ze szczęścia, kiedy dowiedziała się, że nosi w sobie jego dziecko.

Teraz on jest cieniem samego siebie, myśli Somer. Zabawne. Jest legendą, którą podtrzymujemy siłą woli.

Somer widzi Romy, która zważym krokiem zmierza w stronę sadu i muru. Dotarłszy na miejsce, dziewczyna rozgląda się, jakby chciała się upewnić, że nikt jej nie widzi. Nie zauważa matki stojącej w cieniu drzwi wygodki. Somer przywykła do tego. Od tak dawna nikt nie zwraca na nią uwagi. Romy przeskakuje przez mur i znika w lesie po drugiej stronie drogi. Coś kombinuje, myśli Somer. Ciekawe co. Chwilę później odwraca wzrok, zamyka beczkę z ekskrementami i więcej się nad tym nie zastanawia.

\* \* \*

Ładuje wózek – Vita zdobyła go ostatnio, żeby mogli przewozić trzy beczki naraz, zamiast znosić po jednej w dół wzgórza – kiedy jej uwagę zwraca nagły ruch. Widzi Ursolę, która wybiega przez bramę dziedzińca. To rozbudza ciekawość Somer. Życie tutaj płynie powoli. Rzadko się zdarza, by ktoś powyżej dziesiątego roku życia biegał. Ich dni są zbyt długie, a praca zbyt ciężka, żeby w ten sposób marnować energię.



Somer prostuje się i patrzy. Ursola biegnie w stronę Domu Strażników. Bardzo dziwne. Już samo bieganie jest dość osobliwe, nie mówiąc o tym, że nigdy, przenigdy nie widziała, żeby ktoś biegł do Domu Strażników.

Kilka minut później Ursola wybiega z powrotem. Jest z nią Uri, który w pośpiechu zapina pasek spodni. Ursola wydaje się przerażona, a Uri wygląda, jakby znowu miał dwanaście lat. Pogardę, która zwykle maluje się na jego twarzy, zastąpiło... coś innego. Somer nie jest pewna co. Nie strach, ale jakaś forma lęku i niepewności. Vita przechodzi przez bramę i idzie ku nim; Somer widzi, że Vita płacze. Na widok Uriego zakrywa twarz rękami i zatrzymuje się na podjeździe.

Boże, myśli Somer, coś się stało. Coś strasznego. Czyżby ostatecznie nadszedł Koniec?

Nawet teraz w obliczu kryzysu między Vitą a Urim nie ma żadnego kontaktu fizycznego. Ich relacje zawsze były chłodne. Uri miał sześć lat, gdy Lucien zostawił dla Vity jego matkę – przynajmniej tak mówią – i już zawsze czuł do niej urazę. Przez chwilę stoją naprzeciwko siebie, lecz zaraz potem wracają na dziedziniec i znikają.

Somer kończy ładować wózek i powoli ciągnie go w dół wzgórza. To znaczne udogodnienie, mimo wszystko nadal musi uważać, bo ścieżka nie została wybrukowana, a ubita ziemia jest wyboista od korzeni drzew.

Znajduje się w połowie drogi na dół, kiedy słyszy krótkofalówkę, która trzeszcząc, budzi się do życia. To znaczy, że gdzieś za murem czai się któryś ze Strażników, licząc pewnie, że przyłapie kogoś na zaniedbywaniu swoich obowiązków.

– Dom do wszystkich Strażników! – słychać w radiotelefonie. – Whisky Tango Foxtrot. Powtarzam, Whisky Tango Foxtrot, słyszycie mnie?

Somer czuje chłód pełną jej po plecach. Strażnicy często posługują się hasłami. Pewnie myślą, że nikt ich nie rozumie, ale używają ich tak bezmyślnie i tak nierozważnie rozmawiają między sobą, że większość mieszkańców nauczyła się je rozpoznawać. Alfa 1-2 oznacza, że zaczął się Koniec. Victor Bravo – potrzebna pomoc medyczna. A Whisky Tango Foxtrot to

wezwanie do wszystkich Strażników, by niezwłocznie stawili się w Domu, bo wydarzyło się coś złego.

Somer zostawia wózek i biegnie na górę do wychodków, skąd będzie miała lepszy widok. Z całego obozu w stronę Domu Strażników biegną umundurowane postacie.

Chwilę później dzwon na wieży Wielkiego Domu zaczyna bić.

## 49 | Somer

Cisza. Łzy spływające po policzkach. Stoją z opuszczonymi głowami i oplakują swoją stratę. A wśród nich Vita. Ciągłe tutaj, ciągle z nimi, matka ich wszystkich.

Chodzi między mieszkańcami Arki jak duch ich świata. Vita, która jest i która zawsze była ich ostoją i dobrocią. Błada ze smutku, lecz wciąż znajdująca w sobie siłę, by się uśmiechać. Pogłaszcze po twarzy, weźmie za rękę, obejmie. Dostrzega Somer, nawet ją, i otacza ją złocistą pajęczyną znajomych uczuć. Dotyka czołem jej czoła i stoi tak, ściskając ją za rękę. Chwilę później rusza dalej.

Kochał was. Kochał was wszystkich. Każdy z was był dla niego kimś wyjątkowym. Umarł, ale nie odszedł. Będzie żył w naszych sercach, we wszystkim, co robimy.

Somer jest oszołomiona. Piękny dzień, błękitne niebo nad głowami, ludzie, z którymi od tylu lat dzieli życie – wszystko to wydaje się nierzeczywiste, jak duchy albo widoczna w oddali smuga dymu. Nigdy mi nie wybaczył. Czekałam i czekałam, ale nie usłyszałam słów przebaczenia, a teraz odszedł, na zawsze, skazując mnie na takie życie.

Są z nimi Strażnicy, a wśród nich Ilo. Twarz ma bez wyrazu, jakby ktoś wymazał jego duszę. Eden płacze, podobnie jak jej rodzeństwo, i nawet na chwilę nie spogląda na matkę. Romy stoi sama przy bramie. Oczy ma suche, podobnie jak jej brat.

\* \* \*

Nagle gdzieś za murem rozlega się ryk silnika. Odwracają się ciekawi, kto zakłóca ich spokój w takiej chwili. I widzą, że to wóz i że za kierownicą siedzi Jacko. Wjeżdża między nich powoli jak radiowóz między manifestujących, a oni rozstępują się przed nim równie wolno i ostrożnie. Vita zerka i pośpiesznie odwraca wzrok. Stoi odwrócona plecami, gdy dwaj Strażnicy wychodzą z kuchni i zaczynają załadowywać samochód. Kładą trzy

płóciennie worki na tylnym siedzeniu i skrzynkę na miejscu pasażera.

Wiedzą, co to znaczy. Teraz, kiedy Luciena nie ma, dni Vity w Plas Golau są policzone.

Czekają.

\* \* \*

Drzwi Wielkiego Domu otwierają się ze szczękiem i mieszkańcy Arki zgodnie podnoszą wzrok. Mają nadzieję, że Ojciec wyjdzie i powie im, że to pomyłka, uświadamia sobie Somer. Mają nadzieję, że nie umarł.

Gdy więc z cieni zalegających w domu wyłania się Uri, przygarbiają się i wypuszczają wstrzymywane powietrze.

Strażnicy się prostują. Stoją na baczność na lekko rozstawionych nogach. Jak żołnierze. Jak prawdziwi żołnierze. Uri omiata ich wzrokiem, na jego twarzy maluje się... triumf.

Cisza. Wszyscy wstrzymują oddech. Vita odwraca się powoli, spogląda na niego i prostuje się. Głowę ma uniesioną dumnie niczym królowa.

– Możesz odejść – zwraca się do niej Uri.

Kiedy Vita się odzywa, głos ma czysty, mocny.

– To nie są twoi ludzie, Uri – mówi. – I nie ty będziesz rządził tym miejscem.

Jego twarz jest blada z wściekłości, nie z żalu po zmarłym ojcu.

– Należy do mnie! Taka była jego wola! – krzyczy. – Powiedział mi. To od zawsze miałem być ja!

W tej jakże ważnej chwili Vita emanuje spokojem, podczas gdy Uri gotuje się z wściekłości.

– Nie, zostawił je mnie. Jestem jego żoną. Ty masz Cairngorm. Taka była jego wola. Wszystko jest zapisane w testamencie.

Lucien, dbający o to, by wszyscy byli szczęśliwi, igrający z nimi.

Uri nie wie, co powiedzieć. Otwiera usta, lecz nie dobywa się z nich żaden dźwięk. Somer przez moment boi się, że da znak swoim Strażnikom i rozpęta się piekło. On jednak mruga i zagryza zęby.

– Nie jesteś jego następczynią. Nie jesteś Jedynym. I nie masz z nim nic wspólnego.

Vita odrzuca za ramię swoje piękne, srebrzyste włosy.

– Jak sobie chcesz – odpowiada.

Ach, jakże musi mu być trudno zachować zimną krew, myśli Somer, kiedy Uri idzie w dół po schodach, wyprostowany, z uniesioną głową. Podchodzi do samochodu, wyciąga bagaże Vity z tylnego siedzenia i podaje stojącym obok ludziom. Bierze leżącą na miejscu pasażera skrzynkę i z udawanym szacunkiem stawia ostrożnie u jej stóp.

– Zostaniemy na pogrzeb – oświadcza.

– Oczywiście – mówi Vita. – Przyjmiemy każdego, kto będzie chciał zostać po pogrzebie. Członkowie Arki zawsze znajdą tu dom.

Uri wbija w nią wzrok, oczy niemal wychodzą mu z orbit. Nie odzywa się jednak, tylko siada za kierownicą i uruchamia silnik. Zawraca, chrzęszcząc oponami na żwirze, i odjeżdża. Widząc Romy stojącą przy bramie, zwalnia, a zaraz potem przyspiesza i potrąca ją błotnikiem.

Córka Somer wylatuje w powietrze niczym szmaciana lalka; przez chwilę niezdarnie macha rękami i nogami, po czym z głuchym łupnięciem uderza w słupek bramy. Ma wrażenie, że pękają jej kości.

## 50 | Romy

Pierwsze, co czuje, kiedy wraca jej czucie, to ból. Unosząc się w szarym oceanie nieświadomości, ma wrażenie, że coś chwytą ją za kostkę i wbija w nią zęby. Próbuje się wyrwać, lecz to coś podąża za nią i nie chce jej puścić. Gdy się budzi, leży w Infirmierii; z bólu robi jej się słabo.

Romy zastyga. Jeśli najdrobniejszy ruch potęguje ból, to może leżenie nieruchomo sprawi, że ból ustanie. Pulsowanie mija, choć nadal czuje je gdzieś w górnych partiach nogi, jakby z każdym uderzeniem serca ktoś rozlewał w jej ciele płynny metal. Czeka, próbuje się skupić i wsłuchuje się w swoje ciało, by przekonać się, czy gdzieś jeszcze czai się ból.

Tak. Zagnieździł się w jej głowie. Pamiętam, że się uderzyłam, myśli. W samochód. Stałam na dziedzińcu i...

Głowa jej pęka.

Co tam robiłam? Pamiętam ludzi. Pamiętam, że byli tam ludzie.

Nic.

Palce ma dziwnie odrętwiałe. Podnosi rękę, żeby zobaczyć cokolwiek w skąym świetle, i widzi, że są usztywnione i zabandażowane razem. Co jeszcze? Otarcie na ramieniu, opatrzone i zaklejone plastrem. Dobrze, że miałam kurtkę, myśli.

Podnosi drugą rękę i dotyka twarzy. Jest obolała, ale na szczęście chyba cała. Uśmiech losu, przebiega jej przez głowę i śmieje się w duchu. Chwilę później znowu zasypia, jakby ktoś nacisnął w jej ciele guzik z napisem *Nieświadomość*.

\* \* \*

Światło dnia. Ból się nasila. Teraz ma wrażenie, że cała noga jest z płynnego ołowiu. Zeszłej nocy musieli mi podać jakieś środki, myśli. Leży bez ruchu i stara się oddechem przegnać ból.

Poduszki są miękkie i lekkie. Muszą być wypełnione pierzem.

\* \* \*

Kiedy budzi się wieczorem, ból jest tak silny, że wyrывa z jej gardła jęk. Ktoś porusza się w korytarzu i chwilę później do pokoju zagląda Ursola.

– Dzięki Bogu – mówi. – Obudziłaś się. Zaczynaliśmy się martwić.

Romy z bólu oblewa się potem. Zagryza wargi i próbuje podnieść się do pozycji siedzącej, kiedy jednak wbija piętę w materac, jęczy.

– Leż spokojnie – nakazuje jej Ursola. – Staraj się nie ruszać tą nogą. Unieruchomiłam ją szyną, ale musisz leżeć bez ruchu. Paskudne złamanie. Jutro zrobię temblak i trochę ją podniesiemy.

– Co się stało?

– Miałaś wypadek.

– Tyle wiem – rzuca gburowato Romy, ale Ursola tylko się uśmiecha. – Co mi jest?

– Masz złamaną nogę, kość piszczelową i wygląda na to, że zerwałaś więzadło łączące kość strzałkową z kolanem. Stopa odwróciła ci się w drugą stronę.

Słuchanie tych szczegółów nie pomaga uśmierzyć bólu.

– Uderzyłaś się w głowę i uszkodziłaś kilka palców. Byłaś nieprzytomna przez... – Ursola zerka na zegarek – prawie trzydzieści godzin. Pamiętasz cokolwiek?

– Byłam na dziedzińcu – odpowiada Romy, choć nie pamięta dlaczego.

– Dobrze. To już coś. Bardzo cię boli?

Bądź spokojna. Bądź jak spartanin. No dalej. Jesteś przecież twarda.

– Bardzo – odpowiada cicho.

– Zawołam Vitę – mówi Ursola.

Niedługo potem do pomieszczenia wchodzi Vita. Wygląda, jakby postarzała się o całe dwadzieścia lat. Zmarszczki na jej

twarży przypominają pęknięcia w wyschniętym korycie rzeki, oczy ma podkrążone. Kładzie rękę na czole Romy, a gdy mierzy puls, dziewczyna się krzywi, bo palce Vity dotykają siniaków.

– Jak się czujesz?

– Nie najlepiej.

– Nic dziwnego. Nieźle oberwałaś. A głowa?

Romy się zastanawia. Lepiej niż wtedy, kiedy obudziła się pierwszy raz, ale w miejscu, gdzie powinny być wspomnienia, ziele pustka.

– Nic nie pamiętam. Gorzej jest jednak z nogą.

– Tak – przyznaje Vita. – Złamana kość piszczelowa to poważna sprawa. Trochę tu poleżysz.

– Jak długo?

– Nie mówimy o dniach – odpowiada Vita. – Przyniosę ci morfinę.

– Ja... jestem w ciąży.

Twarz Vity wyraża milion różnych emocji, a zaraz potem do jej oczu napływają łzy.

– A więc zrobiłaś to – szepcze. – Kochanie. – Romy nie wie, czy ma na myśli ją, czy Luciena. Kręci głową i mówi: – To nic. Ból zaszkodzi tobie i dziecku bardziej niż odrobina morfiny. Powinnaś też wziąć antybiotyk o szerokim zakresie działania, bo jesteś nieźle pokiereszowana.

– Mamy...? – zaczyna Romy, ale rozmyśla się i milknie.

Vita pochyla się nad nią, ścisną jej nadgarstek i patrzy w oczy.

– Posłuchaj, Romy. Nadchodzą zmiany. Duże zmiany. I nie wiem, dokąd nas zaprowadzą. Ale musisz obiecać mi dwie rzeczy. Że zostaniesz ze mną w Arce bez względu na wszystko, niezależnie od tego, kto będzie przywódcą. I że nigdy nie powiesz mu, kto jest ojcem twojego dziecka. Słyszysz mnie? Teraz to wiem. Nie ma znaczenia, czy ludzie będą wiedzieli, kto jest Jedynym. Nie tak ma być. Żałuję, że to zrobił. Że kazał im wierzyć, że są wyjątkowi. Że ich wyróżnił. Jedyny powstanie, czy będą



o tym wiedzieli, czy nie. Ale nigdy, przenigdy nie możesz powiedzieć Uriemu, bo nie wolno mu ufać.

## 51 | Romy

Budzi ją szcęk otwieranych drzwi, ale dookoła panuje mrok. W Wielkim Domu, przynajmniej na górnych piętrach, mają elektryczne światło. Jeśli ktoś go nie zapalił, to tylko dlatego, że nie chce, by go zobaczono. Chwilę później Romy widzi snop światła latarki i już wie. Poza nią w Infirmierii nie ma nikogo. Uzdrowiciele wyszli i nie wrócą aż do rana.

Stłumione kroki kilku osób. Niewielu, może dwóch albo trzech. Tak cicho mogą poruszać się tylko Strażnicy. Zamyka oczy i udaje, że śpi. Ktoś przechodzi obok jej łóżka, zatrzymuje się na chwilę i ciemność pod powiekami rozjarza się światłem. Idą do drzwi Zielarni.

Romy leży w ciemności i nasłuchuje.

Brzęk buteleczek i słoików, stłumione, niskie głosy. Unosi nieco głowę i próbuje cokolwiek zobaczyć, ale widzi tylko nogawkę spodni khaki i ciężki wojskowy but.

Szukają czegoś na półkach. Po jakimś czasie słyszy jego głos. „Gdzie ona je trzyma? Gdzie je, do diabła, schowała? Muszą gdzieś tu być”.

Jest przykuta do łóżka. Nawet uniesienie kołdry, żeby odkryć nogę, sprawi jej ból nie do opisania. Nigdy nie dotrze tak daleko, żeby zawołać pomoc. Tylko Vita jest blisko, śni swój wdowi sen na poddaszu nad ich głowami i jeśli zejdzie, zabija ją.

Coś roztrzaskuje się na podłodze i Uri klnie. Zaraz potem zapala światło.

– Cóż, skoro pacjentka już się obudziła – mówi – możemy przestać się ukrywać.

Romy zaciska powieki i modli się, żeby stracić przytomność.

Tak się jednak nie dzieje. Czyjaś ręka szarpie ją za ramię i czując nagły ból, Romy otwiera oczy. Z jej gardła dobywa się

krzyk. Mruga gwałtownie i udaje zaskoczoną, widząc nad sobą twarze Uriego i Doma.

– Nie udawaj, że nie wiedziałaś, że tu jesteśmy, Sto Czterdzieści Trzy – zwraca się do niej Uri.

Otumaniona lekarstwami, nie musi się specjalnie starać, żeby wyglądać na zmieszaną. Przed wyjściem Vita zrobiła jej zastrzyk z morfiny i narkotyk nadal krąży w jej krwiobiegu.

– Co... – bąka. – Co tu robicie?

– Musisz nam pomóc.

– Ja... – Romy potyka się o własne słowa. – Nie jestem Uzdrowicielką.

– Ale na pewno znasz się na tym lepiej od nas – mówi Uri. – W końcu to ty zbierasz te wszystkie chwasty. Gdzie ona je trzyma?

– Gdzie co trzyma?

– To, co jej przynosisz. Szczwól plamisty. Wilczą jagodę. Owoce cisu. Muchomory. Tojad. Myślałaś, że nie wiemy? My wiemy wszystko, Sto Czterdzieści Trzy.

– Pozbywamy się ich – odpowiada Romy.

– Jakoś ci nie wierzę.

– W takim razie nie wiem – rzuca zmęczona. Niczego już nie rozumie. – Nie wiem, gdzie je przechowuje.

W najwyższej szafce na przeciwległej ścianie nad filtrami stoją słoiki z etykietkami odwróconymi w stronę ściany, o które nigdy nie pytała. Ale nie zamierza mu tego mówić.

– Myślę, że jednak wiesz – upiera się Uri. Chwyta ją za kolano i potrząsa nim.

Romy wrzeszczy i cały świat spowija szarość.

Kiedy z nią kończą i wychodzą z łupami, Romy szczęka zębami, a pościel, w której leży, jest mokra. Groźba, że wyciągną ją z łóżka i zawloką do drugiego pomieszczenia, okazała się ponad jej siły. Bez względu na to, co zrobią i ile krwi przeleją, wszystko to będzie jej wina. Stała się Judaszem. Tylko że Judasza nikt nie torturował, żeby zmusić go do tego, co zrobił.

Wrzucają jagody, nasiona i grzyby do torby i zawiązują ją. Do tego kradną jeszcze filtry. Muszę pamiętać, myśli. Kiedy przyjdą rano, muszę pamiętać, żeby ich ostrzec. Jutro coś zatrują. Muszę ich ostrzec. Jeśli się obudzę, zanim będzie za późno.

Willow podchodzi i staje przy jej łóżku.

– Wybacz, Romy – rzuca. – Bez urazy.

– W porządku – bąka Romy. – Kiedyś cię zabiję.

– Dobrze – odpowiada Willow ze śmiechem. Wyciąga strzykawkę i podnosi ją do światła, które wylewa się z za drzwi apteki. – W każdym razie przepraszam za ból. To powinno załatwić sprawę.

– Co to?

– Porządna dawka morfiny.

– Nie – jęczy Romy. – Dostałam już wcześniej.

Willow się uśmiecha.

– Czyli już wiesz, jak to jest.

**WŚRÓD MARTWYCH**  
*Grudzień 2016*

## 52 | Romy

Muszę zatrzymać się na Bridge Approach Road, żeby ochłonać, bo oddycham szybko i płytko, a nogi mam jak z waty. Opieram się o ścianę i oddycham głęboko. Nabieram powietrze nosem, a wypuszczam ustami. Nie ma wątpliwości, że potrafisz to zrobić, Romy. Nie masz wyjścia. Szybko. Zrobię to szybko i niespodziewanie, tak jak prosił, ale najpierw muszę się tam dostać.

Odgłosy kroków i śmiech. Kroki zwalniają i trzy dziewczyny przechodzą przez furtkę i idą w moją stronę. Najwyższa ma fioletowe włosy, a jej rzęsy są niebywale długie, jakby ktoś gąbką rozgniótł jej na twarzy dwa pajaki. Dobrze wiem, co to za jedna.

Niesie medalion mojej siostry.

Kołysze się na zerwanym rzemyku, który dziewczyna ścisła w zaciśniętej pięści. Wszystkie trzy się śmieją. Zatrzymują się obok mnie, jakby w ogóle mnie nie widziały, i ze śmiechu zginają się w pół.

– Jesteś straszna, Marie – mówi jedna.

– Wiem! Czy to nie cudowne? – odpowiada tamta.

Co rusz zerkają ukradkiem w moją stronę. A więc to nie tak, że mnie nie zauważyły. Spójrz na nasz babski gang, mówią ich spojrzenia. Zazdrość nam naszej młodości i siły, ciężarna kobieto. Pamiętam, jak to jest, gdy człowiek ma piętnaście lat. Nikt tak nie pogardza światem i ludźmi jak nastolatki.

Prostuję się, podchodzę do nich i wyrywam medalion z dłoni Marie Spence.

– Ej! – krzyczy.

Posyłam jej spojrzenie. Jest ode mnie wyższa o dziesięć centymetrów, ale ma na tyle zdrowego rozsądku, żeby się cofnąć.

Wchodzę na kładkę dla pieszych.

Moje rodzeństwo popadło w rutynę. Każdego dnia o wpół do dziewiątej wychodzą z domu i Ilo prowadzi siostrę do szkoły. Rutyna. Którą tak bardzo lubi Uri. Którą Lucien i Vita uwielbiali. Rutyna bywa wygodna, ale czyni człowieka bezbronny.

Czujesz, jak wali mi serce, maluszk. Jest ciężkie od smutku. Czy pewnego dnia opowiem ci o rzeczach, które dla ciebie zrobiłam? Nie wiem. Będziesz musiał zrozumieć, że ofiary były koniecznością, ale czy uznasz, że jestem przez to gorszą matką, gorszym człowiekiem?

Idę kładką z medalionem w zaciśniętej pięści i zbliżając się do furtki, słyszę szlochanie. Wzbija się ponad ulicznym ruchem jak zawrodozenie banshee, jak wycie wilka. Człapiąc ciężko, przyspieszam kroku. W kieszeni chowam zakrwawiony nóż.

Zatrzymuję się i widzę Eden opartą plecami o barierkę. Płacz wstrząsa jej ciałem, zawartość plecaka leży rozsypana u jej stóp. Kartki łopoczą na wietrze wywołanym przez pędzące w dole ciężarówki. Eden ma czerwoną twarz, a stojący obok niej Ilo próbuje położyć rękę na jej ramieniu. Ona jednak ją odpycha. Wiatr targa jej loki, po policzkach płyną łzy.

Nie mogę tego zrobić. Stojąc tam, uświadamiam sobie, że nie mogę tego zrobić. Przykro mi, maluszk. Będziemy musieli zaryzykować. Nie nadaję się do tego. Mimo wszystko nie jestem dość silna.

Wołam Eden, próbując przekrzyknąć zgiełk, ale mnie nie słyszy. Wrzeszczy na Ilo i wymachuje rękami.

– Miałaś się mną opiekować! Miałaś mnie chronić! – Rozgląda się po ziemi, jakby miała nadzieję, że Marie wyrzuciła gdzieś medalion.

– Eden! – wołam.

Ilo mnie słyszy. Odwraca się w moją stronę i krew odpływa mu z twarzy. Myśli, że nadeszła ta chwila. Myśli, że wie, dlaczego tu jestem. Nieznacznie, prawie niezauważalnie, kręcę głową, on jednak to zauważa. Wiem, że mnie widzi. Porozmawiam z nim później, wszystko mu wytłumaczę. Tymczasem muszę zawiesić medalion na szyi Eden, uspokoić ją i zaplanować kolejny krok.

Podchodzę i trzymam medalion w wyciągniętej ręce.

– Eden! – wołam raz jeszcze. – Już dobrze! Mam go! Zobacz! Już dobrze!

Nie słyszy mnie. Wydaje się tak przejęta, że wszystko, co ją otacza, jest jak szum w tle. Zatrzymuję się. Staję obok i otwieram dłoń, w której spoczywa medalion na zerwanym rzemyku.

Ona jednak odpycha moją rękę.

Świat się zatrzymuje.

– Eden! – krzyczę przerażona.

Zamiera i podnosi wzrok. Medalion wiruje w powietrzu, lśniąc w porannym słońcu. Rzucam się za nim, ale jest za późno. Spada na autostradę, a ja chwytam powietrze.

– Co? – rzuca. – Co to było?

Nawet nie pyta, co tutaj robię. Chyba w ogóle zapomniała, że wcześniej mnie nie było.

Ogarnia mnie rozpacz.

– Odzyskałam go! – wołam. – Odzyskałam go! Och, Eden! – Wychyłam się przez barierkę i spoglądałam na widoczną w dole drogę. Jakiś głupi instynkt każe mi ostatni raz spojrzeć na przedmiot, który przepadł bezpowrotnie.

Ilo patrzy na mnie. Nie rób tego, braciszku. Nie oceniaj mnie. Nawet po tym wszystkim nie jestem potworem. Chwilę później klęka i zaczyna zbierać porozrzucone przedmioty: ołówki, zeszyty, telefon, podręcznik do matematyki.

Eden stoi bez ruchu. Staje przy barierce obok mnie i wyciąga szyję.

– Gdzie on jest? – pyta. – Widzisz go? Gdzie on jest?

Wychyła się jeszcze bardziej, spoglądając na ulicę pod naszymi stopami.

Klęcząc na ziemi, Ilo chwytą ją za kostki i ciągnie.

\* \* \*

Nie krzyczy. Słyszę tylko, jak gwałtownie wciąga powietrze, widzę, jak młóci rękami, i już jej nie ma. Chwilę później spod mostu wyjeżdża ogromna ciężarówka, słychać stłumione



plaśnięcie, jakby coś eksplodowało w oddali, pisk hamulców i opon i chrzęst metalu zgniatanego o barierę energochłonną. Zaraz po tym świat znika w czerwonej mgiele.

Cofamy się i stajemy naprzeciw sobie. Ilo wygląda poważniej niż na swoje trzynaście lat. Z pęknięcia na chodniku wyrasta rumianek. Twarz mojego brata jest biała.

– Wiedziałem, że nie mogłabyś tego zrobić – mówi i zaczyna płakać.

## 53 | Sarah

Po tym, jak Ilo wychodzi odprowadzić Eden do szkoły, ma zaledwie piętnaście minut spokoju, zanim sama wsiądzie do samochodu. Po latach budzenia się w pustym domu szybko przyzwyczajają się do tych krótkich chwil, kiedy zostaje sama. Filiżanka herbaty i poranny papieros stały się jej rytuałem.

Siedzi w ogrodzie przy stoliku, kiedy słyszy hałas. Dźwięk, którego nigdy dotąd nie słyszała: przerażający chrzęst metalu i kamienia.

Zrywa się na równe nogi.

– Co jest, kurwa? – rzuca sama do siebie.

I nagle zauważa, że na autostradzie panuje dziwna cisza.

W pośpiechu gasi papierosa i wchodzi do domu. Zrzuca kapcie i wkłada buty. Przez witrażowe okienko w drzwiach wejściowych widzi ludzi biegnących ulicą. W stronę kładki dla pieszych.

Wychodzi. Mieszkająca dwa domy dalej Sue, wciąż jeszcze w piżamie i narzuconym na nią różowofioletowym szlafroku frotté, spogląda na drogę.

– Co to było?! – woła. – Słyszałaś?!

Cisza wydaje się dziwnie nienaturalna. Dźwięk przejeżdżających samochodów słyszeć tu nieprzerwanie od piętnastu lat. Nawet o trzeciej w nocy.

Ktoś wybiega zza rogu Canaan Estate. Ray Spence w spodniach od garnituru i zarzuconej na elegancką koszulę bluzie angielskiej reprezentacji rugby. Włosy ma wciąż wilgotne po porannym prysznicu.

– Co się dzieje?! – woła Sue. – Wiesz coś?!

– Coś się stało na drodze! – odkrzykuje Ray. Jego niechęć znika w mgnieniu oka. – Wygląda na karambol. Widziałyście rano Marie?

– Nie – odpowiada Sue. – Byłam w domu.

Ray biegnie dalej, tymczasem Sarah idzie w stronę ciszy.

Wszyscy sąsiedzi wylegli na ulicę. Kiedy Sarah zbliża się do kładki, uliczny zgiełk zastępują nowe dźwięki. Trzaskanie drzwi pojazdów, szczęk metalu i powoli narastające głosy. Krzyki, wrzaski, prośby o pomoc. O Boże, myśli, jest naprawdę źle. W oddali na zachodzie słychać wściekłe trąbienie. I zawodzenie syren.

Sarah się waha. Powietrze jest świeże, wilgotne, rześkie po nocnym przymrozku. Powinnam tam iść? – zastanawia się w duchu. Dołączyć do tłumu? Mogę jakoś pomóc? Czy będę kolejnym gapiem szukającym sensacji?

Jednak myśl o dzieciach pcha ją do przodu. A jeśli były na kładce? Jeśli nie zdążyły przejść i wszystko widziały?

Nie trzeba wchodzić na kładkę, żeby zobaczyć drogę – jest widoczna ze ścieżki. Pięćdziesiąt metrów niżej w stronę Londynu ciężarówka z logo Stobart wjechała na barierę energochłonną i, o dziwo, się nie przewróciła. Trzy inne samochody uderzyły w nią, a kolejnych dwanaście stoi bezładnie na drodze. Dalej, na długości pięćdziesięciu metrów, asfalt usmarowany jest czymś czarno-czerwonym, co kiedyś żyło.

Sarah idzie dalej, lawirując w tłumie milczących i gapiących się sąsiadów. W dole migotliwe niebieskie światło rozprasza poranny mrok i poboczem nadjeżdża radiowóz. Ktoś zgięty wpół wymiotuje w kępę pokrzyw. Kobieta szlocha. Mężczyzna otacza ramieniem chłopca w mundurku Akademii Wellesley i próbuje odwrócić go twarzą do siebie. Spóźniliby się do szkoły, myśli Sarah bezsensownie. Teraz mają wymówkę. Idąc dalej, wyciąga szyję w stronę grupki ludzi stojących na środku kładki.

Pochylają się nad czymś, jednak Sarah jest za daleko, żeby cokolwiek zobaczyć. Z dudniącym sercem stawia kolejne kroki. Droga na zachód jest zakorkowana, samochody jadą zderzak w zderzak, a te na pasie do wyprzedzania zablokowanym przez ciężarówkę mają włączone kierunkowskazy.

Sześć metrów przed nią jedna z osób odsuwa się i pochyła, żeby podnieść coś, co wygląda jak książka, którą wiatr lada

chwila zwieje na autostradę. Dopiero teraz widzi, na czym skupiona jest uwaga wszystkich.

To Ilo. Sam. Siedzi oparty o barierki i podciągnąwszy kolana pod brodę, kołysze się w przód i w tył.

## 54 | Sarah

Ilo nie może przestać płakać. Jest pewna, że jeszcze nigdy nie widziała tylu łez. To tylko mały chłopiec, myśli Sarah, choć coś stało się z jego głosem i szloch, który dobywa się z jego ust, brzmi jak tenor. Romy siedzi obok niego i otacza go ramionami. Ona również płacze. Siedem godzin, tyle potrzebowała, żeby wrócić autobusem z Hounslow po tym, jak Sarah zadzwoniła do niej na komórkę. Trasa była zamknięta od Slough do Newbury, a ruch puszczony objazdem włókł się niemiłosiernie. W radiu mówią, że to największy karambol od lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku i że ze względu na toczące się śledztwo oraz na działania techników policyjnych utrudnienia w ruchu potrwać przez najbliższe czterdzieści osiem godzin.

Spadając, Eden zabiła sześć osób, a kolejne trzy walczą o życie na oddziale intensywnej terapii w szpitalu w Reading. Jak można nie zauważyć, że ktoś jest tak bardzo zdesperowany, że nie obchodzi go, ile osób zabije, popełniając samobójstwo? Nigdy sobie nie wybaczę, myśli Sarah. Nigdy.

Oto oblicze rodzicielstwa, przed którym nikt jej nie ostrzegał. Bo i jak mogliby ją ostrzec? Ma ochotę usiąść i płakać razem z Ilo. Wyć do księżyca, posypywać głowę popiołem, drapać się do żywego mięsa, zamknąć drzwi, zaciągnąć zasłony, zakopać się w pościeli i czekać, aż wszystko minie. Ale przecież jest dorosła.

– To moja wina – mówi Ilo, szlochając. – To ja ją zabiłem.

Sarah ma wrażenie, że milion razy słyszała te słowa. Powtarzał je tak często, że ona nie ma już sił protestować. Skoro musi je mówić, niech mówi. Najwyraźniej dla niego to jakaś część procesu. Może jeśli powtórzy te słowa wystarczająco wiele razy i nikt nie zaprzeczy ani nie każe mu się zamknąć, w końcu pogodzi się z tym, że była to tylko i wyłącznie wina Eden. I Marie Spence. Nie jego.

Może ja sama w to uwierzę, myśli.

Obrazy wywołane słowami chłopca będą ją prześladowały do końca życia. Kiedy zamyka oczy, widzi jedynie to biedne dziecko, które z całych sił próbuje odciągnąć siostrę od barierek.

– Zabiłem ją – powtarza znowu Ilo i kołysze się w ramionach Romy.

– Nieprawda – mówi Sarah. – Jesteś najdzielniejszy z nas wszystkich.

– Tak – potwierdza Romy. – To, co zrobiłeś... Ja nigdy nie byłam taka odważna. Jesteś wojownikiem. Bohaterem. Wiem, że gdybyś mógł, ocaliłbyś cały świat.

\* \* \*

Przed dom przychodzą kolejni ludzie. Za każdym razem, gdy wygląda przez okno, rzeka owiniętych w celofan kwiatów powiększa się. Przynajmniej kwiaciarnia zarobi, myśli z rozżaleniem. Czemu ludzie to robią? Po co? Dlaczego myślą, że pogrążona w żałobie rodzina poczuje się lepiej wśród zapachu gnijących kwiatów? Że nasze życie poprawi się, bo będziemy musieli znaleźć sposób, jak pozbyć się tego wszystkiego?

Zupełnie jakby chcieli się przyłączyć, myśli i nienawidzi się za to, jakim jest człowiekiem.

Choinka wciąż stoi. Sarah ma ochotę wyrzucić ją na ulicę. W tym domu nie ma miejsca na przejawy radości. Nigdy nie było. I nie będzie. Skąd mogłam wiedzieć, że jej dobry nastrój podczas ubierania choinki był udawany? Że za promiennymi uśmiechami krył się ktoś tak bardzo rozchwiany emocjonalnie?

O siedemnastej, kiedy za oknami jest już ciemno, Sarah słyszy dobiegające z zewnątrz stłumione głosy i zduszone szlochanie. Wygląda przez szparę w zasłonach i na widok intruzów czuje, że ogarnia ją złość.

– Tego już za wiele! – mruczy i idzie w stronę drzwi.

Romy podnosi wzrok. Leżący obok niej Ilo zwinął się w kłębek i w końcu zasnął.

– Co się dzieje? – pyta Romy.

– Helen Brown. – Głos Sarah brzmi piskliwie od tłumionej wściekłości. – Pieprzona Helen Brown. Przyprowadziła ze sobą tę

dziewuchę. Tę cholerną, przeklętą dziewczuchę.

– Dziewuchę?

– Marie Spence.

Romy wygląda na przestraszoną. Prostuje się, jakby zamierzała zerwać się na równe nogi i uciec.

Sarah wychodzi na korytarz i szarpnięciem otwiera drzwi.

– Wynoście się stąd! – krzyczy. – Ale już!

Marie i Helen gapią się na nią w osłupieniu. Marie jest nieumalowana; Sarah jeszcze nigdy nie widziała jej bez makijażu. Dziewczyna wydaje się mniejsza, jakby się skurczyła. Z zaczerwienionymi oczami i bladymi ustami wygląda jakoś tak... krucho. Sarah ma ochotę podbiec do nich i zacząć okładać je pięściami.

– Wynoście się! – powtarza. – Co tu robicie? Po co w ogóle...?

– Sarah... – zaczyna Helen.

– Nawet nie zaczynaj. Nie myśl sobie, że jesteś bez winy.

Helen jest zaszokowana. I dobrze, myśli Sarah, czując chwilową satysfakcję. Jesteś tak samo winna jak my wszyscy. Udawałaś, że jesteś ich psychologiem, a zawiodłaś ich zaufanie.

– A ty! – Patrzy z pogardą na Marie Spence. – Jak w ogóle masz czelność tu przychodzić? Jak się teraz czujesz, wiedząc, że przyczyniłaś się do jej śmierci?

Marie kurczy się jeszcze bardziej. Odzyskuje głos, lecz jest on dziwnie piskliwy.

– Zamierzałam go oddać – bąka. – To był tylko żart.

– Żart?

– Ale przyszła ta kobieta. Czekaliśmy przy zejściu z kładki, bo chciałam jej go oddać, ale ona go zabrała. Chwyciła go i...

– Pierdol się – warczy Sarah i robi krok w stronę drzwi. Widzi strach na twarzach Marie i Helen i wzdryga się. Muszę wyglądać jak upiór, myśli. I dobrze! Chcę, żeby się bały. Chcę, by wiedziały, co zrobiły. – Wynochna stąd! – Macha ręką. – Wynochna!

Spuszczają wzrok i odwracają się. Sarah zatrzaskuje drzwi. Nie wybaczy im. Świat jest zepsuty do cna.

\* \* \*

Kiedy jej nie było, Romy musiała pójść do swojego pokoju, a Ilo obudził się sam w salonie.

– Co to było? – pyta.

– Nieważne – odpowiada Sarah. Siada obok niego. – Jak się czujesz?

– Zabiłem ją – mówi zduszonym, pustym głosem, a ona go obejmuje.

Romy siedzi w pokoju przez pół godziny. Kiedy wraca, trzyma w dłoni telefon. Staje przed nimi i mówi:

– Ilo, rozmawiałam z Urim.

Chłopiec się prostuje i Sarah czuje, że dokonuje się w nim jakaś zmiana.

– Znalazłaś go?

Romy mruga. Przez długą chwilę w milczeniu patrzy mu w oczy.

– Tak – odzywa się w końcu. W jej głosie słychać wahanie. – Nie, to on znalazł mnie.

Ilo spogląda na siostrę. Romy odchrząkuje, a kiedy znów się odzywa, jest pewna siebie jak zawsze.

– Najwyraźniej mówili o tym w wiadomościach. Podali jej imię. Zadzwonił, kiedy się dowiedział.

– Och – bąka Ilo i łzy napływają mu do oczu.

– Chcesz z nim porozmawiać? – pyta Romy.

Chłopiec kiwa głową i z trudem przełyka ślinę.

– Kim jest Uri? – pyta Sarah.

Wzrok Romy spoczywa na jej twarzy.

– Bratem Eden – tłumaczy.

– Przyrodnim bratem – poprawia ją Ilo.



– On... byli inni, którzy przeżyli?

– Oni. Wyjechali, zanim to się stało – odpowiada Romy. – Zanim było za późno.

– Och. „Oni”?

– Inni ludzie. Opuścili Plas Golau. Ale trzymali się razem.

Sarah chłonie te nowe informacje.

– Nie jestem pewna... – mówi. Nigdy dotąd nie słyszała tego imienia. Nagle znowu czuje się zagubiona.

– Proszę, ciociu – odzywa się Ilo. – On ją znał. Znał też mnie.

Sarah ma wrażenie, że świat przecieka jej przez palce, ale wydaje się jej, że rozumie.

\* \* \*

Odbiera po pierwszym sygnale.

– To ja – mówi Romy. – Tak, jest tutaj. Oczywiście.

Wyciąga telefon w stronę Ilo, a on, mały i bezbronny, bierze go.

– Halo? – Słucha i kurczy się w sobie. Kolejny raz łzy napływają mu do oczu. – Dziękuję – mówi, a zaraz potem dodaje: – Ale nie rozumiem, dlaczego musiała umrzeć. – Głos mu się łamie. Przyciska telefon do policzka i zaczyna się kiwać. – Tak... Tak, dziękuję. Rozumiem.

Czy ta rozmowa jest dla niego pocieszeniem? – zastanawia się Sarah. Czy słusznie postąpiłam? Widzi jednak, że twarz Ilo zaczyna się odprężać, i wie, że podjęła dobrą decyzję. Ludzie, którzy znali ich wtedy. Oczywiście, że tego mu trzeba. Romy pewnie też. Mogłam nauczyć się ich kochać, ale nie znałam ich wtedy.

– Tak – rzuca do telefonu Ilo. – Tak, była. Po prostu nie wiem... Dlaczego to tak boli?

Powinnam pójść i zaparzyć herbaty? – rozważa Sarah. Dać im odrobinę prywatności? Nagle opadają ją czarne myśli. Znowu jestem sama, uświadamia sobie. Kolejny raz zostałam sama.

Ilo patrzy na nią.

– Chce z tobą rozmawiać – mówi. – Chce wiedzieć, czy możemy tak zrobić.

\* \* \*

Później, kiedy o tym myśli, zdaje się jej, że to najpiękniejszy głos, jaki w życiu słyszała. Głęboki, męski, silny. Pełen uprzejmości i zrozumienia. Pełen mądrości, którą pragnie się podzielić.

– Chciałem powiedzieć, że bardzo mi przykro z powodu pani straty.

I nagle to ona płacze.

– Wzajemnie – mówi.

Dziękuję jej.

– Była piękną istotą.

Smutek i żaloba sprawiają, że wszystko wygląda pięknie.

– Tak. Była piękna. Kochałam ją – wyznaje Sarah. – Chcę, żeby pan wiedział, że była tutaj kochana.

– Zawsze – odpowiada. – Łatwo było ją kochać. Wiem, że była pani dla niej dobra. Miała szczęście, że panią znalazła.

– Dziękuję. To będzie... Nie chcę już tutaj być. W tym mieście. W domu. Święta...

– Rozumiem. Słyszę w pani głosie ból.

**PRZED KOŃCEM**  
*Czerwiec 2016*

## 55 | Somer

Nie ma wystarczająco dużo łez. I nigdy nie będzie. Kochała go przez dwadzieścia lat i miłość ta była dla niej wszystkim. Nadzieja, że pewnego dnia wróci do jego łask, trzymała ją tu przez trzynaście lat, a teraz odszedł i w jej świecie zapanowała pustka. Bez niego przetrwanie nie ma sensu.

\* \* \*

W dniu pogrzebu budzi się przed świtem, wyslizguje się z łóżka i przygląda się córce. Jest taka piękna w półmroku: złociste rzęsy muskają złociste policzki. Eden nadal śpi tak jak wtedy, gdy była dzieckiem, z ciałem otwartym na świat i pięściami zaciśniętymi na poduszce. Moja śliczna dziewczynka, myśli Somer. Jesteś wszystkim tym, co najlepsze we mnie i twoim ojcu.

Wychodzi w chłodny poranek. Dziedziniec jest przygotowany; stos czeka na ciało Luciena, rozstawiono stoły na kozłach, są kwiaty. Wszystko wydaje się znajome, cały świat, który był dla niej wszystkim. Każdy z nich włożył w to miłość, nawet Strażnicy – chociaż pakują swoje rzeczy, szykując się do wyjazdu – okazali się niezwykle pomocni. Zaangażowali się w przygotowania, przynieśli z magazynu beczkę cydru, obcięli wielkie liście różanecznika, by ozdobić nimi stos, bo dzięki nim dym będzie miał słodki zapach.

W sadzie Somer sięga po jabłko i zjada je powoli, patrząc, jak niebo za wzgórzami na wschodzie powoli robi się niebieskie, a cienkie, strzępiaste chmury zdają się płonąć. Jak tu pięknie, myśli. Chociaż jego już nie ma, chociaż musimy przetrwać pogrzeb, a Strażnicy nadal tu są i patrzą na nas krzywo. Nigdzie na świecie nie ma piękniejszego miejsca. A może tylko ja jedna zastanawiam się, czy poświęciłam całe swoje dorosłe życie na próżno?

Pamięta, jak pierwszy raz zobaczyła Luciena, gdy wyszedł z Wielkiego Domu, żeby je powitać, gdy razem z Vitą wysiadły z minivana, i łzy napływają jej do oczu. W jej oczach już wtedy był stary, ale jakże piękny. Promienisty. I wszyscy ci ludzie, którzy tak ochoczo pracowali w ogródku warzywnym, uśmiechali się i prostowali, żeby go pozdrowić. Tę cudowną, piękną, złocistą istotę, którą chciała poznać od miesięcy. A on spojrzał najpierw na nią, a później na Vitę, uśmiechnął się i powiedział: „Dobrze się spisałaś”. Romy poczuła wtedy blask, który rozświetlił ją od środka. Lucien był wszystkim. Wszystkim, za czym tęskniła wśród Martwych: ciepłem i pięknem, i celem.

Zszedł po schodach i stanął naprzeciw nich, wziął Romy za rączkę, uścisnął ją z powagą, a potem pochylił się, spojrzał jej w oczy i powiedział: „Witaj. Jesteś przyszłością”. A ona wiedziała, że przybyła do domu. Do niego.

Nie mogę stąd odejść, myśli. To wszystko, co po nim pozostało. Osuwa się na kolana w bujną, letnią trawę i płacze. Płacze.

\* \* \*

Idzie zobaczyć się z Romy. Ta jest prawie nieprzytomna, otumaniona morfiną. Rankiem Vita zrobiła jej zastrzyk, ale i tak wydaje się bardziej odurzona, niż powinna, niemal na skraju zapaści. To szok, myśli Somer. Musimy ją obserwować.

– Jak się czujesz? – pyta.

– Ja... – bąka Romy i chyba zapomina, co chciała powiedzieć.

Jej unieruchomiona noga wisi na prowizorycznym wyciągu. Stopę ma czarną od siniaków, twarz paskudnie opuchniętą. Vita twierdzi, że jej stan się poprawia, że złamanie nie jest tak poważne, jak mogłoby się wydawać, i że wróci do zdrowia. Ale to samo mówiła o Lucienie, gdy spadł z konia, więc Somer nie wierzy już w ani jedno jej słowo.

– A jak ty się czujesz? – zwraca się do matki Romy.

– Mam złamane serce – wyznaje Somer.

– Ja też.

– Dziś skremujemy ciało Ojca. Chciałam, żebyś wiedziała.

– Nie dam rady przyjść.

– Tak. On by to zrozumiał.

Romy kiwa głową. Przymyka oczy, a zaraz potem otwiera je i patrzy na matkę.

– Miałam ci coś powiedzieć. Ale nie pamiętam...

– Nie szkodzi, skarbie. To na pewno może poczekać.

– Nie, to... – Romy urywa i ściąga brwi, jakby szukała czegoś w pamięci. – Nie pamiętam.

– Nie martw się.

– Ale to ważne. Wiem, że to ważne. Ja...

– Przynieść ci coś? Na ból? Chyba nie możesz brać więcej morfiny, ale może mamy inne rzeczy w...

Romy kręci głową, gwałtownie, jakby była pijana.

– Jestem w ciąży. Będę miała dziecko.

– Mój Boże! Czy Vita wie? – pyta Somer po chwili.

– Tak.

– I nie jest zła?

– Nie. Cieszy się.

– Ja... – zaczyna Somer i urywa. To wszystko wydaje się takie nieprawdopodobne. – Och – bąka po chwili zastanowienia. Serce podchodzi jej do gardła. – O Boże. O Boże, to jego dziecko?

Moja córka będzie siostrą tego maleństwa i jego ciotką. To ohydne! Odrażające. Nie mógłby tego zrobić. Znał Romy, odkąd miała osiem miesięcy.

Myśl o tym przyprawia Somer o mdłości.

Zakrywa usta dłonią. Patrzy na córkę i widzi, że Romy się uśmiecha. Ona nie widzi w tym nic złego, myśli. Uważa, że nic się nie stało. Ale Somer widzi wszystko, co złe. Wszystko.

– Boże – szepcze. – Co ja narobiłam? Co ja ci zrobiłam?

Romy unosi głowę i uśmiecha się.

– Zrobiłaś? – pyta. – Dałaś mi szansę na urodzenie Jedyne.

Somer nie może na nią patrzeć. Odwraca się na pięcie, opuszcza pokój i idzie korytarzem na schody. Czuje się tak, jakby straciła wzrok. Posuwa się po omacku, walczy o każdy oddech. On nie był bogiem. Nie był zbawicielem. Był... obleśnym staruchem. Oto kim był. Miał pięćdziesiąt lat, gdy wziął mnie i zrobił mi Eden, a ja byłam tak ślepa, że potraktowałam to jako zaszczyt. Ale to nie był zaszczyt. Stał na schodach, przyglądał się nam i wybierał jedną z nas. Nie dbał o dzieci. Nie robił tego, by spłodzić Jedyneho. Wszystko to było jednym wielkim kłamstwem, opowiastką wymyśloną po to, żeby mógł przebierać w nas jak w ulęgalkach. Ohydny staruch! A Vita była stręczycielką.

Na dziedzińcu beczka cydru stoi na stole, wokół którego gromadzą się ludzie. To ostatnia szansa, by porozmawiać z Lucieniem, zanim jego prochy rozwieją się na wietrze. Tyle łez.

Somer gotuje się w środku. Z upokorzenia i wstydu. Ja to zrobiłam. Ja dokonałam tych wyborów. We Wspólnocie mówili mi, że pójdę do piekła, i jestem w piekle. To mnie należy winić.

Nie mogę być zła na Romy. To moja wina.

Ale w głębi duszy wie, że już zawsze będzie jej nienawidziła.

\* \* \*

Strażnicy przychodzą razem. Równym krokiem opuszczają Wielki Dom, z Urim na czele. Stają w szeregu – razem, zawsze razem – przy murze niedaleko bramy, milczący, z rękami splecionymi na plecach. Ilo, który stoi obok siostry, patrzy na nich tęsknym wzrokiem. Będą z nimi kłopoty, myśli Somer. Nie uważają się już za jednych z nas... ja zresztą też. Żaden z nich nie zostanie w Plas Golau, może z wyjątkiem Ilo, ale nawet on by tu nie został, gdyby wciąż nie był dzieckiem. Lubi przebywać w towarzystwie Strażników. Nie mogę udawać, że tak nie jest. Może kiedy dorośnie, dołączy do nich.

Vita, cała w czerni, staje na szczycie schodów. Wyprostowani, patrzą, jak z gracją i godnością schodzi na podwórze. Tak naprawdę nigdy jej nie znałam, myśli Somer. I wątpię, czy kiedykolwiek ją poznam. Jest tajemnicą, jeszcze większą niż Lucien. Manipulowała nami wszystkimi. Nawet nim.

Jutro wyjedziemy. Oto co zrobimy. Nie będzie Strażników przy bramach i nikt nie zdoła nas zatrzymać. Zabiorę dzieci i ucieknę. Znajdziemy sposób, żeby przetrwać wśród Martwych. Są inne miejsca, inne możliwości. Jutro zabiorę je, wymyślę jakąś historyjkę, a Romy może iść do piekła. Skoro sama tak zdecydowała, może iść do piekła, razem ze swoim bękartem i kłamliwym uśmieszkiem. Gdybym jej nie urodziła, to wszystko by się nie wydarzyło. Gdyby nie ona, byłabym wolna.

Kucharze rozdają kieliszki z cydrem i wszyscy czekają na sygnał, by podnieść je do ust. Kątem oka zauważa, że Strażnicy podnoszą ręce i odmawiają. Zastanawia się, czy nie chcą się napić, bo coś knują, ale zaraz porzuca tę myśl. Tacy już są. Odcinają się od nas, jakby myśleli, że nam zależy.

Widzi Ilo, który sięga po kieliszek, więc podbiega do niego i wyjmuje mu go z rąk.

– Ej – rzuca chłopiec, na co Somer o mało nie parska śmiechem. Jest tak bliska hysterii, że musi się kontrolować.

– Znasz zasady – mówi. – Dopiero jak skończysz osiemnaście lat.

– W domu Strażników pozwalali mi pić.

– Ale teraz nie jesteś w Domu Strażników – odpowiada stanowczo. Podaje kieliszek Ursoli i staje w tłumie razem z Ilo, żeby mieć go na oku. Zawsze jest jakiś dzieciak, który wymknie się i ukradnie alkohol. To rytuał przejścia. Kątem oka widzi Horsa i Sanę, którzy sięgają po kieliszki z cydrem i kryją się za szklarniami. Nie jestem ich matką, myśli. I nie jestem już częścią tej społeczności.

Vita z płonąca pochodnią podchodzi do stosu pogrzebowego. Unosi kieliszek i staje twarzą do mieszkańców Arki.

– Za Luciena! – krzyczy.

– Za Luciena! – odpowiadają.

– Oby spłonął w piekle – mruczy Somer i jednym haustem opróżnia kieliszek.

Cydr jest ohydny – słodki i ma posmak liści.



**WŚRÓD MARTWYCH**  
*Grudzień 2016*

## 56 | Sarah

Wznosi się nad drzewami jak rakieta i przez chwilę myśli, że to kolejny kawał złomu, fragment żurawia, jakie widzi się porozrzucane przy autostradach. I nagle na jej oczach rozkłada skrzydła, a ona uświadamia sobie, że to rzeźba.

– Co to? – pyta Romy. – To tam?

– Anioł Północy – odpowiada Sarah. – Cudowny, prawda?

Zapiera jej dech w piersi. Powinnam była zobaczyć więcej własnego kraju, myśli. Tyle tu różnych rzeczy, tyle niesamowitych dowodów ludzkiej wspaniałości. Zmarnowałam tyle czasu, siedząc w swojej małej mieścinie i marząc o dalekich krajach, podczas gdy tuż za progiem jest tak wiele cudów.

Powinna być brzydka, ta rzecz z rdzewiejącej stali z ramionami jak skrzydła samolotu. Powinna być skazą na krajobrazie szpecącą zielone wzgórze, na którym stoi. Tymczasem to jedna z najpiękniejszych rzeczy, jakie widziała w całym swoim życiu. Wznosi się na tle stalowoszarego zimowego nieba, a u jej stóp niczym mrówki chodzą małe postacie. Sarah przez moment ma wrażenie, że razem z nią wznosi się w powietrze.

– Czyli jesteśmy teraz na północy? – pyta Romy.

– Tak, na północy Anglii. Niedługo dotrzemy do Szkocji.

Opuszcza szybę i pozwala, by owiało ją rześkie, północne powietrze. Z każdą kolejną sekundą coraz bardziej oddala się od Finbrough. Od opuszczonego domu, choinki, której igły spadają na dywan, i portretów opartych o boazerię.

Nie dbam o to, czy jeszcze kiedyś zobaczę ten dom, myśli. Jak wrócimy, wystawię go na sprzedaż i skończę z nim.

Teraz, gdy są na północy, kiedy zostawili za sobą złudne poczucie bezpieczeństwa pośród zielonych pól południa, świat nabiera surowego piękna, do którego nie jest przyzwyczajona

i które przytłacza ją swoim majestatem. Wznoszą się i wznoszą, niebo robi się wielkie, a horyzont staje się szeroki, i czują, że powietrze jest tu inne od tego, którym oddychali do tej pory. Silniejsze, niemal odurzające. Newcastle nad rzeką Tyne, Morpeth, Alnwick, Berwick-upon-Tweed i już są w Szkocji.

Zatrzymują się na stacji benzynowej w małym miasteczku z szeregowcami z różowego granitu, przystrojonymi lampkami, lecz ulice są puste, a sklepy zamknięte, choć nie ma jeszcze szesnastej. Tu jest inaczej. Mieścina jest pewnie niewiele mniejsza od Finbrough, jednak zbliżające się święta zdają się nie robić wrażenia na tutejszych sprzedawcach. Na głównej ulicy Finbrough już od kilku dni odbywa się sponsorowany przez radę miasta świąteczny kiermasz z grzany winem i Świętym Mikołajem z zaświadczeniem o niekaralności. Pamięć o Eden zatraciła się wśród stoisk oferujących świąteczne przysmaki, a kwiaty na kładce dla pieszych zostały usunięte w obawie, że zdmuchnie je wiatr, przez co dojdzie do kolejnego karambolu.

Pub za rogiem wygląda kusząco – ciepłe światło wylewa się przez okna, a od drzwi niesie się zapach pieczonego mięsa. Ale zajazd Travelodge, w którym zarezerwowali pokój, znajduje się szesnaście kilometrów stąd, po drugiej stronie Forth, a Romy przysypia, więc Sarah decyduje się jechać dalej.

Prawie nie spała, odkąd to się stało, myśli. I chociaż nigdy nie narzeka, dziecko musi wysysać z niej wszystkie siły. Romy siedzi obok niej na miejscu pasażera, bo pas na tylnym siedzeniu nie był na tyle długi, żeby mogła się zapiąć. Wygląda na to, że dziecko będzie duże. Mimo wszystko. To będzie pewnie nasza jedyna podróż, zanim przyjdzie na świat. Mówią, że możemy zostać tak długo, jak będziemy chcieli, ale jeśli zostaniemy za długo, nie będziemy mogli odbyć drugiej tak długiej podróży.

Romy zasypia, oparta o drzwi od strony pasażera, otulona wełnianym szalem Sarah, choć w samochodzie panuje przyjemne ciepło. Sarah zerka w lusterko wsteczne i widzi Ilo, który odkąd dojechali do Berwick, nie odezwał się ani słowem, chociaż nie śpi i wpatruje się w ciemność za oknem.

– Jest tam gdzieś poduszka? – pyta.

Nie było łatwo przekonać ich, żeby zabrali coś więcej niż skrzynki, ale bagażnik pełen jest walizek z ciepłymi ubraniami, a walizka Sarah leży przypięta pasem na pustym miejscu obok chłopca. Ilo opuszcza wzrok i spogląda pod nogi.

– Tak.

– Mógłbyś podłożyć ją siostrze pod głowę?

– Och. – Wydaje się zdumiony tą propozycją, jakby drzemał w nim nieprzyzwyczajony do luksusów spartanin. – Dobrze.

Jest wobec niej wyjątkowo delikatny, na jego ściągniętej twarzy maluje się skupienie. Romy nie budzi się, lecz czując pod głową miękkość, jeszcze bardziej wtula się w fotel. Gdy jej chrapanie wstrząsa szybami samochodu, Sarah i Ilo patrzą na siebie w lusterku wstecznym i uśmiechają się.

– Jest zmęczona – mówi chłopiec.

– Jak my wszyscy – odpowiada Sarah.

– Ale cały dzień siedzieliśmy.

– Nie chodzi tylko o to, Ilo. Chodzi o wszystko. Smutek sprawia, że człowiek jest zmęczony. To zupełnie normalne.

Zresztą nie tylko smutek, uświadamia sobie Sarah, zdumiona tym nagłym odkryciem. Samotność też. Odkąd zamieszkali ze mną, mam dużo więcej energii i nawet tego nie zauważyłam. Po śmierci Eden zmęczenie spadło na mnie niczym ogromna fala, jednak to inny rodzaj zmęczenia. To smutek. Wyczerpujący, głęboki i przenikliwy. Inny od brzemienia, które dźwiga na sobie porzucone serce.

– Jak się czujesz? – pyta siostrzeńca. Spogląda w lusterko i znowu widzi chłopca pogrążonego w żałobie. Doświadczył w swoim życiu tylu różnych strat, myśli. Żadne dziecko nie powinno przeżywać czegoś takiego. Dobrze, że zabieramy go do miejsca, gdzie mieszkają ludzie, których zna. Wiem, że to nie to samo co dom, ale obcowanie z czymś znajomym – z ludźmi, z którymi łączą go wspomnienia – wyjdzie mu na dobre.

– Tęsknię za nią – mówi.

– Wiem. Ja też za nią tęsknię. Ale to dobrze. Właśnie tak powinieneś się czuć. Ona wciąż tu jest. Żyje w naszych

wspomnieniach i już zawsze będzie z nami.

Ilo milczy.

– Chciałbym już nigdy o niej nie myśleć – odzywa się w końcu i Sarah czuje, że ogarnia ją współczucie. Mam nadzieję, że poczuje się lepiej, kiedy dotrzemy na miejsce, myśli. Że znajdzie tam pocieszenie. Może Uri zdoła do niego dotrzeć. Mówił tak, jakby chciał spróbować.

Mnie też przydałoby się trochę nadziei. Znak, że istnieje coś lepszego. Że życie to nie tylko rzeka smutku w rozpadającym się świecie.

\* \* \*

W zatoce Firth of Forth stoją kontenerowce. Unoszą się na wodzie jak ogromne klocki, błyskają światłami w ciemności, pełne marynarzy, którzy spędzą święta tysiące kilometrów od domu. Za nimi widać pomarańczową lunę Edynburga, sadzawki światła w mroku na dalekim brzegu. Ilo wyteża wzrok i przegląda mapę w telefonie, jak zwyczajny nastolatek. Nieudolnie odczytuje nazwy miejscowości. Zatoka Dalgety. Aberdour. Burntisland.

– Pięknie tu – mówi.

– Cieszę się, że ci się podoba.

– Na świecie jest dużo pięknych rzeczy – dodaje Ilo. W blasku światełek deski rozdzielczej jego twarz wydaje się tęskna. – Tyle z nich przepadnie.

– Wiem – rzuca Sarah. – Wiem.

# EPILOG

## Romy

Nocą przejeżdżamy przez most nad rzeką, która wygląda jak morze, i przypominam sobie, jak bardzo bałam się kilka miesięcy temu na podobnym moście i jaka zrobiłam się odważna. Jemy lasagne i lody na pustej stacji obsługi, gdzie senny Słowak czeka, żeby zamknąć sklep, a później kładę się do łóżka tak wygodnego, że chce mi się płakać na myśl o tym wszystkim, co przepadnie. Rankiem budzi mnie dźwięk odkurzacza na korytarzu.

\* \* \*

Dochodzi siódma, lecz na zewnątrz nadal jest ciemno. W Hounslow nigdy nie było ciemno, nawet wtedy, gdy powinno. Jedyne, co widzę z okna, to sznur niemrawych samochodów w morzu asfaltu. Nie będzie mi tego brakowało. Nawet pobudki przed świtem w Plas Golau nie były takie złe, gdy niebo nad naszymi głowami zaczynało nabierać złocistych rumieńców, a szczyty gór zmieniały kolor z czarnego na czerwony i srebrzysty. Wyobrażam sobie, że w Taigh na Solas będzie tak samo pięknie.

Przez pięć minut wyleguję się w czystej, miękkiej pościeli, po czym wstaję i biorę gorący prysznic. Czekać, aż woda przegna ból, spoglądam na wielki, twardy brzuch i ogromne piersi, które – mam wrażenie – pojawiły się znikąd. Lubiłam swoje dawne piersi: były małe, krągłe, nie krępowały mi ruchów i nie przyprawiły o ból pleców. Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś takie będą.

Zabawnie jest myśleć, że prawdopodobnie nigdy więcej nie doświadczysz rzeczy, które wydają się takie oczywiste, kiedy mieszkasz wśród Martwych. To pewnie ostatni raz, kiedy mogę sama spać i kąpać się.

Będzie mi brakowało tego wszystkiego, co dla Martwych jest takie oczywiste. Telewizji. Miękkich, wygodnych łóżek. Internetu. Kurczaka po jamajsku. Długich kąpiel. Ale jaka jest cena za twoje przetrwanie, maluszk? Jaka jest cena za cały świat?

\* \* \*

Późnym rankiem docieramy w góry. Są wszędzie, jak okiem sięgnąć. Podobnie jak zamki i stalowoszare, lśniące morze, dzikie wrzosowiska, które ciągną się aż po horyzont, i śnieg na szczytach, małe chatki odwrócone tyłem do wiatru i drogi przecinające doliny tak głębokie, że słońce dociera do nich dopiero późnym popołudniem. Nagle znów czuję się bezpieczna, pierwszy raz, odkąd zabrali mnie z Plas Golau.

Plas Golau stoi teraz puste. Zimowe deszcze zmyją wszystko.

\* \* \*

Przy bramie stoi Strażnik z krótkofalówką; przepuszcza nas machnięciem ręki, jakbyśmy byli członkami rodziny królewskiej. Sarah jest zdumiona, ale tłumaczę jej, jakie to wkurzające, gdy wchodzisz taki kawał pod górę i okazuje się, że jesteś nie tam, gdzie trzeba.

– Chyba po to są bramy – zauważa. – Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób.

Droga, która prowadzi od rzeki Don do Taigh na Solas, ma pięć kilometrów. Kiedy docieramy na miejsce, serce podchodzi mi do gardła, bo Cairngorm wydaje się inne, a zarazem takie samo: duży dom z ogrodzonym ogrodem i stodoły w kształcie litery U z brukowanym podwórzem. Dwa wysokie mury w trakcie budowy, by połączyć wszystko i otoczyć posiadłość.

Kiedy przyjeżdżamy, Uri stoi na dziedzińcu. Parkuję na środku i wysiadam, zarzucam na ramię płócienny worek i podchodzę do niego. Sarah i Ilo siedzą w samochodzie i rozmawiają ściszymi głosami.

– Nie spieszylaś się, Sto Czterdzieści Trzy – mówi Uri. – A do tego jesteś w ciąży.

– Tak – rzucam.

– Cwana jesteś. – W jego głosie słyhać nutkę podziwu. – Pomyślałem, że będziemy mieć was na oku.

– Na oku?

– Chyba nie sądziłaś, że niczego nie zauważyliśmy? Dobry Boże, dziewczyno, wszyscy o tobie mówili.

Czuję, że ogarnia mnie strach. A więc wiedział? Przez cały ten czas? Czy to wszystko było po to, żeby mnie tu ściągnąć? Po to, żebyś była bezpieczna?

Jego kolejne słowa sprawiają, że oddycham z ulgą.

– Podczas pierwszego przesilenia praktycznie pieprzyłaś się na parkiecie. Wiem, że nie byłaś przyzwyczajona do alkoholu, ale mówili, że zachowywaliście się jak zdziczałe koty.

Ma na myśli Kirana. Myśli, że to Kiran jest twoim ojcem, maluszku. Jesteśmy bezpieczni. Nie ma pojęcia, skąd się wziął.

– Dobra – rzuca i wyciąga rękę. Sięgam do kieszeni i dobywam z niej dwa medaliony. – Tylko dwa?

– Trzeci spadł na autostradę – odpowiadam.

– Niech będzie – mruczy. – Widziałem dość dowodów w wiadomościach. Kiedy urodzisz? Nie mamy tu luksusów.

– W lutym.

– Szkoda, że nie przywiozłaś ojca dziecka. Potrzebujemy ludzi.

– Trzeba było nie dawać mu trucizny – mówię, na co on unosi brew.

– Kto jest z tobą w samochodzie?

– Chłopiec. I ciotka.

– Dobra robota – chwali mnie.

– To ty wykonałeś kawał dobrej roboty. Gdyby nie ty, nigdy byśmy jej nie przekonali.

Uri kiwa głową.

– Nowi – rzuca do krótkofalówki. Gdy odwraca się w stronę samochodu, na jego twarzy malują się melancholia i dobroć. Jest nieodrodnym synem swojego ojca.



Gdy podchodzimy do samochodu, Sarah i Ilo wysiadają.

– Witaj z powrotem, synu – zwraca się Uri do Ilo. Podaje mu rękę i na chwilę otacza go ramieniem. – Brakowało nam ciebie.

– Dziękuję – bąka Ilo.

Następnie Uri spogląda na Sarah, pozwalając, by zachwyciła się jego charyzmą.

– Witamy w Cairngorm – mówi. – Przykro mi z powodu pani straty. Zaopiekujemy się wami. Zadbamy o wasze bezpieczeństwo.

Widzę, jak ona topnieje pod spojrzeniem jego niebieskich oczu.

\* \* \*

No i jesteśmy, maluszk, znowu bezpieczni, z dala od Martwych. Jak na razie jest nas pięćdziesięcioro dwoje. Jestem odpowiedzialna za Infirmierię, bo ogarnięty chęcią zemsty Uri zapomniał o tym, o czym wielokrotnie przypominała nam Vita – że przetrwanie to nie tylko walka. Tak naprawdę chyba w ogóle nie przemyślał tego, co potrafimy. Na przykład Ilo sam jeden pracuje jako Technik.

Dzielę pokój z Willow. Nigdy jej nie wybaczę, ale na razie wydaje się zadowolona z kobiecego towarzystwa, a ja cierpliwie patrzę i czekam, dopóki nie przyjdiesz na świat. Patrzę i czekam. Tamtej nocy w Infirmierii złożyłam jej przysięgę. Może tego nie wie, ale ja zawsze dotrzymuję słowa.

Zauważyłam już, że bardzo lubi grzyby.

Jedzenie jest dobre, ludzie są szorstcy i wszyscy brodzimy w błocie, ale jesteśmy wystarczająco daleko od miasta, by nikt nas nie niepokoił, a na wzgórzach jest pełno owiec, jeleni i zajęcy. Sarah pomaga w kuchni – piecze chleb, oskubuje kurczaki, zbiera jajka. Wygląda lepiej, ma zarumienione policzki i błysk w oku. Nocami wciąż śpiewamy, nadal przygotowujemy się na Koniec, tak jak kiedyś w Plas Golau, i Sarah nauczyła się już słów. Rzadko rozmawiamy. Nowo przybyłych zawsze oddzielano od tych, z którymi przyjechali, do czasu aż można im było zaufać. Śpi w dormitorium z trzema innymi kobietami i wydaje się

zadowolona. Macham do niej, gdy mijamy się na dworze, a ona uśmiecha się do mnie z nadzieją.

\* \* \*

Kiedy z nożem w dłoni spaceruję, szukając ziół i planując, co posadzić, podążam też za Urim i obserwuję go, żeby poznać jego przyzwyczajenia. Stąd wiem, że codziennie przechadza się po wrzosowiskach. Wiem, że pewnego dnia, kiedy już przyjdiesz na świat, a ja odzyskam dawną sprawność, wyjdzie sam. Wtedy spotka mnie, nadchodzącą z naprzeciwka od strony lasu, gdzie nikt nas nie zobaczy.

Może nie tej zimy, choć tu, w górach, zimy są długie i srogie. Mogę zaczekać. Mam mnóstwo czasu. Pewnego dnia pójdę za nim. Jest tutaj wiele miejsc, w których człowiek może być sam, a zimą śnieg jest głęboki.

A gdy odejdzie, nikt nigdy nie wspomni o nim ani słowem.

# PRZYPISY

- <sup>1</sup> Odpowiednik imienia Jezus używany przez Homera Simpsona w animowanym serialu komediowym *Simpsonowie*.
- <sup>2</sup> *Little Orphan Annie* – historyjka obrazkowa stworzona przez Harolda Graya na podstawie wiersza o tym samym tytule, autorstwa Jamesa Whitcomba Rileya. Opowiada o przygodach tytułowej Annie, jej psa Sandy’ego i ich dobroczyńcy, Olivera.
- <sup>3</sup> Aluzja do wiersza Roberta Browninga, *Jak to oni ważną wieść przynieśli z Gandawy do Akwizgranu*.
- <sup>4</sup> Biblia Tysiąclecia, Wj 20, 5.
- <sup>5</sup> Biblia Tysiąclecia, Rdz 6, 23.